

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1987

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1987

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 430

ISBN 2-7168-0097-9

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

Agata TUSZYŃSKA

W OCZACH POLAKÓW

Polacy i Rosjanie. Życie codzienne w Warszawie
w latach 1865-1905*

Badacz życia codziennego postyczniowej Warszawy staje przed nieco odmiennym zadaniem niż jego kolega zajmujący się innym fragmentem naszej historii. Druga połowa XIX wieku to przecież specyficzny okres polskich dziejów. Z jednej strony — wobec kolejnej porażki powstańczego zrywu — jakby bezpowrotnie wypaliły się patriotyczne nadzieje polskiego społeczeństwa, z drugiej — okupant przystąpił do wzmożonych działań rusyfikacyjnych, chcąc zunifikować i wchłonąć bezpowrotnie zdobytą prowincję, sprawiającą mu wiele kłopotów, stanowiącą źródło nieustannych niepokojów, ruchawek, buntów, biernego i czynnego oporu.

W tym celu powołano w 1864 roku Komitet Urządzący. Przeprowadza on stopniowo, ale konsekwentnie „reformy” mające na celu likwidację resztek iluzorycznej i symbolicznej niezależności Królestwa Polskiego, zaciera jego administracyjną odrębność, znosi w miarę suwerenne instytucje. Lata 1866-1869 przynoszą likwidację Rady Administracyjnej, Rady Stanu i Komisji Rządowych. W 1868 roku język polski usunięty zostaje ze wszystkich wydziałów służby rządowej. Rosyjski obowiązywać zaczyna również w życiu publicznym, na kolejach, w sądownictwie i w szkole. Jedynie w teatrze oraz w kościele, ściślej w liturgii i w katechezie można było posługiwać się językiem pol-

* Tekst publikujemy bez wiedzy i zgody autorki.

skim (już akta stanu cywilnego pisane były po rosyjsku). Język ojczysty udało się zachować również w kościołach na kresach, gdzie nacisk rusyfikacyjny był większy i za najmniejsze nieposłuszeństwo groziła zsyłka na Sybir. Jednym ze sposobów ominięcia językowych zakazów na gruncie towarzyskim było używanie francuszczyzny. Ten unik stosowano również przy malowaniu szyldów czy adresowaniu listów.

W 1885 roku w miejsce Banku Polskiego powstaje Warszawski Kantor Banku Państwa. Poszczególne urzędy Królestwa zostają podporządkowane właściwym ministerstwom w Petersburgu. Urzędników rekrutuje się w coraz większym stopniu z rosyjskiego elementu napływowego. Po śmierci Berga (1874) nie wznowiono już funkcji namiestnika, jego następców zwano generał-gubernatorami. Polska stała się wewnętrznym terytorium rosyjskim. Warszawski magistrat był urzędem państwowym rosyjskim, podporządkowanym „Naczelnikowi Kraju” i Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Ważniejszy od prezydenta miasta był formalny jego zastępca, oberpolicmajster, sprawujący rzeczywistą władzę. Począwszy od lat siedemdziesiątych — najpierw w korespondencji urzędowej, później w rosyjskiej publicystyce — pojawia się nazwa *Privisliński kraj* (*Privislinskie*), choć żaden oficjalny ukaz na ten temat nigdy się nie pojawił.

Mówimy dotąd o wydarzeniach powszechnie znanych, określających kierunek zmian w Królestwie Polskim. Ale to tylko jedna strona dziejów tamtego okresu. Istnieje jeszcze coś, co można nazwać ciszą historyczną, czyli codziennością danej epoki, nie mniej ważną od głośnych wydarzeń. Historyczna cisza jest także brzemienią w dziejowe skutki. Po upadku powstania milkną strzały, ale przemoc nie ustaje. Zmieniają się tylko jej formy. Bardziej kompleksowa, lepiej zorganizowana, świadoma celu kryje się w codziennym, zwykłym dniu podbitego narodu. Znaczenia nabierają więc drobne wydarzenia, które pozornie „nie mają historii”. Przedstawione w żywym kształcie spraw ludzkich, w tym wszystkim co w nich konkretne, zwyczajne, powszechne, określają szarą barwę i gorzki smak przegranej.

Warszawska codzienność miała różne oblicza. Niemiec, który odwiedził Warszawę w latach 80-tych nazwał ją „rosyjską stolicą” (*eine russische Hauptstadt*). Czy nie jest to jednak wyrok zbyt uproszczony? Pod zmianami i nowymi formami życia krył się przecież tajny nurt oporu przeciwko wzmoczonej rusyfikacji. „Rosyjska stolica” próbuje przecież zachować polski charakter. Tych wątpliwości i niejednoznaczności jest więcej. W pozytywistycznej literaturze, w malarstwie Gierymskiego (jakże jest ono dalekie od wizji Grottgera!), w prasie Kongresówki, w której,

jak pisał Piłsudski w „Bibule”, dominował „niewolniczy język Ezopa”, odnajdziemy Warszawę niemal sielską. Wokulski zachowuje się jak obywatel wolnego kraju, krząta się wokół interesów, kocha i cierpi, bywa na wyścigach konnych. Dziennikarze piszą o ochronkach i rautach dobroczynnych, o stanie dróg i o pogodzie, o towarzyskich plotkach. Ekscytują się nowo otwartym Ogrodem Zoologicznym albo Marią Bacchi z Paryża, „kobietą z brodą” długości 28 centymetrów, pokazywaną w Hotelu Litewskim na Senatorskiej.

Ale to obraz życia uproszczony i zafałszowany — owe myśli wypełnione zdrową ideą pracy organicznej, czas trawiony na partijkach szachów i loteriach fantowych, przejażdżkach alejami i wizytach w salonach. Pod tym spokojem wzbierało napięcie, jakie wywoływała obecność najeźdźcy zacierającego gorliwie wszelkie ślady polskości.

Tej sielskości nie znajdziemy np. w świadectwach obcych pisarzy i podróżników. Wybitny duński krytyk i historyk literatury Georges Brandes (właściwie Morris Cohen) pisał o Warszawie smutnej i przytłumionej. Oto fragment jego książki:

„Obszar miasta jest wielki, ale ta upadła wspaniałość i okropne wspomnienia, które jej mury ukrywają i o które przechodzić co krok się potyka, czynią bolesne wrażenie. W zeszłym stuleciu było ono po Paryżu najświetniejszym miastem w Europie — obecnie jest prowincjonalnym miastem rosyjskim. Zabytkowe niegdyś i wspaniałe miasto stało się teraz zaniedbane i upośledzone. (...)”

Ruch na ulicach jest niemały; na targach wre to samo życie, co wszędzie, gdzie się kupno i sprzedaż pod gołym niebem odbywa. Ale każdego cudzoziemca uderzyć musi okoliczność, że ilekroć spotyka on większą masę ludzi, np. na spacerach niedzielnych po głównych ulicach, nigdzie nie widać u mieszkańców owego zadowolonego i wesołego świątecznego wyglądu, który cechuje ludność innych wielkich miast. Tu, przeciwnie, gdzie spojrzysz, oblicza są posępne i frasunku jakiegoś pełne. Nigdy nie będziesz świadkiem jakiejś wesołej sceny ulicznej ani żartobliwego wybryku¹”.

Pisząc więc o postyczniowej Warszawie, trzeba mieć świadomość wewnętrznej walki żyjących w niej ludzi między żałobą, rozpaczą, utratą nadziei a żelaznym prawem życia, które nie znosi próżni, zmusza do wyjścia na ulicę, do zrobienia zakupów, rozwijania prywatnego interesu.

Jaka więc była Warszawa w drugiej połowie XIX wieku?

1. G. Brandes, „Rosja”, Lwów 1905.

Jej obraz — jakby z lotu ptaka — możemy znaleźć w książce Bohdana Cywińskiego „Rodowody niepokornych”: „Kilkusetysięczne fabryczno-handlowe centrum *Priwislańskiego Kraju*. Kilmetry ulic i uliczek ciemnych i nieskanalizowanych. Dwujęzyczne szyldy sklepowe, małe żydowskie knajpki na rogach. Czyszwowe kamienice ze studziennymi podwórzami. Eleganckie ściany frontowe zakrywające byle jakie oficyny. Rozległe salony pierwszych pięter i przeludnienie poddaszy i suterenu. Brudne małe fabryczki, stłoczone na ciasnych placach za wysokimi parkanami z desek, wrosnięte między domy mieszkalne. Świat egzotycznych dla współczesnego człowieka kontrastów materialnych, społecznych, kulturowych. Kontrastów i konfliktów po tylekroć opisywanych w literaturze pięknej i wyjaśnianych w podręcznikach i broszurach, że przypomnianie ich wywołuje już w naszej świadomości odruch zniechęcenia i znudzenia. A jednak kontrastów i konfliktów prawdziwych, boleśnie prawdziwych ram historycznych, politycznych i socjalnych, wyznaczających warunki życia człowiekowi tamtej epoki i tego kraju²”.

Ten ogólny, ramowy obraz musimy teraz przybliżyć i uszczegółwić. Spróbujmy więc przejść się ulicami Warszawy i spojrzeć na nią oczyma kogoś, kto był tu nieobecny po powstaniu przez kilkanaście lat. Jego oczom ukaże się ogrom zmian w wystroju zewnętrznym miasta. W tramwaju będą go raziły głośne rozmowy rosyjskich urzędników wobec milczenia pasażerów tutejczyków. Na tłumnej ulicy minie patrol kozacki oraz snujących się czynowników w czapkach z szerokim sztywnym rondem, ozdobionych znaczkami właściwej dykasterii, w której służą, z bączkiem na lampasie i obowiązkową laseczką w ręku. Miasto jest umundurowane. Człowiek przecież, jak głosi rosyjskie przysłowie, składa się z duszy, ciała, paszportu i uniformu. W urzędach, na poczcie i na kolei munduruje się pracowników według wzorów rosyjskich. Studentów ubiera się w nieforemne, ciężkie surduty i czapki skrojone na wschodni wzór. Mundury gimnazjalistów mają krój i szary kolor oficerskich szyneli.

Nagle ulicą przejedzie trójka koni ciągnąca małeńki powozik i siedzącego w nim policmajstra. Za nim trzej kozacy w galopie ze sterczącymi wysoko pikami. To osobista ochrona policmajstra w stolicy podbitego kraju.

Wszędzie gdzie to możliwe nadano budowlom styl i wygląd rosyjski, niszcząc nieraz prawdziwe zabytki stylowej architektury. Gmachy rządowe w miastach, zwykle skonfiskowane pałace polskich magnatów, pokrywano rosyjskim zwyczajem zieloną blachą

2. B. Cywiński, „Rodowody niepokornych”. Warszawa 1971, str. 123.

i malowano jaskrawymi kolorami. Ściany domów obwieszono dwujęzycznymi szyldami w taki sposób, by całe miasto mogło być praktyczną uczelnią języka rosyjskiego. Ulice, place, ogrody chrzczono nazwiskami głośniejszych *usmiriteli*. Wiele kościołów przerobiono na cerkwie, pod koniec wieku było ich w Warszawie blisko dwadzieścia. Przed soborem na ulicy Długiej (dawniej kościół pijarski) jezdni cicha, wyasfaltowana, jedyna w całej Warszawie. Tu gdzie modliła się władza, musiał panować spokój. W każdą niedzielę oraz z okazji galówek stały tu powozy. Oryginalna uprzęż stroiła piękne konie, a na kozłach siedzieli kuczerzy w niskich cylindrach. Tu zjeżdżali dygnitarze państwowi, wojskowi wysokiej rangi oraz przedstawiciele konsulatów i misji zagranicznych. Cerkwie na Pradze, Podwalu, Miodowej i w Alejach Ujazdowskich (Plac na Rozdrożu) uczęszczane były przez żołnierzy bardzo licznego garnizonu warszawskiego i rodziny zwykłych urzędników. Na Placu Saskim wznosił się najbardziej reprezentacyjny sobór, mający być symbolem ostatecznego i nieodwracalnego panowania rosyjskiego na ziemiach polskich.

Rozglądając się na jeszcze tak niedawno polskich Alejach Ujazdowskich czy Łazienkach za rosyjskimi niańkami w kokosznikach i jaskrawych szatach, prowadzącymi przebrane w czerkieski kostium dzieci, nasz spacerowicz mógł wpaść na rosyjskiego łodźiarza. Jan Szczepkowski pisze, że był to zwykle wysoki, czerstwy mężczyzna z dużą, jasną, pod kant strzyżoną brodą, jaką nosił car Aleksander III, z włosami przystrzyżonymi wyżej karku (typ Wielkorusa), w czerwonej, z boku zapinanej rubaszce, marszczonych w harmonijkę butach i czarnej, watą wypchanej czapce. Pod chustką kryły się dwie duże, cynkowe puszkiz lodami. Wśród dzieciarni miał on zawsze powodzenie, zwłaszcza że lody były bardzo tanie.

Innym typem warszawskiej ulicy, którego mógł spotkać nasz bohater, był stojący w bramie stróż. Miał on na sobie sztywną czapkę mundurową, którą zdobiła wielka blacha z napisem rosyjskim, określająca stanowisko społeczne osobnika, cyrkuł, ulicę i numer domu. Musiał on wiedzieć, kto wchodzi do mieszkań lokatorów, kto z nich wychodzi, kogo przyjmują u siebie i co robią mieszkańcy. Swoją relację zdawał przed rewirowym lub przed komisarzem cyrkułu. Tę postać popowstaniowej Warszawy możemy do dziś oglądać na obrazach Fałata i Podkowińskiego.

Nagle zatrzyma jego uwagę kłótnia i strzał z rewolweru. To krewki rosyjski oficer strzela, na szczęście niecelnie, do Polaka, który wcześniej zajął wolną dorożkę. Nasz bohater w popłochu opuszcza miejsce zdarzenia i cisnącą się gawieź. Ten incydent wywołuje w nim niespodziewanie powstańcze echa. Przerażony

i wstrząśnięty znajdzie schronienie w kawiarni lub cukierni. Do ciastka zamówi rosyjską herbatę, którą pijano wówczas niemal wyłącznie ze znanych w całym imperium firm Perłowa, Kuzniecowa i Szumilina. Najbardziej lubiana, wzorem Rosji, była herbata zwana karawanową. Długa droga lądem nadawała jej specjalny smak. Handlem hurtowym herbaty karawanowej w Warszawie zajmowali się wówczas kupcy moskiewscy. Najpierw Istomin, który zrobił na niej niezłą fortunę i postawił dwie kamienice w Alejach Jerozolimskich, a później Szumilin. Do ciastka i herbaty mógł być papieros. Właśnie wtedy wchodziły w użycie. Dlatego w niektórych salonach, np. u Marii Ilnickiej (Marszałkowska 145) zakazywano palenia — ze względu „na jego prowadzenie od Moskali”, którzy ów nałóg u nas rozpowszechnili.

W tej cukierni możemy już zostawić naszego spacerowicza. Jego myśli pogrążyły się w powstańczych wspomnieniach. On sam nie jest też w stanie wszystkiego zobaczyć i zauważyć. Musi więc zginać w mroku dziejów, których świadectwo utrwaliło się w różnych dokumentach i źródłach. Jednym z nich są dane statystyczne, obrazujące wzrastający żywioł rosyjski w Królestwie Polskim. W 400-tysięcznej Warszawie lat 80-tych Rosjanie stanowili bez wojska 3 % ogółu ludności. Ich liczba szybko rosła, z 17 tysięcy w 1892 do 35, tj. 4,1 % w 1913 roku. Powiększał się również okupacyjny garnizon — od ok. 6 tys. w latach 80-tych do 30 tys. w latach 90-tych. Charakterystyczna była przewaga mężczyzn nad kobietami oraz większy odsetek osób w wieku produkcyjnym.

Kolonia rosyjska stanowiła raczej zamkniętą społeczność, tworzyła własne formy życia towarzyskiego. Żywność, a nawet zapalki sprowadzano z Rosji. Miejscowej mąki nie kupowano. Polskie sklepy nie cieszyły się więc specjalnym powodzeniem, z wyłączeniem jubilerskich, wyróżnianych przez rosyjskie damy, takich znanych firm jak Wapiński, Turczyński, Mankielewicz, Gołińska. Korpus oficerski garnizonu warszawskiego miał swoje kluby. Były to jedyne miejsca spotkań towarzyskich, gdyż patriotyzm polski nie dopuszczał munduru wojskowego do kontaktów prywatnych. To samo można powiedzieć o urzędnikach i nauczycielach. Jak pisał Szczepkowski, „Polacy i Rosjanie były to dwa odrębne światy nie mające w życiu prywatnym nic wspólnego. Rany otrzymane przez społeczeństwo polskie w czasie rozbiorów, w 1831 i 1863 roku były zbyt świeże, a wszelkie nadzieje na poprawę stosunków — złudne i zawodne³”.

3. J. Szczepkowski, „Warszawa w latach 1885-1904. Szkice o warszawskich sprawach i ludziach”. Archiwum m.st. Warszawy, rkps 387, str. 38-39.

Klub Ruski, „główna kwatera najezdnej hordy”, jak baronowa XYZ nazwała mieszczący się na Nowym Świecie 65 (dawny pałac Zamoyskiego) towarzyski przybytek dla Rosjan, posiadał salę tańca, kręgielnię, strzelnicę, bilard. Tam urządzano bale, wieczory, koncerty i odczyty. Tam wystawiały rosyjskie teatry amatorskie. Pragnący zostać członkiem musiał być przedstawiony przez 2 stałych członków i poddać się balotowaniu. Klub otwarty był od 10-tej rano do 2-ej po północy. We wtorek przygrywała zebrany orkiestra wojskowa. Zarząd składał się z 12 wybieralnych członków. Honorowym „starszyną” klubu był feldmarszałek hr. Berg, namiestnik Królestwa.

Innym ośrodkiem rosyjskiego życia towarzyskiego pod koniec wieku była „Aleksandrina”, duża restauracja ze scenką na pierwszym piętrze, w domu na rogu Nowego Świata i Świętokrzyskiej. Grywano tam rosyjskie spektakle, urządzano zabawy taneczne.

Dużą popularnością cieszył się Klub Myśliwski, Warszawska Izba Panów od Bakarata do Winta. Franciszek Kostrzewski nazwał go warszawskim Monte Carlo. Klub pełnił specyficzną rolę. Stanowił wyłom w ścisłym oddzieleniu obu narodowości. Miał sprzyjać kontaktom towarzyskim polskiej arystokracji z elitą administracji i wojska stacjonującego w Warszawie. Założony został w 1867 roku. Na członków przyjmowano rosyjskich dygnitarzy i utytułowanych oficerów gwardii. Jego siedzibą był najpierw gmach przy ulicy Królewskiej, a od końca lat 90-tych na Erywańskiej (obecnie Kredytowa). Jego prezesem dłuższy czas był Tomasz hr. Zamoyski. Członkostwo Klubu Myśliwskiego zapewniało niebagatelne przywileje — posiadanie broni i paszportu umożliwiającego swobodne poruszanie się po kraju, a także prawo polowania we wszystkich rządowych lasach Królestwa.

Inną okazją do kontaktowania się Polaków i Rosjan na płaszczyźnie prywatnej były wyścigi konne. I tu spotykała się polska arystokracja z rosyjskimi oficerami. Starannie przy tym dbano o pozory przyzwoitości. Kobiety z towarzystwa wdzięczyły się do oficerów, panowie odsprzedawali im przez grzeczność najlepsze konie i zabiegali o to, by ilość nagród rozdzielana była równo między Rosjan i Polaków. W tych kręgach kolaboracja przybrała więc formy pełne taktu i kurtuazji.

Dodać trzeba, że to „końskie” bratanie się Polaków z Rosjanami źle było przyjmowane przez ogół mieszkańców Warszawy. Zygmunt Wasilewski pisał, że arystokracja „to sfera obca narodowi, przebywająca chętnie w Petersburgu lub za granicą, żebrząca o mundury szambelańskie, sprzedająca majątki Rosjanom, uczęszczająca na nabożeństwa galowe w soborze prawosławnym, a pod

względem obyczajowym cynicznie rozpustna. Warszawa stroni zarówno od arystokracji, jak od Rosjan, z którymi nie utrzymuje stosunków towarzyskich⁴.

Innym sposobem przenikania do ludności polskiej było zakładanie placówek charytatywnych. Ich liczba zwiększyła się szczególnie za rządów Hurki (1883-1894). Usiłowały one uprawiać prozelityzm prawosławny wśród uboższej ludności. Efekty jednak tej akcji były mierne. Do najbardziej znanych tego typu placówek należało Rosyjskie Towarzystwo Dobroczynności założone w 1866 roku. W 1885 roku jego budżet wynosił blisko 18 tys. rubli.

Tak wyglądało życie Rosjan od święta. Ale były też dni powszednie, bez kart, flirtów, bali, teatrów. Trzeba było z powrotem wejść w oficjalną rolę państwowego urzędnika lub wrócić do koszar. Nowa armia imigrantów miała przecież do wypełnienia określone zadania polityczne. Miała wzmocnić najważniejsze instytucje Królestwa. Do służby w *Priwislinju* zachęcał carski rząd dodatkami do pensji, krótszym terminem „wysłużenia” emerytury, niewysokimi wymaganiami cenzusowymi, a przede wszystkim stosunkowo łatwiejszą możliwością zasłużenia się wzorową służbą, zrobienia kariery i pomnożenia własnego majątku przy pomocy łapówek.

Łapówka — to najważniejszy rys obyczaju rosyjskich urzędników. Była ona, jak pisał znany satyryk rosyjski Sałtykow-Szczedrin, koniecznym dopełnieniem i poprawką samowładczej konstytucji. Jej wielkość jak i forma zależne były od stanowiska i kalibru sprawy do załatwienia. Komisarz policji otrzymywał banknot — 5-10 rbs w kopercie wraz z podaniem czy prośbą. Z naczelnikiem powiatu właściciel majątku ziemskiego pozorował stosunki towarzyskie i w potrzebie przegrywał doń w karty np. 25 rubli. Kogoś wyższej rangi przekupywało się bardziej wykwintnie, np. polowaniem i wystawną kolacją z szampanem. 1500 rbs kosztowało Polaka zwolnienie ze służby w wojsku rosyjskim. Była to równowartość 15 płac rocznych stróża, 1/4 płacy rocznej prezydenta miasta, 30 wiader piwa dubeltowego. To wtedy powstało przysłowie: nie taki diabeł straszny, o ile bierze łapówki.

Tych form łapówkarstwa bardziej lub mniej jawnego było więcej. Regulowały one stosunki między okupantem i podbitą ludnością. Łapówka była paradoksalnie orężem walki w rękach obu społeczności. Z jednej strony była czymś w rodzaju instru-

4. S. Przygodny (Z. Wasilewski), „Warszawa współczesna w 12 obrazkach”, Lwów 1903, str. 73.

mentu obłaskawiania i oswajania obcego, „humanizacji” stosunków okupacyjnych, a więc sposobem społecznej samoobrony. Z drugiej strony była czymś narzuconym, służyła Rosjanom do pogłębienia demoralizacji i degradacji, ułatwiała wrośnięcie w rzeczywistość nowego systemu. Sto lat później Tadeusz Konwicki pisał w „Małej Apokalipsie” o tej samej roli łapówek w życiu społecznym: „Ta wielka epidemia łapówek uratowała system. Bakszysze i kubany zhumanizowały nieludzki ustrój. Od najwyższego sekretarza do nocnego stróża wszyscy biorą w łapę i wszyscy kradną. Płyniemy po bezkresnym oceanie usankcjonowanego zło-dziejstwa⁵”.

Innym sposobem demoralizacji było podsycanie nastrojów antysemickich. Inspirowane przez państwo po śmierci cara Aleksandra II żydowskie pogromy nie ominęły również Królestwa Polskiego. Na Boże Narodzenie 1881 roku doszło w Warszawie do zamieszek, którym biernie przyglądała się policja. Generał-gubernator Albertyński odmówił pozwolenia na zorganizowanie wśród Polaków gwardii cywilnej, która przywróciłaby porządek. Dopiero po dwóch dniach zamieszek władze carskie zdecydowały się na interwencję. Bilans tych wypadków był tragiczny. Konsul francuski w swoim raporcie donosił o 2001 poszkodowanych rodzin żydowskich, z tego 948 kompletnie zrujnowanych. Szkody obliczono na 1 milion 200 tys. rubli. Największe zniszczenia poczyniono w dzielnicach, w których mieszkała mieszana ludność chrześcijańska i żydowska; rabusie omijali dzielnice zamieszkałe tylko przez Żydów, lękając się oporu. Aresztowano 2601 osób, wśród nich wielu znanych policji przestępców.

Antyżydowskie wystąpienia wstrząsnęły Warszawą, budziły odrazę. Trudno jednak ukryć fakt, że wiele osób dało się sprowokować i uczestniczyło w pogromach. To bolesne wydarzenie położyło się więc ponurym cieniem na dotychczasowe dobre współżycie Polaków i Żydów, cieszących się w Królestwie Polskim równouprawnieniem od 1863 roku. Stanowili oni wówczas 40 % ogółu ludności miejskiej Kongresówki. Wiele uwagi temu środowisku i jego asymilacji poświęciła literatura pozytywistyczna (Orzeszkowa, Gawalewicz, Kraszewski).

System biurokracji — sądy, szkoły, urzędy — był czymś w rodzaju cywilnej forpocztą narodowego ucisku; kiedy ustały walki zbrojne, stanowił pierwszą linię frontu russyfikacyjnego. „Nie wymaga się od nich niczego — pisał Józef Piłsudski o rosyjskiej biurokracji na łamach *Robotnika* w 1895 roku w artykule

5. T. Konwicki, „Mała apokalipsa”, Warszawa 1979, str. 44.

„Rusyfikacja” — sędzia nie potrzebuje znać prawa, inżynier — mechaniki, nauczyciel pedagogii; dosyć być Rosjaninem, by wszystko, do kas publicznych włącznie, stało dla niego otworem. Synowie więc burżuazji, szlachty i popów, zadowoleni konserwatyści i niezadowoleni liberałowie szli ochoczo na lep rządu i tworzyli bandy zbójckie, zwane urzędnictwem⁶”.

Narzucanie obcych wzorów odbywało się już w momencie zetknięcia z urzędem, którego styl pracy był bardzo „narodowy”. Zamiast uprzejmości i kompetencji spotykał się tam Polak z butą, arogancją i brutalnością, zwłaszcza wobec ludzi słabszych i zależnych. Petentów traktowano na ogół z góry, lekceważąco, szykanowano ich na każdym kroku. Dawało im się poznać zależność od władzy. Sądowy czynownik uważał siebie za misjonarza interesów własnej ojczyzny w stosunku do krnąbrnych buntowników. Albo też traktował swoją posadę jako szczebel do kariery lub sposobność do wzbogacenia się. Dlatego też ludność uważała sądy za wydział policji cywilnej, nie zaś za przybytek Temidy, gdzie drobiazgowo i sprawiedliwie waży się postęпки i uczynki. Sądy były narzędziem policyjnej represji. Rosyjscy sędziowie mieli też nie najlepszą opinię moralną. Aleksander Kraushar pisał: „Miała ta ludność przed sobą jednostki znieprawione, czynowniczę, trawiące noce w spelunkach takich jak Château de Fleurs, przewracające się po pijanemu na trotuarach i wywołujące awantury uliczne⁷”.

W tym łańcuchu cywilnej przemocy jednym z najważniejszych ogniw była cenzura. Ona tworzyła w prasie i literaturze fikcyjną rzeczywistość, przykrawała ją do pożądanych przez okupanta treści i kształtów. Obowiązkowi cenzurowania poddano wszystkie materiały przeznaczone do druku i do litografowania. Zwolnione były z niego tylko bilety zapraszające na wesela i bale, bilety wizytowe, etykiety, rachunki, papiery do pakowania towarów, cenniki wolne od reklam, ogłoszenia o sprzedaży rzeczy i o zamianie mieszkania.

Innym ważnym ogniwem cywilnej przemocy było szkolnictwo, utożsamiane z nazwiskiem *popieczitiela warszawskowo uczebnowo okruga*, Aleksandrem Lwowiczem Apuchtinem, wyjątkowo srogim rusyfikatorem, bohaterem wielu anegdot i satyr. Np. krakowski *Diabeł* donosił o okólniku Apuchtina, rozesłanym do wszystkich szkół, zabraniającym wychowankom zakładów naukowych myśleć po polsku...

6. J. Piłsudski, „Rusyfikacja” w: tegoż, „Pisma”, t. 1, Warszawa 1937, str. 97.

7. A. Kraushar, „Czasy sądownictwa rosyjskiego w Warszawie 1876-1915. Kartka z pamiętnika starego mecenasa”, Warszawa 1916, str. 24-26.

Jak pisze Cywiński, „... gimnazjum było rzeczywiście dobrze pomyślanym i sprawnym narzędziem politycznego opanowywania młodzieży (...). Chodziło o wychowanie i wykształcenie człowieka o takim typie kwalifikacji umysłowych, który, posiadając wiedzę konieczną do pełnienia swych funkcji zawodowych, nie stwarzałby poprzez nieodpowiedzialny nawyk swobodnego myślenia kłopotów politycznych. Człowiek ten winien mieć gruntownie wszczepiony szacunek i lęk wobec władzy i (...) czuć się w pełni zintegrowanym politycznie, kulturalnie, obyczajowo z narodem rosyjskim i państwem carów⁸”.

Fala pedagogów z głębi imperium carskiego przeprowadzała więc np. żmudną pracę właściwego ułożenia literackich hierarchii. Nie bez powodu w ich oczach największym polskim poetą był Brodziński, a nie Mickiewicz. Zresztą ludzie ci niewiele mieli wspólnego z pedagogiką. Bardziej uprawiali w brutalnej formie politykę *obruszenia* — ogłupiania i deprawowania młodzieży. Bardzo szeroko rozbudowany był system szpiegowania uczniów. Najczęściej stosowano kary za używanie języka polskiego, czytanie zakazanych książek, nieuczęszczanie na występy trupy rosyjskiej. Szkolne księgozbiory były pod ścisłą kuratelą rządową. Odpowiedni przepis zabraniał uczniom posiadania jakichkolwiek książek niedozwolonych przez „władzę gimnazjalną”. W 1887 roku ukazał się okólnik zabraniający uczniom korzystania z bibliotek. Oto jego treść: „Wskutek przedstawienia kuratora okręgu naukowego warszawskiego Jego Ekscelencja Naczelnik Kraju, generał adjutant J. W. Hurko poleca zawiadomić wszystkich właścicieli i zarządzających wszelkiego rodzaju czytelniami, że na przyszłość nie wolno jest im wypożyczyć książek uczniom rządowych zakładów naukowych⁹”.

Byron, Szekspir, Hugo, Dante, Goethe i inni byli dostępni wyłącznie w tłumaczeniach rosyjskich. Do obowiązków ucznia należało uczęszczanie do kaplic i cerkwi prawosławnych na tzw. galówki dworskie. Szkoła musiała uroczyście obchodzić wszystkie święta prawosławne, dworskie i patriotyczne. Książeczki do nabożeństwa (pozwolono uczniom obchodzić święta katolickie) musiały zawierać modlitwę za cesarza, a kalendarze drukowały po rosyjsku wszystkie święta prawosławnego Kościoła.

Apuchtin za swoją pracę zebrał od cara i jego urzędników wiele pochwał i orderów. Odznaczyła go również młodzież warszawska. Na wybitym przez nich medalu z jednej strony widnieje wizerunek kuratora, z drugiej zaś napis: *Wiecznaja anatie-*

8. B. Cywiński, *op. cit.*, str. 21.

9. *Ibidem*, str. 25

ma jego imieni, wiecznyj pozor jego postydnoj diejatelności w Carstwie Polskom. Medal ten rozestany został podobno do placówek naukowych w całej Europie.

Już dawno ustały działania wojenne, ale obecność wojsk rosyjskich w Warszawie była widoczna na każdym kroku. Cała stolica upstrzona była koszarami i barakami wojskowymi. Znajdowały się one w wielu punktach, między innymi w Cytadeli, na Czerniakowskiej, na Placu Żelaznej Bramy, na Zakroczymskiej, Konwiktorskiej, Marszałkowskiej, w Łazienkach. Były to na ogół niskie, parterowe budynki z czerwonej cegły w stylu koszarowo-wschodnim, bogato upiękkszzone „figlikami” z surowej cegły, malowane gdzie można na niebiesko i żółto. Jan Bugajski notuje, że „robiły wrażenie czegoś obcego i barbarzyńskiego na terenie miasta”. Na Placu Krasińskich przed soborem odbywały się przeglądy wojsk garnizonu rosyjskiego dokonywane przez moskiewskich generał-gubernatorów.

Stacjonowanie wojsk rosyjskich pociągało za sobą — mimo dyscypliny i reżimu — rozboje i napady. Wojskowi tłumnie odwieżdżali karczmy, oberże, podejrzane spelunki. Gry hazardowe i głośne awantury były ich ulubionymi rozrywkami. Prowadzili wystawny tryb życia, przekraczający nawet możliwości szerokiej duszy rosyjskiej. Baronowa XYZ pisała w swoich listach, że Rosjanie żyli po uszy w długach. Do ich zaciągania przyczyniały się również kolacyjki w gronie wesołych cór Koryntu.

Pogląd na temat morale wojsk rosyjskich wyrobić sobie można na podstawie analizy kar. Otóż największa ich liczba dotyczy kradzieży i pijaństwa. Na stu karanych 67 podlega karze za złodziejstwo; tyle samo za pijaństwo. Bardzo rzadkie natomiast są kary za nieposłuszeństwo lub dezercję.

Ten kto chce poznać codzienność rosyjskiego oficera w Warszawie może sięgnąć do „Urody życia” Stefana Żeromskiego. Jednym z bohaterów tej powieści jest Piotr Rozłucki, Rosjanin polskiego pochodzenia, młody podporucznik na służbie w stolicy. Oto czym żył. Rano musztra, czynności zawodowe w koszarach i przy baterii. Później obiad i drzemka. Po południu miasto stoi otworem. Cukiernia, spacer. Co kilka dni tzw. *popojka*, czyli wielkie picie wódki, po czym śpiewy, nieprzystojne zabawy z pćią przeciwną, czasem jakaś eskapada do restauracji, zakończone tłuczeniem butelek. Kiedy indziej urzędowa wizyta, imieniny, albo dzień recepcji u kogoś z wielkich urzędników miasta.

Do ulubionych rozrywek należało też oglądanie występów teatru wędrownego z kolekcją wesołych dziewcząt, ogromnie łaśnych na rosyjskie pensje, lubiących ubierać się i rozbierać, brać udział w głośnych popijawach. Bardziej wysublimowaną formą

zaspokajania zmysłowego głodu był balet. Baletnice — czego nie kryto — utrzymywano dla celów prostytucyjnych dworu.

Dla żołnierzy istniały podrzędne domy publiczne z taksą 30-kopiejkową. Na Starym Mieście (Rycerska, Piwna), Mariensztacie, Powiślu i podmiejskie za Powązkami na Woli. Najliczniejsza klientela była w dni galowe, święta rosyjskie i podczas dni łaźni żołnierskich. Średnio na jedną kobietę przypadało po 30 żołnierzy w ciągu doby. Burdel był urządzeniem typowo kozarsowym, nie było tam oddzielnych pokoi, tylko przegródki z desek jak w stajni. W środku korytarz dla oczekujących swej kolejki. Wejście płatne u drzwi, których pilnowała gospodyni.

Atmosfera domów rozpusty usposabiała do bójek, które nie rzadko kończyły się śmiercią. Policja starała się za wszelką cenę to ukrywać. Zdarzały się zabójstwa dziewcząt przez porywczych klientów. W domu publicznym na Podwaniu rosyjski oficer zginął z rąk prostytutki, którą bez przyczyny uderzył. Dziewczyna roztrzaskała mu czaszkę nocnym naczyniem. Rozpijanemu niemiłosiernie prostytutki, którym nie wolno było odmówić gościowi picia z nim.

Na terenie Warszawy znajdowały się też specjalne miejsca rozrywki, nazywane bardziej eufemistycznie. Wiosną robiono np. wycieczki za most Kierbedzia, do ogródków z miodem. Najbardziej znane były ogródki Prokulskiej. Bywali tam przeważnie rosyjscy wojskowi, więc zakład był raczej omijany przez Polaków. Powód wyjaśnia ówczesna piosenka:

*Nie będzie mnie mama biła
Żem sto złotych zarobiła —
U Prokulskiej pod schodami
Zarobiłam... z ułanami!*¹⁰

Niechciana, ale konieczna polsko-rosyjska koegzystencja w popowstaniowej Warszawie była wyjątkowym paradoksem. Mamy przecież do czynienia z dwiema odmiennymi i zantagonizowanymi społecznościami, podzielonymi nie tylko sprzecznością interesów politycznych, ale też czującymi kulturową, cywilizacyjną i religijną odrębność. Bezstronny pisał, że to współistnienie przypominało przymusowe obcowanie królika z szakalem albo jelenia z tygrysem. I dodawał: „To tak jakby orła zanurzyć w wodzie i kazać mu żyć razem z rekinami¹¹”.

10. F. Galiński, „Gawędy o Warszawie”, Warszawa 1937, str. 137.

11. (S. Buszczyński) S. Bezstronny, „Okrucieństwa Moskali. Chronologiczny rys prześladowania potomków Słowian przez carów i moskiewski naród od dawnych wieków aż po dni dzisiejsze”, Lwów 1890.

Niełatwo jest przeprowadzić wyraźną granicę tego, co polskie, i tego, co rosyjskie. Niektóre fakty są dwuznaczne. Czy można nazwać np. polską obyczajowością picie herbaty ze szklanki? Trudno tę granicę określić tym bardziej, że oddziaływanie obyczaju i kultury przebiegało w obie strony. Narzucane wzory musiały coraz silniej i głębiej odciskać się na życiu codziennym Polaków, przede wszystkim w sferze społecznej i osobistej demoralizacji, ale przecież — z drugiej strony — znane są przypadki polonizacji Rosjan. Najbardziej zniechęcony przez swoich był właśnie Rosjanin „spolaczony”. W kołach rosyjskich uchodził za takiego prezydent Starynkiewicz, dlatego na Zamku i w Klubie Ruskim patrzono nań krzywo. Za „spolaczonego” uchodził również dyrektor Warszawskich Teatrów Rządowych, Muchanow, zarządzający dla całego personelu teatralnego katolickie święcone z okazji Wielkanocy. O istniejącym nurcie polonizacyjnym świadczy również statystyka małżeństw mieszanych w latach 1902-1911. Otóż zawarto w tym czasie 1936 małżeństw prawosławnych mężczyzn z katoliczkami i tylko 109 katolików z prawosławnymi kobietami.

Tu i ówdzie można też znaleźć wzmianki o kompleksie niższości wobec podbitej ludności. Mówi coś o tym np. poufny memoriał generał-gubernatora Imertyńskiego z 12 stycznia 1898 roku: „Obecny personel tutejszych rosyjskich urzędników administracji pozostawia wiele do życzenia pod względem poziomu wykształcenia, cech moralnych, taktu, sumienności w wykonywaniu obowiązków służbowych. Przede wszystkim należałoby z nieubłaganą ścisłością wymagać od osób chcących służyć w administracji tego kraju jak najwyższych kwalifikacji co do wykształcenia¹²”.

Narzucona koegzystencja rodziła opór i niechęć. Przybierały one różne, często utajone, formy. Przejawiały się już w postawie psychicznej, np. poprzez pogardę dla okupanta, maskowaną nienawiścią, poczucie odrębności. Wasilewski pisze np., że Warszawa czuła swoją wyższość nad kulturą rosyjską jak żadne inne słowiańskie miasto. Wszystkie przeróbki, innowacje i zmiany jeszcze bardziej przywiązywały rodaka do swego miasta. Z niesmakiem patrzył na przerobiony pałac Staszica, na sobór na Placu Saskim i jego wysoką dzwonnice, którą z przekąsem ochrzcił „wieżą ciśnień prawosławia”. Demonstracyjnie nie rozróżniał stopni na

12. Najpoddanniejszy memoriał do Jego Cesarskiej mości podpisał warszawski generał-gubernator książę Imertyński 12 stycznia 1898 roku; w: „Tajne dokumenty rządu rosyjskiego w sprawie polskiej”, Londyn 1898, str. 37.

mundurach wojskowych. Bojkotował rosyjskie nazwy ulic i placów.

Kpina, ironia i żart należały więc do obronnego arsenału. Pozwalały przynajmniej na moment oderwać się od ciśnienia ponurej rzeczywistości, umożliwiały psychiczny dystans, a tym samym jakąś formę niezależności. Słowniczek obcych wyrażeni dla użytku obywateli Królestwa Polskiego Antoniego Orłowskiego i Władysława Buchnera podaje zestaw takich językowych żartów, dokumentujących niepodległość ducha. Oto kilka przykładów: „*ad acta* — ulgi dla Królestwa; *bagnet* — instrument konstytucyjny; *balon* — komisarz cyrkułowy podczas stanu wojennego; *cyrkuł* — Duma w Warszawie; *cywilizacja* — słowo wyjęte w Rosji z obiegu; *facecja* — prawo o swobodzie osobistej; *flanca* — przeniesienie wachmistrza ze Syzrania na nauczyciela religii katolickiej szkoły miejskiej w Królestwie; *iluzja* — zniesienie stanu wojennego; *konstytucja* — złamanie kilku żeber, urwanie ręki i nogi, pięć kul w głowie lub brzuchu; *vis major* — żandarmśka pięść wielkości dyni”.

W tej samej książce możemy znaleźć inne anegdoty i dowcipy.

„— Podobno na pocztach w Królestwie mają wprowadzić polski język?

— A tak, do nalepiania marek”.



„— Co wy robicie, jak wam jedno pismo zawieszają?

— Kładziemy się od śmiechu na podłogę, potem wstajemy i otwieramy inne”.



„— Proszę pana, jak tu się dostać do więzienia dla politycznych?

— O, kichnij pan tu na rogu ze trzy razy z rzędu, a natychmiast pana tam zaprowadzą¹³”.

Istniały również bardziej uchwytnie i wyraźne formy oporu cywilnego, towarzyski ostracyzm i spontaniczny lub zorganizowany bojkot. Przykazania narodowe dla Polaków pod panowaniem rosyjskim, anonimowy zbiór zaleceń i pouczeń, przewidywał między innymi prowokacyjne posługiwanie się językiem ojczystym w urzędach, zabraniał dzieciom używania języka rosyjskiego w szkołach, śpiewania rosyjskich pieśni. Zalecał unikanie tych, którzy przyjaźnili się z rosyjskimi urzędnikami czy żandarmami, wy-

13. (A. Orłowski, W. Buchner) Krogulec i Ner. Buch, „Roku pierwszego konstytucji. Satyra”, Kraków 1907, str. 10, 62, 107-111.

kpiwanie ich i wyszydzanie. Nakazywał kupowanie tylko w polskich sklepach, składanie zamówień u polskich rzemieślników, wystrzeganie się alkoholu, papierosów i karciarstwa.

Widać z tych przykazań, że program bojkotu obejmował nie tylko zadania publiczne, ale i sferę życia prywatnego. Próbowano one położyć tamę nowemu zjawisku, które można nazwać rusyfikacją przez demoralizację, przez rozpowszechnianie pijaństwa, donosicielstwa, łapówkarstwa, niekompetencji, antysemityzmu itd. Bojkot demoralizujących sytuacji był nie mniej ważny od bojkotu środowiskowego, który przybierał różne formy. Starannie np. rozdzielano stosunki służbowe od kontaktów na płaszczyźnie prywatnej. Społeczny ostracyzm sprawił, że Polak w miejscach publicznych nie mógł bezkarnie wziąć do ręki rosyjskiej gazety, nie odważył się w dzień wejść do cerkwi. Patriotyczny nakaz upominał, by podczas galówek nie chodzić do teatru na operę lub przynajmniej spóźnić się i nie śpiewać rosyjskiego hymnu. Nie dopuszczał munduru wojskowego do towarzyskich stosunków.

Nigdy dotąd Polacy jako naród nie byli zmuszeni przystąpić do walki z przemocą mając za oręż jedynie wartości. Jednocześnie stały się one przedmiotem codziennego zmagania między podbitą ludnością a najeżdżcą. Na tym polega wyjątkowość i nietypowość społecznej sytuacji. Przemoc cywilna, nacisk obcej obyczajowości, demoralizacja zmuszały do reinterpretacji norm moralnych. Takie wartości jak posłuszeństwo, zdyscyplinowanie, pracowitość, lojalność, realizm, rozsądek stały się czymś dwuznacznym. Posłuszeństwo i lojalność przechodziły w kolaborację, realizm i rozsądek graniczyły ze znikczemnieniem, przed którym ostrzegał i które piętnował w swoim głośnym artykule z 1905 roku Stanisław Witkiewicz, pracowitość oznaczała często wysługiwanie się obcemu i wzmacnianie jego interesu. Podważanie jednoznaczności norm współżycia, ekspansja i kreacja zła miały wyręczyć w skutkach siłę i terror zbrojny. Dlatego tak ważne były wszelkie przejawy czynnego i biernego oporu.

Niełatwo odpowiedzieć na pytanie, jaki był z jednej strony faktyczny zasięg i skuteczność rusyfikacji, a z drugiej woli oporu i nieulegania obcym wzorom. Bywało i tak, że obie postawy były właściwe jednej biografii. Pisze o tym np. w swoich wspomnieniach Ferdynand Hoesick. W młodości zachwycał się rewią rosyjskiego wojska na Polu Mokotowskim, potrafił płakać na wieść o udanym zamachu na cara Aleksandra II. Później czuł wzrastającą niechęć, „instynktowną odrazę” do wszystkiego, co przypominało wschodniego sąsiada.

Wkraczamy tu na teren spraw skomplikowanych i trudno weryfikowalnych. Odpowiedzi na pytanie o zasięg rusyfikacji nie

zastąpi patriotyczny frazes ani podręcznikowy slogan. Jest ona tym trudniejsza, że problem dotyczy określenia stopnia ingerencji rzeczywistości politycznej w prywatne, indywidualne biografie. Dotyczy całej sfery postaw mentalnych, przejawów świadomości społecznej manifestującej się na różne sposoby. Pewne są tylko trzy rzeczy: społeczeństwo było przeciw najeźdźcy, trawiło je przekonanie o niemożności przeciwdziałania złu, nie mogło wreszcie manifestować swobodnie swych poglądów i swego stosunku do rzeczywistości.

Sytuację komplikuje dodatkowo złożoność ideologiczna i intelektualna okresu naszych dziejów zamkniętych datami 1863-1905. Są to właściwie dwie epoki albo dwa oblicza tego samego czasu. Z jednej strony jest to okres dominacji ideologii pozytywizmu, pozornie kapitulantkiej i minimalistycznej, w rezultacie jednak prowadzącej do wzrostu nastrojów radykalnych. Z drugiej — szczególnie pod koniec wieku daje się zauważyć odchodzenie od pozytywistycznych ideałów. Zaczyna dominować ideologia radykalno-inteligencka, której powstanie i rozwój pokazał Bohdan Cywiński w „Rodowodach niepokornych”.

Stopień rusyfikacji i obojętności musiał być jednak duży w społeczeństwie polskim u schyłku wieku, jeśli publicystyka polityczna wiele uwagi poświęcała przestrogom i mobilizacji narodu. Edward Abramowski pisał o podzielonej świadomości: „Mówi się o barbarzyństwie państwa rosyjskiego, o krzywdach ludzkich, jakie z niewoli wynikają, a jednocześnie zachowujemy się tak, jak gdyby ta niewola i to państwo rosyjskie były przez nas szanowane i dla nas potrzebne. Nie wyrządzamy mu żadnej szkody; zgadzamy się milcząco na wszystkie jego rozporządzenia; uczymy się w jego szkołach; chodzimy do jego sądów; pomagamy jego policji; płacimy wszystko czego od nas żądają; idziemy do wojska przelewać za jego sprawę krew swoją. Między naszymi przekonaniem a naszym życiem nie ma zgodności. Nienawidzimy niewoli moskiewskiej, a żyjemy dobrowolnie jako niewolnicy¹⁴”.

14. E. Abramowski, „Zmowa powszechna przeciw rządowi”, w: tegoż, „Pisma”, tom 1, Warszawa 1924, str. 330.

Por. także:

A. Zaleski, „TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE. Listy do przyjaciółki przez Baronową XYZ”, Warszawa 1971.

„Warszawa XIX wieku, studia warszawskie”, Warszawa 1974.

A. Sidorow, „Russkije i russkaja żizn w Warszawie (1815-1895)”, Warszawa 1895.

(Bem A. G.), T. Raclawicki, „Z pod zaboru rosyjskiego”, Poznań 1892.

S. Koszutski, „Co nam Rosja dała i co nam wzięła?”, Warszawa 1917.

S. Kutrzeba, „Przeciwieństwa i źródła polskiej i rosyjskiej kultury”, Lwów 1916.

Podtrzymanie ducha oporu oraz narodowej świadomości w niewątpliwy sposób przyczyniło się do wskrzeszenia niepodległego państwa polskiego. Było ono również efektem zmywy przeciwko ciemniędzy, do której agitował Abramowski w cytowanym artykule, bojkotu jego instytucji, praw i zwyczajów. Ale z drugiej strony młode państwo zostało obciążone również negatywnym dziedzictwem czasu niewoli: nietolerancją, antysemityzmem, ubytkami w sferze kultury politycznej.

Już teraz można więc powiedzieć, że epoka Gierymskiego, Prusa i Świętochowskiego była w pewnym znaczeniu, niestety negatywnym, przełomowa w dziejach Polski. Były to czasy stanowiące pomost między społeczeństwem otwartym, tolerancyjnym, kulturotwórczym, o żywotnej ekspansji cywilizacyjnej, a społeczeństwem zdegradowanym, sięgającym czasów współczesności. Był to okres, w którym nastąpił najważniejszy etap ewolucji od społeczeństwa wolnego i otwartego do spetryfikowanego organizmu, pozbawionego swej tożsamości, rozdartego między wolą podtrzymania oporu i świadomości narodowych celów, a grzęźnięciem w powolną, często niezauważalną degenerację i autoniewolę. A popadamy w nią wtedy, gdy ktoś obcy staje się użytkownikiem naszego bezwładu, obojętności i niemoralności.

Agata TUSZYŃSKA

Grudzień 1986

Kalendarze UNGRA z lat 70-tych.

I. Baliński, „Wspomnienia o Warszawie”, Edynburg 1946.

A. Kraushar, „Warszawa historyczna i dzisiejsza. Zarysy kulturalno-obyczajowe”, Lwów 1925.

ORION (M. Offmański), „Charakterystyka rządów Aleksandra II na ziemiach polskich (1881-1894)”, Lwów 1895.

Emanuel HALICZ

KRAJE SKANDYNAWSKIE WOBEC POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Mimo, że literatura na temat powstania 1863 roku jest bardzo bogata, nie wszystkie problemy zostały dotąd podjęte. Jednym z nich jest stosunek społeczeństw i rządów skandynawskich do polskiej walki narodowo-wyzwoleńczej. Na ten temat w literaturze duńskiej wymienić można tylko jeden artykuł pióra A. Olsena, w literaturze fińskiej brak jakichkolwiek opracowań, w norweskiej jest tylko zbiór dokumentów o stosunku społeczeństwa do polskiego powstania, wydany w 1937 roku przez R. Hammering Banga, a w literaturze szwedzkiej w czasie powstania 1863 roku ukazało się wprawdzie kilka prac pisanych na gorąco, ale potem sprawy te traktowano marginesowo, a jedyna większa praca pióra L. Posten ogranicza się do dziejów polskiej emigracji w Szwecji w latach 1862-1863 (Lund 1975). Ta sama autorka opracowała też artykuł o stosunku Norwegów do sprawy polskiej w roku 1863, zamieszczony w *Komunikatach Instytutu Bałtyckiego* w 1979 roku.

Temat jest istotny z wielu powodów i wagę sprawy doceniali współcześni. Na ścisły związek między wydarzeniami nad Wisłą i Eider zwracał uwagę znany polski publicysta J. Klaczko w swych artykułach zamieszczanych w 1864 roku na łamach *Revue des Deux Mondes*, problem ten dostrzegał R. Traugutt, a od strony skandynawskiej zwolennicy skandynawizmu, zwłaszcza w Szwecji i Danii. Oni też przykładali wielką wagę do walki Polaków z Rosją, widząc w niej ważny element w walce z hegemonizmem rosyjskim nad Bałtykiem, a wznowienie rzeczywistej równowagi w Europie widzieli w pierwszym rządzie w odbudowaniu Polski.

Król szwedzki Oskar I na kilka lat przed wybuchem polskiego powstania twierdził, że wyzwolenie Polski bez wątpienia kosztować będzie wiele krwi, ale jest niezbędne z punktu widzenia politycznego i demokratycznego rozwoju krajów Północy. Odbudowana Polska będzie najwierniejszym sojusznikiem Skandynawii i wspólnie z nią stanowić będzie zaporę przeciwko imperialnej Rosji.

U podstaw małego zainteresowania tym problemem przez historyków leżą różne przyczyny. Jedną z nich, bardzo istotną, jest nieprzewidywana dotąd tendencja do izolowanego traktowania dziejów XIX-wiecznej Skandynawii (zwłaszcza przez historiografię skandynawską) oraz niedocenywanie roli małych państw w całokształcie dziejów Europy. Dla historyków polskich zaś ważny był stosunek wielkich mocarstw do sprawy polskiej; inne sprawy z zakresu zagadnień międzynarodowych traktowane były i są po macoszemu.

Problem stosunku krajów skandynawskich do polskiego powstania był integralnie związany z polityką państw skandynawskich po wojnie krymskiej. Zarysowujące się w ostatnim okresie wojny krymskiej różnice w orientacjach politycznych między dwoma zaprzyjaźnionymi państwami skandynawskimi pogłębiły się po wojnie. Odmienny punkt widzenia na podstawowe problemy europejskie wynikał zarówno z odmiennych doświadczeń historycznych Szwecji i Danii, jak z ich sytuacji geopolitycznej. Mam na myśli zarówno stosunek do Rosji jak i do Prus. Tradycyjnie Szwecja miała do Rosji stosunek wrogi, co było rezultatem jej historycznych doświadczeń i wniosków, jakie wyciągnęła z walki o *dominium Mare Baltici*, pogłębionych w związku z oderwaniem od Szwecji Finlandii i stale niezaspokojonych apetytów rosyjskich. Natomiast Dania miała nie bez powodu opinię kraju prorosyjskiego i nawet gdy w okresie wojny krymskiej znalazła się między młotem a kowadłem, nie dokonała żadnego zasadniczego kroku, aby nie zrażać Rosji.

Danię łączyły z Rosją interesy polityczne i więzy dynastyczne; przez długie lata Rosja była uważana za protektora interesów duńskich. Wydarzenia 1848/1849 roku i stosunek Rosji do konfliktu o Szlezwik-Holsztyn opinie te jeszcze raz potwierdziły. Po klęsce Rosji w wojnie krymskiej polityka rosyjska i na odcinku stosunków z Danią uległa istotnej zmianie, co było spowodowane z jednej strony zbliżeniem rosyjsko-pruskim, z drugiej zaś niezadowolaniem Rosji z powodu przekształcenia się Danii w państwo konstytucyjne, rządzone przez ugrupowanie narodoowo-liberalne. Wreszcie z powodu szerzących się w Danii — podobnie jak w Szwecji — idei politycznego skandynawizmu. Antyskandynawizm i obawa, aby duńskie cieśniny i wejście do Bałtyku nie znalazły się pod panowaniem jednego skandynawskiego władcy łączyły Rosję i Prusy. Prócz tego Rosja była wdzięczna

Prusom za ich postawę w czasie wojny krymskiej. Widzieli w nich najbardziej konserwatywne siły zdolne do rozprawienia się z ruchem liberalnym w Niemczech. Wszystkie te czynniki oraz chęć ukarania Austrii za zdradziecką i haniebną — jak oceniano w Rosji — postawę Wiednia w czasie ostatniej (tj. krymskiej) wojny spowodowały, że Prusy na terenie Niemiec stały się najbliższym sojusznikiem Rosji, a następstwem tego było pełne odejście gabinetu w St. Petersburgu od stanowiska zajętego przez Rosję w Ołomuńcu. Gabinet kopenhaski nie wyciągnął z tej zasadniczej zmiany wniosków i wbrew faktom nie przestawał nadal traktować Rosji jako gwaranta postanowień londyńskich z 1852 roku. Chociaż stosunki między Szwecją a Danią były bardzo przyjazne, chociaż Szwecja w pełni popierała politykę Danii w sprawie księstw i hołdowała idei, że granica na Eider jest granicą wszystkich państw skandynawskich, to w praktyce musiały istnieć między Sztokholmem a Kopenhagą różnice. Dotyczyły one też poglądów na sprawę realizacji idei skandynawizmu (jaki ma być kształt polityczny ewentualnej unii państw skandynawskich i jakie miały być w perspektywie stosunki i stopień zależności oraz formy współpracy między nimi).

Jeśli chodzi o stosunek Szwecji do polskiego powstania, to na propolską postawę wpłynęły różne czynniki. Jeśli chodzi o społeczeństwo, to w pierwszym rzędzie wymienić należy czynniki humanitarne, jeśli zaś chodzi o rząd, to głównie — jeśli nie wyłącznie — powody polityczne. Rząd kontynuował politykę zainicjowaną w czasie wojny krymskiej, zwłaszcza zaś po zawarciu z Anglią i Francją traktatu w listopadzie 1855, którego to postanowienia — choć niezrealizowane — nie straciły na aktualności. Wysunięcie się na czoło Europy Francji Napoleona III i jego zasady narodowościowej, jak i jej implikacje (zwłaszcza włoskie i węgierskie, a potem i polskie), nacjonalistyczne obchody w Rosji w związku z rocznicą zwycięstwa nad Połtawą, wrogie stanowisko Rosji wobec idei skandynawizmu oraz, co istotniejsze dla Szwecji, sprawa rewindykacji Finlandii, którą łączyły ze Szwecją kilkusetletnie dzieje — oto podłoże polityczne nastrojów propolskich. Z momentem wybuchu powstania do tych czynników dołączyły się względy humanitarne: społeczeństwo szwedzkie było zaszokowane barbarzyńską rozprawą wojsk rosyjskich z powstańcami i bezbronną ludnością cywilną na obszarach objętych powstaniem.

Powstanie, rozpatrywane początkowo jako wewnętrzna sprawa Rosji, z momentem zawarcia konwencji Alvenslebena poczęto rozpatrywać w Sztokholmie, podobnie zresztą jak w innych krajach europejskich, jako zagadnienie mające kapitalne znaczenie dla rozwoju polityki europejskiej. Pogłoski o mającej nastąpić interwencji państw europejskich dotarły do Szwecji i padły na podatny grunt. Jeśli przeważająca część opinii publicznej manifestowała propolskie stanowisko, a niekiedy gotowość do aktyw-

nego zaangażowania się w akcje antyrosyjskie i znajdowała poparcie w osobie króla Karola XV, to stanowisko rządu, a przede wszystkim ministra Spraw Zagranicznych, było od początku wstrzemięźliwe. Zaniepokojony był rozmachem manifestacji propolskich w całej Szwecji, ich charakterem wychodzącym daleko poza ramy pomocy humanitarnej, udziałem w nich polityków, intelektualistów i ludzi różnych stanów i traktował je jako zjawiska nieprzyjemne, a nawet niebezpieczne dla kraju. Manderström zręcznie lawirował między naciskiem szerokiej opinii publicznej, żądaniami państw zachodnich i kursem ryzykownym, który mógłby stać się wyzwaniem w stosunku do Rosji. Stąd też liczne wypowiedzi ministra zmierzające do uspokojenia rządu rosyjskiego, bardzo wrażliwego na wszelkie manifestacje na rzecz Polski oraz jego zapewnienia, że wszelkie wypowiedzi w czasopiśmie zachodnich o niechybnym zerwaniu stosunków między Szwecją a Rosją są nieprawdziwe i że rząd szwedzki nie życzy sobie pogorszenia stosunków z petersburskim gabinetem. Minister chciałby tylko, aby sprawa polska nie wyszła poza interwencję dyplomatyczną i ogólną o charakterze humanitarnym. W tym duchu stale instruował posła szwedzkiego w St. Petersburgu, Wedel-Jarlsberga. W depeszy z 2 marca 1863 np. dowodził, że propolskie manifestacje w Sztokholmie i innych miastach Szwecji są rządowi niemiłe i że żywi on niezłomną wiarę w najlepsze intencje cara, który mimo wybuchu powstania nadal postępować będzie szlachetnie i w sposób światły w stosunku do Królestwa Polskiego i nie zboczy z linii postępowania zainaugurowanej po wstąpieniu na tron. W rozmowie z ambasadorem rosyjskim Manderström usprawiedliwiał się, że on (ambasador) jako przebywający przez tyle lat w Sztokholmie powinien doskonale wiedzieć, że rząd nie jest w stanie dokonać akcji prewencyjnej przeciw manifestacjom. Podobną deklarację złożył przed Aleksandrem II poseł szwedzki Wedel-Jarlsberg. Ostrożność — oto główna dewiza polityki Manderströma, ponieważ — jak sam dowodził — chociaż jest za Polską, uważa, że brak ostrożności mógłby doprowadzić kraj do niebezpiecznych powikłań.

Postawa ministra Spraw Zagranicznych kontrastowała z pełnym zaangażowaniem króla, co nie uszło uwadze ambasadora angielskiego Jerninghama dostrzegającego dualizm w polityce szwedzkiej wobec Polski.

Na ostrożną politykę ministra wpływały zarówno sceptyczne meldunki posłów szwedzkich Wachmeistra z Londynu i Adelswårda z Paryża o braku nadziei na wspólną interwencję wojskową mocarstw zachodnich przeciw Rosji, jak i informacje z wojskowych kół szwedzkich, donoszących o zasadniczych brakach w uzbrojeniu armii na wypadek konfliktu.

Pod wpływem rządu, a w szczególności za podszeptem ministra Spraw Zagranicznych w prasie konserwatywnej ukazały się artykuły ostrzegające społeczeństwo przed awanturniczą polityką

i agitacją wojenną. Nie brakło i w społeczeństwie głosów uprzedzających przed wciągnięciem Szwecji w wojnę z Rosją, zwłaszcza wtedy, gdy nasilające się propolskie artykuły o posmaku agitacji wojennej spowodowały panikę na giełdach i spadek szwedzkich papierów wartościowych.

Ale mimo to rząd pod naciskiem własnej opinii publicznej i rządów zachodnich postanowił wystąpić z notami do Górczakowa w obronie narodu polskiego i jego praw zgodnie z postanowieniami traktatu wiedeńskiego. Apelowal w nich o obronę europejskiego pokoju i wypowiadał się przeciwko przelewowi krwi w Polsce.

Stosunek władz szwedzkich do spraw polskich przeszedł jeszcze próbę w czasie znanej wyprawy płk. T. Łapińskiego na statku „Ward Jackson”. Władze szwedzkie, chcąc zamanifestować przed Rosją swą neutralność, wbrew postępowej opinii własnego kraju uczyniły zadość żądaniom rosyjskim, zarządzając konfiskatę statku i jego ładunku.

Na politykę rządu w Sztokholmie wpłynęło wiele czynników: obawa przed zemstą Rosji, niedostateczne przygotowanie militarne kraju, głównie zaś rywalizacja Francji i Anglii, która udaremniła realizację wszelkich planów związanych z wojną z Rosją. Niezachęcające głosy docierały też z Finlandii. Wynikało z nich, że ludność tego kraju zachowuje się w zasadzie lojalnie wobec Rosji, połączenie zaś z Szwecją nie jest tam zbyt popularne. Udział rządu szwedzkiego w interwencji dyplomatycznej mocarstw zakończył się właściwie na depeszach w marcu i kwietniu.

Innym problemem była odrębna, poza plecami rządu, polityka króla. Łączył ją z możliwością realizacji własnych planów politycznych, mających na celu zjednoczenie państw skandynawskich, odzyskanie Finlandii, a także wzmocnienie władzy królewskiej. Niechęć króla do Rosji i świadomość, że w interesie Szwecji jest odbudowa Polski były głównymi powodami ożywionych kontaktów króla z przedstawicielami polskiej emigracji politycznej poczynając od 1862 roku. Ożywione kontakty króla i dworu z przedstawicielami różnych kierunków politycznych wśród emigracji polskiej w 1863 roku opierały się na wspólnym dążeniu do nakłonienia Francji do wojny z Rosją. W jakim stopniu plany te naprawdę zmierzały do skoordynowania wysiłków obu krajów, w jakim zaś były tylko koncepcją i sondażem, zwłaszcza ze strony Napoleona III, trudno nam orzec z braku potwierdzenia w postaci nowych dokumentów archiwalnych (poza tymi, które w 1960-1961 opublikował w *Tekach Historycznych* Bóbr-Tylingo).

Król wielokrotnie powracał do myśli rozpoczęcia wojny wspólnie z Francją i przewidywał jej rozpoczęcie na wiosnę 1864 roku. Jeśli plany te spełzły na niczym, to głównie dlatego, że Francja i Anglia nie były zainteresowane w zbrojnym wystąpieniu w

obronie Polski. Gdyby do tego doszło, nawet ostrożny Manderström widział miejsce Szwecji po stronie koalicji państw zachodnich. Szwecja wystąpić samodzielnie nie była w stanie.

Pod koniec 1863 roku Manderström nie ukrywał, że obawia się desantu rosyjskiego w Szwecji. Byłby to — jak twierdził — rewanż za politykę Szwecji od wojny krymskiej do 1863 roku. W obawie przed Rosją rząd w Sztokholmie porzucił ideę podpisania traktatu z Danią i postanowił zająć neutralną pozycję w momencie, gdy nad Danią zawisło niebezpieczeństwo w postaci wojny wypowiedzianej przez wielkie państwa niemieckie.

Jeśli chodzi o Norwegię, to społeczeństwo patrzyło tam na wydarzenia polskie przez pryzmat własnych interesów. Norwegia nie odczuwała w podobny jak Szwecja sposób zagrożenia rosyjskiego i nie miała żadnych pretensji terytorialnych do Rosji. Z antyrosyjskim nastawieniem Szwedów solidaryzowała się jedynie nieliczna grupa skandynawistów norweskich. Sprawa polska była wykorzystana przez opozycję liberalną dla realizacji jej programu politycznego, zmierzającego do zniesienia urzędu namiestnika, umocnienia systemu parlamentarnego i podporządkowania biurokracji parlamentowi, co umocniłoby demokratyczny system rządzenia.

Przejawem solidarności z Polską były wystąpienia czołowych działaczy obozu liberalnego na łamach miejscowej prasy i akcja mityngowa w Kristianii (Oslo), szczególnie intensywna w kwietniu 1863 roku. Mówcy byli pełni podziwu dla bohaterskiej postawy Polaków w ciągu 1000-lecia, dla ich walki o wolność i wzywali do solidarności z Polską. Małe narody zagrożone z powodu tyranii winne uczyć się z doświadczeń polskich, bo to co sto lat temu spotkało Polskę, może i je spotkać. Dowodem tego są wydarzenia nad Eider, jako, że Prusy zamierzają w stosunku do Duńczyków stosować podobną politykę, jaką stosują nad Wisłą.

Stanowisko norweskich skandynawistów było zbieżne ze stanowiskiem tego obozu w Szwecji. Uważali oni, że zabiegi dyplomatyczne nie ocalą Polski i wypowiadali się za wojną, w której udział wziąć powinny Francja, Anglia, Szwecja i Norwegia. Głównym celem państw skandynawskich powinno być wyzwolenie Finlandii, a gdyby tego nie udało się osiągnąć, sam fakt utworzenia niepodległej Polski miałby kolosalne pozytywne znaczenie dla całej Skandynawii. Powstanie wolnej Polski odsunęłoby niebezpieczeństwo rosyjskie. Miałoby to wielkie znaczenie i dla Danii, ponieważ mogłoby odsunąć uwagę Niemców od sprawy księstw nad Łabą, należących do Danii, a co do których Niemcy wysuwają pretensje.

Jednak większość społeczeństwa przyjmowała te poglądy sceptycznie i nie była zainteresowana w umocnieniu wpływów Szwecji przez odzyskanie przez nią Finlandii. Inaczej kształtował się stosunek do wydarzeń polskich w Finlandii, będącej częścią imperium rosyjskiego. Carat początkowo obawiał się, aby wypadki

w Królestwie Polskim nie wpłynęły na postawę Finów. Na wiosnę 1863 roku zaostrzono kontrolę cudzoziemców znajdujących się w Finlandii w obawie, aby za ich pośrednictwem nie dokonywał się przerzut broni do Królestwa Polskiego. Wzmocniono inwigilację nad osobami zaangażowanymi w ruch ogólnoskandynawskim a znanymi z proszwedzkiej postawy, wprowadzono jeszcze silniejszą cenzurę, zabraniając w serwisie informacyjnym dotyczącym wydarzeń w Polsce korzystania z innych źródeł jak rosyjskie. Dlatego też w prasie fińskiej niewiele mogło się ukazać artykułów na tematy polskie, zwłaszcza takich, w których wyrażano sympatie dla Polaków. Z drugiej zaś strony warto podnieść, że sympatie dla Polaków nie były jednoznaczne z chęcią aktywnego poparcia ich walki. W samej Finlandii nie było w tym czasie żadnego ugrupowania, które dążyłoby do zbrojnego wystąpienia przeciw Rosji. Przeciwnie, dominowała tendencja do uzyskania od Rosji w sposób pokojowy jak najwięcej ustępstw zmierzających do równouprawnienia języka fińskiego ze szwedzkim, do autonomii w dziedzinie ekonomicznej oraz do wprowadzenia w życie uprawnień, jakie kiedyś obiecał Finom Aleksander I.

Wypadki w Królestwie Polskim spowodowały, że zarówno Aleksander II jak większość jego doradców wypowiedzieli się za przywróceniem Finlandii autonomii, przy czym głównym powodem tej zmiany polityki wobec Wielkiego Księstwa Finlandii były obawy, aby Finlandia nie stała się drugim Królestwem Polskim.

Reformy wprowadzone w szybkim tempie przez carat, zwołanie Sejmu w Helsinkach i obecność na nim cara i jego doradców miały nie tylko zadowolić ludność fińską, ale wskazać Europie, że nawet narody niesławiańskie będące pod protektorem Rosji cieszą się w Rosji swobodą i mogą rozwijać swą osobowość narodową.

Najbardziej skomplikowany był stosunek Danii do wydarzeń w Królestwie Polskim. Stwierdzenie to dotyczy zarówno społeczeństwa jak i rządu. Przyczyną tego była głównie sytuacja polityczna Danii, od wielu lat znajdującej się w konflikcie z Niemcami w związku z problemem Szlezwiku-Holsztynu. Ale były też inne powody. Przeważająca część społeczeństwa duńskiego opacznie rozumiała wybuch powstania styczniowego. Z uwagi na przejawy walki chłopów z dworem występujące w niektórych regionach Królestwa Polskiego oraz na dochodzące tu słuchy o niechętnym stosunku szlachty do powstania, dopatrywano się w powstaniu ruchu przede wszystkim społecznego i przeciwstawiano mu narodowy charakter powstania listopadowego. Niektóre pisma polemizowały z tym poglądem, podnosząc narodowy charakter ruchu, ale za wszystko złe obarczano winą Niemców, jako, że oni faktycznie — jak pisano — od panowania Piotra I rządzą Rosją.

Rząd duński postanowił wykorzystać sytuację, jaka powstała w Europie w wyniku polskiego powstania dla realizacji swych własnych celów. Po zawarciu przez Rosję konwencji Alvenslebena, gdy wydawało się, że Bismarck znajdzie się w trudnej sytuacji, rząd Danii chciał skorzystać z faktu, że Austria znalazła się po stronie mocarstw zachodnich i 30 marca wydał nową uchwałę odnośnie Holsztynu, która była krokiem zmierzającym do realizacji planów duńskiej partii liberalno-narodowej, dążącej do pozbycia się Holsztynu i ustanowienia granicy nad Eider.

Gdyby uchwała ta uzyskała akceptację Europy, Szlezwik — historycznie związany z Danią — pozostałby przy niej. Ale stało się inaczej. Spory o Szlezwik zaogniły się, a w związku z tym oceniono wybuch powstania jako moment w zasadzie korzystny dla Danii, jako że uwaga Prus skoncentrowała się na wydarzeniach nad Wisłą i Dania miała większą swobodę działania.

Ale jednocześnie — jak dowodził mózg Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Kopenhadze, Wedel, zbliżenie z państwami zachodnimi, mogące spowodować przyłączenie się Danii do koalicji francusko-angielsko-szwedzkiej, byłoby niewskazane z uwagi na dobre stosunki Danii z Rosją, od której oczekiwano nadal pomocy w przypadku konfliktu z Prusami. Nie było też w Kopenhadze pewności, czy zbliżenie Austrii z państwami zachodnimi utrzyma się przez dłuższy okres czasu.

Stąd też wynika ostrożna postawa rządu duńskiego, który początkowo odmówił przyłączenia się do noty, skierowanej w obronę praw Polski do St. Petersburga przez rządy Francji, Anglii i Austrii. Dania odmówiła motywując tym, że nie była sygnatariuszem Traktatu Wiedeńskiego z 1815 roku. Dopiero pod silnym naciskiem rządów francuskiego i angielskiego i po otrzymaniu z St. Petersburga informacji, że kwietniowa nota wysłana przez gabinet w Sztokholmie nie została przyjęta nieprzyjaźnie przez Górczakowa, rząd Halla zdecydował się skierować notę do rządu rosyjskiego. Hall tłumaczył się przed posłem rosyjskim w Kopenhadze, N. Nicolay, że Dania nie mogła uchylić się od zaproszenia dwu potęg zachodnich z uwagi na to, że liczy na ich poparcie w konflikcie w jakim się znajduje. Dowodzono też, że Dania nie interesuje się sprawą polską, aby nie zrażać Rosji tym, że Dania przyłączyła się do „dyplomatycznej krucjaty przeciwko Rosji”.

W istocie rzeczy rząd duński kierował się zasadą, aby wilk był syty i owca cała. Formalnie rzecz biorąc nota duńska z 5 maja przypominała notę francuską. Akcentowała bowiem takie czynniki jak humanitaryzm, solidarność łączącą narody i rządy Europy, niepokój wobec pożarowania godnych wydarzeń w Polsce. Ale w drugiej części noty znalazły się takie sformułowania jak: rząd duński chciałby, aby Polska złożyła broń przed wspaniałomyślnym Aleksandrem II i wróciła na drogę pokoju. Takich

sformułowań ani we francuskiej, ani w szwedzkiej, a cóż dopiero w twardej w słowach nocie angielskiej nie było.

W St. Petersburgu nota duńska nie wzbudziła specjalnej irytacji. Gorczakow przyjął ją wprawdzie niechętnie, ale bez złośliwych uwag i odpowiedział krótko i lekceważąco. Ale wobec szowinistycznego nastroju panującego w Rosji fakt wysłania noty nie mógł nie odbić się ujemnie na stosunkach z Danią, tym bardziej, że główny antagonistą Danii, Prusy, popierał przez cały czas polskiego powstania Rosję.

Do oziębnienia stosunków między St. Petersburgiem a Kopenhagą przyczyniły się drobne epizody, jak udzielanie pomocy przez marynarzy duńskich statkowi „Ward Jackson” w czasie przejazdu przez Sund. Istotniejsze znaczenie miały jednak wieści o zbliżeniu duńsko-szwedzkim i o pertraktacjach latem 1863 roku między Manderströmem a Hallem, zmierzającymi do zawarcia sojuszu wojskowego między obu państwami, w czym rząd rosyjski dopatrywał się czegoś więcej, a mianowicie kroku zmierzającego do zjednoczenia Skandynawii. Rosja dopatrywała się w skandynawizmie największego dla niej niebezpieczeństwa, odsunięcia jej od Europy i zagrożenia dla stolicy w St. Petersburgu czyli, jak powszechnie mawiano, przekreślenia wszystkich osiągnięć Piotra I.

Wysłanie noty duńskiej zbiegło się z ożywieniem agitacji polskiej w Danii, dotąd zachowującej się raczej obojętnie wobec polskiego powstania. Punktem kulminacyjnym był maj. Manifestacje na rzecz Polski odbywały się w stolicy i na prowincji. W stolicy organizowali je przywódcy partii liberalno-narodowej przy aktywnym udziale profesorów i studentów uniwersytetu. Na wiecach obecny był też płk Łapiński. Przyjmowano rezolucje wypowiadające się za niepodległością Polski i potępiające poczynania Rosji, organizowano zbiórki pieniężne na rzecz powstańców. Nie uszło uwadze Gorczakowa, że na liście ofiarodawców znalazły się hr. Danner, morganatyczna małżonka Fryderyka VII i pani Augusta Hall, małżonka szefa rządu. Równocześnie rozgrywała namiętna dyskusja z treścią rządowej noty z 8 maja. Prasa liberalno-narodowa namiętnie atakowała rząd i nazywała notę aktem niegodnym i żalosnym: zamiast wyrazić sympatie dla walczącej Polski, rząd wyrażał sympatie dla rządu rosyjskiego i zachęcał Polaków do kapitulacji. Czołowy organ partii, *Faedrelandet*, zarzucał rządowi, że na skutek jego noty zagranica może odnieść fałszywe wrażenie co do rzeczywistych nastrojów panujących w Danii wobec Polski. Ostro potępiło treść noty pismo *Danmark*, które w przeglądzie tygodniowym z 2 czerwca oskarżyło rząd, że postawił kraj w dwuznaczej sytuacji i że może to mieć szkodliwe skutki dla Danii w przypadku zaognienia się sytuacji międzynarodowej. 23 czerwca w przeglądzie tygodniowym podniesiono, że miejsce Danii jest w sojuszu ze Szwecją, bo tylko wtedy może ona zapobiec rozbiorowi, jaki grozi jej ze

strony Niemiec. Polska — czytamy — walczy o niepodległość i problem „być albo nie być” Polski nie jest obojętny dla sprawy wolności i cywilizacji całego świata zachodniego. Jeśli Polska zostanie pokonana i zrusyfikowana, Europa niechybnie padnie łupem Kozaków. We własnym interesie Rosja powinna uwolnić się od niemieckiej biurokracji, nadać narodowi prawa, a nie kontynuować politykę krwawej rozprawy z ludem i stosować metody barbarzyńskie.

Natomiast prasa konserwatywna broniła treści noty duńskiej, próbując uzasadnić, że właściwie nie różni się ona od tej, jaką wystosował rząd szwedzki. W istocie rzeczy nota duńska niewiele mogła pomóc polskiej walce o wolność i trudno było oczekiwać, aby taki mały kraj jak Dania mógł cokolwiek zdziałać. Polityka Halla niewiele różniła się od postępowania innych małych państw europejskich. A jeśli nota ta w ogóle została wysłana, nie miało to wiele wspólnego z chęcią obrony sprawy Polski: był to jedynie krok, który mógł pomóc Danii w grze politycznej wokół Szleswiku. Tylko duńscy skandynawiści sprzyjali sprawie polskiej i dostrzegali ścisły związek między sprawą polską i rozwojem wydarzeń w Skandynawii, między sprawą polską a duńską i nie mieli już wtedy złudzeń co do tego, jak zachowa się Rosja w przypadku konfliktu zbrojnego między Danią a Niemcami, zwłaszcza z Prusami. Polacy — twierdzili — są przyjaciółmi Danii, a to co spotkało Polskę w XVIII wieku, grozi obecnie Danii. Powstanie na wschodniej granicy Prus niepodległej Polski byłoby rzeczywistą pomocą dla Danii i zwiększyłoby szanse utrzymania przy Danii Szleswiku. Ale i oni ograniczali się do propagandy i zbiórki pieniężnej i byli przeciwni akcjom politycznym i szumnym rezolucjom, uważając, że są one niewskazane i sprzeczne z tradycją duńską. W obronie praw polskich też nie byli konsekwentni. Niekonsekwencja wynikała m.in. z tego, że nie byli zdolni wyciągnąć krytycznych wniosków co do postępowania Danii wobec Niemców w Szleswiku i do rzeczywistego wyjścia naprzeciw uzasadnionym pretensjom niemieckim. Mieli rację, twierdząc, że postępowania Duńczyków wobec Niemców w Szleswiku nie da się porównać z uciskiem Polaków w Poznańskim i na Śląsku, ale zapomnieli, że za Niemcami w Szleswiku stoi ponad 50 milionów Niemców.

Wobec grożącej latem 1863 roku akcji Związku Niemieckiego rząd duński zachowywał się chwiejnie, lawirując między państwami zachodnimi a Rosją. Hall, który wołał wiązać się z państwami zachodnimi, nie chciał się otwarcie zaangażować po tej stronie w obawie, że kiedy Rosja upora się z polskim powstaniem, będzie miała wiele do powiedzenia w sporze duńsko-niemieckim i dlatego Dania nie może postępować nierozważnie. Tego zdania było wielu dyplomatów duńskich i takie opinie wyrażał stale poseł duński w St. Petersburgu, O. Plessen.

Mimo pogłębiającej się współpracy St. Petersburga i Berlina

Hall wciąż łudził się, że Rosja w sporze duńsko-niemieckim zachowa się podobnie jak Nesselrode w latach 1848-1852 i walczyć będzie o zachowanie integralności duńskiej monarchii. Łudził się, chociaż wiele faktów od Traktatu Paryskiego z 1856 roku wskazywało, że Rosja zmieniła swój stosunek do Danii i wielokrotnie krytykowała postępowanie Danii wobec Niemiec i wobec księstw nad Łabą.

Powstanie polskie i nowy układ sił politycznych w Europie spowodowały, że Rosja zbliżyła się do Prus, a oddaliła się nie tylko od państw zachodnich, zwłaszcza od Francji, ale także od państw skandynawskich i Danii w szczególności. Stale domagała się od niej nowych ustępstw wobec Niemiec, ustępstw, które równały się kapitulacji.

Gdy mowa o sprawie polskiej w polityce państw skandynawskich, nie sposób pominąć tak istotnego zagadnienia jak współpraca między polskim obozem powstańczym a społeczeństwami i rządami, w pierwszym rzędzie w Szwecji w latach 1862-1864. Od 1862 czołowi działacze polskiej emigracji zwrócili szczególną uwagę na Szwecję. Przejawem tego była misja płk. W. Jordana w Sztokholmie. Wiele szczegółów na ten temat podaje „Pamiętnik Władysława Czartoryskiego”. Celem misji Jordana było włączenie się do wielkiej akcji politycznej i wykorzystanie nastrojów panujących w Szwecji w związku z rocznicą bitwy poławskiej. W tej akcji udział Polaków był niemały. W okresie samego powstania Szwecja z uwagi na jej propolską postawę odegrała ważną rolę w całokształcie działalności dyplomatycznej Rządu Narodowego, a wyrazem tego była misja K. Czartoryskiego i K. Kałinki do Szwecji i Norwegii. Zahaczyli też o Kopenhagę. Celem misji było skłonienie króla, rządu i społeczeństwa do aktywnej pomocy Polsce i do działania wspólnie z Francją przeciw Rosji. W planach Rządu Narodowego Szwecja miała odegrać ważną rolę jako baza wojskowa dla powstania i teren przerzutu broni. Kopenhagę nie przypisywano większej roli i nie było w niej przedstawicielstwa Rządu Narodowego.

Dopiero w ostatnim okresie powstania, w związku z wybuchem wojny między Danią a Niemcami, czyli Rządu Narodowego zwróciły się w kierunku Kopenhagi, a Traugutt doszedł do przekonania, że istnieje związek między sprawą polską i duńską, tym bardziej, że zastanawiano się, czy nie byłoby dobrze, aby ruch powstańczy objął na wiosnę 1864 roku także zabór pruski. W korespondencji Władysława Czartoryskiego coraz więcej miejsca zajmuje sprawa duńska, zwłaszcza od momentu, gdy Austria pod koniec lutego 1864 roku ogłosiła stan wojenny w Galicji. J. Demontowicz, agent Rządu Narodowego, zwrócił się nawet do premiera duńskiego D. G. Monrada z propozycją utworzenia z jeńców z armii niemieckich narodowości polskiej, węgierskiej i włoskiej jednostki wojskowej u boku armii duńskiej, ale Mon-

rad propozycji tej nie przyjął, bojąc się reakcji Rosji. Spotkało się to z protestem kół liberalno-narodowych.

Powstanie styczniowe, na co dotychczas nie zwracano należytej uwagi, odegrało niebagatelną rolę w dziejach krajów skandynawskich. Mam tu na myśli znaczenie bezpośrednie, ale i jego dalsze skutki. Jeśli chodzi o znaczenie bezpośrednie, warto wskazać takie momenty jak: chwilowe zaktywizowanie obozu skandynawistów, spopularyzowanie polskiej walki narodowo-wyzwoleńczej, dziejów i kultury polskiej we wszystkich krajach skandynawskich oraz uświadomienie sobie, do czego Rosja jest zdolna, jeśli chodzi o rozprawienie się z polskim ruchem narodowo-wyzwoleńczym.

Bardziej zasadniczy wpływ miało powstanie na dalsze dzieje Danii. Chodzi mi o zmiany polityczne, jakie dokonały się w konstelacji europejskiej w wyniku powstania i zwłaszcza z powodu jego upadku. Konwencja Alvenslebena i polityka Bismarcka, ustalona długo przed powstaniem, przyczyniły się do dalszego zbliżenia Prus i Rosji. Niepowodzenia dyplomacji Napoleona III, odejście Austrii od porozumienia z Francją oraz odejście Szwecji od idei sojuszu z Francją a także z Danią doprowadziły do izolacji Danii na arenie międzynarodowej w momencie, gdy wielkie państwa niemieckie przystąpiły do ataku na Danię. Dania musiała walczyć z potęgami niemieckimi bez sojuszy, w pojedynkę. Rosja zaś, wdzięczna Prusom, że umożliwiły jej wyjście z izolacji, postanowiła poprzeć dyplomatycznie i nie tylko dyplomatycznie postulaty niemieckie i dzięki temu ułatwiła realizację agresywnych planów bismarckowskich.

„Wydarzenia w Polsce — jak pisał A. Buchanan, ambasador angielski w Berlinie w meldunku do Russela w dniu 28 listopada 1863 — mimo dezaprobaty trzech wielkich mocarstw (Francji, Anglii i Austrii — E.H.) spowodowały, że Niemcy nie muszą się niczego obawiać w chwili, gdy rozpoczną działania wojenne przeciw Danii w celu dokonania dzieła grabieży”.

J. Kłaczko na łamach *Revue des Deux Mondes* w 1864 roku po zacytowaniu tego urywka z meldunku angielskiego ambasadora dorzucił, że gdyby nie brak wzajemnego zaufania dwóch wielkich potęg liberalnych zachodu i brak ich skoordynowanego działania w latach 1863-1864 — które było możliwe — nie doszłoby do nieszczęść nad Wisłą, Eiderem a może i nad Potomakiem.

Polscy politycy twierdzili, że „napad prusko-austriacki na Danię jest naturalnym następstwem opuszczenia Polski w roku 1863” (*Der Weisse Adler*, 7. VII i 11. VIII. 1864).

Upadek polskiego powstania spowodował nieodwracalne zmiany w życiu wszystkich państw i narodów skandynawskich oraz wpłynął na losy ich wszystkich. Zdecydowanie ujemnie oddziaływał na losy Danii. Skutki klęski duńskiej miały duże znaczenie w przyjęciu potem postawy neutralności przez Szwecję. Walka Po-

laków przyczyniła się do poprawy sytuacji Finów i przyspieszyła wzrost świadomości narodowej w tej części Skandynawii.

Historia się nie powtarza, a jednak. Obserwując reakcję społeczeństwa i rządów skandynawskich na wydarzenia polskie z lat 1980-tych, zwłaszcza w latach 1980-1981, nie sposób nie zauważyć wielu wspólnych cech z tym, co miało miejsce w dniach powstania styczniowego. Najsilniej znowu na wydarzenia w Polsce zareagowało społeczeństwo i rząd w Sztokholmie. Związki zawodowe wypowiedziały się zdecydowanie po stronie „Solidarności” i konsekwentnie głoszą, że popierają polską ideę wolnych związków zawodowych. Dwa inne kraje skandynawskie, Dania i Norwegia, ograniczyły się do gestów i pomocy humanitarnej. A nad Finlandią, podobnie jak w 1863 roku, znowu zawisł miecz wielkiego jej sąsiada. Mentalność, tradycje, geopolityka czy po prostu strach przed wielkim mocarstwem. A może w przypadku państw skandynawskich te wszystkie czynniki zadziałały zarówno w 1863 roku jak i obecnie.

Emanuel HALICZ

WSPOMNIENIA

PAMIĘTNIK MARII BARTLOWEJ*

WSTĘP

Teczkę z pamiętnikiem Pani Marii Bartłowej otrzymałam przed laty z prośbą o opracowanie. Odłożyłam „do szuflady na potem”. Nie miałam ochoty, bałam się, że będą to wspominki starszej pani o człowieku, którego znałam i szanowałam. Szczególnie zniechęcał brak daty na pożółkłych kartkach papieru. I tak może leżałby następnych kilka lat, gdyby nie przypadek.

Przeglądając korespondencję ze śp. Eugeniuszem Kwiatkowskim, zauważyłam, że często wspomina panią Bartłową. Zacytuje tylko trzy wzmianki, aby przyszedł czytelnik „Pamiętników” wiedzieć cokolwiek o ich autorce.

30 marca 1961 roku Kwiatkowski pisał: „Bardzo ciężki i przykry przypadek zdarzył się p. Marii Bartłowej. Przez nieuwagę potrafił ją tak nieszczęśliwie jakiś rozhukany student, że złamała kość w biodrze i już drugi miesiąc przebywa w szpitalu”.

16 grudnia 1961 roku: „Pani profesorowa Maria Bartłowa po wypadku, o którym pisałem i przeżeniu przez cztery miesiące w szpitalu, nie powróciła już do dobrej formy fizycznej. Tylko jej zainteresowania intelektualne są żywe i wszechstronne”.

Wreszcie 5 listopada 1967 roku: „Pani profesorowa Bartłowa, choć mizerna i słaba, choć od wielu lat nie opuszcza swego pokoju, ma zdumiewającą bystrość umysłu. Jej zainteresowania są zawsze bardzo szerokie, pamięć dopisuje jej znakomicie, a nerved jej życia jest telefon”.

Kwiatkowskiego pochwała „bystrości umysłu” miała dla mnie

* Wspomnienia p. Bartłowej zawierają szereg nieścisłości, a nawet fabulacji. Jest to jednak charakterystyczny dokument i dlatego go drukujemy. — (Red.).

specjalne znaczenie. Często widziałam jego zniecierpliwienie w stosunku do ludzi wolno myślących. Sięgnęłam więc po pamiętnik.

Z treści wynika, że pisany był po „wyzwoleniu”. Autorka przyznaje, że nie zachowuje chronologii zdarzeń. Aby nie przerywać toku myślenia czytelnikowi, większe dygresje przenoszę do odnośników, oznaczając je gwiazdką. Tam, gdzie należy się czytelnikowi jakieś wyjaśnienie — daję odnośnik numerowany.

W opracowaniu wprowadziłam drobne poprawki językowe i ortograficzne, zachowując styl i opis zdarzeń.

Halina MARTINOWA

Maria BARTŁOWA

Postanowiłam napisać wspomnienie o moim mężu, Kazimierzu Bartlu, aby jego pamięć się zachowała. Godzien jest tego, bo był człowiekiem wyjątkowej siły woli, rozumu i uczciwości. Chce to zrobić też dlatego, że prawie wszystkie wspomnienia, które piszą dziś ludzie, są pełne nieścisłości lub wprost kłamstwa. Zabrakło ludziom „kręgosłupa” i chcąc siebie wybielić czy też zaskarbić sobie czyjeś łaski — zmyślają. Przede wszystkim odnosi się to do tak zwanego „20-lecia”. Ponieważ działalność polityczna mego męża wypadła na te lata, więc też te fałszy i jego dotyczą bardzo często.

Kazimierz Bartel urodził się 3 marca 1882 roku we Lwowie, ojciec jego był maszynistą kolejowym. Wkrótce rodzice przenoszą się do swego domu w Stryju, gdzie mały Kazio chodzi do szkoły powszechnej i zaczyna 1 klasę w gimnazjum. Ale ojciec — mimo że syn jest bardzo dobrym uczniem — odbiera go ze szkoły i wysyła do Lwowa na praktykę do swego kolegi ślusarza (niestety, nazwiska nie pamiętam). Szczęśliwie się składa, bo człowiek ten uczy praktycznego ślusarstwa w szkole przemysłowej. Widząc wyjątkowe zdolności chłopca, zapisuje go do tej szkoły i jednocześnie zatrzymuje u siebie jako ucznia w warsztacie.

W 1899 roku Kazimierz kończy szkołę rzemieślniczą jako wyzwolony ślusarz i dostaje pracę przy zakładaniu pierwszych telefonów kolejowych, na trasie Kraków - Wiedeń. Mieszka w barakach i pracuje dwanaście godzin dziennie. Za pierwsze zarobione pieniądze kupuje podręczniki szkolne i sam wieczorami zaczyna się uczyć. Po dwóch latach w 1901 roku zdaje maturę w lwowskiej szkole realnej i jesienią zapisuje się na Politechnikę Lwowską, na wydział mechaniczny.

W międzyczasie rodzice męża przenoszą się do Lwowa z

ośmiorgiem już dzieci. Kazimierz zamieszkuje u rodziców. Płaci za mieszkanie i utrzymanie, gdyż ojciec, przeciwny studiom, nie ma zamiaru utrzymywać dorosłego syna. Zarabia udzielaniem lekcji.

Pracy ma dużo: wykłady, ćwiczenia, lekcje. Mimo to wrodzony nerw społeczny ciągnie go do pracy w Bratniej Pomocy. Już w pierwszym roku należy do organizatorów strajku studenckiego (spotyka się tam z Drobnerem, Wieleżyńskim i innymi). We władzach zwierzchnich Bratniej Pomocy pracuje razem z Władysławem Sikorskim, Stanisławem i Medardem Downarowiczami.

Na trzecim roku studiów zostaje z powodu choroby wysłany przez lekarzy do Zakopanego. Dostaje się tam do Domu Akademickiego, kierowanego przez doktora Żychonia. Widocznie spodobał się dr. Żychoniowi, bo wkrótce zrobił go „gospodarzem domu”, a potem z żalem się z nim rozstawał.

Wskutek choroby przedłużyły się studia. I oto w 1906 roku ma zdawać ostateczny egzamin, to znaczy drugi państwowy, dziś magisterium, ale termin wyznaczają na październik. Ponieważ tymczasem skończył już w marcu dwadzieścia cztery lata, to według przepisów austriackich musi 1 października zgłosić się do wojska. Do tej pory miał służbę wojskową odłożoną do końca studiów. Wybuchła cała tragedia: jeżeli pójdzie na cały rok do wojska, to straci pewnie dwa lata, bo na egzamin znów trzeba będzie czekać. Przy tym zupełnie nie ma ochoty służyć w wojsku austriackim. Jest jeszcze trzecia przyczyna.

W 1903 roku chciałam przygotować się do trzeciego egzaminu nauczycielskiego (od 1900 byłam nauczycielką) z grupy matematyczno-przyrodniczej. Potrzebowałam pomocy w nauce matematyki i fizyki. Zwróciłam się do Bratniej Pomocy na Politechnice o nauczyciela. I właśnie przyszedł student Politechniki — Kazimierz Bartel. Po pięciu miesiącach zdałam egzamin, a wkrótce potem byliśmy zaręczeni. Naturalnie, służba wojskowa i przedłużenie studiów przeszkadzały naszym planom.

Przy pomocy znajomych, między innymi dr. Longchampa (Polak, ojciec późniejszego profesora i rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, zamordowanego wraz z synami przez Niemców w 1941 roku) udało się Kazimierzowi częściowo zwolnić z wojska. Uznano go za *mindertauglich*, czyli „niepełnosprawnego”, policzono dwumiesięczny pobyt w szpitalu jako służbę. W zamian trzeba było rzec się prawa do służby jednorocznej, co w Austrii dawało przywileje i możliwość awansu na oficera. Naturalnie, nie namyślając się wiele, rzekł się tych praw. W przyszłości obowiązywały go tylko trzy ćwiczenia dwutygodniowe co

dwa lata i na tym miał być koniec. Stało się inaczej, bo przysłała wojna, ale o tym później.

Musiał doczekać teraz do nowych terminów egzaminacyjnych i ostatecznie zdał II państwowy egzamin (magisterium) 13 czerwca 1907 roku, jako „znamienicie uzdolniony”. 6 lipca odbył się nasz ślub. Zamieszkaliśmy we Lwowie.

W jesieni mąż mój zostaje asystentem na Politechnice, przy katedrze geometrii wykresłnej, u prof. Doenirotą. Jednocześnie uczy w liceum Olgi Filipi, gdzie i ja jestem nauczycielką. Znajdując jak zwykle czas na wszystko, prowadzi kursy dokształcające dla nauczycielek, a co najważniejsze, zapisuje się na wydział matematyczny Uniwersytetu Lwowskiego. Przyjęto go na trzeci rok, gdyż po ukończeniu Politechniki wystarczało dwóch lat studiów na Uniwersytecie do złożenia ostatecznych egzaminów. Po dwóch latach tej gigantycznej pracy mąż otrzymuje państwowe stypendium na studia zagraniczne. Za radą prof. Doenirotą wybiera Monachium, ponieważ tam wysoko stoi geometria wykresłna.

Przejeżdżając do Monachium przez Wiedeń spędziliśmy tam parę dni, aby poznać muzea wiedeńskie. Potem w Monachium naturalnie karmiliśmy się sztuką, nie tylko matematyką. Gdy znakomity prof. Dochlemann zaczął wykłady z historii sztuki, mąż uczęszczał na nie pilnie. Po paru tygodniach prof. Dochlemann robi go swoim *Privatassistent*. Wspominam o tym dlatego, aby wytłumaczyć, jak zrodziła się miłość do sztuki i jej znajomość, co pozwoliło mu później napisać „Perspektywę malarską”.

Asystentura u prof. Dochlemanna nie przynosiła pieniędzy, ale była wielkim wyróżnieniem. Równocześnie słucha prof. Vossa i Pringsheima (obaj matematycy). Ja również pilnie uczęszczałam na ich wykłady, bo we Lwowie zaczęłam już studiować na wydziale matematyczno-przyrodniczym.

W maju 1910 roku przychodzi ze Lwowa nominacja męża na docenta Politechniki Lwowskiej. W międzyczasie zachorował prof. Łazarski (dawny profesor mego męża) i prof. Doenirot nie mógł obsłużyć czterech wydziałów, gdzie była wykładana na pierwszym roku geometria wykresłna. Wracamy więc do Lwowa.

Jesienią 1910 roku mąż rozpoczyna wykłady na dwóch wydziałach: mechaniki i chemii. Nie ogranicza się do wykładów. Prowadzi ćwiczenia, nie zrzucając tej pracy całkowicie na barki asystentów. Tak już będzie do końca życia. Mimo różnych zajęć i zainteresowań szkoła i studenci zostaną jego ukochaniem.

Przez następne lata pracujemy pilnie i odkładamy każdy grosz na wakacyjne wyjazdy zagraniczne. Poza przyjemnościami zwiedzamy muzea i szperamy po bibliotekach. W roku 1912 mąż habilituje się, a w 1913 składa pracę doktorską. Prócz tych dwu

prac obowiązujących, pisze inne rozprawy, które drukuje w *Czasopiśmie technicznym* we Lwowie lub w warszawskim piśmie *Wektor*, a także w Paryżu (*Comptes rendus des séances de l'Académie des Sciences*, Paris 1914). W marcu 1913 roku zostaje mianowany profesorem nadzwyczajnym.

Wszystkie te prace nadszarpują mu zdrowie i latem 1913 roku musi jechać na dłuższy wypoczynek. Lekarze polecają sanatorium na Rugii w Salinie, prowadzone zresztą przez Polaka. Wykorzystując przejazd przez Niemcy, naturalnie zwiedza muzea Berlina i Drezna.

W międzyczasie dwukrotnie odezwało się wojsko. Musiał odbyć dwa razy dwutygodniowe ćwiczenia. Z uwagi na studia inżynierskie został przydzielony do pułku kolejowego. Kiedy będąc już inżynierem i asystentem przyjechał na ćwiczenia do Przemyśla, dostał mundur żołnierza *Ersatzreserve Unterpionier*. W wojsku austriackim na takich patrzyło się z wielką pogardą. Jednak przełożeni widocznie byli inteligentniejsi, sami oficerowie inżynierzy, bo wzięli męża na pisarza do kancelarii, a po pierwszych ćwiczeniach został kapralem, co normalnie się nie zdarzało. Kiedy jesienią 1913 roku odbył drugie ćwiczenia, liczyliśmy, że pozostały tylko jeszcze jedno w roku 1915 i na tym będzie koniec zabawy w wojsko. Piszę o tym tak wiele, bo to znowu etap innych trudów i nadzwyczajnych sukcesów.

Oto nadchodzi rok 1914 i 1 sierpnia, w dniu wybuchu wojny, mąż zostaje powołany do swego pułku kolejowego do Stryja. Tam stacjonują krótko, cofają się na Węgry, parę posunąć w przód i w tył, ostatecznie zimę spędzają w Budapeszcie i tam otrzymuje nominację na chorążego, nie mając szkoły oficerskiej! Było to na owe czasy nadzwyczajne wydarzenie, a dla męża wielka ulga, bo nie musiał sypiać w koszarach, miał więcej swobody.

Gdy na wiosnę 1915 roku udaje się Austriakom ofensywa gorlicka, pułk kolejowy idzie na front w Karpaty, potem przez wschodnią Galicję do Sokala, wreszcie do Stojanowa. Tu miało być miejsce postoju, z którego pułk wyruszał na naprawy torów kolejowych, mostów, ale przede wszystkim kładli polowe szyny od ostatniej stacji kolejowej aż po linię frontu. Na tych torach, małymi wózkami ciągniętymi przez konie, przewozili do rowów strzeleckich żywność i amunicję. Dopiero pod koniec wojny do wózków dostarczono motory. Byli często pod ogniem artyleryjskim czy broni maszynowej, a nawet, pod koniec, latały samoloty i rzucały coś w rodzaju ostrych noży. Sama przeżyłam takie „bombardowanie” w Stojanowie (gdzie, jak zawsze, potrafiłam się dostać do miejsca pobytu mego męża).

1 czerwca 1917 roku zostaje mianowany profesorem zwyczajnym. Jesienią 1917 roku, już jako porucznik, jest przeniesiony do Komendy Armii do Stanisławowa. Tam ma więcej czasu, często po południu — a zawsze wieczorem — pisze swój pierwszy podręcznik „Geometria wykreślna”. Jestem tam także. Nie mamy maszyny więc do druku całą książkę przepisuję ręcznie.

Wreszcie Politechnice udaje się go wyreklamować z wojska i w lutym 1918 roku wracamy do Lwowa. Zaczynają się wykłady. Niestety, przychodzi 1 listopad i zaczyna się wojna ukraińska, najboleśniej, najcięższa ze wszystkich. Mąż zgłasza się natychmiast do wojska. Po naradzie postanawia zorganizować pułk kolejarzy, który następnie oddaje miastu wielkie usługi. Po 22 dniach zupełnego odcięcia przychodzą oddziały generała Roji. Za wszelką cenę należy utrzymać połączenie z Przemyśłem. Wtedy pułk kolejowy pilnuje torów, naprawia uszkodzone, a ostatecznie, w warsztatach kolejowych, sporządzają dwa pociągi pancerne, które patrolują stale linię kolejową. Szumnie nazywało się to „pociągi pancerne”. W rzeczywistości były to dwie lokomotywy, każda z jednym wagonem. Pancerz tworzyła gruba blacha znaleziona w warsztatach kolejowych. Obiciem jej zajęli się studenci Politechniki, pod kierownictwem prof. Stanisława Anczyca. Dowódcami tych pociągów byli inż. Bolesław Paykart (już nie żyje) i Kazimierz Ajdukiewicz, filozof, dzisiejszy profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Komendantem lwowskiej załogi został generał Tadeusz Rozwadowski. Kiedy 10 lutego 1919 roku zbiera się pierwszy Sejm w Warszawie, gen. Rozwadowski wysyła generała Kleeberga i kapitana Kazimierza Bartła jako delegację na otwarcie Sejmu. Pierwszego Sejmu w odrodzonej Polsce!

W kwietniu wygasają walki o miasto. Mąż mój otrzymuje nominację na majora i Krzyż Virtuti Militari. W czerwcu zostaje powołany do Warszawy, do Sztabu Generalnego, na szefa kolejnictwa wojskowego. W związku z tą pracą często bywa wzywany do Belwederu do Marszałka Piłsudskiego. W tym czasie poznają się wzajemnie. Marszałek odtąd darzył go zaufaniem, a mąż mój — zawsze bardzo krytyczny wobec ludzi — przywiązuje się szczerze do Komendanta, jak Piłsudskiego nazywa wielu ludzi, nie tylko legioniści.

Mąż wierzył w rozum Piłsudskiego i jego gorącą, bezinteresowną miłość do Polski. Mimo, że widział popełniane przez Marszałka błędy, nie przestał go szanować do końca życia. Martwił się tylko, że Piłsudski często ulega wpływom swych dawnych żołnierzy, którzy nie warci byli tego zaufania. Często więc sprzeciwiał się i krytykował, co Piłsudski właśnie w nim cenił.

Z końcem listopada 1919 roku Politechnika Lwowska znów się o męża upomniała i wyreklamowała go ze Sztabu. W randze podpułkownika wraca mąż do Lwowa i zaczyna wykłady. Nie trwa to długo, bo oto gabinet Moraczewskiego (PPS) podaje się do dymisji po krótkim istnieniu i premierem zostaje Paderewski. Z początku bardzo popierany przez prawicę sejmową, potem przez nią gwałtownie zwalczany, podaje się do dymisji z początkiem grudnia 1919 roku. Jednak jeszcze raz usiłuje stworzyć rząd o innym składzie. Wtedy zwraca się do męża, proponując mu objęcie Ministerstwa Kolei. Mąż waha się, a tymczasem nadchodzi telefoniczna wiadomość — zresztą dowód niesłychanej delikatności, telefonuje osobiście Paderewski — że rządu nie może stworzyć. W parę dni potem udaje się to posłowi z Łodzi Skulskiemu. On również zaprasza mego męża i tak 13 grudnia 1919 roku zostaje on ministrem kolei.

Wyjeżdżamy do Warszawy. Początkowo przez parę miesięcy mieszkaliśmy prywatnie u państwa Mińkowskich, gdzie poprzednio, gdy mąż pracował w Sztabie, miał przydzielone mieszkanie. W lutym czy marcu 1920 roku przenosimy się do gmachu Ministerstwa Kolei (róg Alei Jerozolimskich i Nowego Świata) gdzie przysposobiono nam trzypokojowe mieszkanie. Gabinet urzędowy przylegał bezpośrednio do mieszkania, co było dla męża bardzo wygodne, ale równocześnie kończyło się tym, że tylko ja i spał w domu. Cały czas spędzał w biurze.

Było też co robić i o czym myśleć. Tabor kolejowy, jaki Polska odziedziczyła po zaborcach był minimalny i zniszczony, a tu trzeba miasta zaopatrywać w żywność i węgiel. Na dodatek kolejarze rozpoczęli strajk, naturalnie sąsiedzi postarali się o to¹. Zbliża się wiosna i wojska polskie posuwają się w głąb Rosji, dochodzą do Kijowa, co też wymaga od kolei nie lada wysiłku. A jak zaczęło się cofanie spod Kijowa aż pod Warszawę, zapanaowała prawdziwa rozpacz. Wszyscy byli zdruzgotani tym faktem. Wtedy to odbywały się w Belwederze wieczorami (a raczej nocami, bo zaczynały się o 9-ej wieczorem) narady Rady Obrony Państwa. Brali w nich udział posłowie, przedstawiciele wszystkich stronnictw, wojskowi, no i minister kolei.

Przyjeżdża z Francji generał Weygand. Zapoznawszy się z sytuacją radzi Piłsudskiemu wycofać wojska nad Wartę i tam dopiero usiłować się bronić. Piłsudski słysząc o tym nie chce, więc

1. A. Próchnik, „Pierwsze piętnastolecie Polski niepodległej”. Książka i Wiedza, Warszawa 1957 r., str. 85: „W ostatnich dniach kwietnia 1920 r. wybuchły w Poznaniu zaburzenia. W związku ze sprawą dodatków kolejarze urządzili manifestację”.

Nie było strajku gdy bolszewicy podchodzili pod Warszawę.

Weygand wyjeżdża do Dmowskiego do Poznania, a po paru dniach opuszcza Polskę.

Generał Józef Haller, głównodowodzący sił warszawskich, jeździ codziennie z pompą do kościoła Zbawiciela i leży krzyżem, potem okrzykany jest oswobodzicielem Polski.

Wojska rosyjskie zbliżają się do Warszawy. Na jednej z narad w Belwederze Piłsudski decyduje o uderzeniu oskrzydłującym od północy i poleca armię generała Sikorskiego przewieźć w trzy lub cztery dni z Pińszczyzny na północ. Z tym poleceniem zwraca się do ministra kolei: „Od sprawności kolei będzie zależało powodzenie tej akcji”.

Wiem o tym wszystkim ze szczegółami, bo po posiedzeniach mąż szczegółowo opowiadał mi o przebiegu każdego, wiedząc, że można mi każdą sprawę powierzyć. Były przecież takie drastyczne i podłe wystąpienia — jak Dmowskiego — który zarzucił Piłsudskiemu zdradę i porozumienie się tajnym telefonem z bolszewikami.

Można sobie wyobrazić, co przeszedł mój mąż w ciągu tych paru dni przewożenia armii. Dzień i noc siedział przy telefonie, robił wszystko co było w ludzkiej mocy. Na szczęście wszystko się udało, wojska rosyjskie cofnęły się spod Warszawy i przyszedł pokój ryski.

W międzyczasie, po krótkotrwałym rządzie W. Grabskiego, premierem został Witos. I wtedy gdy Warszawa była w największym niebezpieczeństwie cały rząd — prócz Witos a i mego męża — wyjechał do Poznania i wywiózł też wszystkie akta państwowe².

W Warszawie utworzył się w tym czasie rząd komunistyczny. Jakiś robotnik kolejowy zgłosił się do mego męża (dziś nazwiska nie pamiętam) z tym, że on jest desygnowany na ministra kolei i żądał, by mąż ustąpił mu miejsca w biurze. Energicznie, choć grzecznie wyproszony za drzwi biedak odszedł bez słowa sprzeciwu. Dostaliśmy dwa rewolwery do obrony własnej. Niestety ja strzelać nie umiałam, tak że była to niepotrzebna demonstracja. Na szczęście nie musieliśmy używać tej broni.

Tu chcę powiedzieć coś, co nie jest związane z moim mężem, ale stale jest poruszane w różnych artykułach. Nawet ostatni „Słownik historii Polski” podaje, że „Piłsudski prowadził w 1920 roku wojnę zaborczą z ZSSR”.

Otóż wszyscy wiedzieli, że chodziło o sprawę uwolnienia państw graniczących z Polską spod władzy rosyjskiej i stworzenie

2. Do Poznania wyjechał tylko Dmowski. Rząd został w Warszawie.

grupy państw tych w unii z Polską, które w zjednoczeniu stanowiłyby i dla Rosji i dla Niemiec poważną siłę. Na pewno druga wojna światowa albo by nie wybuchła, lub wyglądałaby inaczej, gdyby Polska była silniejsza i nie osłabiona atakami z dwu stron. Marsz Niemców nie byłby tak łatwy.

Wracam do życiorysu. W jakiś czas po zakończeniu wojny zaczynają się rozgrywki partyjne. Witos, jako prezes stronnictwa Piast i premier, popiera swą grupę i na radach ministrów często dochodzi do ostrych spiek. Ostatecznie w grudniu 1920 roku mąż podaje się do dymisji. Powracamy do Lwowa.

Zaczynają się zajęcia na Politechnice i normalne życie. Nie trwa to długo. Latem 1922 roku zaczynają przyjeżdżać goście. Między innymi Jan Dąbski (Piast), Tomasz Nocznicki i Stanisław Thugutt (obaj z Wyzwolenia) i namawiają męża, by kandydował do Sejmu, bo jesienią odbędą się wybory. Nie miał na to ochoty. Polityki nie lubił, nie leżało w jego naturze owijanie prawdy w bawełnę i różne kręactwa. Mnie się jednak zdawało, że dużo da się zmienić, jeśli posłami będą ludzie uczciwi, mądrzy i gorąco namawiałam, aby się zgodził. Sprawę przesądził przyjazd adiutanta Piłsudskiego z zawiadomieniem, że Marszałek pragnie, by mąż kandydował do Sejmu z ramienia Wyzwolenia. Zgodził się po dwoma warunkami: że do stronnictwa nie wstąpi i że będzie wystawiony z listy państwowej.

Po wyborach, gdzieś w październiku, zjechaliśmy znowu do Warszawy. Marszałkiem Sejmu został Maciej Rataj, kolega męża z Uniwersytetu i dobry znajomy. Miał on w Sejmie mieszkanie, składające się z czterech małych pokojów. Przenosząc się do mieszkania przeznaczonego dla Marszałka Sejmu, odstąpił nam trzy pokoje, a jeden pokój posłowi z Piasta. Uważał, że mając mieszkanie we Lwowie, w razie potrzeby w każdej chwili możemy zwolnić lokal.

Z wielkim zapałem rzucił się mąż w wir pracy. Należy do różnych komisji, a prócz tego są ciągłe posiedzenia sejmowe. Na piątki i soboty wyjeżdża do Lwowa, wykłada, prowadzi rysunki, a nawet, jeśli potrzeba, egzaminuje w niedziele.

W tym czasie choroba nerek, której nabawił się w czasie wojny, zaczyna go coraz bardziej gnębić. Nie pomagały coroczne wyjazdy do kurortów. Ostatecznie musi poddać się operacji wyjęcia kamienia. Operuje dr Pisarski w lecznicy w Krakowie. Jest to rok 1923.

Pewnego dnia jesienią w Krakowie strajk robotników. Widzimy z okna lecznicy przy ulicy Garncarskiej przejeżdżający mały oddziałek żołnierzy z młodziutkim oficerem na czele. Po pewnym czasie przez to samo okno zobaczyliśmy wracającego żołnierza

prowadzącego dwa konie. Dowiedzieliśmy się, że na rynku doszło do ostrej strzelaniny. Żołnierze nie strzelali do tłumu, za to tłum strzelał do żołnierzy. Biedny, młody komendant ich leży w kościele św. Piotra. „Słownik historyczny” mówi, że „padło kilku robotników”, a o żołnierzach milczy.

Wybiegłam myślą naprzód. Wracam do Warszawy, gdzie niedobrze się dzieje. Piłsudski ustępuje ze stanowiska Naczelnika Państwa i zaczynają się targi o władzę.

W lecie 1920 roku, kiedy tworzył się rząd Władysława Grabskiego, mąż mój zaprosił ze Szwajcarii znanego w Europie inżyniera Narutowicza, którego poznał za granicą. Zaproszenie wysłano za zgodą Grabskiego.

Gabriel Narutowicz, na wezwanie z kraju, rzuca wszelkie zaczęte roboty (między innymi miał przeprowadzać nawodnienie Egiptu, co miało mu przynieść ogromny zarobek) i przyjeżdża do Warszawy. Początkowo jest ministrem robót publicznych. W gabinecie Witosa obejmuje Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Dnia 7 grudnia 1922 roku zostaje wybrany prezydentem. Głosowały na niego wszystkie stronnictwa i mniejszości narodowe oprócz endecji i chadecji. Nieprawdą jest, że był kandydatem Wyzwolenia. Zaraz po wyborze zaczyna się agitacja przeciw prezydentowi, tak szalona i nie przebierająca w środkach, że trudno sobie wyobrazić. Przechodząc w niedzielę 8 grudnia późnym popołudniem z ulicy Pięknej w Aleje Ujazdowskie natknęłam się na tłum. Przemawiał generał Haller, używając obelżywych słów odnoszących się do formalnie wybranego, pierwszego po rozbiorach, prezydenta Polski. Krzyczał: „tę zaporę, tę zawadę, tego szwajcara z Hotelu Europejskiego musi się usunąć”.

11 grudnia miało być zaprzysiężenie Narutowicza w Sejmie. Jechał z Belwederu. Cała droga do Sejmu była zatłoczona. Grupy studentów obrzucały kamieniami i błotem przejeżdżającego w otwartym aucie prezydenta. Tylko cudem uniknął zranienia. Dziwnie obojętnie zachowywała się policja.

16 grudnia 1922 roku na uroczyste otwarcie sezonu w Zachęcie przyjechał prezydent Narutowicz i tu zastrzelił go Eligiusz Niewiadomski.

Znowu zaczynają się intrygi i konszachty, przyznać trzeba, obrzydliwe w tym Sejmie. Ostatecznie prezydentem zostaje wy-

* Narutowicz mieszkał w Szwajcarii. W Polsce nie miał mieszkania i mieszkał w Hotelu Europejskim. W Warszawie „szwajcarem” nazywano portierów hotelowych. W odniesieniu do Narutowicza była to pogardliwa nazwa.

brany Stanisław Wojciechowski, a premierem jest Władysław Sikorski.

Sikorski, jako dawny kolega z Politechniki, jest u nas częstym gościem. Z wielką troską debatują z mężem nad różnymi sprawami państwowymi. Od 1922 roku Piłsudski usunął się od życia politycznego i zamieszkał w Sulejówku. Odwiedzają go tam różni ludzie. Raz do roku, na 19 marca, jeździ tam mój mąż. Marszałek czasami przyjeżdża do Warszawy i zatrzymuje się u Patka (znanego obrońcy Polaków przed sądami carskimi). Zawsze wtedy zapraszany jest mój mąż, prócz niego są tam sami legionieści. Omawiają tam sprawy państwowe i różne trudności piętrzące się przed gospodarką Polski.

W tym okresie mąż wydaje kilka rozpraw i nowy podręcznik „Rzuty cechowane”. W takiej pracy między Politechniką i Sejmem przeszły cztery lata i nadszedł rok 1926.

W pierwszych dniach maja, kiedy powstał rząd Chjeno-Piasta, różne sprawy zaczęły przybierać niemiły obrót. Na jednym z zebrani (u Patka) Piłsudski powiada, że trzeba coś poradzić i zmienić. Mąż nie orientuje się, co może nastąpić i ma wyjechać na wykłady do Lwowa, ale wstrzymuje go Rataj. 12 maja zjawia się Piłsudski u Wojciechowskiego, znana rozmowa nie doprowadza do niczego, następne spotkanie następuje na moście.

Faktem jest, że zaczęły strzelać tak zwane oddziały rządowe. Piłsudski chciał tylko demonstracji. Śmierć tylu żołnierzy i cywilnej ludności była dla niego nieprzewidzianą katastrofą. 13 maja przyszedł ktoś (nie pamiętam nazwiska) z Komendy Miasta na Placu Saskim, z wiadomością, że Marszałek leży tam chory i prosi mego męża do siebie. Wrócił z tej wizyty zmartwiony. Piłsudski rzeczywiście był chory i tak zdenerwowany, jak nigdy dotąd. Proponował mężowi utworzenie rządu.

Z tą samą propozycją przyszedł po południu Marszałek Sejmu Rataj, który konstytucyjnie miał prawo i obowiązek powołania nowego rządu wobec rezygnacji i wyjazdu prezydenta Wojciechowskiego³. Jak im się to udało w tak krótkim czasie, to aż dziwne dzisiaj, ale już 15 maja Rataj zaprzysiął nowy rząd. Po przysiędze przyszedł Rataj do naszego prywatnego mieszkania i długo omawiał różne sprawy z mężem. Wreszcie rozmawiał i ze mną. Pokazał nam list Sikorskiego — ówczesnego komendanta DOK Lwów — z tłumaczeniami, dlaczego oddziały jego nie przybyły na pomoc do Warszawy. Rataj list ten ocenił bardzo ostro.

3. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, tom II, str. 672. Wydanie B. Świdorski, Londyn 1967 podaje, że Bartel zgodził się zostać premierem z tym, że funkcję tę będzie pełnił do wyboru nowego prezydenta.

Równie ostro osądził tak zwane „samobójstwo” Sosnkowskiego. Serdeczne ich stosunki uległy oziębieniu i nie poprawiły się do końca życia.

Mąż mój rzucił się w wir pracy ze zwykłym sobie zapalem. Od 6-ej rano do późnego wieczora, z krótką przerwą na obiad, pracował w biurze. Wkrótce przenieśliśmy się do mieszkania przeznaczonego dla premiera w Prezydium Rady Ministrów przy Krakowskim Przedmieściu, co bardzo ułatwiało mężowi pracę.

Teraz czekały Sejm wybory nowego prezydenta. Piłsudski, chcąc prawdopodobnie moralnej legalizacji swego czynu, zgodził się na prośbę legionistów kandydować na prezydenta. Jednak od razu powiedział mężowi, że wyboru nie przyjmie. O tej decyzji nikt nie wiedział poza nami. Rzeczywiście, po wyborze rzekł się tego urzędu. Przyjechał do nas na narady. Piłsudski wysuwał kandydaturę Artura Śliwińskiego. Mąż mój radził profesora Politechniki Lwowskiej Ignacego Mościckiego. Przybył on do Lwowa w 1913 roku z Zurychu, gdzie też wykładał na Politechnice. Był to znany wynalazca, wielki demokrat i przyjaciel Marszałka Piłsudskiego z okresu jego pobytu w Szwajcarii*.

Mościckiego zaproszono do objęcia katedry elektroniki. Był przez wszystkich lubiany, szanowany i ceniony za swój rozum i charakter. Po zakończeniu pierwszej wojny był dyrektorem Borów, fabryki, gdzie według jego wynalazku skraplano azot z powietrza. Był również dyrektorem Chorzowa — produkcja nawozów sztucznych. W Mościckim widział mój mąż uosobienie Polaka, który pod każdym względem dorósł do godności prezydenta Polski. Kandydatura ta została wysunięta i Mościcki został prezydentem^{4*}.

* Zresztą mało znany okres życia Mościckiego w młodości wyglądał inaczej, niż to podaje Mackiewicz w swojej *Historii Polski*, tom I. Książka ta powinna się nazywać „Historyjki polskie”.

Otóż, jako student chemii sporządził on w Warszawie bombę, która została rzucona w ówczesnym kościele garnizonowym przy ul. Długiej podczas przejazdu jakiegoś dygnitarza carskiego. Nastąpiły liczne aresztowania. Spiskowcy, między innymi Mościcki, zdołali uciec przez zieloną granicę do Niemiec, a potem dostali się do Londynu. Tam Mościcki pracował w porcie nosząc worki przy wyładunkach statków. Kiedy rodzicom, którzy mieli mały mająteczek ziemski, udało się posłać mu trochę pieniędzy — Mościcki przeniósł się do Szwajcarii. Kończy studia, pracuje naukowo, wykłada. Ma sporo wynalazków.

4. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, tom II, str. 677: 4 czerwca 1926 roku Mościcki składa przysięgę. Bartel rezygnuje. Prezydent przyjmuje rezygnację, po czym zleca Bartłowi utworzenie nowego rządu.

* Nie wspomniałam w odpowiednim miejscu, że gdzieś w lipcu czy sierpniu tego roku (1926) zwolniono z więzienia w Wilnie wywiezionych po

Mąż znowu jest premierem. W Sejmie przychodzą różne tarcia. W jesieni uchwalają rządowi Bartla votum nieufności. Rząd ustępuje⁵.

Premierem zostaje Piłsudski, a Bartel wicepremierem. W istocie nic się nie zmieniło, bo Marszałek czasami tylko przyjeżdża do Prezydium Rady Ministrów, czasem przewodniczy Radzie, ale właściwie zajmuje się tylko wojskiem i sprawami zagranicznymi. Wszystkie inne sprawy załatwia wicepremier.

Praca męża napotyka na wiele trudności. Nie tylko ze strony opozycji w Sejmie, ale także ma cichą opozycję wśród legionistów,

maju generałów i wyższych oficerów tzw. wojsk rządowych. Jakoby miał też przyjechać gen. Zagórski. Mówiono, że przyjechał i zginął gdzieś w Warszawie.

Istotnie, tym pociągami z Wilna przyjechał ktoś przebrany i ucharakteryzowany na Zagórskiego i z dworca odjechał czerwonym autem. Mąż mój był zaniepokojony i oburzony, nie przyzwyczajony do rosyjskich metod, bo w Austrii postępowano inaczej. W porozumieniu z ministrem sprawiedliwości Meysztowiczem kazali szukać Zagórskiego. Któregoś dnia pan Meysztowicz zawiadomił męża, że sprawa wyjaśniona. Zgłosiła się do niego siostra Zagórskiego (dziś podejrzewam, że był to ktoś podstawiony) i oświadczyła, że brat jej wyjechał czerwonym autem, bezpośrednio po przyjeździe z Wilna, przez Karpaty do Czechosłowacji. Podawała różne szczegóły, których dziś już nie pamiętam. Bardzo zadowoleni obaj panowie — mój mąż i Meysztowicz — urządzili coś, co dziś nazywałoby się konferencją prasową.

Do naszego mieszkania w Prezydium zaproszono wszystkich dziennikarzy warszawskich i Meysztowicz z moim mężem referowali tę sprawę. Pamiętam do dziś zadowolenie Strońskiego, redaktora *Rzeczypospolitej*.

Znacznie później, już dawno po tej konferencji prasowej, dowiedziałam się od sekretarza mego męża, Stanisława Zaćwilichowskiego, człowieka niesłuchanie sprytnego i wszystkowiedzącego, że sprawa wyglądała inaczej. Mianowicie:

z Zagórskim z Wilna jechał adiutant Piłsudskiego Wenda i podoficer Koryzma, który gdy przejeżdżali przez most na Niemnie wyrzucił Zagórskiego do rzeki. Nie mógł więc Zagórski dotrzeć do Warszawy. Później Koryzmę (pewno jako niewygodnego świadka) zastrzelono w nocy, gdy peknął straż pod oknami Belwederu. Ale dwaj ludzie, którzy byli o to zabójstwo posądzeni, też zginęli wkrótce w nocy na ulicach Warszawy.

Przypuszczam, że ta wersja, jakkolwiek obrzydliwa i potworna, jest prawdziwa.

Zaćwilichowski był ulubieńcem Piłsudskiego, miał zawsze do niego dostęp i miał naprawdę wyjątkowego nosa w różnych sprawach. Gromadził rozmaite zapiski, akta i to wszystko wywiózł kiedyś do Francji, dokąd wysłał go mój mąż na studia do Szkoły Nauk Politycznych do Paryża. Zapiski umieścił w sejfie w banku. Niestety, zbyt wiele wiedział. W jesieni 1930 roku zginął „w wypadku samochodowym”. Nie ulegało wątpliwości, że go wykończono. Beck zwrócił się do jego żony o wydanie papierów po mężu. Początkowo wzbraniała się. Po zaofiarowaniu dużego wynagrodzenia zdaje się uległa. Szkoda, papiery te byłyby źródłem rozmaitych ciekawych wiadomości.

5. Próchnik — votum nieufności Sejm uchwalił nie przeciw rządowi, ale przeciw ministrom Młodzianowskiemu i Sujkowskiemu. Wówczas Bartel, wraz z całym rządem, podał się do dymisji.

otaczających Piłsudskiego. Do nich należą przede wszystkim Miedziński, Beck, Stpiczyński, Świtalski i Stefan Starzyński. Wiele pomocy i serdecznej współpracy ma od ministra przemysłu i handlu Kwiatkowskiego, ministra reformy rolnej Staniewicza, ministra pracy Jurkiewicza. Są to ludzie zdolni, uczciwi i pracują naprawdę dla dobra państwa, a nie żadnej koterii.

Przyszła pora wyboru Marszałka Sejmu. Piłsudski pragnął, by mąż zrezygnował z premierostwa i postawił swą kandydaturę. Na szczęście nie doszło do tego i marszałkiem został Daszyński, z którym mąż był w dobrych stosunkach. Za czasów marszałka Daszyńskiego zdarzył się smutny fakt najścia oficerów na Sejm dla przerwania obrad. Mąż leżał chory na ciężką gripę i nagle telefon. Znajoma pani, która była w Sejmie posłuchać obrad, zadzwoniła o tym fakcie do mnie. Mąż po stwierdzeniu, że zajście miało miejsce, mimo gorączki pojechał do Sejmu, aby oficjalnie przeprosić Daszyńskiego. Jest nawet fotografia męża z Daszyńskim — mam ją u siebie.

Tak będąc raz premierem, a raz wicepremierem przetrwał do marca 1929 roku. Wtedy wystąpiła historia z Miedzińskim o sprawy finansowe. Mąż postawił warunek, że albo Miedziński ustąpi z rządu, albo mąż poda się do dymisji. Ostatecznie złożył dymisję w pierwszych dniach kwietnia.

Po mężu gabinet utworzył Świtalski, dotąd dyrektor Departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Mało inteligentny, leń, typowy karierowicz, nie mógł sobie dać rady z Sejmem.

My wyjechaliśmy do Włoch, gdzie zagłęбилиśmy się w pracy w bibliotekach i muzeach. Mąż zbierał materiał do drugiego tomu, bo pierwszy tom „Perspektywy malarskiej” wyszedł już w 1928 roku. Kiedy byliśmy w Rzymie spotkał nas wielki zaszczyt. Dawny Nuncjusz Ratti, a wtedy Papież Pius XI, dowiedziawszy się od Nazaretanek, u których mieszkaliśmy, o naszym pobycie „kazał” nam przyjść do siebie razem z Celinką, wówczas 6-letnią. W dwudziestym roku mąż zaprzyjaźnił się z Nuncjuszem i nawet razem byli w Radzyminie, podczas walk z bolszewikami o Warszawę. Toteż przyjął nas na prywatnej audiencji serdecznie i po przyjacielsku.

Potem w Paryżu była dłuższa praca w Bibliotece Nationale, no i w Luwrze i innych muzeach. W jesieni powróciliśmy do Lwowa i w październiku rozpoczął mąż wykłady.

Jednak już w drugiej połowie grudnia zjawia się Zaćwilichowski, przysłany przez Piłsudskiego, żeby mąż jechał do Warszawy, bo Marszałek chce się z nim widzieć. Na święta Bożego Narodzenia wrócił z wiadomością, że Piłsudski chce, żeby znowu

utworzył rząd. Bardzo mu to odradzałam. Zdawałam sobie sprawę, że tylko do przeprowadzenia budżetu w Sejmie jest im potrzebny. Ale mąż odpowiedział: „mnie tak Komendant prosił, że odmówić nie mogę”.

Na święta przyjechali do nas Zaćwilichowscy, Jerzy Stempowski, Jah Żukotyński, wszyscy naprawdę serdeczni i życzliwi ludzie, i tak pragnęli go widzieć w rządzie i tak namawiali, że mój głos nie zaważył. Mąż wyjechał zaraz po świętach razem z gośćmi, a 28 czy 29 grudnia 1929 roku ogłoszono nowy rząd Bartla.

Jak przypuszczałam trwało to niedługo. Po zatwierdzeniu przez Sejm budżetu, przyszły inne ustawy, które Sejm odrzucił i znowu mąż podał się do dymisji, i znów wyjechaliśmy z Warszawy z początkiem kwietnia 1930 roku.

Następują lata pracy na Politechnice. Wprawdzie mąż zostaje senatorem, ale rzadko jeździ do Warszawy i coraz bardziej odsuwa się od polityki. Pracuje dużo naukowo. Wydaje wiele mniejszych prac i przygotowuje drugi tom „Perspektywy malarskiej”, co wymaga wiele trudu, badań i zbierania materiałów. Nawet jesienią 1934 roku wyjeżdża na trzy miesiące do Włoch po resztę materiału.

Tymczasem we Lwowie, a i na innych uczelniach w Polsce, zaczynają się awantury antysemitki. Mąż od samego początku przeciwstawia się temu mocno. Nie pozwala na żadne zmienianie miejsc na wykładach i na rysunkach. Kilku profesorów pomaga mu w tym, jak np. prof. Krukowski na Politechnice, prof. Kulczyński na Uniwersytecie. Niestety jednak większość profesorów patrzy na to obojętnie, a endecy nawet życzliwie.

Któregoś dnia 1935 roku męża wchodzącego do gmachu Politechniki studenci obrzucili jajami. Parę godzin później grupa studentów z domu akademickiego, który był w pobliżu naszego domu, rzuciła nam do ogrodu bomby cuchnące, wybijając wszystkie szyby. Studenci Polacy, którzy nie chcą się solidaryzować z tą chuliganerią występują z Bratniej Pomocy i tworzą nowe Stowarzyszenie Studentów Politechniki, gdzie ja z Haliną Górską, p. Wandyczową i innymi pomagamy im zorganizować kuchnię studencką. Ta fala antysemityzmu przedostaje się nawet do szkół średnich i chłopcy szczególnie dopuszczają się różnych dzikich wybryków. Udało mi się wtedy zorganizować delegację matek do kuratora okręgu szkolnego. Protestowały nie tylko kobiety nastawione lewicowo, bo była tam Stanisława Grabska, Franciszka Bujakowa i Jadwiga Mariowska. Bardzo gorąco przemawiała pani Grabska. Żądała położenia kresu tym wybrykom przez zarządzenie kuratorium. Jednym z wybitnych działaczy akademic-

kich był Lutek Chmielewski z PPS. Jeden z pierwszych wywiezionych razem ze Szczyrkiem (redaktor *Dziennika ludowego* i PPS) w roku 1939 przez bolszewików na Sybir.

Niestety, od spraw publicznych nie sposób było się oderwać. Ludzie otaczający Piłsudskiego stracili rozum i zachorowali na manię wielkości. On sam był już chory i skazany tylko na wiadomości dopuszczane przez najbliższe grono.

Sławek tworzy BBWR, zaczynają tworzyć jakieś organizacje młodzieżowe. Złe się dzieje w gospodarce. Nie umieją jakoś zaradzić wpływom i skutkom kryzysu gospodarczego, który już w 1928 zaczął nadciągać nad Polskę. Chcąc utrzymać ceny zboża, buduje się specjalne spichlerze i skupuje zboże. Niestety, okres niskowy trwał zbyt długo.

Prócz błędów gospodarczych są i inne. Oto aresztują i wysyłają do Brześcia kilkunastu posłów z PPS i Piasta. Nad więźniami znęcają się, a specjalistą od tego jest Kostek-Biernacki. Wstyd człowiekowi o tym myśleć i pisać. Oburzony tym do głębi mąż stawia wniosek na posiedzeniu Senatu Politechniki Lwowskiej o założenie protestu. Wniosek został uchwalony i ogłoszony. Pierwszy wniosek tego typu, bo po nim ogłosiły protesty wszystkie wyższe uczelnie w Polsce.

Potem odbył się sąd nad tymi więźniami i wprawdzie patrzono przez palce jak Witos, Liberman i kilku innych wyjechało za granicę, ale plama została plamą. Zbierano pieniądze i mąż mój wpłacał co miesiąc jakąś kwotę dla Witosa na ręce Rataja.

Była jeszcze Bereza, której musimy się wstydić, my Polacy, którzy tyle wycierpieli w więzieniach zaborców. Mąż jeździł do prezydenta, do rozmaitych ludzi, ale niestety bez skutku.

Nie piszę tych wspomnień chronologicznie, ale jakby zagadnieniami, bo tak się nasuwają pamięci.

W 1933 roku byliśmy w lecie w Paryżu. Tam doszedł do nas list prof. Noego. Był on dyrektorem Stoczni Gdańskiej i profesorem Politechniki Gdańskiej. Znali się dobrze z czasów kiedy mąż był ministrem kolei i wspólnie załatwiali ruch wagonów i lokomotyw. Bywał on u nas we Lwowie, człowiek wykształcony, kulturalny i krytycznie nastawiony do Hitlera. List do Paryża przywiózł profesor z Berlina, którego nazwiska nie pamiętam. Prof. Noe prosił, aby w drodze powrotnej mąż wstąpił do niego do Gdańska. Chce przedyskutować ważne sprawy.

Z końcem sierpnia mąż był w Gdańsku. Prof. Noe i prezydent Gdańska (który później musiał uciec do Szwajcarii i napisać krytyczną książkę „Das Haus des Hitler baut”) zaproponowali mu w imieniu Hitlera pośredniczenie pomiędzy Hitlerem i Pił-

sudskim. Powiedzieli, że Hitler chciałby żyć z Polską w zgodzie, że znają dobre stosunki mego męża z Piłsudskim, więc proszą go o ułatwienie tego porozumienia. Jeśli Piłsudski by zechciał, to Hitler jest gotów przyjechać w tajemnicy do któregoś z polskich miast pogranicznych.

Mąż mój uważał, że Polska aby móc się rozwijać potrzebuje koniecznie pokoju i że dłuższy pokój z Niemcami wyjdzie państwu na pożytek. Zgodził się więc na tę misję i wprost z Gdańska pojechał do Warszawy, gdzie powtórzył wszystko Piłsudskiemu. Ten w zasadzie zgodził się na rozmowy, ale nie w tajemnicy. Powiedział, że gościnnie przyjmie Hitlera, ale oficjalnie w Warszawie. Mąż natychmiast napisał do Noego.

W pierwszych dniach grudnia mieli przyjechać Niemcy na rozmowy w Belwederze. Piłsudski zaprosił i mego męża, więc wieczorem pojechał na tę konferencję. Tymczasem tejsze nocy zmarł ojciec męża na serce. O 5-tej rano zatelefonowałam do Warszawy (mąż zajeżdżał zawsze do „Hotelu Rzymskiego”). Po moim telefonie zawiadomił Belweder i wrócił do Lwowa. Dlatego nie był świadkiem tych rozmów i nie znał dokładnej ich treści. Ale w styczniu czy lutym ogłoszono oficjalnie o zawarciu paktu na lat piętnaście. Nikt nie domyślał się, że to niemiecka obłuda i oszukaństwo.

W każdym razie, jakkolwiek o Becku miałam złe wyobrażenie, nie on był winien układowi, nie on zabiegał o układy z Niemcami. Muszę to uczciwie podkreślić.

12 maja 1935 roku zmarł Marszałek Józef Piłsudski. Już od paru miesięcy wiedzieliśmy, że jest śmiertelnie chory, ale była to tajemnica. Trzeba było wiedeńskiego lekarza, żeby otoczeniu powiedział, że to rak jelit i wątroby. Nieprawdą jest — jak pisze Naszkowski — że od dłuższego czasu był nieprzytomny. Cierpiał bardzo, jak to bywa przy tej chorobie.

Kiedy w marcu umarła siostra Marszałka, pojechał jeszcze na pogrzeb do Wilna. „Taktowne” otoczenie pozwoliło, by go fotografowano w tej podróży. Umieścili tę fotografię w pismach. Było to przerażające, ten ból, to cierpienie, które malowało się na jego twarzy (ostatnio nawet znalazła się ta fotografia w jednym z numerów *Świata* z końca 1961 roku)*.

* Odczuliśmy bardzo mocno śmierć Marszałka. Wiedzieliśmy, że mimo krytyk i sprzeciwów wszyscy widzieli w nim autorytet. Teraz zaczęły się gry i gierki o władzę. Piłsudski nigdy nie wysuwał Rydza. Wysunęła go mafia, łatwo mogli nim kierować. Politycznie chciał Marszałka zastąpić Sławek. Odsunięto Sosnkowskiego, czego ten nie mógł im darować.

W tym miejscu chcę podkreślić: obrzucanie błotem całego 20-lecia i

W 1936 roku we Lwowie rozpoczęli strajk robotnicy budowlani, po paru dniach wysłano tam policję konną. Przy rozpędzaniu strajkujących został zabity na Placu Akademickim robotnik Kozak. Za parę dni miał się odbyć pogrzeb, zwłoki umieszczono w prosektorium, które znajdowało się wprost bramy cmentarza Łyczakowskiego. Przypuszczam, że policja nie chcąc dopuścić do demonstracji kazała pochować go na Łyczakowie. Tymczasem stało się inaczej. Tłum rozagitowany przez komunistów (jak dziś już wiemy o tym, choćby z pamiętników Naszkowskiego) wziął trumnę na ramiona i olbrzymi pochód ruszył na cmentarz Janowski, przez całe miasto. Była i strzelanina, na szczęście bezkrwawa, tłum jednak idąc przez miasto demolował sklepy, niszczył rozmaite urządzenia. Dopiero późnym wieczorem przy pomocy wojska udało się uspokoić tłum.

Mąż zaraz na drugi dzień pojechał do Warszawy do prezydenta, żeby zwrócić uwagę, że źle się dzieje, że „to nie są już rozruchy, ale rewolucja” i trzeba zmienić system postępowania, aby takie sprawy się nie powtarzały. Reagował zawsze na wszystkie niesłuszne pociągnięcia. Kiedy na Podolu przeprowadzano słynną „pacyfikację”, przyjechał do nas dawny wojewoda lwowski Piotr Borkowski i jego szwagier Głuchowski — też jakiś czas wojewoda lwowski — i przywieźli przez siebie robione zdjęcia zniszczeń dokonanych przez wojsko. Obaj byli, chociaż hrabiowie i obszarnicy, prawdziwymi demokratami i uczciwymi ludźmi. Uważali, że lepiej, najskuteczniej będzie, gdy mąż mój w tej sprawie pojedzie do Warszawy. Uważano, że tam nie wiedzą co się dzieje. Tymczasem mąż miał właśnie nowe ataki kamieni nerkowych, był tak chory, że nie mógł pojechać. Sprawy nie chcieli odkładać i pojechałam ja z tymi fotografiami.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie zrobiły te fotografie na obojgu państwu Mościckich. Byli przygnębieni i przerażeni. Pre-

złego przygotowania do wojny jest perfidią. Były błędy, były niedociągnięcia. Ale jaką Polskę dostaliśmy w 1918 roku, a jaka była w 1939! To przecież nie do porównania!

Wrzesień 1939 roku mógł nie być tak ciężki, gdyby Francuzi (oni przede wszystkim) byli dotrzyмали sojuszu i natychmiast uderzyli na Niemców. Rozdzielone siły Niemców inaczej ułożyłby losy napaści. Zresztą, pisze o tym niemiecki generał Guderian w swoich pamiętnikach. Myślę, że i Francja uniknęłaby swego losu w 1940 roku.

Że Francuzi nie palili się do wojny, wiem o tym dobrze z ostatniego naszego pobytu w 1938 roku we Francji. Wtedy już zbierały się chmury nad Gdańskiem. Wszędzie było słychać: „co my mamy bić się o Gdańsk i Korytarz, nigdy!”.

Tak rozumował człowiek ulicy, ale politycy francuscy powinni byli wiedzieć lepiej. Niestety!

zydent powiedział, że sam pojedzie do marszałka Rydza-Śmigłego. W każdym bądź razie odniosło to skutek, bo już tego lata był spokój na wsi*.

Tu zaznaczę, że mąż mój nigdy nie był szowinistą i w stosunku do Ukraińców zachowywał zawsze stosunek przyjacielski. Uważał, że trzeba im dać uniwersytet we Lwowie. Gimnazjum z językiem wykładowym ruskim było we Lwowie i były szkoły czysto ruskie, a w polskich, we wschodnich częściach, kraju, uczono też języka ruskiego. Zarządzenia te wydał minister oświaty dr Do-

* Tu dodam jeszcze taką wstawkę, że pani Michalina Mościcka była zupełnie wyjątkowej wartości osobą. Mądra, chętna do wszelkiej pracy dla drugih, skromna, była dla mnie wzorem kobiety.

Może od razu naświetlę sprawę powtórnego małżeństwa prezydenta Mościckiego. Pani Mościcka chorowała długo na serce, wiele miesięcy przed śmiercią nie wstawała z łóżka, a ostatnie miesiące spędziła w Spale. Była w Warszawie wtedy córka Helena (wdowa po inż. Wiślockim, następnie wyszła za Bobkowskiego) ale ona nie zajmowała się matką. Opiekowała się chorą bardzo troskliwie sekretarka Nagórna. Widziałam to na własne oczy, bo parę razy byłam w tym okresie i w Warszawie i w Spale, wzywana zawsze przez panią Mościcką. I tu chcę opowiedzieć rzecz mało znaną, odnoszącą się do Nagórnej. Mąż jej był adiutantem prezydenta. Pojechał też do Poznania, gdy prezydent był tam parę dni. W Poznaniu poznał jakąś ziemiankę (nazwiska nie pamiętam), zaczął się flirt (był zresztą znanym flirciarzem) tak, że gdy po tygodniu wyjeżdżał z Poznania, był już z tą panią zaręczony. Naturalnie nie przyznał się, że jest żonaty. Ale oprócz zaręczyn wziął od niej 30.000 zł na urządzenie mieszkania w Warszawie. Kiedy po paru tygodniach nie dawał znaku życia — pani ta napisała list do prezydenta.

Mąż mój był wtedy jeszcze premierem. Prezydent, jak zawsze, poprosił go do siebie, dał list do przeczytania i radził się, co robić. Uradzili, że przede wszystkim trzeba oddać pieniądze i usunąć Nagórnego z Zamku. Pieniądze dał Zaleski, minister spraw zagranicznych, bo mąż nie miał funduszu dyspozycyjnego, ale napisał i wysłał list do tej pani w imieniu prezydenta. Robiono to wszystko bardzo cicho, bo przecież był to wstyd nie lada. Nagórny został przeniesiony do Brześcia, a żona, dowiedziawszy się o tym wszystkim, rozstała się z nim. Została w Warszawie i zamieszkała ze świeżo owdowiałą synową państwa Mościckich (syn Franciszek umarł na tyfus brzuszny zarażony wodą ze studni zamkowej). Nie mając z czego żyć, Nagórna została sekretarką prezydentowej.

Widywałam ją i prezydenta i z całą stanowczością twierdzę, że między nimi nie było jakichś zbliżeń. Jestem bardzo wrażliwa na takie rzeczy, a w codziennym obcowaniu nie da się tego ukryć.

Ani mąż mój, ani ja nie byliśmy zachwyceni szybkim małżeństwem (pani Michalina umarła w lipcu, a następnego roku w maju odbył się ślub) ale tłumaczyliśmy to sobie tym, że prezydent siedział samotnie na Zamku otoczony tylko adiutantami. Jedyną kobietą, która się tam płała była Nagórna i tak jak bywa u starszych panów, popełnił głupstwo. Mąż był potem parę razy na Zamku w rozmaitych sprawach publicznych. Ja nie byłam tam więcej, bo nie chciałam widzieć zajętego miejsca pani Michaliny. Prezydent parę razy zapytywał męża, czemu tak unikam Zamku.

W opisie tym przedstawiam prawdziwy obraz sprawy często fałszowanej.

brucki za rządów mego męża. Dlatego mylnie twierdzi Naszkowski w swoich wspomnieniach, że nie mieli Ukraińcy swoich szkół.

W sprawach ukraińskich rozmawiał wiele razy z Piłsudskim, ale on się nie orientował w tych sprawach. Jak sam powiedział, polegał na informacjach Świtalskiego, który powinien był znać te stosunki bo był synem starosty z Rudek pod Lwowem. Tymczasem informacje te były fałszywe.

Stykaliśmy się bezpośrednio z Ukraińcami, mieliśmy letniskowy domek w Dorze koło Jaremca. Tak się jakoś utarło, że ile razy przyjeżdżaliśmy na wakacje czy na święta, przychodziło wielu Huculów z całej doliny Prutu do męża o radę, pomoc itp. Godzinami wysłuchiwał ich skarg, często słusznych (a czy dziś nasi biurokraci załatwiają wszystko jak należy? Dość posłuchać radia) pisał różne prośby i podania, nieraz nawet osobiście interweniował w starostwie w Nadwórnej lub w województwie stanisławowskim. Huculi mawiali: „przyjechał najwyższy *sudia*”.

Skoro już mowa o Ukraińcach, to zaznaczę, że i Hołówko i Pieracki zginęli, niestety ze wstydem trzeba to napisać, przez naślanych przez naszą policję ludzi. Potem były następstwa, które te sprawy naświetliły. Słusznie Naszkowski w swej książce atakuje sanację za te podłe metody, ale czy ma prawo sądzić innych on, który pierwsze lata po ostatniej wojnie był i jest w rządach, które tak strasznie gnębiły i maltretowały zupełnie niewinnych ludzi, choćby członków AK, no i każdego kto ośmielił się powiedzieć słowo krytyki o życiu u nas lub w ZSSR*.

Wracam do wydarzeń po demonstracjach na pogrzebie Kozaka w kwietniu. Nadszedł 1 maj, bardzo burzliwe demonstracje, a w parę dni potem, w połowie maja, odbył się zjazd, a raczej Kongres Pracowników Kultury. Obradował on parę dni, były wieczory autorskie, przemówienia, a w końcu, w ostatnim dniu,

* Po 1930 roku, kiedy byliśmy stale we Lwowie, przyjeżdżali prawie w każdą niedzielę rozmaici ludzie z Warszawy i prowincji. Dyskutowano, biadano nad rozmaitymi aktualnymi sprawami. I tak przyjechał Jah Zukotyński (pracował w Ministerstwie Rolnictwa), Adam Lorec (Lasy Państwowe), Jerzy Stempowski, obaj Bocheńscy (Adolf zginął pod Monte Cassino, a Aleksander jest w tej chwili współpracownikiem „Paxu”), obaj Pruszyńscy po powrocie z Hiszpanii (Ksawery już nie żyje, a Mieczysław pracuje gdzieś w dyplomacji). Z nimi razem, bo byli zaprzyjaźnieni i spokrewnieni bywał Piotr Borkowski. Przyjeżdżał też, ale już rzadziej, Juliusz Poniatowski. Ciekawe to były rozmowy i naprawdę wszyscy ci ludzie chcieli naprawy stosunków w Polsce.

Zachodził też często Włodzio Jampolski (redaktor *Kuriera Lwowskiego*), no i wydawcy *Sygnatów* Karol Kuryluk i jedna pani, której mąż miał fabrykę leków we Lwowie, sam doskonały matematyk. Mąż mój udzielał im różnych rad, a często dostawali trochę pieniędzy, kiedy ich pismo było w kłopotach.

zebranie w Teatrze Wielkim, które stało się wielką demonstracją komunistyczną.

Nastąpiły znów aresztowania. Wiem, że mąż znów jeździł do Warszawy. Udało mu się uwolnić Jampolskiego, Danę Wierzbiańską i kilka innych osób, ale dziś nazwisk nie pamiętam.

Mimo tego co robił był oburzony na komunistów, bo to że było ciężko i brak roboty, to nie uprawniało jakiegokolwiek partii do ciążenia do innego państwa, do apoteozowania ZSSR. To co się w Rosji działo wcale nie było zachęcające, o wolności mowy nie było, niechby spróbowano tam urządzać takie demonstracje! Nędza była straszliwa, a robotnicy pracowali tak ciężko, jak nigdy i nigdzie w krajach kapitalistycznych. Przekonał się o tym dobrze pocziwy i zacy profesor Dionizy Szymkiewicz (brał udział w tym kongresie), nasz wielki przyjaciel, zaraz po wejściu wojsk bolszewickich w 1939 roku. Mieszkał nawet u nas, ale o tym później.

Gdzieś pod koniec 1936 albo w początku 1937 roku odbyło się w naszym domu zebranie organizacyjne Stronnictwa Demokratycznego. Przygotowaniami zajmował się profesor Uniwersytetu Kulczyński, redaktor *Wieku Nowego* Łaskownicki i Gromski. Przyjechał z Warszawy prof. Michałowicz, który w Warszawie już przedtem zorganizował SD. Było ze dwadzieścia osób, dziś już wszystkich nazwisk nie pamiętam.

Naturalnie, gwałtownie namawiano nas oboje do wstąpienia do Stronnictwa, ale jak zawsze skończyło się na niczym. Nie nadawaliśmy się do zasklepienia w partii.

Miedzy 1930 a 1939 rokiem starano się jeszcze parę razy wciągnąć mego męża do rządu, ale stanowczo odmawiał.

Kiedy kończyła się kadencja prezydenta, Mościcki miał zamiar ustąpić i według konstytucji mógł wskazać swego następcę. Otóż po śmierci Piłsudskiego Sławek poszedł do prezydenta i zażądał, żeby ustępując jego naznaczył następcą. Mościcki odpowiedział: „Ja ustąpię, ale następcę już wybrałem, wskażę Bartlę”. Sławek tak to sobie wziął do serca, że odebrał sobie życie w parę dni po tym. Mężowi o rozmowie ze Sławkiem opowiadał sam Mościcki, gdy mąż pojechał na pogrzeb Sławka i był potem na Zamku, jak zwykle kiedy przebywał w Warszawie. Zaszczytu tego by nie przyjął, i nie przyjął kiedy mu Mościcki to oficjalnie zaproponował.

W czasie pogrzebu Sławka mąż siedł obok Ulrycha, ministra kolei (były legionista). Czuło się już zbliżającą się wojnę, już były przygotowania mobilizacyjne i mąż zapytał: „Jak kolej daje sobie radę z tym wzmożonym ruchem?”. Na to otrzymał odpowiedź, której nie mógł zapomnieć: „Cały mój wysiłek kieruję

w tym kierunku, żeby się nie martwić". Mali byli ludzie w tych ostatnich rządach. Jedyńą wybitną indywidualnością był ówczesny wicepremier Kwiatkowski. Człowiek wielkiego rozumu i nieskazitelnej uczciwości, ale sam jeden nie zawsze mógł przeprowadzać swoje plany.

Tak zbliżył się 1939 rok. Na wakacje nie wyjechaliśmy jak zwykle za granicę. Mąż nie chciał opuszczać Polski.

1 wrzesień wstrząsnął nami do głębi. Mąż zaraz 3-go zgłosił się do wojska, ale kazali mu czekać, bo nie mieli dla niego przeznaczenia. Tymczasem front się zbliżał i już 11 września wojska niemieckie znalazły się pod Lwowem. Bitwy były w najbliższych okolicach i trwało ciągłe bombardowanie miasta. Komendant miasta gen. Langner, prezydent miasta dr Ostrowski, wojewoda Biłyk zapraszali męża na narady. Przyjeżdżało wiele osób z Warszawy, wstępowali do nas. Z tych uciekających musieliśmy przyjąć do naszego domu 11 osób.

5 września przyjechał gen. Sikorski, był sam, długo radzili z moim mężem, a na drugi dzień także z prof. Kotem. Jechali do Rumunii i koniecznie chcieli, żeby mąż jechał z nimi, bo będzie tam potrzebny. Odmówił, bo twierdził, że przecież tu w kraju muszą zostać ludzie, którzy też na coś będą potrzebni. To samo powtórzył w dwa dni później, kiedy wojewoda Biłyk i prokurator Sądu Specjalnego Hirowski wyjeżdżali do Rumunii i koniecznie chcieli, żeby jechał z nimi.

Rano, gdzieś koło 5-tej godziny 17-go września zadzwonił telefon. To prof. Rubinowicz zawiadamiał, że wojska rosyjskie przekroczyły granicę Polski i posuwają się w głąb kraju. To był straszliwy cios, wiedzieliśmy, że teraz Polska leży ostatecznie. Naturalnie nikt nie wiedział, że między Niemcami i ZSSR został zawarty pakt (? Red.), a właściwie nowy rozbiór Polski. Dlatego zaczęła generalicja i zarząd miasta zastanawiać się, komu miasto poddać. Na debatach bywał też mój mąż.

Tymczasem koło Brzuchowic pod Lwowem zebrał jeszcze Sosnkowski rozbite jednostki i stoczył z Niemcami bitwę nawet pełną sukcesów. Cóż, kiedy do Lwowa zbliżali się bolszewicy i oddziały polskie musiały się rozproszyć. Część ich poszła na południe i przedarła się na Węgry, część została potem wyłapana przez wrogów. Do nas zgłosił się Sosnkowski. Mąż bojąc się, że nasz dom jest zanadto eksponowany, umieścił Sosnkowskiego u jednego ze swych asystentów. Potem dostał się generał do Rumunii. U nas z tej grupy pozostał tylko porucznik Szymborski, który później został zaliczony w poczet asystentów, a dziś jest profesorem na Politechnice Gdańskiej.

Dnia 22 września weszły do Lwowa wojska sowieckie. Strasz-

ny to był dzień. Przed wejściem tych wojsk gen. Langner i kilku oficerów sowieckich podpisali w Winnikach (miasteczko pod Lwowem) akt oddania Lwowa. W akcie tym było wyraźnie powiedziane, że żołnierze i oficerowie mogą złożyć broń i rozejść się do domów. Wiem o tym, bo akt ten czytałam, gdy gen. Langner przyniósł go do przeczytania memu mężowi.

Żołnierze rozeszli się. Oficerów poaresztowano i odesłano do Złoczowa do więzienia, później do Kozielska i Starobielska, a ostatecznie do Katynia.

Zaraz w dwa dni po wejściu Sowietów odbyła się u nas rewizja, szukano oficerów polskich, a przede wszystkim Sosnkowskiego, bo szpiegów i donosicieli było pełno. Tu muszę opisać człowieka, który sprowadził Rosjan do nas. Był to Ukraińiec, dozorca sąsiedniego domu, który do wojny zajmował konsulat niemiecki.

Ktoregoś dnia w czasie bombardowania niemieckiego staliśmy przed domem. W pewnym momencie przybiegło kilku żołnierzy, bo tuż za drzewami stały baterie polskie, chwycili tego dozorcę i ciągnęli do siebie. Mąż mój widząc to podszedł do nich i zapytał, co się stało. Powiedzieli, że dawał on znaki samolotom niemieckim (były takie wypadki). Mąż powiedział, że myśmy stojąc przed naszym domem cały czas go widzieli i że zachowywał się spokojnie. Musiał z nimi iść do komendanta baterii. Ten naturalnie uwierzył i puścił wolno tego Ukraińca, a mógł być przecie rozstrzelany, więc mąż uratował mu życie. I właśnie on sprowadził tę pierwszą rewizję. A w tydzień potem, gdy była w domu tylko córka, sprowadził znów żołnierzy rosyjskich, żeby zabrali pianino, bo było im potrzebne. Na moment wynoszenia pianina ja wróciłam do domu. Chwyciła mnie taka złość na tego drania, że chwyciłam go za kołnierz i zrzuciłam ze schodów wejściowych, krzyknęłam na żołnierzy i całe towarzystwo znalazło się za drzwiami.

Opisuję to dlatego, żeby pokazać, jak fałszywi byli Ukraińcy, i to nie był wyjątek, my sami i inni nasi znajomi odczuliśmy to w straszny sposób w czasie wojny.

Szły coraz cięższe i groźniejsze dni. Zaczęło się wywożenie policji, sędziów, prokuratorów i ich rodzin. Przyszła wiosna 1940 roku, wtedy to wywieziono rodziny poprzednio wywiezionych, starców, małe dzieci, bez różnicy. Wysiedlono kilkadziesiąt wsi i wszystko w imieniu czego? W jak strasznych warunkach żyli ci ludzie i jak zostali zdziesiątkowani przez głód i choroby, to wiemy dobrze.

Było tych nieszczęśników kilka milionów. Zabrali wtedy Stanisława Grabskiego, dr. Bolesława Drobnera z żoną (znalazł się we Lwowie jako uciekinier), gen. Zaruskiego z żoną — gene-

rał tam zmarł — i wielu innych cenionych ludzi. Ostatnia taka wywózka była 29 czerwca 1940 roku. Byli to wszystko uciekinierzy z zachodu. Odbyla się we Lwowie wspólna narada delegatów niemieckich i rosyjskich w sprawie powrotu tych ludzi do ich miejsc stałego zamieszkania. Rosjanie chcieli wszystkich odebrać, Niemcy nie chcieli powrotu Żydów. Ostatecznie, po kilku posiedzeniach, wyszedł oficer rosyjski i oznajmił czekającym (a było ich zawsze setki przed tym domem przy ulicy Orzeszkowej): idźcie do domu, przyjedziemy po was samochodami i odwieziemy was na kolej. Naturalnie każdy myślał, że pojedzie do domu, tymczasem powieźli ich na wschód. Od nas też zabrali dwóch mężczyzn, którzy się u nas przechowywali. Byli to Ślązacy, żołnierze z obrony Lwowa. Oburzenie i przygnębienie ogarniało wszystkich.

Mąż wykladał na Politechnice po polsku, chociaż znaleźli się już tacy, którzy wykładali po ukraińsku lub rosyjsku. Żyliśmy w ciągłym napięciu nerwów, bo nie wiadomo było co dzień, a raczej noc przyniesie, bo aresztowano zawsze w nocy.

Tak też było w nocy z 9 na 10 grudnia 1940 roku. Zjawiło się u nas kilku oficerów rosyjskich i zaczęli przeprowadzać rewizję. Niełatwa to była rzecz przeprowadzić u nas rewizję. Biblioteka zawierała ponad 3.000 książek i kilka tysięcy fotografii, które ich specjalnie interesowały. Były to zdjęcia rozmaitych dzieł sztuki, które mąż zbierał jako przykłady do drugiego tomu „Perspektywy malarskiej” oraz zdjęcia prywatne, ponieważ był namiętnym fotografem.

Przed wszystkim jednak z szafki nocnej zabrali złoty zegarek męża i z biurka wszystkie ordery, bo były to duże błyszczące gwiazdy i krzyże rozmaitych zagranicznych odznaczeń.

Tu dodam, że mąż otrzymał w roku 1938 order „Białego Orła”, najwyższe polskie odznaczenie. Miało je tylko 7 Polaków, między innymi Witos. Z zagranicznych odznaczeń mąż miał Wielką Wstęgę francuskiej Legii Honorowej. Inne — były to rozmaite nadania kurtuazyjne z racji oficjalnych wizyt. Zawiedli się Rosjanie na wartości tych odznaczeń, bo były to tylko ładne blaszki.

Z mego pokoju wzięli tylko wszystkie pieniądze jakie miałam w torebce. Wiadomo było, że w czasie rewizji kradną, ale na to nie było rady. Pokręcili się z godzinę, kazali ubrać się mężowi i zabrali go ze sobą. Na zapytanie dokąd go wiozą, odpowiedzieli „na Sapigę” (na Sapiehy), ale i to było kłamstwem, bo powieźli go na Kazimierzowską. Były to dwa znane więzienia. O 9-tej godzinie rano, gdy siedzieliśmy razem z moimi uciekinierami zgnębieni i radziliśmy co robić, powrócił mąż. Odprowadzał go ko-

mendant GPU. Ten jeszcze pooglądał sobie nasze mieszkanie, żołnierz przyniósł z samochodu ordery, ale mąż upomniał się o zegarek. Obiecał, że każe odnieść. Naturalnie nigdy go nie oddali, chociaż mąż chodził dwa razy do komendanta w tej sprawie. Nie chodziło nam o zegarek, ale o zawstydzenie ich. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, dlaczego aresztowano i dlaczego zwolniono wtedy męża. Tej samej nocy aresztowano również profesora Uniwersytetu Kazimierza Ajdukiewicza i jeszcze jednego, i ich także wypuszczono.

W lecie tego roku zwróciły się władze rosyjskie z Ministerstwa Oświaty z Moskwy, aby mąż napisał podręcznik geometrii wykreślnej i w tej sprawie przyjechał do Moskwy. Mąż nie miał ochoty jechać. Odpowiedział, że nie zna języka i może pisać tylko po polsku. Prosi o pisemne wskazówki, jakiego rodzaju i dla kogo ma być ta książka; czy ma to być szkolny podręcznik? Nie pomogło. Kategorycznie zażądano, by jechał do Moskwy i dano mu jako tłumacza profesora Politechniki Krukowskiego (urodzony w Królestwie, uczył się w szkołach rosyjskich i znał język doskonale).

W Moskwie zażądano napisania „geometrii wykreślnej, takiej wielkiej jakiej nie ma w żadnym języku”. Po dwóch czy trzech dniach rozmów kazano prof. Krukowskiemu wracać do Lwowa, a męża zatrzymano. Nie był aresztowany, mieszkał w porządnym hotelu „Moskwa”, ale wychodzić mógł tylko z przydzielonym mu tłumaczem. Przychodzili jacyś ludzie z NKWD. Zaczęło się wypytywanie: czy ludzie we Lwowie są zadowoleni? Co im się podoba, a co nie? itp. Przez parę dni rozmawiali, a potem kazali wszystko co mąż mówił napisać. Nie oszczędzał krytyki i jak zawsze pisał to co myśli.

Trwało to tydzień. Po tygodniu przyszedł jakiś dygnitarz, powiedział: możecie jechać do domu, a tam wszystko co wam się nie podoba będzie zmienione. Rzeczywiście wypuścili męża, powrócił, naturalnie nic nie było zmienione. Także tym razem nie wiadomo było, po co ścigali go do Moskwy, czemu zatrzymali i czemu puścili.

Czas płynął, a życie było bardzo smutne i ciężkie. Gdzieś z końcem stycznia 1941 roku przysłał Sikorski dwóch oficerów, którzy przeszli przez Karpaty, aby mąż poszedł z nimi. Prosił, bo koniecznie go tam potrzebuje mając ciężkie przeprawę. I znów odmówił, uważał, że byłoby tchórzostwem w tych ciężkich chwilach odchodzić z kraju.

4 lutego 1941 roku szliśmy rano, ulice były nie posypane, mąż pośliznął się, upadł i złamał nogę w biodrze. Złamanie było ciężkie i zabrano go do kliniki prof. Grucy. Zaopiekowano się

nim bardzo serdecznie, a już prof. Gruca nie szczędził trudu i czasu, aby go jak najprędzej postawić na nogi. Niestety, trzeba było operacji i zastosowano, nowość w tych latach, wbicie gwoźdźcia z nierdzewnego metalu i złączenie w ten sposób nogi z biodrem. Spreparowaniem takiego gwoźdźcia zajęli się koledzy na Politechnice, a specjalnie prof. Sokolnicki i Krukowski.

Ostatecznie w połowie marca mąż wrócił do domu, ale chodzić jeszcze nie mógł. Powoli uczył się poruszać o dwóch kulach. Parę razy, już w czerwcu, wyszedł parę kroków przed dom, ale ciągle chodził z wielkim trudem.

Nadszedł dzień 22 czerwca 1941 roku. Dzień wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej. Znów bombardowanie. Mieszkaliśmy między cytadelą a szkołą kadecą, gdzie wtedy znajdowały się koszary rosyjskie, więc były ciągle naloty w najbliższej okolicy naszego domu.

Tak przeszedł tydzień. 1 lipca rano zaczęły wchodzić do miasta oddziały niemieckie. Wojska rosyjskie wycofały się na szczęście bez bitwy. Zaraz w tym samym dniu zostały na mieście rozlepione nakazy i zakazy. Między innymi był rozkaz, aby 2 lipca wszyscy stawili się w miejscach pracy.

Wieczorem (pewno tak między 8-mą i 9-tą godziną) zadzwonił dzwonek wejściowy. Poszłam sama otworzyć i ku swemu przerażeniu zobaczyłam dwóch oficerów niemieckich i auto stojące przed domem. Zaczęli od pytania, czyj to dom, a potem powiedzieli, że szukają kwatery i chcą się widzieć z mężem.

Tu muszę wtrącić że trzy pokoje były na dole, wewnętrzna klatka schodowa prowadziła na piętro i tam była pracownia mego męża, biblioteka, sypialnia i pokój córki. Pokoje na dole oddaliśmy w grudniu dla przysłanego z Moskwy tłumacza do owej „geometrii”. Był to Polak, inż. Szklarski (dziś profesor AGH w Krakowie) i wraz z żoną zamieszkali u nas. W jednym pokoju mieszkał profesor Politechniki Szymkiewicz. Prof. Szymkiewicz miał dom w Zimnej Wodzie i tam stale mieszkał, ale wtedy, w czasie utrudnionej komunikacji, prosił o kąt u nas.

Wracam do właściwego tematu, otóż ci oficerowie powiedzieli, że chcą się widzieć z mężem. Poprosiłam ich na górę, tłumacz, dlaczego on zejść nie może.

Tu muszę jeszcze jedną wstawkę dać, bo to tłumaczy ówczesny nastrój*.

Kiedy Niemcy weszli na górę, przeszli w holu przez biblio-

* Nie wszyscy wiedzą, że wojska sowieckie przed opuszczeniem Lwowa wymordowały wszystkich więźniów. Nie tylko we Lwowie, ale we wszystkich miasteczkach aż do granicy rosyjskiej. Byli to nie tylko więźniowie poli-

tekę, którą spojrzeniem zlustrowali, weszli do gabinetu męża, razem z nim był tam Szklarski, więc natychmiast zapytali, kto to jest. „Mój asystent” — padła odpowiedź. Po paru nieistotnych pytaniach zdecydowali się na dalsze oględziny mieszkania. Przez nasz pokój sypialny przeszli do zamkniętych drzwi do pokoju córki. Znam dobrze język niemiecki, więc im powiedziałam, że tam rozbierają się do snu dziewczynki. Otworzyli jednak drzwi. Stały tam obie strwożone w nocnych koszulach. Jeden zapytał ostro, kto to? Moje córki, odpowiedziałam bez wahania. *Beide?* (obie?). Ze stanowczością odpowiedziałam: „*Ja, beide.*”

Przypuszczam, że mieli o nas dokładne wiadomości i wiedzieli, że mamy tylko jedną córkę, ale jakoś nie zareagowali. Nie oglądając już pokoi na dole wyszli. Jakoś jednak zrobiło nam się wszystkim ciężko na duszy.

Na drugi dzień, 2 lipca 1941 roku mąż postanowił zastosować się do zarządzenia i poszedł na Politechnikę, pierwszy raz od złamania nogi.

Wykładał w gmachu głównym, a gabinet i salę ćwiczeń miał przy ulicy Sapiehy 45. Politechnika posiadała wtedy kilka filii. Ponieważ z trudem chodził o kulach, musiałam odprowadzić go i oddać w ręce asystentów. Posłałam na miasto załatwić jakieś sprawy. Przede wszystkim posłałam do kościoła, bo miałam uczucie, że spotka mnie coś złego. Wyobrażałam sobie, że będzie jakieś bombardowanie i zginę.

Po dwóch może godzinach wróciłam do domu i zastałam u wejścia żołnierza niemieckiego. Powiedziałam mu, że jestem gospodynią tego domu, na co mnie wpuścił i patrząc na zegarek powiedział: „Za 10 minut macie opuścić dom”.

Gdy weszłam do przedpokoju, obie służące rzuciły się na mnie, wołając „pana zabrali”. Od nich i od córki dowiedziałam się, że w jakąś godzinę po naszym wyjściu przyjechali ci wczorajsi oficerowie. Pytali o męża, a gdy dowiedzieli się, że poszedł na

tyczni. W samym tylko Lwowie ponad 400 osób siedziało za spóźnienie się do pracy. Za 5 minut spóźnienia było pół roku więzienia. Wiedziałam o tym, bo byłam w organizacji, starałyśmy się podawać żywność, ubranie, no i potrafiłyśmy ostatecznie dostać i wiadomości.

Otóż Niemcy zastali więzienia pełne trupów, już nawet rozkładających się, bo było bardzo gorąco. Jak oni to zorganizowali, pozostanie dla mnie zagadką, ale popalali i spędzili Żydów i kazali im sprzątać. Złapali także koleżankę naszej córki, obie były uczennicami, jakby dziś nazwać, Liceum Graficznego. Sprzątała cały dzień w pobliżu naszego domu to sławne więzienie przy ulicy Łuckiego. Przed wieczorem (wtedy jeszcze nie zdołali urządzić obozu dla Żydów) kazali im iść do domów. Biedna Kira Aszkenaze mieszkała daleko, na Łyczakowie; przyszła do nas niełudzko zmęczona, głodna i przerażona z prośbą o przytułek. Naturalnie, wykąpana i nakarmiona zamieszkała w pokoju córki, gdzie miała razem spać.

Politechnikę, kazali córce wsiąść z nimi do samochodu i zawieźć się tam, gdzie mąż pracuje.

Gdy dziś myślę o tym, zdaję sobie sprawę, że córka była zakładnikiem. Bo gdy przyjechali na miejsce, jeden oficer wysiadł, drugi został z córką. Od asystentów dowiedziałam się potem, że siedzieli w sześciu w gabinecie męża i rozmawiali. W pewnym momencie wszedł Niemiec i wprost zapytał męża: *Sie sind Bartel?* Na twierdzącą odpowiedź padło: *Kommen Sie mit* i wyszli. Wsiadli do auta i pojechali na ulicę Pełczyńską. W budynku tym za czasów polskich była dyrekcja elektrowni, za bolszewików NKWD, a teraz gestapo. Męża zabrali do środka, a córce kazali iść do domu.

Biedulka przerażona przybiegła do domu, gdzie zastała jakichś Niemców, którzy powiedzieli, że za godzinę mamy opuścić dom. Wolno nam zabrać tylko osobiste rzeczy, pościel i parę łyżek, noży i widelców — nic więcej. Zaczęła pakować jakieś rzeczy, nawet dość przytomnie jak na taki moment. Ja przyszedłam dziesięć minut przed opuszczeniem domu*.

Wracam do głównego tematu. Wchodząc do domu starałam się nad sobą panować, ale byłam na pół przytomna. Oficer, który był w gabinecie męża powiedział do nas: *Jetzt müssen Sie das Haus verlassen*. Zabrałyśmy walizki i wyszły przed dom zupełnie bezradne. Służącym Niemcy kazali pozostać, powiedzieli, że są im potrzebne. Kiedy tak stałyśmy, nadeszli wszyscy asystenci zatrwożeni o nasz los. Inż. Szklarski z żoną też zostali na bruku. Jak na zawołanie nadeszła żona profesora Grucy.

Przyszła mi podziękować za truskawki posłane jej poprzedniego dnia. Mieliśmy koło domu mały ogródek kwiatowy, ale klomby z kwiatami obsadzałam zawsze poziomkami i truskawkami. Wtedy właśnie dojrzały pierwsze truskawki i z wdzięczności za opiekę, jaką prof. Gruca otaczał męża, posłałam im pierwsze owoce.

Pani profesorowa zobaczywszy nas pod domem i usłyszawszy

* Tu muszę dodać, że dwa dni przed atakiem hitlerowskim dał nam znać administrator domów nieznacjonalizowanych (tym przywilejem cieszyli się profesorowie), że NKWD zbiera adresy profesorów i że w najbliższych dniach mają nas wywieźć do Rosji. Pociągi były już przygotowane na dworcu Podzamcze. Co prawda my właśnie zamierzaliśmy się starać o znacjonalizowanie naszego domu, bo nakładali takie podatki, że nie mogliśmy już płacić. Wysprzedawaliśmy różne rzeczy, suknie wizytowe i wieczorowe, które z zapalem wykupywały Rosjanki. Nosiły je od samego rana i widywało się damy z koszykiem w wieczorowej sukni i w walonkach, bo było błoto. Na wiadomość od administratora spakowałam trzy duże walizy najpotrzebniejszych rzeczy. Wiedziałam już z listów wywiezionych, jaka tam nędza i co tam najpotrzebniejsze.

co się stało z mężem, zaproponowała bez wahania byśmy szły do ich domu. Mieli w śródmieściu dom jednorodzinny. Na drugim piętrze były dwie garsoniery. Jedna wtedy była próżna i tam ulokowałyśmy się i przez długi czas jadałyśmy obiady u Gruców.

Na drugi dzień rano wzięłam ręcznik, mydło i parę domowych pantofli i poszłam do gestapo przy ulicy Pełczyńskiej, dokąd męża zawieźli. Na portierce czy wartowni stało trzech żołnierzy. Zwróciłam się do nich prosząc, czy nie mogłabym podać przyniesionych rzeczy, tłumacząc, że mąż ma spuchniętą nogę. W czasie tej rozmowy nadszedł oficer i zapytał, czego chcę.

Wy tłumaczyłam mu, a on na to, że dobrze, że przyszłam. Wczoraj mąż nie miał co jeść i on mu kazał posłać obiad od siebie. Kazał mi odtąd codziennie przynosić jedzenie na cały dzień. Rzeczy, które przyniosłam kazał żołnierzowi zaraz doręczyć.

Dodam, że wtedy był uwięziony tylko mój mąż i nie było jeszcze żywienia więziennego.

Przy pomocy zacnej pani Grucowej natychmiast zaczęłam zestawiać obiad. (Sklepy przez te dni były pozamykane i kupienie czegokolwiek było prawie niemożliwe). Dostałam od pani Grucowej termos na herbatę i już po 12-tej byłam znów na Pełczyńskiej. Miałam wyznaczony czas między 12-tą i 1-szą godziną.

Odtąd codziennie przychodziłam z obiadem, który natychmiast zanoszono. Ja czekałam na próżne naczynia i kartkę od męża. Pisał po niemiecku i prosił o różne rzeczy. Nie wiedział, że nas wyrzucono z domu. Pozwolono podawać mu nawet żyłtki. Przynosiłam gazety i książki matematyczne. Po paru dniach dostałam, prócz paru słów po niemiecku, dłuższy list po polsku ukryty między naczyniami. Któregoś dnia poprosił, abyśmy o oznaczonej godzinie spacerowały po ścieżce, która prowadziła z naszego domu przez parczek, na którą to ścieżkę wychodziły okna celi, w której mąż był więziony.

Poszłyśmy. W jednym z zakratowanych okien na parterze stał mąż. Przeszłyśmy parę razy. Przyznam się, uciekałam stamtąd, bo myślałam, że zacznę krzyczeć. Byłyśmy tam dwa razy, a gdy przyszłyśmy trzeci raz, zauważyłyśmy wielki ruch koło więzienia. Była to już oficjalna siedziba gestapo.

Kiedy zaszłyśmy na Pełczyńską, zobaczyłyśmy, że wyprowadzają ludzi i wsadzają do aut. Byłyśmy przerażone, ale stać i patrzeć nie było wolno. Było to już 23 lipca, w ten dzień obiadu nie przyjęto ku mojej rozpaczy. Na drugi dzień całkiem rano poszłam — już się trochę wyznawałam w dygnitarzach — do dyrektora więzienia (nazywał się Michaelis) z zapytaniem, dlaczego nie mogłam wczoraj oddać obiadu. Przyjął mnie bardzo uprzej-

mie. Zresztą muszę powiedzieć, że tak żołnierze jak i oficerowie odnosili się do mnie z wyjątkową uprzejmością, co mnie mocno dziwiło.

Michaelis powiedział, że wszystkich uwięzionych przeniesiono do więzienia na Łąckiego (właściwie front tego więzienia wychodził na ulicę Sapiehy), oddalonego o jakieś 100 metrów od budynku gestapo. Kiedy poprosiłam go o przepustkę powiedział, że zatelefonuje i mogę śmiało tam iść, nie będą stawiać mi przeszkód.

W południe zaniósłabm obiad, wpuszczono mnie. Na bramie stał żołnierz czarno ubrany, Ukrainiec banderowiec, nawet o nazwisko zapytał mnie po ukraińsku. Jak zwykle dostałam naczynia z powrotem. I tak było 24 i 25 lipca. Kiedy jednak przyszłam 26 i zbliżyłam się do wartownika chcąc wejść, ten zastawił mi wejście nogą i powiedział *ne wilno*. Nie pomogły tłumaczenia, odwoływanie się na pozwolenie — nie wpuścił.

Natychmiast poszłam do Michaelisa, ale była już godzina 1-sza, a że była to sobota, to od 1-szej godziny już nie urzędowali. Trzeba było czekać do poniedziałku*.

W poniedziałek, a więc 28 lipca poszłam zaraz o godzinie 8-ej

* Idąc wtedy w sobotę z obiadem do więzienia, spotkałam znajomego, dawnego urzędnika policji polskiej, który mi powiedział: Ach wie pani, profesora dziś do dnia wywieziono razem z doktorem Żydem (nazwiska nie pamiętam, był dyrektorem zakładu kulparkowskiego dla umysłowo chorych). Ten mój znajomy na pewno miał w więzieniu znajomych dozorców. Może nawet wiedział, po co ich wywieziono, ale nie miał odwagi mi powiedzieć.

Tu muszę zaznaczyć, że teraz, kiedy zrobiono tyle hałasu wokół Oberländera, trzeba powiedzieć, że tak z aresztowaniem jak ze śmiercią Kazimierza Bartla nie miał nic wspólnego. Natomiast aresztowanie wszystkich innych profesorów lwowskich już zostało pewno zorganizowane przez niego, przy wydatnej pomocy Ukraińców, tak zwanych banderowców. Aresztowanie to odbyło się w nocy z 3 na 4 lipca. Wszystkich aresztowanych, a było ich 38 osób, zawieziono do bursy, tuż koło dawnej szkoły kadeckiej. Wpuszczono tylko prof. Groera, kucharkę i lokaja prof. Tadeusza Ostrowskiego. Wszystkich innych rozstrzelano tej samej nocy w ogrodzie szkoły kadeckiej. Widział to ze swych okien przy ul. Stryjskiej asystent prof. Bratry. Powiedział to jemu, a profesor mnie powtórzył. Na wiadomość o aresztowaniu daliśmy jeszcze w nocy znać pani Jagiełłowej, która mieszkała naprzeciw bursy i tam dyżurowano przy oknie cały dzień następny. Tył domu wychodził na ogród szkoły kadeckiej. Mylna jest wiadomość, że zostali oni rozstrzelani na stokach góry wuleckiej; w ten dzień już od 4-tej rano przychodzili do mnie żony profesorów i ja goniłam wszędzie, gdzie nikt nie miał odwagi iść. Byłam więc koło 10-tej rano na stokach Wulki. Istotnie, w jednym miejscu, na przestrzeni jakichś 3 × 4 metrów, była zdjęta darń. Ale ziemia nie była ruszona i była zupełnie równa. Przecież miejsce gdzie by zagrzebano 35 osób choćby polane wapnem (jak mówiono) musiałoby tworzyć wysoki kopiec, no i ziemia byłaby rozsypana po trawie, a tego tam nie było.

do Michaelisa. Kiedy weszłam do pokoju uderzyła mnie jego niezwykła uprzejmość z jaką podsunął mi krzesło i prosił żebym usiadła. Na moje zapytanie, czemu nie wolno mi było podać obiadu — powiedział: „Jestem upoważniony zawiadomić panią, że mąż jej przed dwoma dniami został rozstrzelany”.

Odruchowo wstając zapytałam: *Warum?* A on mi na to powiedział: „On był największym komunistą”. W odpowiedzi usłyszałam: „Mąż mój był takim komunistą jak pan, jak ja i jak Hitler”. Ale w tym momencie już mi sił zabrakło, osunęłam się bezwładnie na krzesło, byłam bliska omdlenia. Widocznie zrobiło to na nim wrażenie, bo zwyczajem niemieckim klepał mnie po ramieniu mówiąc: „Niech się pani uspokoi, mnie bardzo przykro, ja tu nie jestem winien, ja — mały człowiek, który musi wykonywać rozkazy”. Podał mi depeszę: „To jest rozkaz Himmlera”. Depeszy tej nie miałam siły przeczytać, zobaczyłam tylko podpis Himmlera.

W jakiś czas potem wyszedł z więzienia (do dziś nie wiem dlaczego) pan Antoni Stefanowicz, znajomy nasz i zawiadomił mnie, że od męża żądano, by utworzył polski rząd prohitlerowski. Mąż odmówił i wtedy nastąpił koniec⁶.

Chcę wspomnieć o sprawie książki mego męża. Jak pisałam, w dniu wybuchu wojny były już w druku ostatnie arkusze drugiego tomu „Perspektywy malarskiej”. Ponieważ mąż tyle trudu w tę pracę włożył i przywiązywał taką wagę do wydania tej książki, postanowiłam wydostać manuskrypt drugiego tomu znajdujący się w domu. Toteż w parę dni po aresztowaniu męża i wyrzuceniu nas z domu poszłam do gestapo i poprosiłam szefa o zwrot manuskryptu. Określiłam gdzie leży, jak wygląda itd. Naturalnie wypytywał czy to polityczne (perspektywa malarska!!!) i obiecał, że każe poszukać. Na dowód „niepolityczności” przyniosłam mu na drugi dzień pierwszy tom w tłumaczeniu niemieckim, pożyczony od asystentów. To go uspokoiło, ale — rękopisu nie było.

Przychodziłam codziennie, aż się dziwiłam, że mnie nie wyrzuca za drzwi. Cierpliwie odpowiadał „jeszcze nie ma”, „proszę przyjść jutro”, lub „po południu” i ja przychodziłam. Byłam tam chyba kilkadziesiąt razy. Już w tydzień po śmierci męża przyszedłam jak zwykle i zobaczyłam na biurku znany mi stos teczek.

Oddał mi je ze słowami, iż sprawia mu przyjemność, że

6. Mimo, że opinie pani Bartłowej, wypowiedziane w tym odcinku jej wspomnień, nie zgadzają się z opiniami ludzi, którzy sprawę morderstwa profesorów lwowskich zbadali dogłębnie — podaję treść bez zmian.

może dla mnie choć tyle zrobić. Dodał na końcu, że jest Austriakiem.

Przypuszczam, że zwrot trwał tak długo, bo w naszej bibliotece zrobiono dokładny „porządek”. Naukowe rzeczy, a były bezcenne stare egzemplarze, spakowano i wywieziono razem z meblami do Berlina. Książki polityczne i beletrystyczne wraz z prywatnymi papierami spalono na podwórzu naszego domu.

Z tego całopalenia uratowali studenci Politechniki Żydzi część zbiorów fotografii, które przynieśli do mnie. Biedacy, zrobili to z narażeniem życia, więc jestem im wielce wdzięczna.

Na temat śmierci mego męża i innych profesorów Politechniki Lwowskiej napisano masę pamiątek i opisów. Niektóre są wprost kłamstwem. Dlatego, choć w skrócie, opisałam te wszystkie sprawy.

Maria BARTŁOWA

PRACE PROFESORA BARTŁA

Prof. dr inż. Kazimierz Bartel ogłosił drukiem następujące prace naukowe i podręczniki:

1. *O pewnym zastosowaniu metody aksonometrii do perspektywy środkowej*, „Czasopismo Techniczne”, Lwów 1909.
2. *O utworach szeregów i pęków inwolucyjnych*, Czasopismo matematyczno-fizyczne „Wektor”, Warszawa 1911.
3. *O utworach inwolucyj stopnia czwartego*, „Prace matematyczno-fizyczne”, Warszawa 1912.
4. *Kilka uwag o tzw. perspektywach równoległych*, „Czasopismo Techniczne”, Lwów 1912.
5. *Géométrie. Sur une méthode géométrique de formation de quelques surfaces réglées d'ordre supérieur*. „Comptes rendus des séances de l'Académie des sciences”, Tom 158, Paris 1914.
6. *O perspektywie De La Fresnaye*, „Czasopismo Techniczne”, Lwów 1931.
7. *Perspektywa intarsji (włoskiej) w okresie wczesnego renesansu*, Kraków 1931, Drukarnia Narodowa.
Wolff — Warszawa, Niemierkiewicz — Poznań.
8. *Geometria wykreślna*. Lwów 1919. Książnica — Lwów, Gebethner i Wydanie drugie: Książnica — Atlas, Lwów-Warszawa 1922.
9. *Geometria rzutów cechowanych i pewne jej zastosowania*, Warszawa, E. Wende i Ska, 1914.
10. *Rzuty cechowane*, Książnica — Atlas, Lwów-Warszawa 1931.
11. *Kotierte Projektionen (deutsch herausgegeben von Dr Wolfgang Haack)*, B. G. Teubner — Leipzig u. Berlin 1933.
12. *Perspektywa malarska. Zasady — Zarys historyczny — Estetyka*. Tom I. Książnica — Atlas, Lwów-Warszawa 1928 (Nauka i Sztuka, Tom XVIII).
13. *Malerische Perspektive. Grundsätze — Geschichtlicher Überblick-Asthetik. Bd. I (deutsch herausgegeben von Dr Wolfgang Haack)*. B. G. Taubner — Leipzig u. Berlin 1934.
14. *Perspektywa malarska*, tom II. Instytut Wydawniczy, Warszawa 1958.

PIERWSZY ROK WOJNY (II) (Fragment wspomnień)

W OKUPOWANEJ WARSZAWIE

Piątek 6 października. Noc przespana w wygodnym łóżku. Życie domowników koncentruje się w pokoju Bolka, w którym teraz mieszka mama. Ten pokój sąsiaduje z kuchnią, gdzie rezyduje nasza kucharka Ewa, uważana przez nas wszystkich za członka rodziny. W kuchni pali się węglem, gdyż gaz nie działa. Nie działają również telefony i nie kursują tramwaje. Wybite okna zatykamy tekturą. Jest piekielnie zimno, po gorącym wrześniu szybko następują chłody.

Wychodzę po raz pierwszy na miasto i zaczynam się uczyć, jak żyć w tych radykalnie zmienionych warunkach. Na ulicach, zwłaszcza w śródmieściu, ogromny ruch. Wszędzie widzi się mundury niemieckie różnego typu i koloru. Chodzą przeważnie grupkami i wciąż robią zdjęcia spalonych budynków. Rej wiodą lotnicy, którzy widocznie chcą utrwalić na chlubną pamiątkę wrześniowe osiągnięcia. Zniszczenia są duże, na jezdniach leżą trupy końskie i rozbite wagony tramwajowe. Prawie wszystkie sklepy zamknięte, ale już widać sporo straganów. Największym powodzeniem cieszą się papierosy. Na murach rozlepiono pierwsze niemieckie obwieszczenia. Najbardziej rzucają się w oczy kolorowe afisze dużych rozmiarów, przedstawiające rannego żołnierza w polskim mundurze wskazującego zgłiszcza miasta, napis: „Anglio, to twoje dzieło”. Już za kilka dni doczepiane są na tych afiszach kartki z lakonicznym zdaniem: „A Marszałek Piłsudski powiedziałby: mam was w d....”.

Spotykam sporo znajomych, odwiedzam przyjaciół. Każdy opowiada o swoich przejściach w okresie ostatniego miesiąca. Dzielimy się wiadomościami o tych, co już podobno zdołali się przedostać na zachód lub zostali oddzieleni nową granicą sowiecką na Bugu. Idziemy z Bolkiem ul. Twardą na Plac Kazimierza, który okazuje się centrum informacji o zaginionych i swojego rodzaju pocztą. Ściany są oblepione tysiącami kartek, na których ludzie poszukują swoich bliskich i podają adresy, albo informacje, że „X” w niedzielę wyrusza do Wilna, może zabrać wiadomości i w tym celu prosi, aby zgłaszać się na taki i taki adres. Ruch

olbrzymi. Nawiązują się szybko przygodne rozmowy, rozchodzą błyskawicznie przeróżne plotki. Nie było mnie w Warszawie tylko miesiąc i obserwuję, jak przez ten krótki czas miasto i ludzie się pozmieniają.

Szybko się orientuję, że centrum życia warszawiaków stały się kawiarnie, których z dnia na dzień przybywa. Tu można się spotkać, dowiedzieć ostatnich wiadomości, zastanowić nad przyszłością, pohandlować itp. W Café Clubie na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata odbywają się nasze pierwsze spotkania, na których dyskutujemy zasadniczy w tej chwili dla nas temat: czy starać się iść przez „zieloną granicę” na Węgry, czy pozostać na miejscu. W pierwszych rozmowach biorą udział Janek i Jurek Strzelecki, Kot Dowbór-Muśnicki, Zygmunt Nagórski, Leszek Sadowski i inni. Zdania są podzielone. Za wyjściem na zachód najwyraźniej opowiada się Zygmunt Nagórski. Trudno mu się dziwić, gdyż przez jakiegoś znajomego Szweda dostał wiadomość, że jego rodzice i jego niedawno poślubiona żona są w Paryżu. Jurek Strzelecki również chce iść na zachód i nawet daje Zygmuntowi trochę dolarów, które zostaną przekazane przez Szwecję i będą na niego czekały, gdy ewentualnie szczęśliwie dojrnie do wojska we Francji.

Najbardziej negatywnie do tego projektu odnosi się Bolek, który twierdzi, że najwięcej możemy zdziałać tutaj na miejscu. Wie on już, że zaczyna się tworzyć podziemie, ma też odpowiednie kontakty. Prowadzi mnie na pierwsze zebranie, które odbywa się gdzieś na ul. Filtrowej. Zbierają się tam starzy koledzy z przedwojennego miesięcznika młodzieżowego „Orka Na Ugorze” i ze „Związku 13-go Maja”. Wśród obecnych są: Kazimierz Kott, Gustaw Herling-Grudziński, Jan Lipiński, Jan Strzelecki, Kazimierz Koźniewski, Jan Sterling, mój brat Bolesław, ja i wodzący rej Jerzy Drewnowski. Chyba na tym właśnie zebraniu powołana została do życia tajna organizacja PLAN. Działalność PLAN-u, jego krótki żywot i tragiczny koniec opisał dokładnie w *Nowej Kulturze* nr 7 (360) z 17 lutego 1957 roku Jerzy Drewnowski. Nie będę się więc tu na ten temat rozpisywał, wspomnę jedynie, że nie wszystkim tam obecnym odpowiadały niezwykle teoretyczne i skrajne poglądy wypowiadane przez niektórych. PLAN był jednak od pierwszej chwili powiązany z ośrodkami wojskowymi, a więc z działającą już Służbą Zwycięstwu Polsce przekształconą wkrótce w Związek Walki Zbrojnej (ZWZ). Organizacja PLAN rozwijała się szybko. Już w kilka tygodni po pierwszym zebraniu spotykam na Nowym Świecie Jurka Drewnowskiego, który z tryumfem, na oczach licznych przechodniów, otwiera grubo wypchaną teczkę i wręcza mi do kolportażu pierw-

szy numer pisma PLAN-u zatytułowany „Polska Ludowa”. Zasady konspiracji nie były jeszcze rygorystycznie stosowane.

Daleko lepiej poczułem się na innym spotkaniu, na które również zaprowadził mnie Bolek. Miało ono miejsce gdzieś w pobliżu gmachu sejmowego, chyba na Wiejskiej. Leon Stachurski był tu osobistością dominującą. Poznałem tam jego młodszego brata. Związani z nimi byli już wtedy Józef Mrozowski i Lech Sadowski. Edmund Osmańczyk również tam się pojawiał. Od razu, za namową Bolka, zgłosiłem gotowość do ścisłej współpracy. Miała ona iść dwoma torami: działalności ideowo-niepodległościowej i czysto wojskowej. Po krótkim czasie dostałem instrukcję zgłoszenia się o ściśle określonej godzinie do mieszkania przy ulicy Żurawiej, czy Hożej. Przyjął mnie pan w średnim wieku, ubrany sportowo, w tzw. pumpach. Zostałem przez niego zaprzysiężony, a następnie dostałem rozkaz stworzenia pierwszej piątki. Udzielił mi instrukcji, jak mam to robić i żegnając się powiedział, że mam czekać na dalsze rozkazy. Jak się potem dowiedziałem, moim rozmówcą był płk Albrecht, Szef Sztabu ZWZ, a przed wojną dowódca 1-go Pułku Szwoleżerów. Tak więc stałem się formalnie żołnierzem Armii Podziemnej. Zgodnie z rozkazem, swoją piątkę szybko uformowałem.

Należało jednak także myśleć o materialnej stronie codziennego życia. Finanse rodziny były w bardzo opłakanym stanie, zasoby gotówkowe prawie całkowicie wyczerpane. Mojego ojca, który zawsze zaspokajał wszelkie potrzeby rodziny, nie było przecież w Warszawie. Emerytura dziadka-profesora naturalnie nie wpływała. Banki, w których mogły znajdować się jakieś oszczędności, zamknięte. Pierwszym moim pomysłem było wymienienie na złote dwóch pięciofuntówek, jakie przywiozłem na początku września z podróży do Anglii. Znawczy poradzili, aby pojechać do dzielnicy żydowskiej, gdzie podobno można było otrzymać doskonały kurs wymiany. Nie zastanawiając się długo, jadę rowerem na Nalewki. Tam na ulicy tłum rozszwargotany i podniecony. Ledwie zatrzymałem rower przy chodniku, od razu podbiega do mnie kilku starozakonnych, zapytując z miejsca, czy mam cokolwiek do sprzedania. Gdy wyjaśniam, o co mi chodzi, prawie siłą ciągną mnie na jakieś podwórze, każą pokazać co mam i rzucają oferty. Po krótkiej dyskusji wręczają mi tysiąc złotych i zachęcają, abym znów ich odwiedził. Po niewczasie dowiaduję się, że powinienem był uzyskać kilkakrotnie większą kwotę.

Druga operacja okazała się denerwująca, ale bardziej korzystna. W Café Clubie spotykamy z Bolkiem znajomego naszego ojca, zamożnego ziemianina spod Suwałk, który zapytuje, czy przez

swoje kontakty możemy sprzedać mu pierścionek z dużym brylantem. Zaczynamy się rozglądać wśród znajomych; jakiś młody aplikant adwokacki, z którym poznałem się w czasie wędrówek wrześniowych, oświadcza, że przyjdę do niego do domu następnego dnia wczesnym rankiem, a on sprowadzi na to spotkanie nabywcę. Okiem znawcy lustruje pierścionek i oświadcza, że kamień nie jest czystej wody, że ma skazę itp. Pan Orłowski, właściciel pierścionka deklaruje, że chce otrzymać 15 tys. złotych. My podbijamy cenę o parę tysięcy. Gdy w umówionym czasie przychodzi na spotkanie, mój pośrednik mówi, że jego kupiec nie mógł się zjawić, więc żebym dał mu pierścionek, poczekał u niego w mieszkaniu, a on za godzinę będzie z powrotem. Trochę się ociągam, ale na jego *dictum*, że przecież chyba mam do niego zaufanie, ulegam, a ten z moim skarbem szybko się ulatnia.

Mija jedna, druga, trzecia godzina — nie wraca. W mieszkaniu jest potwornie zimno, gdyż okna wszystkie bez szyb, poza tym jeden tapczan, dwa krzesła, kuchenka zupełnie pusta. Najczarniejsze myśli zaczynają mi chodzić po głowie. Mija następnych kilka godzin, a mój gospodarz nie wraca. Postanawiam jednak czekać aż do skutku. Zapada już wczesny, jesienny wieczór. Jestem zesztywniały z zimna, głodny, wściekły na siebie, że uległem perswazjom mojego gospodarza, który jest właściwie bardzo przygodnym znajomym. Wreszcie jednak pojawia się i długo i kwieście tłumaczy, że sprawa była trudna do załatwienia. Wręcza mi umówioną kwotę, oddycham z ulgą i szybko wychodzę. Obiecuję sobie, że już nigdy nie będę tak lekkomyślny. Pocięchą jest jednak spory zarobek.

Trzecia transakcja jest jeszcze pomyślniejsza. Znajomy lekarz wojskowy zwraca się z prośbą, aby wymienić mu pięć dwudziestodolarówek w złocie. Ustala cenę, jaką chce za nie otrzymać. W kawiarni „Bodega” w pasażu „Italia”, która staje się naszą codzienną bazą, również dla spotkań konspiracyjnych, szybko dobijam targu. Mój dochód, to jedna z tych pięciu monet. Po przyjeździe do domu, w obawie przed mogącą nastąpić w każdej chwili rewizją, chowam ją do piecyka gazowego w łazience. Jest to mój największy łup. Gdy w dwa miesiące później w pośpiechu opuszczałem Warszawę, zapomniałem o tym powiedzieć matce i potem latami głowiłem się, jak dać znać rodzinie. Ostatecznie nie wiem, czy ktoś tę cenną monetę kiedykolwiek znalazł.

Były też innego rodzaju operacje zarobkowe. Kiedyś dowiedziałem się, że w piwnicach Banku Handlowego zostały nagromadzone we wrześniu spore zapasy ryżu, który jest obecnie rozsprzedawany po bardzo przystępnych cenach pomiędzy urzędników bankowych. Mój ojciec był członkiem rady nadzorczej ban-

ku. Pojechałem więc tam i zakupiłem po bardzo niskiej cenie ogromny wór. Z czyjaś pomocą wytaskałem go na ulicę i konną dorożką zawiozłem do domu. Tam ryż został rozparcelowany do małych, kilkukilowych worków, które następnie rozwoziłem na bywcom.

Już w pierwszych dniach po powrocie do Warszawy odwiedziłem mego serdecznego przyjaciela z gimnazjum, a potem z SGH, Bogdana Otolskiego, który ze swymi rodzicami mieszkał w pięknej kamienicy Lilpopów w Alei Róż. Bogdan informuje mnie, że podobno rok akademicki na SGH ma się wkrótce rozpocząć. Nie bardzo wydaje mi się to prawdopodobne, ale umawiamy się, że następnego dnia sprawdzimy tę informację osobiście. Spotykamy się przed gmachem pod arkadami. Przy głównym wejściu stoi żołnierz niemiecki na warcie, przepuszcza nas i wchodzimy do środka. W sekretariacie, który o dziwo jest otwarty, mówią nam, że dokładna data początku roku akademickiego nie jest jeszcze ostatecznie ustalona, ale formalny okres egzaminów już niedługo się rozpocznie i ci studenci, którzy mają zaliczone wszystkie kolokwia z dwóch pierwszych lat studiów, mogą się zgłaszać. Ponieważ obaj mamy zaliczone wszystkie przedmioty za cztery semestry i zdaną tzw. „ćwiartkę”, czyli pierwszą część końcowych egzaminów, po krótkiej naradzie zapisujemy się do drugiej części egzaminów półdyplomowych.

Czas na przygotowanie się do egzaminów jest bardzo krótki i nastrój niezbyt odpowiedni do studiowania skryptów. Z Bogdanem jednak od dwóch lat trochę rywalizujemy, w sposób zresztą jak najbardziej przyjazny. Po pierwszym roku studiów on mnie wyprzedził, po drugim roku ja go dogoniłem, więc i teraz nie chcę dać mu się pokonać. Nasze egzaminy zdajemy w gmachu biblioteki. Na pierwszy ogień idzie matematyka u prof. Grużewskiego — kulturalny i miły pan. Wyraźnie stara się mnie zbyt nie męczyć. Ostatni egzamin mam z prawa handlowego u prof. Januszewskiego. Trzeba się śpieszyć, gdyż tymczasem dowiadujemy się, że uczelnia nie zostanie uruchomiona. Ten ostatni egzamin odbywa się już w prywatnym mieszkaniu profesora na Krakowskim Przedmieściu. Do tego egzaminu jestem bardzo słabo przygotowany, już po paru pierwszych pytaniach widać to wyraźnie. Profesor deklaruje, że zaliczy mi egzamin, ale jednocześnie prosi, abym się do niego raz jeszcze zgłosił za jakiś czas po solidnym przestudiowaniu skryptów. Solennie się do tego zobowiązuję, nie przypuszczając, że niedługo rozpocznie się dla mnie okres bardzo gorący, który zmusi mnie do ucieczki na Węgry. Często potem gryzłem się myślą, że nie wywiązałem się z tego *gentleman agreement*. Zdążyłem jednak zdobyć jesz-

cze w sekretariacie SGH cenną pieczętą do indeksu, stwierdzającą, że zdałem drugą część egzaminu poldyplomowego. Bogdanowi również się to udało, ale na tym niestety zakończyła się dalsza nasza rywalizacja. Bogdan zginął w pierwszym dniu Powstania, kiedy jego oddział atakował bezskutecznie centralę Gestapo w Alei Szucha.

Inny z moich najbliższych przyjaciół, Jaś Jaroszewicz, który walczył do pierwszych dni października w zgrupowaniu gen. Kleberga, został ciężko ranny w nogę. Przez szereg miesięcy leżał w szpitalu wojskowym im. Marszałka Piłsudskiego w Alei 6-go Sierpnia. Przynosiłem mu pierwsze nielegalne gazetki; skwapliwie chował je pod gips strasznie pogruchotanej nogi, której amputacja wciąż mu groziła. Znacznie później dowiedziałem się, że wyszedł z tego obronną ręką, jednak spadł wtedy na niego inny wielki cios. Matka Jasia, senator RP, która za działalność w okresie pierwszej wojny była kobietą udekorowaną największą ilością odznaczeń bojowych w Polsce, została aresztowana przez Gestapo i po potwornych torturach w więzieniu zakończyła życie. Jaś postanowił pomścić tragiczną śmierć matki i zgłaszał się do najbardziej ryzykownych misji bojowych. Zginął 15 lipca 1942 roku pod Słonimem, przewożąc amunicję i broń do oddziałów leśnych na wschodzie. („Wachlarz” — C. Chlebowski, PAX 1983).

W połowie października powrócił do Warszawy młodszy brat mojej matki, prof. Marian Gieysztor, docent hydrobiologii i wykładowca w SGGW, z którym przeszedłem wspólnie część kampanii wrześniowej. Od razu zaczął interesować się tworzącym się podziemiem. Wkrótce praca ta całkowicie go pochłonęła. Z biegiem czasu objął kluczowe stanowisko i stał się duszą Kierownictwa Walki Cywilnej na cały kraj. Początki jednak nie były bardzo przemyślane. Któregoś wieczoru na przykład przyszedł do mnie do domu jakiś pan w średnim wieku, w bogatym bobrowym futrze, przedstawił się i oświadczył, że poznał ostatnio prof. Gieysztorą, który podał mu mój adres domowy i powiedział, że właśnie ja będę mógł go wprowadzić do podziemnej roboty wojskowej. On jest od niedawna w Warszawie i sam nie posiada odpowiednich kontaktów. Cała sprawa została postawiona w sposób przeczący zasadom konspiracji. Mój rozmówca znał już nie tylko moje prawdziwe nazwisko, ale i adres domowy. Uważałem, że muszę odciąć się od wszystkiego. Oświadczyłem więc, że jest to jakieś wielkie nieporozumienie i zdziwionego gościa szybko wyprosiłem. Wuj-naukowiec bardzo się potem przede mną sumitował, ale przyznał, że postąpiłem prawidłowo. Wszyscy wtedy uczyliśmy się konspiracji na własnych błędach.

Któregoś dnia rano, gdy dojechałem z Żoliborza do śródmieścia, rozeszła się wiadomość, że Niemcy wzięli kilkuset zakładników. Był to dzień 11-go listopada. Okupanci, obawiając się demonstracji, chcieli zapobiec im terrorem. Aresztowano wielu znanych polityków, profesorów, dziennikarzy, adwokatów, między innymi Leona Stachurskiego z bratem. Dzień święta Niepodległości minął, a wielu zakładników nie zostało zwolnionych. Nie wypuszczono też obu braci Stachurskich, którzy w kilka miesięcy później zostali straceni w Palmirach. Była to pierwsza bardzo ciężka strata wśród naszych kolegów i przyjaciół organizacyjnych. Leon Stachurski, przed wojną jeden z komendantów głównych Legionu Młodych, posiadał wiele uroku osobistego i wyraźne przywódcze zdolności.

Coraz więcej smutnych wiadomości. Wciąż nie wiadomo, jakie są losy bohaterskiego prezydenta Starzyńskiego po aresztowaniu. Teraz przychodzi kolej na Niedziałkowskiego, Rataja, wciąż padają nowe nazwiska. Terror się wzmacnia.

Jest dzień wigilijny. Postanawiamy w gronie kilku kolegów i koleżanek iść „na rybkę”, o ile sobie przypominam, do restauracji Pod Żółtą Kaczką. Podobno tego lokalu jeszcze Niemcy nie odkryli. Po kilku kieliszkach ktoś proponuje, aby powrócić sobie talerzykiem. Zaabsorbowani tymi manipulacjami nie zauważamy, że niedaleko od nas siadło przy stoliku dwóch oficerów niemieckich, którzy z zainteresowaniem się nam przyglądają. Nagle jeden z nich wstaje, podchodzi do nas i pyta, czy mogą z kolegą przyłączyć się do tej ciekawej zabawy. Stanowczo odmawiamy — są wyraźnie niezadowoleni. Zdajemy sobie sprawę, że w każdej chwili może dojść do jakiegoś poważnego incydentu. Błyskawicznie wstajemy razem od stołu, płacimy przy kasie i wychodzimy. Wszystko mogło skończyć się znacznie gorzej, obraziliśmy przecież oficerów niemieckich.

Jest późne popołudnie. Alejami Jerozolimskimi wracamy z Bolkiem do domu, gdzie na Wilię ma się zebrać najbliższa rodzina. Na ulicy dziwne ożywienie. Od strony Mostu Poniatowskiego ciągną tłumy ludzi, wszyscy podnieceni, żywo dyskutujący. Uciekają z Pragi i chętnie dzielą się koszmarną wiadomością. Okazuje się, że w jakiejś knajpie w Wawrze został zabity jeden żołnierz niemiecki. Odwet był błyskawiczny. Właściciela baru powieszono przy wejściu i natychmiast rozpoczęły się w najbliższej okolicy masowe aresztowania. Przeszło stu młodych mężczyzn zostało już rozstrzelanych. Dalsze aresztowania trwają, więc ludzie w panice zaczęli uciekać. W ten sposób rozpoczęły się pierwsze święta w okupowanej Warszawie.

Od szeregu tygodni daje się zauważyć w mieście ogromny napływ uciekinierów z zachodnich dzielnic kraju, głównie z Poznańskiego. Ich relacje mrozą krew w żyłach. Uchodźcy opowiadają o licznych egzekucjach, aresztowaniach, rekwizycjach i masowych wysiedleniach. Wśród nich dzieci, wielu starych i chorych. Tu, w obcym mieście, znajdują się w sytuacji krytycznej. Zawiązuje się spontanicznie komitet pomocy uchodźcom. Ktoś z naszych znajomych zwraca się do mnie z prośbą o zorganizowanie dzielnicowego komitetu pomocy w rejonie, gdzie mieszkamy, tzn. na Kolonii Lubeckiego. Naturalnie nie mogę odmówić. Do moich rozlicznych czynności przybywa więc jeszcze jedna. Nie wiem, jak na to wszystko znaleźć czas.

Gdy w późniejszych latach powracałem myślą do tych paru miesięcy spędzonych w okupowanej Warszawie, wyraźnie zdawałem sobie sprawę, że był to okres najbardziej bujnego i intensywnego życia, jaki kiedykolwiek przeżyłem. W związku z ostatnim zajęciem, które przyjąłem, zaczynam chodzić po okolicznych kamienicach i apelować do ich mieszkańców o składanie datków pieniężnych, odzieży i żywności dla ofiar niemieckiej brutalności. W czasie tych wędrówek stoję przed mieszkaniem, na którego drzwiach wisi wizytówka księdza, zdaje się nawet prałata, nazwiska dzisiaj dokładnie nie pamiętam, więc nie podaję. Dzwonię, otwiera służąca, wprowadza do obszernego gabinetu i prosi, abym chwilę poczekał na gospodarza. Rozglądam się wokół i raptem wzrok mój pada na stojącą w ramce fotografię Hitlera. W tym momencie wchodzi do pokoju postawny mężczyzna w sutannie. Wyłuszczam cel mojej wizyty, a jednocześnie zafascynowany wciąż spozieram na fotografię, która na pewno jest unikatem w polskim domu w Warszawie. Mój gospodarz nie widzi albo udaje, że nie widzi mego zdziwienia. Rozmowa jest krótka i szybko zostaje spławiony. Wychodzę wstrząśnięty i oszołomiony.

Święta mijają smutnie, bardzo odczuwamy nieobecność ojca i brak dokładniejszych o nim wiadomości. Na noc sylwestrową idę do Hali Lissowskiej, gdzie zbiera się kilka osób. Dla odprężenia konsumujemy ogromną ilość alkoholu pod akompaniament strzałów pijanych żołnierzy niemieckich, którzy dla rozrywki włóczą się po opustoszałych całkowicie ulicach i kierują od czasu do czasu serię z automatów do źle zasłoniętych okien. Nie można jednak wszystkiego zawsze brać tragicznie. Nadrabiamy minami, staramy się żartować, popijamy; gospodyni uroczą i coraz bardziej mi się podoba. Tak mija pierwsza wojenna noc sylwestrowa, a jednocześnie moja ostatnia spędzona w Warszawie.

Nastał okres niezwykle silnych mrozów. Któregoś dnia wcześniej niż zwykle przyszedłem do domu. Zapadał zmrok, gdy ode-

zwał się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Idę do przedpo-koju i uchylam drzwi. Przed drzwiami stoi jakiś pan w grubym, zimowym płaszczu i w ciemnych okularach. Nic nie mówi, tylko filuternie się uśmiecha. Rozpoznaję w nim starszego brata mojej matki, Władysława Gieysztorą. Zaniemówiłem, gdyż mieliśmy wiadomość, że po perypetiach na Litwie, z żoną, córkami i swoim wiernym Chryslerem jest już od pewnego czasu we Francji. W domu robi się poruszenie i po serdecznych powitaniach rozpoczynają się opowiadania.

Władek po umieszczeniu rodziny w Nicei zgłosił się na emi-sariusza (pseudo „Hofman”) do tworzących się władz podziem-nych w Polsce. Po uzyskaniu odpowiednich instrukcji od naj-wyższych polskich władz w Angers i w Paryżu pojechał na Węgry, skąd wraz ze swoim przyjacielem Jerzym Michalewskim (pseudo „Dokładny”), wyposażeni w odpowiednią pocztę i pieniądze na robotę w kraju, zostali przetartą trasą kurierską przerzuceni przez granicę i dalej do Warszawy. Jego pobyt w Warszawie miał potrwać dwa-trzy tygodnie, a potem tą samą trasą chciał wracać na Węgry. Michalewski miał pozostać w Polsce.

Jaki był dokładny cel ich podróży, naturalnie nie mówił. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że Władek miał wejść w kontakt z kierownictwem poszczególnych stronnictw politycznych, zorientować się, w jakim stopniu są one zorgani-zowane, czy i w jaki sposób ze sobą współpracują oraz jaki jest stosunek różnych stronnictw w kraju do ich przedstawicieli, któ-rzy znaleźli się we Francji. Władek miał również zlecenia do dowództwa ZWZ, skąd miał zabrać raporty dla generała Sosnow-skiego. Chwilowo jedno jest oczywiste, że pobyt jego w Warsza-wie ma pozostać ścisłą tajemnicą. Po długiej serii pytań z naszej strony — byliśmy przecież złaźnieni bezpośrednich wiadomości z Zachodu — i po pouczeniu Władka o tym, jak winien poruszać się po okupowanej Warszawie, zasiadamy z Bolkiem i Marianem, sprowadzonym w nagłym trybie na to nieoczekiwane spotkanie z bratem, do partii brydża, na którą nasz gość przy swej niespo-żytej energii ma jeszcze siły i ochotę.

Władek usilnie namawia mnie, abym zabrał się z nim razem na Węgry. Nie jest to dla mnie łatwa decyzja. Przez ostatnie trzy miesiące wgrzyłem się głęboko w to przedziwne życie w oku-powanej Warszawie. Jednak wypadki następnych dni same dają mi odpowiedź na jego propozycję. Tymczasem Władek dla obo-pólnego bezpieczeństwa znika z naszego domu i rozpoczyna speł-nianie swojej misji.

W kilka dni później dowiadujemy się, że Kazik Kott, jeden z najczynniejszych działaczy PLAN-u, stojący na czele grupy bo-

jowej tej organizacji, zostaje aresztowany wraz ze swym towarzyszem Tarczyńskim w mieszkaniu przy ul. Złotej przez czekające tam na nich Gestapo. Przygotowywali się właśnie do niebezpiecznej misji przewiezienia zapasu broni z Bielán w inne, bardziej odpowiednie miejsce. Wybierając się na tę ryzykowną wyprawę byli uzbrojeni. Jak się jednak okazało, Gestapo zostało o tym powiadomione przez szofera auta, którym broń miała być przewieziona. Nazwisko tego agenta — Izdebski. Zeznawał potem z wolnej stopy w czasie przesłuchiwania Kotta. Aresztowani zostali od razu przewiezieni do siedziby Gestapo w Alei Szucha, gdzie rozpoczęły się potworne badania; sprawa była beznadziejna, gdyż złapano ich z bronią.

Wypadki teraz toczą się szybko. Wkrótce potem został aresztowany młodszy brat Jerzego Drewnowskiego, przenoszący pocztę konspiracyjną. Dalsze aresztowania potoczyły się jak lawina. Jerzy Drewnowski wracając do domu został uprzedzony przez sąsiada, że w mieszkaniu jego rodziców czeka na niego Gestapo. Gdy długo nie wracał, rodziców i najmłodszego brata wywieźli, a mieszkanie opieczętowali. Wtedy Jerzy Drewnowski poszedł po radę do mego brata Bolka, z którego zdaniem już od lat kole-dzy i przyjaciele bardzo się liczyli. Jerzy był kompletnie zdruzgotany, że przez niego rodzice i dwaj bracia zostali aresztowani. Chciał więc iść sam na Gestapo, myśląc, że w ten sposób może uratuje rodzinę. W takim stanie, prawie na siłę, Bolek przyprowadził go do nas, gdzie do późna w nocy staraliśmy się wybić mu z głowy ten szalony projekt. Następnego dnia, niedługo przed godz. 8-mą wieczorem, o której rozpoczynała się godzina policyjna, Bolek wpadł zdyszany aby mnie uprzedzić, bym nie nocował na Dantyszka, gdyż nasz dom jest już również zagrożony. Bolek umieścił Drewnowskiego w domu rodziców Karola Iwanickiego na Kolonii Staszica i sam tam wracał na nocleg.

Szybko pochowaliśmy kompromitujące materiały, między innymi archiwa generała Rayskiego, byłego szefa lotnictwa, które na prośbę jego żony, a naszej ciotki Kuszelewskiej-Rayskiej, Bolek przechowywał. Po pożegnaniu z mamą wybiegliśmy z domu, Bolek poszedł do Iwanickiego, a ja do Wańkowiczów, którzy mieszkali od nas tylko o dwie ulice. Właśnie dochodziła godzina ósma, więc pani Wańkowiczowa, żona Melchiora, z córką Krysią z przestрахem uchyliły drzwi. Oświadczyłem krótko, że będę u nich nocował. Nie dziwiły się i o nic nie pytały. Staliśmy w przedpokoju i dzieliliśmy się wiadomościami z ostatnich dni. Rozmowa zeszła na temat Kazika Kotta, którego obie panie znały osobiście. Powiedziałem, że jego los jest właściwie beznadziejny, ponieważ już wiedzieliśmy, że był aresztowany z bronią

w rękę i że obecnie przechodzi ciężkie przesłuchania na Gestapo w Alei Szucha.

W tym momencie odezwał się dzwonek. Było już dobrze po godzinie policyjnej. W ciągu ostatnich dni dochodziły nas słuchy o dziesiątkach aresztowań w kręgu naszych znajomych. Byliśmy więc przygotowani na najgorsze. Panie wepchnęły mnie do sypialnego pokoju i zamykając drzwi powiedziały, bym w razie czego skakał przez okno do ogródka. Następnie zapadła cisza, a ja stałem w ciemnościach i nasłuchiwałem. Szybko zorientowałem się, że to nie policja, gdyż dochodziły mnie jakieś dziwne szepty. Uchyliłem drzwi i wyszedłem do słabo oświetlonego przedpokoju, na środku którego stały obie gospodynie i rozmawiały z nowo przybyłym. Podszedłem bliżej i rozpoznałem w nim Kazimierza Kotta. Schwyciłem go odruchowo za ramię i krzyknąłem: „Kazik!”. On syknął i powiedział: „Uważaj, bo to bardzo boli”. Następnie zaczął opowiadać.

Historia była niezwykle. Przez tydzień przesłuchiowano go i katowano. Leżąc w celi po jednej z takich tortur zastukał na strażnika, żądając, aby wyprowadził go do ubikacji. Ten przeprowadził go przez długi korytarz i przed ubikacją rozkuł mu kajdanki z jednej ręki, sam zaś zainteresował się czymś, co przewożono w tym momencie przez korytarz. W ubikacji Kazik natychmiast zaczął szamotać się z oknem, które w końcu dało się otworzyć. Po chwili znalazł się na wewnętrznym dziedzińcu. Rękę, na której miał kajdanki włożył do kieszeni i wolnym krokiem przeszedł przez bramę obok stojącej tam „wachy”. Po kluczeniu przez kilka godzin doszedł do mieszkania Marii Brodackiej na ul. Narbutta. Tam z pomocą gospodyni przepiłował sobie kajdanki i spędził pierwsze 24 godziny. Na następną noc postanowił iść do Wańkowiczów. Tak odbyła się pierwsza udana ucieczka z gmachu Gestapo na Szucha.

Szybko podejmujemy decyzję. Kazik pozostanie na noc u Wańkowiczów, a ja poszukam schronienia na tę noc gdzie indziej, aby już wczesnym rankiem zawiadomić kogo trzeba o fantastycznym wyczynie Kotta i zapewnić mu meliny na następne dni. Gdy wyszedłem na ulicę, była chyba 9.30 - 10.00 wieczorem. Wiedziałem, że gdybym o tej porze spotkał patrol, na pewno będą strzelać bez uprzedzenia. Postanowiłem iść do wujostwa Chojnackich. Idę naszą cichą uliczką Dantyszka. Dystans jest niedaleki, ale w tych warunkach wydaje się, że ten spacer trwa bardzo długo. Wchodzę kuchennym wejściem do dużej kamienicy przy Filtrowej. Drzwi otwiera przerażona ciotka Wanda. O nic nie pyta i od razu zabiera się do przygotowania dla mnie łóżka nieobecnego syna Stasia, który jest w niewoli. Rano idę do

Karola Iwanickiego, gdzie jest Bolek i Drewnowski, i przekazuję im wiadomość o Kotcie.

Idąc do śródmieścia widzę na murach wielki plakat z fotografią i z imieniem i nazwiskiem Kazika Kotta wraz z informacją, że za doprowadzenie go na policję jest wyznaczona bardzo wysoka nagroda pieniężna. Zdaję sobie już sprawę z tego, jak trudno będzie ukryć tak usilnie poszukiwanego. Jednocześnie wiem dobrze, że Bolek ofiarnie i energicznie sam zajmie się tym problemem. Istotnie z dnia na dzień przygotowuje Kottowi nowe schronienia. Jednak nawet gościnności najbardziej odważnych, jak na przykład Myszkii Krahelskiej i jej ojca, nie można przez dłuższy czas nadużywać. Matka Myszkii, znana działaczka lewicowa, sama już się ukrywa. Wyczerpawszy wszystkie pewne lokale Bolek ostatecznie prowadzi Kotta do zwykłej prostytutki na ul. Chmielną, gdzie mieszka on przez dłuższy czas, zanim nie zostały przygotowane dla niego nowe dokumenty oraz melina w majątku znajomych pod Parczewem. Przebywa tam przez kilka tygodni. Następnie decyduje się przekroczyć granicę sowiecką. Z tą chwilą ginie na zawsze wszelki ślad po nim.

W domu na Dantyszka już z Bolkiem nie mieszkamy, dostaliśmy bowiem ostrzeżenie od naszej Dwójki, że nasz dom jest pod stałą obserwacją. Jednocześnie otrzymujemy zlecenie od władz podziemnych, by na czas dłuższy zniknąć z Warszawy, przynajmniej do chwili kiedy sprawa uciśnie. Bolek postanawia jechać do Pieszej Woli, majątku pp. Krassowskich. Dla mnie jest to ostateczny argument, aby starać się dostać na Węgry. Komunikuję swoją decyzję Władowi i zaczynam się intensywnie przygotowywać do drogi, w którą mamy wyruszyć w niedzielę rano 21-go stycznia.

Przez ostatnie dni mieszkam u Marianostwa Gieysztorów. Zgodnie z poleceniem zgłaszam się u jakiejś dentystki w Alei Niepodległości, u której siedząc już w fotelu dentystycznym w myśl instrukcji wyjawiam hasło. Wtedy ona spod białego kitla wyjmuję i wręcza mi dowód osobisty. Ku memu zdziwieniu wystawiony jest na nazwisko Jerzego Strzeleckiego, mego przyjaciela. Dowód został wystawiony wczesną jesienią, kiedy Jurek wybierał się w drogę z Zygmuntem Nagórskim. W ostatniej chwili Jurek nie poszedł i z tym paszportem wyruszył ktoś inny, z Węgier do Polski wrócił z nim Jerzy Michalewski, a teraz stał się moim dowodem osobistym. Do dokumentu została skomponowana legenda, że jestem z Wilna, gdzie mieszkiałem pod zmyślnym adresem przed wybuchem wojny i tam uczęszczałem do szkoły rzemieślniczej. Teraz nikt tego wszystkiego nie może sprawdzić. Kompletuję odpowiedni ekwipunek, taki aby nie rzucał się w oczy,

a jednocześnie był odpowiednio ciepły i dawał możliwie największą swobodę ruchów. Buty myśliwskie dziadka nie były, jak się później okazało, dobrym pomysłem. Okazały się zbyt ciasne, gdy chciałem je włożyć na grube skarpety narciarskie. Jedyną cenną i pamiątkową rzeczą, którą zabierałem był zegarek firmy Tissot, który dostałem od mamy po maturze.

Na dzień przed wyjściem z Warszawy chciałem pożegnać się z matką i dziadkiem. Ponieważ mieliśmy poważne podejrzenia, że nasz dom na Dantyszka jest pod stałą obserwacją, to pamiętne spotkanie odbyło się w mieszkaniu Heli Stankiewiczowej, siostry mojego ojca na ul. Raszyńskiej. Gdy szedłem tam o umówionym czasie, zauważyłem, że ulice najbliższej okolicy są dziwnie puste. Okazało się, że odbywała się duża łapanka. Chwile tego pożegnania wryły się głęboko w moją pamięć. Najpierw pożegnałem się z dziadkiem, prof. Józefem Gieysztorem, który był osobą niezwykłą, człowiekiem o nadzwyczajnym charakterze, powszechnie cenionym i szanowanym. Najstarszy syn zesłańca na Syberię po Powstaniu Styczniowym, do którego dołączyła młoda żona, aby dzielić los swego męża. Tam też przyszedł na świat mój dziadek. Jego stryj Jakub Gieysztor był w czasie Powstania delegatem Rządu Narodowego na Litwie z tytułem prezesa Wydziału Zarządzającego Prowincjami Litwy. W całej najbliższej rodzinie pielęgnowano nastroje wysoce patriotyczne, utrzymywane w duchu postępowo-niepodległościowym. Tym ideałom dziadek hołdował całe swoje życie i wpajał je dzieciom i wnukom. Wielki liberał ubolewał nad wszystkimi objawami wsteczności i reakcji. Pożegnał się ze mną szybko i spokojnie. Widziałem jednak, że oczy ma zaczerwienione. Wyszedł z mieszkania pierwszy, aby ewentualnie sygnalizować obecność Niemców. Chociaż żył jeszcze długo, nigdy więcej nie było mi dane go zobaczyć.

Pożegnanie z mamą było bardzo emocjonalne. Jednak jako nieodrodna córka swego ojca, pod wieloma względami bardzo do niego podobna, pożegnała mnie niezwykle ciepło, lecz ze stoickim nieomal spokojem. Tylko w jej oczach wyczytać mogłem ogromną troskę o mnie i obawę o moją najbliższą przyszłość. Heli obiecałem, że jeśli dotrę na Węgry, od razu nawiążę kontakt z jej mężem i synem i przekażę im od niej szereg wiadomości. Wyszliśmy razem bramą wychodzącą na ul. Uniwersytecką, która mimo południa była kompletnie wyludniona. Nic chyba nie mówiąc, uścisnęliśmy sobie ręce i ja szybkim krokiem zacząłem iść w stronę Placu Narutowicza. W pewnej chwili spojrzałem za siebie. Mama stała na chodniku i w powietrzu znakiem krzyża mnie błogosławiła.

Wieczorem tego dnia Marian udzielał mi ostatnich rad i prze-

pytywał mnie, czy w razie potrzeby będę swobodnie podawał dane dotyczące mojej nowej osobowości. W tym dniu, naturalnie, spotkałem się jeszcze z Bolkiem. Umówiliśmy się, kiedy ma powiadomić kolegów organizacyjnych o moim zniknięciu. Dodał mi animuszu, widać jednak było, że jest przejęty tym pożegnaniem. Nigdy nie spełniły się jego obrazowe zapewnienia, jak szumnie będziemy obchodzić nasze powitanie. Bolek nie doczekał końca wojny. Zginął 16 września 1944 roku, kiedy Powstanie Warszawskie powoli dogasało.

DROGA NA ZACHÓD

Niedziela 21 stycznia 1940 roku rozpoczęła się dla mnie bardzo wcześnie. Nałożyłem na siebie przygotowany na drogę ekwipunek, który Marianowi wydał się zbyt schludny, więc kawałkiem węgla zaczął go odpowiednio nadwierać. Irenka dała mi solidne śniadanie. Pożegnaliśmy się. Z Marianem miało to być również nasze ostatnie w życiu spotkanie. Na Rakowieckiej wsiadłem do pustego jeszcze o tak wczesnej porze tramwaju, którym pojechałem przez Plac Unii Lubelskiej, Bagatelę i Aleje Ujazdowskie do Placu Trzech Krzyży i na Nowy Świat.

W jakiejś kamienicy w Alei 3-go Maja byłem umówiony z Władkiem Gieysztorem, towarzyszem rozpoczynającej się wyprawy. Władek czekał już na mnie gotów do drogi. Złapaliśmy wolną dorożkę i pojechaliśmy na ul. Nowogrodzką w okolice Dworca Głównego, gdzie w lokalu organizacyjnym władz podziemnych mieliśmy dostać cały bagaż kurierski i ostatnie instrukcje na drogę. Miała też tam do nas dołączyć trzecia osoba, zajmująca się transportowaniem dla nas aż do granicy wszystkich mogących nas skompromitować materiałów. W typowej warszawskiej kamienicy, na wysokim piętrze, drzwi nam otworzył niezbyt młody, szczupły, o rasowej twarzy mężczyzna. Od razu rozpoznałem w nim Schygła, mego nauczyciela rysunków z pierwszych klas gimnazjalnych. Z tamtych lat zapamiętałem go sobie jako szybko wpadającego w pasję i nie umiejącego sobie poradzić z bandą rozwydrzonych chłopaków. Zawsze nienagannie ubrany, imponował mi, kiedy widziałem, jak po wyjściu z budynku szkolnego siadał do czekającego auta z oficerami 1-go Pułku Szwoleżerów i pięknymi paniami. Teraz w jego mieszkaniu mieściła się melina konspiracyjna dowództwa Z.W.Z.

Czekało już tam na nas kilka osób, wśród nich kobieta, której wiek trudno było określić, gdyż ubrana była w strój baby wiejskiej

w chustce i z dużym koszykiem, w jakim w tym czasie baby woziły ze wsi prowiant na handel. Z krótkich wypowiedzi, poważnego nastroju i wyraźnego napięcia zebranych zorientowałem się, że zaczynam uczestniczyć w czymś bardzo ważnym. Jak się dowiedziałem grubo później, nasza podróż była organizowana przez centralę informacji Komendy Głównej Z.W.Z., na czele której przez cały okres okupacji stała mjr Janina Karasiówna. Nasza towarzyszka rozpoczynającej się podróży, o której później będę pisał obszerniej, była jej bezpośrednią podkomendną. Po serdecznym pożegnaniu się z obecnymi, którzy ściskając nam ręce życzyli pomyślnej drogi, wyszliśmy z lokalu. Idąc na dworzec umówiliśmy się z naszą towarzyszką, że w czasie drogi będziemy udawali, że się nie znamy. Ktoś inny, kto nas także eskortował na dworzec, wręczył nam wcześniej zakupione bilety. Weszliśmy na zatłoczony peron i po pewnym czasie wepchnęliśmy się do pociągu, który podobno miał nas dowieźć do Krakowa. Nasza współpodróżniczka znalazła miejsce w przedziale zajętym Niemcami, my dwaj woleliśmy zostać na korytarzu. Już w Koluszkach kazano nam wysiadać, gdyż pociąg jechał dalej przez tereny wcielone do Reichu, na co my nie mieliśmy pozwolenia. Był późny wieczór, kiedy innym pociągiem dojechalismy do Częstochowy, gdzie całą noc musieliśmy czekać na kolejny pociąg, mający nas zawieźć do Kielc.

Na dworcu w Częstochowie kilka godzin przespaliśmy się w fotelach uprzejmego właściciela zakładu fryzjerskiego. W Kielcach na stacji zjedliśmy jakiś posiłek i po długim czekaniu wtargnęliśmy do innego zatłoczonego pociągu, tym razem jadącego do Krakowa. Pociąg jechał wolno, wciąż się zatrzymując. Była już noc, kiedy stanął na stacji Tunel. Tam kazano wszystkim wysiadać i pociąg odjechał dalej, pusty. Bardzo mały budynek stacyjny nie mógł pomieścić wszystkich pasażerów. Mróz był siarczysty, a większość nocy mieliśmy spędzić na peronie pod gołym niebem. W pewnej chwili zbliżyła się do nas nasza towarzyszka i poinformowała, że salceson, w którym miała ukryte wszystkie zmikrofilmowane papiery, w gorącej temperaturze panującej w wagonach na poprzednich etapach naszej podróży, zaczął się psuć, wydając potworny odór. Towarzyszący jej w przedziale oficerowie niemieccy zaczęli przeklinać. Przy najbliższej więc okazji poszła do ubikacji, cenny bagaż wyjęła, a salcesonu szybko się pozbyła.

Były tam meldunki gen. Tokarzewskiego i gen. Roweckiego w odpowiedzi na jakże przykre i mało duszne zarządzenia Wodza Naczelnego dotyczące zmian personalnych na najwyższym szczeblu dowodzenia na terenie kraju. Był tam również memoriał w spra-

wie zachowania w kraju jednolitego ośrodka dyspozycji oraz deklaracja Głównej Rady Politycznej (Deklaracja Ideowa Rady Obrony Narodowej), która po powstaniu Z.W.Z. przemianowała się na P.K.P. (Porozumiewawczy Komitet Polityczny) [patrz: Janina Karasiówna, *Niepodległość* nr 1 (po wznowieniu). „Pierwsze półrocze Armii Podziemnej”].

Wreszcie we wtorek rano, 23 stycznia dotarliśmy do Krakowa. Ostrzeżono nas, aby nie wychodzić na miasto, gdyż odbywają się częste łapanki i aresztowania. Szczęśliwie nadjechał pociąg do Tarnowa. Ten odcinek podróży poszedł gładko. W Tarnowie zjedliśmy obiad i wsiedliśmy do lokalnego pociągu idącego w kierunku granicy rosyjskiej na Sanie. Minęliśmy Jasło i dojechaliśmy do ostatniej stacji granicznej — Zagórze, dalej była linia demarkacyjna oddzielająca okupację niemiecką od sowieckiej. Tymczasem nasz wagon całkowicie się opróżnił. Było już późno, kilku ostatnich podróżnych szybko poszło do wyjścia. Pozostaliśmy na peronie przez chwilę, tylko my i niemieccy wartownicy podejrzliwie się rozglądający. Podeszliśmy bez chwili wahania do stojącego na uboczu polskiego kolejarza pytając, czy może nam wskazać jakieś locum na noc. Od razu zorientował się, że jesteśmy w sytuacji krytycznej i przyjaźnie oświadczył, że nigdzie dalej nie powinniśmy iść, że on mieszka blisko i że jego żona nas przenocuje.

Następnego ranka (środa 24-go) poszliśmy na plebanię do księdza, będącego naszym pierwszym organizacyjnym kontaktem. Po niedługim czekaniu nadjechały sanie, którymi mieliśmy odbyć dalszą drogę do Baligrodu. Od tej chwili podróżowaliśmy już razem z naszą towarzyszką. Zagrożenie wzrastało, gdyż byliśmy w strefie nadgranicznej. W Lesku nad Sanem po jednej stronie mostu stał strażnik niemiecki, po drugiej widoczni byli żołnierze rosyjscy. W tym miejscu po raz pierwszy nas zatrzymano i legitymowano. Oprócz dowodów osobistych mieliśmy zaświadczenie z dużymi pieczęciami z komitetu opieki nad biedną ludnością Warszawy. Informowało ono, że celem naszej podróży jest zorganizowanie transportów drzewa na opał z tartaków w okolicy Baligrodu. Gdy wartownik studiował nasze dokumenty, głośno między sobą rozmawialiśmy i śmieliśmy się. Nasze beztroskie zachowanie widocznie rozwiąło pierwotną nieufność Niemca. Postanowiliśmy przy dalszych ewentualnych takich spotkaniach stosować tę metodę beztroskiej pewności siebie. Wreszcie już dobrze po południu dojechaliśmy do Baligrodu. Uprzedzono nas, że stacjonują tam silne oddziały niemieckie. Dodatkową przykrą niespodzianką były liczne mundury jakiejś ukraińskiej formacji paramilitarnej. Pożegnaliśmy się z naszym woźnicą obdarowanym

sutą kwotą i skierowaliśmy się do domku, gdzie przed paru tygodniami gościł Władek po przejściu granicy ze strony węgierskiej. Tam mieliśmy być wzięci pod opiekę przez młodego przewodnika, który miał nas poprowadzić dalej do Cisny. Jakże wielkim szokiem była dla nas wiadomość podana przez jego matkę staruszkę, że jej syn i jeszcze parę innych osób zostało przed dwoma dniami aresztowanych po przeprowadzeniu przez granicę dwóch polskich oficerów z dużą kwotą pieniędzy, transportowaną z Węgier na robotę podziemną w kraju. To wydarzenie spowodowało znaczne wzmożenie czujności Niemców i tych spośród miejscowej ludności ukraińskiej, którzy z nimi współpracowali.

Podając nam te hiobowe wieści staruszka bez przerwy szlochała i trudno nam było ją namówić, aby zechciała nam pomóc w zaimprovizowaniu dalszego transportu. Wreszcie pocziwie zgodziła się pójść do sąsiada-Ukraińca, któremu jak twierdziła można zaufać i który ma dobre konie. Po chwili zjawił się wysoki mężczyzna o dosyć ponurym spojrzeniu. Rozpoczęliśmy pertraktacje. Chcieliśmy, aby podwiózł nas do Cisny, ni to wioski, ni to małego miasteczka, oddalonej o parę kilometrów od granicy. Opierał się. Tłumaczył, że już niedługo zapadnie noc, że w lasach, przez które mamy jechać, jest tej zimy wiele wilków i konie nie będą chciały iść. Poza tym już w miasteczku się mówi, że właśnie przyjechali tu jacyś obcy ludzie i że lada chwila Niemcy mogą tu po nas przyjść. Tłumaczyliśmy mu, że przyjechalśmy zorganizować duże transporty drzewa na opał i że w tym celu musimy odwiedzić miejscowe tartaki. Wreszcie po zaofiarowaniu mu hojnej zapłaty w dolarach zgodził się, ale po warunkiem, że lokalne władze niemieckie to zaaprobują. Warunek ciężki, ale żadnego innego wyjścia nie było. Władek od razu się na to decyduje, ale kategorycznie nie chce się zgodzić bym mu towarzyszył, gdyż jestem podejrzanie młody i nie znam niemieckiego. W duchu zgadzam się z jego argumentacją. Podprowadzam go jednak na rynek, gdzie mieści się siedziba niemieckiego dowództwa czy nawet Gestapo. Tam, na bocznej uliczce za płotem mam czekać na jego powrót. Brawura i odwaga Władka były niezwykle.

Mija piętnaście, trzydzieści, czterdzieści pięć minut, a Władek nie wraca. Po godzinie wciąż go nie ma. Najgorsze myśli chodzą mi po głowie. Robi się już ciemno, jeszcze mija czas jakiś, który wydaje się mi wiekiem i raptem widzę Władka, szybko zbliżającego się do mnie i mówiącego krótko: „O nic nie pytaj, natychmiast jedziemy”. Idziemy do naszego woźnicy, aby szybko zaprzęgał konie. Po upewnieniu się, że jego warunkowi stało się zadość, od razu przygotowuje się do drogi. Żegnamy się z biedną staruszką, u której do tej pory czekała nasza towa-

rzyszka i wszyscy troje ładujemy się na sanie. Oddychamy z olbrzymią ulgą, gdy Baligród mamy już daleko za sobą.

W krótkich słowach Władek relacjonuje: oficer, z którym rozmawiał zaakceptował wywoływanie o organizowaniu transportów drzewa, w obecności Władka dzwonił nawet do paru tartaków zapowiadając naszą wizytę i żądając, by następnego dnia poinformować go, jak nasza misja się rozwija. Za wszelką cenę musimy więc tej nocy przekroczyć granicę. Do rana wszystko wyjdzie na jaw i konsekwencje są oczywiste. Tymczasem droga staje się coraz trudniejsza, chwilami zasypane śnieżne są prawie nie do przebrnięcia. Musimy wyłazić z sanek i sami je popychać. Od czasu do czasu konie się płoszą, co — jak twierdzi nasz woźnica — oznacza, że czują w pobliżu wilki. Jednakże argument zapłaty w dolarach działa. O ile pamiętam, te ostatnie kilometry kosztowały po kilka dolarów za każdy. Wreszcie jesteśmy w Cisnej. Na mostku przed miasteczkiem stoi warta. Naturalnie zatrzymuje nas i żąda dokumentów, jednocześnie latarką oświetla nam twarze. Wydaje się, że to już koniec — późna godzina wieczorna, granica bardzo blisko, pasażerami nie są Niemcy ani żadni miejscowi ludzie — musi więc nas zatrzymać. Ale Opatrzność wyraźnie czuwa nad nami. Żołdak oddaje dokumenty i daje znak ręką, aby jechać. Jakieś 3-4 kilometry dzielą nas jeszcze od Roztoki Górnej, ostatniej małej wioski po stronie polskiej. Droga teraz stromo pnie się pod górę. Aby ulżyć koniom, idziemy pieszo, wciąż zapadając w głęboki śnieg. Raptem dołącza do nas grupa chłopów ukraińskich. Są wyraźnie pijani. Z ogromnym zainteresowaniem zaczynają nas wypytывать, co my o takiej porze i w takim miejscu robimy. Naszym zmyślonym historyjkom wyraźnie nie wierzą, śmieją się z tego, co im mówimy. Twierdzą, że oni nie są tacy naiwni i doskonale orientują się, że chcemy przejść granicę. Mówią też, że nie będzie to łatwe, gdyż patrole niemieckie poszły na samą granicę i co gorsza, mają ze sobą psy. Słuchamy tego wszystkiego i udajemy, że nas to nic nie interesuje. Tak dochodzimy do Roztoki Górnej, konie już dalej nie idą. Chłopi skręcają w prawo, gdzie o jakieś kilkaset metrów na zupełnie otwartej przestrzeni migają światełka w oknach kilku chat. My zaś skręcamy z Władkiem w lewo do małej leśniczówki. Młody leśniczy jest dla nas kluczową osobą. On przeprowadzał przed kilku tygodniami Władka i Jerzego Michalewskiego z Węgier do Polski. Było umówione, że poprowadzi teraz nas na Węgry. Po wejściu do leśniczówki Władek wita się z gospodarzem i rozpoczyna przyjazną rozmowę. Leśniczy jest wyraźnie markotny. Stwierdza, że jeśli Ukraińcy nas widzieli, to na pewno zawiadomią o tym Niemców. Potwierdza też wiadomość, że

patrol niemiecki na nartach z psami poszedł niedawno na granicę. Twierdzi, że szanse na przejście granicy tej nocy są minimalne. Poza tym w wiosce muszą już wiedzieć, że jesteśmy u niego. W tym momencie żona leśniczego, do tej pory z boku przysłuchująca się całej rozmowie, podbiega do nas, pada na kolana, ściska nam ręce i wskazując na dwoje małych dzieci śpiących na łóżku z płaczem zaczyna nas błagać, abyśmy nie zabierali jej męża i ojca małych dzieci. Pójdzie bowiem tej nocy na granicę, to pewna śmierć. Nie mieliśmy więc innego wyjścia, jak zrezygnować z przewodnika.

Prosimy leśniczego, aby nam powiedział, jak mamy iść. Od progu wskazuje kierunek. Mówi, abyśmy szli śladami nart patrolu niemieckiego, ale ostrzega, że po wejściu do lasu szybko powinniśmy zejść z holwegu, gdyż w każdej chwili mogą wyskoczyć na nas zjeżdżający w dół Niemcy. Wracamy do naszego woźnicy i wypłacamy mu zawrotne honorarium. Następnie żegnamy się z naszą dotychczasową towarzyszką podróży. Wręcza ona Władkowi cenny pakunek, po czym następują serdeczne uściski. Na czole kreśli mnie znakiem krzyża, a ja proszę, aby w wypadku szczęśliwego powrotu do Warszawy odwiedziła moją matkę i opowiedziała, że prawie do samej granicy dotarliśmy szczęśliwie. W tym celu ujawniam jej swoje prawdziwe nazwisko, ale kim była ona nie wiedziałem.

W tym miejscu zrobię więc bardzo dużą dygresję. W roku 1981 w nrze 56 *Zeszytów Historycznych* ukazał się artykuł mjr Marii Trojanowskiej pod tytułem „Nieudana wyprawa kurierska i jej skutki”. Artykuł ten poświęcony był próbom przedostania się z Warszawy gen. Karaszewicz-Tokarzewskiego do okupowanego przez Rosjan Lwowa na pożalowania godny rozkaz gen. Sikorskiego. W tym 56 *Zeszytach Historycznych* gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski dokładnie opisał przebieg wypadków, które doprowadziły do aresztowania przez NKWD jego samego i towarzyszących mu osób. W artykule tym gen. Tokarzewski parokrotnie wspominał o misji Gieysztora i Michalewskiego do Warszawy w styczniu 1940 roku. Gen. Tokarzewskiemu w jego tragicznej wyprawie do Lwowa towarzyszyła pani Trojanowska, która swoją relację rozpoczęła słowami: „Gdy w ostatnich dniach stycznia 1940 roku wróciłam znad granicy węgierskiej, po doprowadzeniu dwu emisariuszy naszego rządu w drogę powrotną do Francji, odwiedziła mnie HAKA (mjr Janina Karaś), mój stały łącznik, od której jedynie jako kurier przyjmowałam zlecenia i instrukcje. Zdałam jej sprawozdanie z w/w wyprawy, obfitującej miejscami w bardzo emocjonujące momenty”. Ten krótki ustęp był dla mnie wystarczający, abym zdał sobie sprawę, że

osoba pisząca te słowa jest właśnie dzielną towarzyszką naszej wyprawy w styczniu 1940 roku do granicy węgierskiej. Od redaktora Giedroycia zdobyłem szybko adres p. Trojanowskiej i od razu wysłałem do niej list, w którym obszernie opisałem nasze dalsze losy po pamiętnym rozstaniu w nocy z 24-go na 25-ty stycznia. List ten zakończyłem słowami: „Myśmy ryzykowali, ale szliśmy do wolnego świata, a Pani ryzykując tak samo, wracała z powrotem tam, gdzie niebezpieczeństwo czyhało na każdym kroku. Robiła to Pani z wolnej i nieprzymuszonej woli, bezinteresownie, a w parę tygodni później zdecydowała się Pani na jeszcze niebezpieczniejszą wyprawę. Nie lubię patosu, ale muszę stwierdzić, że Pani postawa zasługuje na najwyższy szacunek. Ode mnie zaś należy się Pani dozgonna wdzięczność”.

Dodam jeszcze, że po rozstaniu się z nami p. Trojanowska przeszła niezmiernie ciężkie i krew mrozące w żyłach chwile, zanim po kilku dniach zdolała dotrzeć z powrotem do Warszawy. Danej mi obietnicy dotrzymała. Tak o tym sama pisze w swoim odwrotnym liście: „Naturalnie, że matkę Pana odwiedziłam jak obiecałam. Rozmawialiśmy krótko. Była serdeczna i niezwykle ciepła w każdym słowie”.

Nie tracąc chwili czasu ruszyliśmy w drogę, zdani tylko na własne szczęście. Księżyc był w pełni i widoczni byliśmy jak na dłoni. Do lasu mieliśmy pół kilometra. Co chwila zerkaliśmy w stronę wioski, gdzie w paru chatach migotały światła, ale żadnego ruchu przed nimi nie można było zauważyć. Szliśmy kolejami nart, wyraźnie świeżo przetartymi przez patrol niemiecki. Wreszcie dotarliśmy do lasu, gdzie rozpoczynała się bardzo kręta dróżka stromo pnąca się w górę. Zbyt długo nie mogliśmy nią jednak iść, gdyż w każdej chwili zza zakrętu mógł wpaść na nas zjeżdżający od strony granicy patrol.

Skreśliśmy więc w las, aby iść dalej w stronę górskiego grzbietu na przełaj, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że nasze ślady nie mogą pozostać niezauważone. Trzeba się więc było spieszyć. Jednocześnie nie mogliśmy się też zbyt oddalać od drogi, aby nie zmylić kierunku. Zaczęła się prawdziwa męka. Śnieg był niezmiernie głęboki i puszysty. Zapadaliśmy weń powyżej pasa. Co 10-20 kroków zmienialiśmy się. Temu co szedł w tyle było łatwiej, gdyż wskakiwał już do głębokich lejów zrobionych przez idącego przodem. Mimo dużego mrozu byliśmy złani potem. Wydawało się, że ta wędrówka nigdy się nie skończy. Minęło może z półtorej godziny, zanim znaleźliśmy się na granicy. Po południowej, węgierskiej stronie nie było już lasu, tylko otwarta zaśnieżona przestrzeń, gdzie nawet zając był z dala wi-

doczny. Niedaleko, po prawej stronie spostrzeżyliśmy budkę strażniczą, co do której wiedzieliśmy, że są w niej Niemcy i mają ze sobą psy. Tych ostatnich obawialiśmy się najbardziej. Dla nabrania oddechu postaliśmy chwilę przy ostatnim drzewie, zjedliśmy po kawałku czekolady i ruszyliśmy w dół już po stronie węgierskiej. Zbiegaliśmy jak najszybciej, aby oddalić się od granicy.

Byliśmy już zupełnie wyczerpani, gdy nagle przed nami zamaczała lepianka-szałas całkowicie zasypana śniegiem, wystawał jedynie blaszany komin, z którego się dymiło. Zawyrokowaliśmy, że musi to być placówka węgierska i zasugerowałem, aby tam zejść. Ale mój towarzysz obawiał się, że to może opóźnić naszą dalszą podróż. Zależało mu bardzo, abyśmy jak najszybciej znaleźli się w Budapeszcie. Poszliśmy więc dalej, mijając tę lepiankę w odległości kilku czy najwyżej kilkunastu metrów. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że byli w niej Niemcy.

Gdy wreszcie wyszliśmy na drogę, już w znacznej odległości od granicy, gdzie teren znów był zalesiony, wydawało się, że całe niebezpieczeństwo mamy za sobą. Przysiedliśmy więc na przydrożnym płocie i wypaliliśmy papierosa, chyba najsmaczniejszego, jakiego kiedykolwiek w życiu paliłem. Następnie po paru kilometrach dalszego marszu dobrnęliśmy do wsi o nazwie Ruska Wieś. Tam w pierwszej chałupie poprosiliśmy o możliwość spędzenia reszty nocy. Dzieciaki poszły do rodziców na piec, a myśmy się ulokowali na dużych drewnianych ławach. Gdy zaczęło dzień, poprosiliśmy gospodarza, aby odwiózł nas do najbliższej stacji kolejowej. Ku naszemu zdumieniu oświadczył, że cała wieś ma rozkaz odstawiania uciekinierów z Polski do węgierskiej placówki wojskowej mieszczącej się w tej wsi. Nie pomogły perswazje i obietnica dolarów. Nasz gospodarz osobiście odprowadził nas do koszar. Kazano nam czekać w pomieszczeniu, w którym żołnierze czyścili broń. Gdy starając się nawiązać z nimi rozmowę mówiliśmy, jak trudne mieliśmy warunki przy przejściu granicy, nic nie odpowiadali, byli markotni i tylko spoglądali znacząco jeden na drugiego. Gdy wreszcie stanęliśmy przed komendantem placówki, ten oświadczył, że bardzo mu przykro, ale ma rozkaz od dowódcy całego pasa nadgranicznego, aby wszystkich przekraczających granicę odstawić z powrotem i oddawać w ręce władz niemieckich. Jest to rozkaz obowiązujący od niedawna i traktowany bardzo rygorystycznie.

Ta wiadomość spadła na nas jak grom z jasnego nieba, ale nie zrażeni natychmiast wszczęliśmy długie negocjacje. Nie pomogły argumenty, że mój towarzysz zna osobiście admirała Horthy'ego, z którym przed rokiem wspólnie polował (zdaje się tro-

chę przesadzone) i że był do niedawna węgierskim konsulem honorowym w Gdyni (to prawda) itp. Oficer sam przyznawał, że Niemcy chyba nie będą nas oszczędzać, gdyż poprzedniego dnia rozstrzelali dwóch młodych studentów Polaków na oczach patrolu węgierskiego, który odstawił ich na granicę. W pewnym momencie zmieniliśmy taktykę i zaczęliśmy mu tłumaczyć, że on nas zupełnie nie rozumiał. My chcemy z Węgier przejść na stronę polską, aby dotrzeć do bardzo ciężko chorego ojca. Ponieważ istotnie rozmowa była trudna, gdyż porucznik znał jedynie kilka słów niemieckich, w dużej mierze porozumiewaliśmy się na migi. W końcu zupełnie już skołowany postanowił sprowadzić tłumacza, którym okazał się stary, brodaty Żyd w chałacie. W pewnej chwili wyjrzałem przez okno i zobaczyłem zbliżający się do budynku patrol niemiecki na nartach. Po chwili wszedł do pokoju sierżant węgierski, meldując, że Niemcy przyszli po naszych śladach i żądają, aby im nas wydać. Porucznik odmówił, nam zaś oświadczył, że zostaniemy odstawieni na granicę w południe, kiedy odbywa się zmiana patrolu granicznego. Zasugerował z kolei, żebyśmy zaczęli przygotowywać się do drogi. Wtedy weszła do pokoju młoda i ładna kobieta, którą porucznik bardzo szarmancko przedstawił nam jako swoją żonę. Kobieta ta po zorientowaniu się w sytuacji i po zlustrowaniu naszych postaci podeszła do mnie, położyła mi rękę na czole i patrząc uporczywie w oczy zawyrokowała, że mam niezwykle wysoką gorączkę i w takim stanie nie mogę wychodzić na mróz. Przyniosła mi jakieś proszki, które skwapliwie zacząłem łykać. Po krótkiej i bardzo ożywionej rozmowie między małżonkami, której treści nie rozumieliśmy, zapadł wyrok. Przetrzymają nas przez 24 godziny i zostaniemy odstawieni, jak tylko będę się lepiej czuł.

Odprowadzono nas do celi i drzwi zaryglowano. Leżąc na pryczach zaczęliśmy przemyśliwać, co robić dalej. Około 7-mej wieczorem zjawił się żołnierz z karabinem i oświadczył, że porucznik i jego żona, którzy mieszkają w tym samym budynku na najwyższym piętrze, proszą nas na kolację. Tam też pod eskortą zostaliśmy odprowadzeni. Mała, jasna, czyściutka jadalnia z ładnie zastawionym stołem na cztery osoby robiła dobre wrażenie. Przystojna gospodyni z miłym uśmiechem zaprosiła nas do stołu. Pod ścianą na krześle siedział ten sam tłumacz. Zafrasowany porucznik, pan naszego życia i śmierci, był raczej milczący. Wszystko tym razem wyglądało jakoś surrealistycznie. Na stole stała butelka węgierskiej palanki, spojrzeliśmy więc porozumiewawczo na siebie i gdy kieliszki zostały napełnione, Władek wzniosł jakiś toast, który szybko został spełniony. Gościnni gospodarze dolewali i dotrzymywali nam towarzystwa. Gdy humory się po-

prawili, mój towarzysz raz jeszcze poprosił, czy mógłby zatelefonować do poselstwa polskiego w Budapeszcie. Rano te same prośby spotkały się ze stanowczą odmową, ale teraz widocznie palanka pomogła i porucznik poprowadził Władka do kancelarii na parterze, gdzie mieścił się telefon. Ja zostałem, aby bawić uroczą gospodynią. Po raz pierwszy na całej trasie naszej podróży poczułem, że fakt iż jest się młodym nie jest zawsze elementem obciążającym.

Szczęśliwie szybko udało się otrzymać połączenie z poselstwem. Dyżurny urzędnik po dowiedzeniu się z kim mówi obiecał interwencję u władz węgierskich. Po jeszcze jednej kolejce palanki zostaliśmy znów pod strażą odstawieni z powrotem do celi. Gdy rankiem następnego dnia znaleźliśmy się w kancelarii, porucznik stwierdził, że żadnej reakcji z Budapesztu nie było, więc bardzo mu przykro, ale musi nas odstawić na granicę. Siedzimy więc i czekamy. Wreszcie telefon zadzwonił, porucznik poderwał się na baczność, bardzo słuźbiście przytakiwał i gdy powiesił słuchawkę, już zupełnie innym tonem oświadczył nam, że dzwonił właśnie jego najwyższy dowódca, generał, który dał mu rozkaz nieodstawiania nas na granicę. Wielki ciężar spadł nam z serca. W chwilę później następny telefon, tym razem z sekretariatu Ministerstwa Spraw Zagranicznych Węgier, hr. Csaky'ego z informacją, że niedługo odezwie się poselstwo polskie i że mamy być oddani do dyspozycji władz polskich. Istotnie niedługo potem był następny telefon, tym razem od konsula Michała Czudowskiego w Ungwarze, z wiadomością, że samochód konsulatu już po nas wysłany. Zaczęliśmy się żegnać. Uroczej pani porucznikowej, która zbiegła do kancelarii na wiadomość o naszym odjeździe, szarmancko i bardzo serdecznie ucałowałem rękę. Jeszcze były kłopoty z autem, które ugrzęzło w zaspach śnieżnych, ale nastroje mieliśmy szampańskie.

Konsul Czudowski przyjął nas bardzo gościnnie. W całości potwierdził informacje porucznika z przygranicznej węgierskiej placówki, że Węgrzy na skutek niezmiernie silnej presji niemieckiej całkowicie zamknęli krótki odcinek bezpośredniej granicy polsko-węgierskiej i że w ciągu ostatniego tygodnia doszło już do szeregu tragicznych scen na samej granicy. W związku z tym poseł Leon Orłowski energicznie interweniował u najwyższych czynników węgierskich w Budapeszcie. Następnie zaczął nas rozpytywać o najnowsze wiadomości z Warszawy. W końcu po dobrej kolacji zaprowadził nas na nocleg do tego samego pokoju — jak podkreślał — w którym przed paru miesiącami spędził pierwszą noc po przekroczeniu granicy gen. Sosnkowski. Następnego ranka w sobotę 27 stycznia spacerowaliśmy po mieście, czekając

na pociąg do Budapesztu. Po ostatnich miesiącach spędzonych w zniszczonej i zabiedzonej Warszawie mały stosunkowo Ungwar wydał się bogatą i wesołą metropolią. Wczesnym popołudniem wsiedliśmy do wagonu drugiej klasy pociągu idącego do Budapesztu. Oprócz nas w przedziale było jeszcze dwóch pasażerów, którymi okazali się oficerowie polscy. Nawiązała się długa rozmowa. Przy końcu naszej podróży zaczęliśmy się sobie wzajemnie przedstawiać. Przyuczony odpowiednio w Warszawie przedstawiłem się swym zmienionym nazwiskiem, na co w odpowiedzi jeden z nowo poznanych oświadczył, że nazywa się Pawłowicz.

Na dworcu w Budapeszcie rozstaliśmy się z Władkiem. On pojechał do wytworzonego hotelu, a ja do mieszkania mego kuzyna Władka Stankiewicza, który odnajmował skromny pokój przy jakiejś rodzinie węgierskiej. W domu go nie zastałem, ale gospodyni oświadczyła, że ponieważ jest już późno, więc na pewno niedługo się zjawi. Zaprowadziła mnie do jego pokoju. Byłem głodny, ale jeszcze bardziej zmęczony. Położyłem się na tapczanie i zasnąłem. Jakież było zdziwienie Władka, który po przyjeździe zastał w łóżku gościa i to gościa z Warszawy. Opowiadania przeciągnęły się do późna w nocy. Następnego ranka poszliśmy razem do hotelu do Władka Gieysztora, aby pożegnać się tuż przed jego wyjazdem do Paryża. Władek obiecał, że z Paryża porozumie się z Jerzym Barthel de Weydenthalem, który był wtedy delegatem MSZ-u do spraw uchodźczych w Mentonie, aby z chwilą, kiedy przekroczymy granicę francuską, pozwolił nam — przed odesłaniem nas do jakiegoś wojskowego obozu zbornego — na odwiedzenie Władka żony i córek przebywających w Nicei.

Następnie z moim kuzynem pojechaliliśmy koleją do Vishogradu, malowniczo położonego miasteczka nad Dunajem, gdzie jego ojciec, major Korpusu Geografów, przebywał w obozie jenieckim. Nie był to w dosłownym tego słowa znaczeniu obóz jeniecki, jedynie część miasteczka, gdzie w prywatnych domach zakwaterowano polskich oficerów. Tych kilkunastu ulic strzegły węgierskie warty wojskowe. Przechodząc koło jednego z wartowników mój towarzysz pokazał przepustkę i bez trudu weszliśmy na teren zakwaterowania, po którym kręciło się wielu polskich oficerów w mundurach. Po chwili znaleźliśmy się w towarzystwie mego wuja, mjr. Józefa Stankiewicza i jego najbliższych kolegów. Moje przybycie, człowieka który przed tygodniem był jeszcze w Warszawie, budziło wszędzie wielką sensację. Na obiad poszliśmy do kasyna, gdzie zostałem przedstawiony jakiemuś generałowi, komendantowi obozu i niezliczonej ilości innych oficerów. Rozmowom nie było końca, jak również nie było końca kolejkom wypitej palanki. Gdy zbieraliśmy się do drogi powrotnej, ktoś

mnie zapytał, jaką mam przepustkę. Gdy okazało się, że nie mam żadnej, powstała konsternacja. Ostatecznie uradzono, że nie ma innej rady i trzeba będzie mi zorganizować regularną ucieczkę. Zostaliśmy więc na noc i następnego dnia przed świtem poszliśmy z oficerem, który na ten dzień planował ucieczkę i zaprzyjaźnioną Węgierką nad Dunaj. Cały czas zgodnie z umową ona głośno opowiadała coś po węgiersku, a my z kolei odpowiadaliśmy jej krótko kilkoma wyuczonymi słowami. Było jeszcze zupełnie ciemno, wartownik, którego mijaliśmy wziął nas za Węgrów i bez legitymowania przepuścił. Następnie spokojnie przeszliśmy wąską, przetartą w śniegu dróżką przez zamrznięty Dunaj. Na stacji uprzejma Węgierka kupiła nam bilety i szybko odjechaliśmy do Budapesztu.

Po powrocie do Budapesztu zaczęliśmy biegać po różnych urzędach, przygotowując sobie wyjazd do wojska do Francji. Otrzymałem skierowanie do schroniska i drobną zapomogę na przeżycie do czasu opuszczenia Węgier. Następnie zacząłem wyrabiać sobie paszport na przejazd do Francji. Legalnie wizy tranzytowe przez Jugosławię i Włochy otrzymywali mężczyźni w wieku niepełnoletnim. W paszporcie musiał więc być podany wiek poniżej lat osiemnastu lub powyżej czterdziestu pięciu. Ta pierwsza alternatywa z powodu mojego wyglądu wydawała się znacznie bardziej prawdopodobna. Uzyskałem więc paszport na nazwisko Jan Ziemba, wiek lat siedemnaście. Z tym paszportem musiałem zgłosić się kolejno po wizy do konsulatów jugosłowiańskiego i włoskiego. Gdy przyszedłem do włoskiego w określonym dniu po odbiór paszportu z wizą, w poczekalni siedziało już około dwudziestu dżentelmenów, zgodnie przyodzianych w pumpy i narciarskie buty. Był to strój, po którym wszędzie w Budapeszcie można było poznać polskich uchodźców. Po chwili czekania wszedł do pokoju włoski urzędnik z plikiem paszportów i kolejno zaczął wywoływać nazwiska. W pewnej chwili zawołał „Ziemba”, na co tym razem nikt się nie odezwał. Powtórzył więc nazwisko po raz drugi i trzeci. Znów cisza, a wszyscy wkoło zaczęli się rozglądać. Wreszcie dotarło do mojej świadomości, że chodzi o mnie. Zerwałem się szybko i podbiegłem do Włocha, który sam, a z nim reszta zebranych, wybuchnęli głośnym śmiechem. Wszyscy doskonale się orientowali, że wiele paszportów nie jest wystawionych na nasze rodowe nazwiska.

Naturalnie załatwienie tych formalności potrwało szereg dni, więc było jeszcze sporo czasu na zwiedzanie pięknego miasta.

Tadeusz PAWŁOWICZ

WSPOMNIENIA 1939-1954 (dok.)

W Anconie, gdzie mieściło się wówczas dowództwo 2-go Korpusu, spędziłem około dwóch tygodni, prowadząc codziennie długie rozmowy z Bąkiewiczem, jego zastępcą podpułkownikiem Kijakiem lub z innymi oficerami „dwójki”. Szybko mogłem się zorientować, że mieli oni bardzo mgliste pojęcie o tym, co działo się w Polsce podczas okupacji i po wkroczeniu armii sowieckiej. Z pewnością właśnie dlatego trzymali mnie tak długo w Anconie i nalegali, żebym przekazał im jak najwięcej informacji. A miałem ich wiele, bo w Departamencie Spraw Zagranicznych Delegatury Knoll powierzył mi m.in. obowiązek utrzymywania łączności z Departamentem Spraw Wewnętrznych i z sekretarzem Rady Jedności Narodowej, Bolesławem Biegą. Miałem licznych znajomych w różnych komórkach konspiracji, a w Milanówku, już po Powstaniu, poznałem wielu przywódców Polski Podziemnej, o czym już pisałem w I części moich wspomnień. Dzięki temu orientowałem się dobrze w rozmaitych zawiłych sprawach konspiracji, jak również w personaliach, co dla moich rozmówców było niemal zupełnie obce.

Wszyscy nielegalni uchodźcy z Polski, szukając schronienia we Włoszech, musieli z konieczności znaleźć oparcie w 2-gim Korpusie (stąd te rozmowy z andersowską „dwójką”), bo ze zrozumiałych względów nie mogli zwracać się o pomoc do ambasady czy też konsulatów PRL. Było ich wielu, ale — jak się później zorientowałem — prawie wszyscy wywodzili się z jakichś oddziałów partyzanckich. Natomiast ja byłem wśród nich pierwszy, który miał rozeznanie w istnej dżungli politycznego podziemia. Z ludzi związanych ściśle z polityką zjawił się przede mną tylko adwokat Tadeusz Myśliński, przed wojną sekretarz redakcji endeckiej *Gazety Warszawskiej*, w czasie okupacji szef „Stożka”, tj. kontrwywiadu w wydziale bezpieczeństwa Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu. Jednakże Myśliński, po nieoczekiwanym zwolnieniu go z Gestapo, chyba na przełomie roku 1943 i 1944 był zupełnie izolowany i odsunięty od wszelkich kontaktów z Delegaturą, ponieważ stracił zaufanie, jakim go przedtem darzono. Przyznał mi się zresztą sam w Rzymie, że zwolniono go po długich rozmowach z wysokim funkcjonariuszem Gestapo, Spilkerem, jedynie dzięki temu, iż jego pod-

władny (Skosowski — „Lolek”, prawdziwe nazwisko Gitman, zgładzony potem z wyroku naszego podziemia za współpracę z okupantem) przekazał Gestapo w zamian za jego zwolnienie listę członków PPR i Gwardii Ludowej.

Niezależnie od rozmów płk Bąkiewicz poprosił mnie, bym niektóre zagadnienia opracował dla niego na piśmie. Jednym z takich moich opracowań była relacja o wielu sprawach poprzedzających aresztowanie w Pruszkowie szesnastu przywódców Polski Podziemnej (jak doszło do nawiązania pierwszych kontaktów z Polską Armią Ludową, a potem z NKWD, doręczenie listów zapraszających na rozmowy Delegata Rządu Jankowskiego i generała Okulickiego, personalia szesnastu przywódców). Trudno mi po tylu latach stwierdzić z całą pewnością, ale wydaje mi się, że ta moja relacja — może nawet w dosłownym brzmieniu — ukazała się później jako „Sprawozdanie z porwania szesnastu przywódców Polski Podziemnej”, będąc jednym z aneksów do dzieła Edwarda Raczyńskiego „W sojusznicy Londynie”.

Zasadnicze rozmowy na temat aktualnej sytuacji w Polsce i na świecie prowadził ze mną szef Sztabu 2-go Korpusu, generał Kazimierz Wiśniowski, przy raczej biernym udziale płk. Bąkiewicza i ppłk. Kijaka. Od początku zarysowały się między nami daleko idące rozbieżności. Wiśniowski twierdził z uporem, że ponieważ niebawem (może nawet na przyszłą wiosnę) wybuchnie trzecia wojna światowa, wszystkie polskie organizacje podziemne powinny się nie ujawniać i nadal prowadzić swoją działalność wymierzoną przeciwko PRL i ZSSR, a oddziały partyzanckie nadal uprawiać dywersję i sabotaż, zwłaszcza na ziemiach odzyskanych. Dziś, po upływie czterdziestu lat, jego rozumowanie może wydawać się wprost śmieszne, ale i wówczas w żaden sposób nie mogłem się z nim pogodzić. Byłem młody, niezbyt doświadczony, jednakże miałem za sobą dobrą szkołę politycznego myślenia jako najbliższy współpracownik Romana Knolla, z którym — zwłaszcza przed opuszczeniem Polski — prowadziłem nieustanne rozmowy. Oprócz moich rozległych popowstaniowych znajomości z Milanówką spotykałem różnych polityków w Chyliczkach u Knolla, a także miałem ciekawe kontakty z racji mojej pracy w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj. Chyba właśnie dzięki temu, mimo dużej różnicy wieku i pozycji, nie czułem się oszołomiony wywodami szefa sztabu 2-go Korpusu. Przystąpiłem do kontrataku.

Przede wszystkim powiedziałem mu, że zarówno ja, jak i moi polityczni przyjaciele w kraju uważamy, że trzecia wojna światowa — jeśli w ogóle wybuchnie — to z pewnością nie prędzej niż

za jakieś dziesięć lat. W związku z tym zalecenia generała, żeby nadal tkwić w podziemiu i utrzymywać w lasach oddziały partyzanckie są — moim zdaniem — zupełnie nierealne, choćby tylko dlatego, że ludzie są zmęczeni sześcioletnią konspiracją i że nasze społeczeństwo nie jest już tak zwarte i solidarne, jak podczas okupacji niemieckiej.

Nie zgadzałem się również ze zbyt drastycznym traktowaniem zagadnienia powrotu do kraju zwykłych żołnierzy 2-go Korpusu. Według wielu ludzi z dowództwa 2-go Korpusu powrót równał się nieomal zdradzie sprawy narodowej. Spotykałem się z opinią, że niewskazane jest nawet utrzymywanie jakichkolwiek kontaktów z najbliższymi w kraju, bo mogłoby to okazać się dla nich groźne.

Irytowało mnie pryncypialne stanowisko gen. Wiśniowskiego i kiedy nie starczyło mi już innych argumentów, powiedziałem wprost, że panom jest tutaj, z wygodnych foteli, łatwo nawoływać nas w kraju do partyzantki, konspiracji, sabotaży i dywersji. Dodałem, że jest dla mnie szokujące, iż zakazuje się żołnierzom powrotu do Polski, a nawet przesyłania paczek, stanowiących znaczną pomoc dla wygłodzonego kraju, gdy tymczasem znane mi są już przypadki sprowadzania do Włoch żon wyższych oficerów, na co podoficerowie i szeregowi, nie mając odpowiednich kontaktów i środków, nie mogą sobie pozwolić. Większość żołnierzy 2-go Korpusu stanowili przywiązani do swojej ziemi chłopci, którzy zdawali sobie sprawę, że ich rodzice, żony, siostry czekają z utęsknieniem na ich powrót, bo bez ich pomocy nie dają sobie rady.

Wreszcie ostatnim tematem, który wzbudził pomiędzy nami rozbieżności, było stanowisko Mikołajczyka i PSL oraz Stronnictwa Pracy. Zdaniem Wiśniowskiego decyzja Mikołajczyka i Popiela była niezmiernie naiwna, nawet głupia i w istocie stanowiła zdradę polskiej racji stanu. Jak przekonałem się nieco później, taki pogląd był w środowisku 2-go Korpusu niemal powszechny, przynajmniej do czasu kongresu PSL w styczniu 1946 roku, kiedy ludzie trzeźwiej myślący zrozumieli, że PSL w niezwykle trudnych warunkach rozpoczyna otwartą, zdecydowaną walkę z komunistycznym reżymem. My w kraju (mam tu na myśli oprócz siebie ludzi z mego najbliższego otoczenia) uważaliśmy od początku, że Mikołajczyk podejmuje próbę, która ma wprowadzić bardzo niewielkie szanse powodzenia, ale jest jednak wysiłkiem, by ratować co się da, bądź przynajmniej opóźnić proces zupełnego zniewolenia narodu. Tak chyba zresztą musiała myśleć ogromna większość społeczeństwa o czym m.in. świadczył

niebываły entuzjazm tłumów witających Mikołajczyka w Polsce. Tak nie wita się zdrajców. A ten powrót rodził jakąś nadzieję.

Oczywiście przebieg tych dość burzliwych, ale utrzymanych w kurtuazyjnej formie, rozmów przedstawiłem w dużym skrócie. Dodam jeszcze, że niekiedy wydawało mi się, że niektóre moje poglądy trafiają do przekonania płk. Bąkiewicza, a zwłaszcza ppłk. Kijaka, chociaż tego wyraźnie nie przejawiali.

Mój pobyt w Anconie trwał jeszcze tylko kilka dni po tych zasadniczych rozmowach. Nie wiedziałem jak potoczą się moje dalsze losy. Nie interesowali się tym moi rozmówcy, tylko kiedy powiedziałem im, że pojedę chyba do Rzymu, Bąkiewicz i Kijak poprosili mnie, żebym nawiązał kontakt z oddziałem prasy i propagandy 2-go Korpusu w celu przedstawienia sytuacji w Polsce w czasie okupacji i po wkroczeniu armii sowieckiej.



Nie pamiętam już, czy pierwszym moim rozmówcą w Rzymie był kapitan Kostecki, czy rotmistrz Bąkowski. W każdym razie jeden z nich dał mi adres niedrogiego pensjonatu w pobliżu Via Vittorio Veneto i jakieś pismo upoważniające mnie do jadania tanich posiłków w oficerskiej katynie, mieszczącej się w hotelu Dienesen. Po upływie paru dni zaproponowano mi, żebym wygłosił kilka prelekcji dla pracowników oddziału prasy i propagandy oraz dla członków redakcji organu 2-go Korpusu — *Orzeł Biały*. Redaktorem naczelnym tego pisma był wówczas Ryszard Piestrzyński, głównym publicystą Zdzisław Stahl a współpracownikiem Klaudiusz Hrabyk. Nazwiska te nie były mi obce, pamiętałem że wszyscy trzej na kilka lat przed wojną przeszli ze Stronnictwa Narodowego do OZON-u. Hrabyk, najostrzej chyba zwalczający wówczas komunizm, miał później zrobić jeszcze jedną woltę, bo powróciwszy do Polski stał się gorliwym propagandystą reżymu i bliskim współpracownikiem agencji prasowej Interpress.

Prawie wszyscy oficerowie, którzy przychodzili na moje prelekcje, również niewiele wiedzieli o sytuacji w Polsce i wyrażali poglądy zbliżone do tych, z jakimi spotkałem się w Anconie. W środowisku 2-go Korpusu w Rzymie spotkałem jednak kilku ludzi o znacznie szerszych horyzontach i przejawiających głęboką troskę o losy kraju. Należeli do nich przedwojenny redaktor *Buntu Młodych* i *Polityki*, jeden z przywódców „Myśli Mocarstwowej”, poprzednik Piestrzyńskiego na stanowisku redaktora naczelnego *Orła Białego*, Jerzy Giedroyc, który bardzo trzeźwo ocenił ówczesną sytuację polityczną na świecie i w Polsce, a

w ocenie prołondyńskich działaczy politycznych w kraju wykazywał daleko idącą powściągliwość i krytycyzm, w czym przypomniał mi Knolla; naczelny redaktor pisma *Na Szlaku Kresowej* — Witold Zahorski; generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski i zaprzyjaźniony z nim Tadeusz Zajączkowski, przed wojną sekretarz Adama Skwarczyńskiego; a wreszcie Gustaw Herling-Grudziński, którego spotykałem na podobnych zebraniach u ambasadora polskiego przy Watykanie, Kazimierza Papée i u ministra pełnomocnego przy Kwirynale, Janikowskiego, gdzie również dzieliłem się wiadomościami z kraju. Przy okazji dodam, że uderzała mnie wielka różnica pomiędzy nimi, jeśli chodzi o zainteresowanie tym tematem. O ile Papée robił wrażenie z lekka znudzonego moimi opowieściami, o tyle Janikowskiego pasjonowało wszystko, o czym mówiłem i widać było dość wyraźnie, że to przeżywa. Na tych spotkaniach poznałem m.in. przedwojennego ministra rolnictwa i reform rolnych Juliusza Poniatowskiego, Józefa Maciewiczza, radcę ambasady przy Watykanie, nieprzejednanego patriotę księdza prałata Waleriana Meysztowicza oraz sekretarza tejże ambasady — Edwarda Borowskiego i Mańkowskiego z poselstwa przy kwirynale. Przychodziły też panie — Zofia Wańkowiczowa, Wanda Pełczyńska i uroczą Marią Czapską, siostra doskonałego malarza i pisarza Józefa Czapskiego, którego spotykałem chyba w hotelu Dienesen. Pamiętam, że dużo łatwiej udawało mi się znaleźć wspólny język właśnie z tymi paniami, pewnie dlatego, że dwie pierwsze przybyły niedawno z kraju i znacznie lepiej rozumiały nasze problemy. Chyba tylko one popierały mnie, gdy próbowałem bronić Mikołajczyka i starałem się przekonać zebranych, że jednak nie jest zdrajcą.

W Rzymie spotkałem wielu oficerów 2-go Korpusu, ale poza wyżej wymienionymi kilkoma wyjątkami, do których zaliczyłbym również Wiesława Wohnouta i przedstawiciela II oddziału na Rzym kpt. Teichmana, a także nieco później poznanego generała Nikodema Sulika, niemal wszyscy nie przejawiali zbytniej troski o losy kraju. Interesowali się natomiast żywo czarną giełdą i zazwyczaj rozpoczynali dzień od przeglądania gazety *Il Globo*, która podawała codzienne kursy walut na czarnym rynku. W owym czasie wśród oficerów rozwijał się bujnie nielegalny handel złotymi funtami, zwanymi tutaj popularnie „kasztany”. W pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny w Europie komunikacja pomiędzy różnymi krajami była jeszcze bardzo złą, wskutek czego istniała ogromna różnica w kursie złotego funta, przede wszystkim pomiędzy Włochami i Egiptem. Wojsko dzięki samolotom, okrętom i samochodom miało znacznie większą możliwość podróżowania. Toteż wielu oficerów korzystało skrzętnie

z każdej okazji, żeby się względnie tanim kosztem dorobić. Podobno nie najlepszy przykład dawali sam Wódz, generał Anders i jego zastępca, generał Szyszko-Bohusz. Wśród oficerów oddziału prasy i propagandy krążyły na ten temat przeróżne plotki, które nawet jeśli były zwykłą fantazją, nie świadczyły zbyt dobrze o autorytecie Andersa. W każdym razie daleko mu było do legendy, jaką otoczony był Piłsudski. Oto anegdota, którą zapamiętałem: jaka jest różnica między Piłsudskim a Andersem? Odpowiedź: taka sama, jak pomiędzy kasztanką i kasztanem.

Z tego, co do mnie docierało, mogłem sobie wyrobić o Andersie pewną opinię, może nieco krzywdzącą. Był niewątpliwie wybitnie zdolnym dowódcą i bohaterskim żołnierzem, ale przy tym miał ogromne ambicje, podsycane często przez najbliższe otoczenie, którego chyba nigdy nie potrafił sobie dobrać. Potwierdziła mi to zresztą w pełni jego poprzednia żona, którą spotkałem w Paryżu, wracając do kraju. Pomimo bolesnego zawodu, jakim była dla niej, przybyłej świeżo z umęczonego kraju, wiadomość o romansie jej męża z piosenkarką Bogdańską, mówiła o Andersie z dużą życzliwością i sympatią, uskarżając się tylko właśnie na to złe otoczenie, spod którego wpływów nie umiał się uwolnić. Podczas mego pobytu we Włoszech za doradców politycznych Andersa uchodzili m.in. niezbyt ciekawa postać, syn Stanisława Strońskiego i niezbyt poważny Zbigniew Stypułkowski.

Pisałem już o handlu „kasztanami”, ale gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że zwolennicy Andersa, nie negując jego zarobków na tym handlu, twierdzili że znaczną ich część przeznaczał na prowadzenie akcji oświatowej wśród młodych żołnierzy 2-go Korpusu. Istotnie wielu z nich wstąpiło w Rzymie na wyższe uczelnie, dzięki pomocy 2-go Korpusu.

Wróć jeszcze do środowiska oddziału prasy i propagandy, żeby poruszyć nurtujący mnie problem stosunku do ówczesnej rzeczywistości w kraju i związanych z tym konsekwencji. Przy każdej okazji starałem się zwracać uwagę, że rzeczywistość ta jest wystarczająco ponura, by nie zaciemniać jej jeszcze bardziej przy pomocy różnych fałszywych, łatwych do zdemaskowania „wiadomości”. Tego rodzaju postępowanie podaje w wątpliwość wiarygodność informacji rzetelnej. Najzupełniej wystarczy pisać prawdę. Oto jeden z przykładów: jakieś pismo 2-go Korpusu zamieściło zdjęcie przedstawiające kilku ludzi wiszących na szubienicach, a pod zdjęciem podpis, że są to żołnierze AK zamordowani przez bezpiekę. Wkrótce potem pismo wydawane przez ambasadę PRL zamieściło fotokopię z jakiejś gazety krajowej tego

samego zdjęcia z podpisem, że przedstawia ono egzekucję niemieckich zbrodniarzy wojennych z podaniem ich nazwisk oraz daty i miejsca egzekucji. Pismo ambasady nie omieszczało, rzecz prosta, napiętnować w ostrej formie fałszerstwa andersowskiej propagandy.

Pragnąc zapobiec zamiarom powrotu do kraju, uciekano się do różnych sposobów. M.in. *Orzeł Biały* opublikował list jakiegoś podoficera 2-go Korpusu, który wróciwszy do Polski przedstawił tamtejszą rzeczywistość w najczarniejszych barwach. List był autentyczny, ale rzeczą karygodną było podanie prawdziwego imienia i nazwiska jego autora wraz ze stopniem wojskowym i przydziałem służbowym, co mi potwierdzono. Zwróciłem na to uwagę kapitanowi Kosteckiemu, podkreślając że zaopatrzenie listu takimi ściśłymi danymi personalnymi jest po prostu denuncjacja, bowiem w PRL istotnie panuje terror i za taką krytyczną ocenę autor z pewnością zostanie aresztowany. Kostecki speszył się nieco i nie przecząc, że nazwisko było prawdziwe, usiłował mnie przekonać, że na Zachodzie ludzie nie wierzą niczemu, co nie jest podpisane autentycznym nazwiskiem. Ten argument nie trafił mi oczywiście do przekonania.

Jednakże później wiele się pod tym względem zmieniło na korzyść. Na przykład opowiadano mi, że świadkowie zbrodni katyńskiej, zeznając przed telewizją, występowali w maskach, żeby ich nie rozpoznano.



Po kilku miesiącach pobytu w Rzymie doszedłem do wniosku, że tamtejsze środowisko andersowskie, podobnie jak przedtem w Anconie, nie przypada mi do gustu. Czułem się tutaj źle, a przy tym nie wiedziałem, co dalej robić. Było to tym przykrejsze, że skromne zasoby, jakie zabrałem ze sobą z kraju, zaczynały się kończyć. Ludzie mi życzliwi nie mogli mi pomóc, bo nie odgrywali żadnej ważniejszej roli, łącznie z generałem Karaszewiczem-Tokarzewskim, który znalazł się na bocznym torze. Napisałem kilka artykułów o sytuacji w kraju (oczywiście pod pseudonimem) do pism *Orzeł Biały* i *Na Szlaku Kresowej*, ale były one honorowane bardzo słabo i w żadnym razie nie mogły zapewnić nawet najskromniejszej egzystencji.

Nie widząc innego wyjścia uznałem, że nadszedł już czas, by — zgodnie z tym, co ustaliliśmy z Knollem — nawiązać kontakt ze znanym mi ze spotkań w Chyliczkach pierwszym radcą ambasady PRL, Witoldem Wyszyńskim oraz z kierowniczką kancelarii w ambasadzie panią Adą Kaczkowską, która taką samą funkcję pełniła w naszym Departamencie Spraw Zagranicznych Delega-

tury i weszła w skład pracowników ambasady dzięki interwencji Knolla. Ponieważ powiedziałem im, że wobec trudności, w jakich się znalazłem, wróćę chyba do kraju, jeśli tylko zostanie ogłoszona amnestia, poradzili mi oboje, żebym nawiązał kontakt z profesorem Kotem.

Zanim się na to ostatnie zdecydowałem, postanowiłem napisać list do generała Andersa. Przedstawiłem moją sytuację i nie prosząc go o nic, zwróciłem z goryczą uwagę na głęboką różnicę pomiędzy traktowaniem przez nas w podziemiu cichociemnych, których otaczano najtroskliwszą opieką i traktowaniem przez 2-gi Korpus ludzi z konspiracji, zmuszonych do opuszczenia kraju i szukających schronienia za granicą, w obcym środowisku, pozostawionych bez żadnej opieki. Do napisania tego listu namówił mnie jeszcze jeden życzliwy mi człowiek, przedwojenny wydawca *Wiadomości Literackich*, Antoni Borman, którego spotkałem w Rzymie nieco później, i Zajączkowski, który z właściwą mu skłonnością do pewnej przesady rozповідаł wśród znajomych mu oficerów, że 2-gi Korpus, nie udzielając mi właściwie żadnej pomocy, potraktował mnie haniebnie, pomimo że przez pięć lat narażony byłem na takie same niebezpieczeństwo, jak żołnierze szturmujący Monte Cassino.

Po upływie kilkunastu dni ktoś z wydziału prasy i propagandy powiedział mi, że jestem zaproszony do Ancony, dokąd mogę pojechać wojskowym samochodem w każdej chwili. Postanowiłem z tego zaproszenia skorzystać, domyślając się, że w wyniku mego listu spotkam się z jakąś propozycją ze strony 2-go Korpusu. Zdawałem sobie sprawę, że mój powrót do kraju, do czego zresztą namawiała mnie gorąco rodzina, wiąże się z dużym ryzykiem, nawet gdyby została ogłoszona amnestia.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, zaraz po moim przyjeździe do Ancony gen. Wiśniowski zaproponował mi, żebym wstąpił do 2-go Korpusu w stopniu podporucznika. Odpowiedziałem mu szczerze, że w ciągu kilkumiesięcznego pobytu we Włoszech doznałem wiele goryczy i rozczarowań i że w związku z tym muszę się poważnie zastanowić nad jego propozycją. Generał nie nalegał na natychmiastową decyzję, ale namawiał mnie serdecznie, żebym się zgodził.

Spędziłem wówczas w Anconie dwa lub trzy dni, spotykając znowu wielu oficerów, ale przyznam się, że rozmowy z nimi utwierdziły mnie w przekonaniu, że w tym środowisku nie będę się czuł dobrze. Być może wynikało to z tego, że moje kontakty zarówno w Anconie, jak w Rzymie ograniczały się niemal z reguły do spotkań z ludźmi z dowództwa, związanymi blisko ze

sztabem 2-go Korpusu. Nie byli to oficerowie liniowi, a większość z nich myślała głównie o tym, jak się teraz, po zakończeniu wojny, najlepiej urządzić w razie gdyby nie wybuchła trzecia wojna światowa. Nadal nie dostrzegałem troski o kraj, a często nawet o los najbliższych, którzy tam pozostali przeważnie w trudnych warunkach. Zainteresowanie nurtującymi mnie ciągle bliskimi mi sprawami — minimalne. Pamiętam, że jedyne pytania, jakie zadał mi mój uniwersytecki kolega, dotyczyły dwóch czy trzech znanych mu pańienek. Poza tym nie obchodziło go nic ze spraw, o których miałem wiele do powiedzenia. Za to sam starał się zaimponować mi swoimi znajomościami, kontaktami towarzyskimi i rozwodził się długo o swojej wyprawie do Monte Carlo, gdzie wprowadzić dużo przegrał w kasynie gry, ale żył jak król.

Pewnego wieczora zaproszono mnie na rewie teatru 2-go Korpusu. Zapowiadało się nieźle, bo na afiszach dostrzegłem kilka nazwisk dobrze mi znanych sprzed wojny. Niestety spotkało mnie rozczarowanie: poziom przedstawienia był żenujący. Nędznych tekstów nie zdołali ratować nawet tacy mistrzowie jak Ławiński i Tom. Siedziałem znudzony i smętny wśród rozbawionych oficerów, którzy zaśmiewali się z głupich, prymitywnych dowcipów.

Bezpośrednio po spektaklu, a także następnego dnia wielu znajomych pytało mnie, jak podobała mi się rewia, a przede wszystkim piosenkarka Bogdańska. Odpowiedziałem, że rewia słaba, a piosenkarka bardzo przeciętna. Ale kiedy spotkałem się z tym pytaniem chyba po raz dziesiąty, z kolei ja zapytałem, dlaczego tak się interesują, przecież chyba nie uważają jej za nową gwiazdę estrady. Bynajmniej — padła odpowiedź — ale to jest dama serca naszego wodza. Chyba właśnie w tym czasie pani Andersowa, po przybyciu z kraju, przebywała już w obozie dla uchodźców cywilnych w miejscowości Barletta, czy może Trani.

W Anconie spotkałem wówczas człowieka, którego nie spotykałem się tutaj zastać. Był to znany pisarz, Ferdynand Goetel, oczywiście w mundurze, chociaż podczas okupacji nie cieszył się dobrą opinią, ponieważ dawał wyraz pewnym sympatiom dla III Rzeszy⁸. O ile mnie pamięć nie myli, wraz ze Skiwskim wydawał jakieś pismo akceptowane przez niemiecką propagandę i również ze Skiwskim oraz Józefem Mackiewiczem wziął

8. M.in. Goetel namawiał pisarzy, by wykonali wezwanie Dystryktu Warszawskiego do rejestrowania się w tym urzędzie.

udział w komisji powołanej przez Niemców w celu zbadania zbrodni katyńskiej.

Kręcił się także tutaj, jak mówili mi jego dawni koledzy, jeden z oficerów NSZ o pseudonimie „Sławek”, również w mundurze oficerskim, choć był poważnie podejrzewany o bliską współpracę z Gestapo. Z opieki 2-go Korpusu korzystał podobno znany germanofil, Władysław Studnicki, przebywający wówczas w Rzymie. Ponieważ w siedzibie Brygady Świętokrzyskiej w Regensburgu spotkałem jego brata, odwiedziłem go kiedyś, słysząc jeszcze w czasie okupacji, że usiłował nawiązać kontakty ze znanymi mu z pierwszej wojny światowej generałami Wehrmachtu, by dać wyraz swemu oburzeniu z powodu okrucieństw Gestapo i przekonać o beznadziejności wojny na dwa fronty. Studnicki potwierdził te informacje i opowiedział o szczegółach swego pobytu w Berlinie, gdzie go w rezultacie internowano, kiedy okazało się, że nie znajduje wspólnego języka z wysoko postawionymi osobistościami. Wreszcie w obozie dla uchodźców cywilnych, więc też pod opieką 2-go Korpusu, przebywał Szatkowski, jeden z twórców osławionego Goralenvolku; udało mu się jakoś uniknąć losu swego kompana, Krzeptowskiego, którego — jako zdrajcę — powiesili zakopiańscy górale.

Pod opiekunkę skrzydła Andersa chroniło się wielu ludzi, którzy nie powinni byli znaleźć sobie tutaj miejsca. Przyznam się, że było mi przykro, kiedy porównywałem moje mocno podniszczone cywilne ubranie z mundurem Goetla i owego „Sławka”.

Nie pamiętam już czy wówczas, czy może podczas mego pierwszego pobytu w Anconie, poznałem znakomitego Melchiora Wańkowicza. Rozmawiałem z nim jednak niewiele, bo było to na jakimś przyjęciu, gdzie otaczał go tłum wielbicieli, zasłuchanych w jego opowieści.

Ewenementem w życiu politycznym, ale także towarzyskim Ancony był przyjazd Zbigniewa Stypułkowskiego, który zjawił się tutaj na parę dni przed moim ponownym przyjazdem wraz z jakimś młodym człowiekiem (chyba z NSZ), z którym razem nielegalnie opuścili Polskę. Była to nielada sensacja, bo Stypułkowski stosunkowo niedawno powrócił do kraju z Moskwy, gdzie sądzono go w głośnym procesie szesnastu przywódców Polski Podziemnej. Przystojny, pewny siebie, elegancki, w futrze, które — jak twierdził — ofiarowało mu polskie społeczeństwo, pozwalał łaskawie, by tytułowano go ministrem, bo całe to andersowskie środowisko, słysząc coś niecoś o aresztowaniu w Pruszkowie podziemnego rządu uważało, że on także musiał być jego członkiem. W Anconie nie miałem okazji z nim rozmawiać, choć znałem go jako gościa baru „U aktorek” w Milanówku; rozma-

wiałem z nim później dwukrotnie w Rzymie. Zwróciłem się natomiast do sympatycznego młodego człowieka, który z nim przybył z kraju z pytaniem, dlaczego Stypułkowski nikomu nie wyjaśnia, że nigdy nie był ministrem. Okazało się, że go już o to pytał i usłyszał w odpowiedzi, że ponieważ spotyka się tutaj ciągle z wieloma generałami, a ma wojskowy stopień zaledwie majora, woli pozostać przy tytule ministra, żeby nie czuć się kimś gorszym.

Opuściłem Anconę z uczuciem coraz głębszego rozczarowania i zniechęcenia.



Wkrótce po powrocie do Rzymu ambasador Papée zaprosił mnie na prelekcję Stypułkowskiego na temat procesu szesnastu. Zagaił zebranie i przedstawił pana „ministra” Stypułkowskiego pan ambasador, którego Stypułkowski tytułował również ministrem, nie zdając sobie chyba sprawy, że w ten sposób obniża jego dyplomatyczną rangę. Wiadomo przecież, że Papée nigdy ministrem nie był, a minister pełnomocny, jakim był swego czasu istotnie, to w dyplomacji stopień od ambasadora niższy. Papée zapowiedział w swoim zagajeniu, że po odczycie nie jest przewidziana dyskusja, ale „minister” Stypułkowski gotów jest udzielać odpowiedzi na zadawane mu pytania indywidualnie, każdemu z osobna. Odczyt był ciekawy, już choćby z uwagi na temat, wygłoszony z dużą swadą, ale mnie szokowało wysuwanie się prelegenta na pierwszy plan. Słuchając jego relacji odnosiło się wrażenie, że to właśnie on był centralną postacią całego procesu, nieomal głównym oskarżonym. Łaskawiej potraktował chyba tylko generała Okulickiego, potem kilka ciepłych słów poświęcił Bagińskiemu, jednakże — o ile mnie pamięć nie myli — dotyczyły one raczej pobytu we wspólnej celi już po ogłoszeniu wyroku. Spośród wszystkich oskarżonych jedynie Pajdak i Stypułkowski byli adwokatami, nic więc dziwnego, że prelegent bronił się zrećniej niż pozostali i w rezultacie otrzymał bardzo niski wyrok. Zresztą sąd potraktował go łagodniej niż prawie wszystkich pozostałych przede wszystkim dlatego, że zarzuty, jakie na nim ciążyły, nie były zbyt poważne. Na rozmowach w Pruszkowie zjawiał się raczej przypadkowo, bo Stronnictwo Narodowe miało pewne kłopoty ze skompletowaniem swojej delegacji, zwłaszcza że przewidziany w niej jego przedstawiciel, Zwierzyński, siedział już w więzieniu NKWD i dopiero później dołączono go do całej grupy.

Po odczycie, zgodnie z przyzwoleniem ambasadora Papée,

przywitałem się ze Stypułkowskim, przypominając mu, że znamy się z Milanówka i zapytałem go, czy opuszczając nielegalnie kraj i wygłaszając publicznie takie prelekcje nie liczy się z tym, że władze bezpieczeństwa PRL roztoczą bardziej ścisłą kontrolę, a może nawet na wszelki wypadek — by nie poszli w jego ślady — zaaresztują tych współoskarżonych w procesie, którzy znaleźli się już na wolności i wrócili do kraju (chodziło o Stemlera, Michałowskiego i Kobylańskiego z całą pewnością, choć wkrótce po nich wyszli na wolność także Urbański, Chaciński i Czarnowski). Odpowiedź Stypułkowskiego była dla mnie szokująca. Powiedział bez najmniejszego zażenowania: — „Zdaje się, że pan także jest prawnikiem?” — A gdy potwierdziłem, dodał: — „To chyba pan pamięta, że profesor Wacław Makowski w swoim podręczniku prawa karnego podaje m.in. następujący przykład: kiedy okręt tonie, a rozbitkowie znajdują się w łodzi ratunkowej, która jest nadmiernie obciążona i wskutek tego grozi jej również zatonięcie, wyrzucenie jednego czy kilku za burtę, by ratować własne życie, nie jest karalne”. Nie pamiętałem tego przykładu i nie miałem więcej pytań.

Jednakże po upływie paru dni, kiedy kilka gazet włoskich zamieściło wywiady ze Stypułkowskim, w których było wiele, delikatnie mówiąc, nieścisłości, odwiedziłem go w hotelu i zwróciłem mu na to uwagę. Nie zaprzeczył słuszności moich zastrzeżeń, ale oświadczył, że nie ponosi odpowiedzialności za pewne sformułowania, ponieważ wywiadów nie autoryzował. Zaproponowałem mu więc, żeby zażądał zamieszczenia sprostowań, na co się jednak nie zgodził.

◆

Po koniec marca 1946 roku zadzwoniła do mnie p. Ada Kaczkowska i nie mogąc powstrzymać się od płaczu, powiedziała mi, że otrzymała wiadomość o śmierci Romana Knolla. Spotkaaliśmy się wkrótce potem w jakiejś kawiarni i już teraz razem opłakiwaliśmy tak bliskiego nam człowieka, z którym łączyła nas prawdziwa przyjaźń i wspólna praca w najtrudniejszych warunkach konspiracyjnych. Ceniliśmy ogromnie jego wielką inteligencję, głęboką wiedzę, doświadczenie polityczne, przenikliwość, rzadko spotykaną zdolność przewidywania wydarzeń politycznych, niezwykle urok osobisty, prawosć charakteru i prawdziwie koleżeński stosunek do współpracowników. Bystry, błyskotliwy, dowcipny, potrafił być czasem złośliwy, ale miał przy tym wielki talent przekonywania rozmówców logiką swoich argumentów i niecodzienny dar zjednywania sobie ludzi. Teraz, kiedy opuścił nas na zawsze, czuliśmy się zagubieni, samotni i nie widzieliśmy

przed sobą przyszłości. Pani Ada wyjeżdżając z Polski liczyła, że prędzej czy później rozstanie się z ambasadą i znowu podejmiemy wspólnie pracę z panem Romanem. Dla mnie przestał istnieć ostatni, ale najważniejszy powód, dla którego zwlekałem z podjęciem ostatecznej decyzji powrotu. Powiedziałem więc pani Adzie, że wobec śmierci naszego przyjaciela nie widzę już sensu dalszego przebywania we Włoszech i jeśli tylko pozwolą mi na to okoliczności, bezwzględnie wracam do kraju. Tym razem zgodziłem się na ponowną propozycję pani Ady, żebym nawiązał kontakt z ambasadorem Kotem.

Nie była to dla mnie łatwa decyzja. Wiedziałem, że w środowisku emigracyjnym Kot ma złą opinię: zarzucano mu zamykanie do intryg i rozgrywek personalnych, odgrywanie się na przedwojennych przeciwnikach politycznych, a w 2-gim Korpusie uważano go, podobnie jak Mikołajczyka, nieomal za zdradę. Wszelkie kontakty z ambasadą były surowo zakazane, do tego stopnia, że żołnierzom 2-go Korpusu zabroniono nawet dostarczania paczek żywnościowych dla rodzin w kraju. Można je było przynosić do ambasady, a potem szły za darmo wagonami towarowymi do Polski. Zakaz ten okazał się zresztą niezyciowy i wielu żołnierzy zupełnie się nim nie przejmowało, dowożąc swoje paczki wojskowymi ciężarówkami przed gmach ambasady. W rezultacie zwyciężyła więc inicjatywa Kota.

Tak się złożyło, że mniej więcej w tym samym czasie spotkałem kolejno w Rzymie dwóch bliskich mi ludzi. Na koncerty przyjechał do Włoch Witold Małcużyński z żoną, a wkrótce potem pojawił się niespodziewanie nasz wspólny przyjaciel, kolega Witka z gimnazjum, a mój z uniwersytetu — Paweł Zdziechowski, który niedawno poślubił Zofię Radziwiłównę. Z obydwoima rozmawiałem m.in. na temat mojej trudnej sytuacji i na temat prof. Kota. I obaj, mimo że znali wszystkie zarzuty, jakie przeciwko niemu wysuwano, stwierdzili to samo: że podobnie jak każdy inny człowiek ma on, oprócz licznych wad, pewne zalety. Nie chodziło przy tym o rzeczy powszechnie znane: wielki dorobek naukowy i nieprzejednana postawa wobec sanacji, wskutek czego pozbawiono go katedry. Obaj przytoczyli fakty dla mnie nowe, świadczące o jego dużej odwadze i gotowości poświęcenia z pomocą. Małcużyński powiedział mi, że kiedy po kapitulacji armii francuskiej cały polski rząd pospiesznie ewakuował się do Anglii, pozostał na miejscu, jako jedyny minister, tylko Stanisław Kot po to, żeby nieść pomoc ludziom, którzy musieli, albo chcieli wydostać się z Francji. Wyłącznie dzięki niemu Małcużyński wraz z żoną przedostał się do Hiszpanii, a potem do Portugalii. Z kolei Paweł Zdziechowski poinformował mnie, że

jego żona jest pełna uznania dla bardzo owocnej i ofiarnej pracy Kota jako ambasadora w ZSSR, kiedy nie szczędził trudu, by ratować wielu rodaków, m.in. jej ojca, któremu wydatnie pomógł. Moje kontakty osobiste z Kotem w pełni potwierdziły te dobre cechy jego charakteru. Uprzedzony przez Adę Kaczkowską i Witolda Wyszyńskiego o mojej trudnej sytuacji, przyjął mnie bardzo życzliwie, radził żebym się jednak nie spieszył z powrotem do kraju i zaczekał na bardziej sprzyjające okoliczności. A przy tym, chcąc mi umożliwić przetrwanie okresu wyczekiwania, zaproponował mi, żebym robił u siebie w domu nasłuch Polskiego Radia dla ambasady. Komunikacja z krajem była wtedy jeszcze bardzo zła, prasa i korespondencja docierały po kilkunastu dniach przez Paryż, więc placówki dyplomatyczne PRL musiały korzystać z nadawanego każdej nocy dyktanda prasowego PAP. Kot zapewnił mnie, że ze względu na moją sytuację nikt z ambasady nie będzie wiedział o mojej pracy, z wyjątkiem Wyszyńskiego i pani Kaczkowskiej, która miała co dzień rano odbierać napisane przeze mnie komunikaty i przekazywać mi wynagrodzenie. Miała to zatem być ścisła konspiracja. Ponieważ jednak Kot, pomimo odwagi, lubił się na wszelki wypadek ubezpieczać, uznał że musi wtajemniczyć w to *attaché* wojskowego, pułkownika Kazimierza Sidora, gwarantując za jego dyskrecję i lojalność, zwłaszcza jeśli mu powiem, że mam zamiar wrócić do kraju, skoro tylko pozwolą mi na to warunki. Było to o tyle zrozumiałe, że PSL, do którego Kot należał, spotykało się już w Polsce z niezwykle silnymi atakami ze strony PPR, a Sidor, członek partii, powołany był do czuwania nad „prawomyślnością” ambasady i śledzenia każdego kroku mikołajczykowskiego ambasadora.

W związku z podjęciem tej pracy musiałem znaleźć sobie pokój przy włoskiej rodzinie, względnie niekrępujący, żeby nocne dyktando radiowe nie przeszkadzało współlokatorom. Opuszczając mój pensjonat pożegnałem się serdecznie z mieszkającym tam moim kuzynem Jankiem Skibniewskim i ze znanym pisarzem, Gustawem Morcinkiem, który zrażony stosunkami w środowisku polskim w Rzymie — również zamierzał wrócić do kraju.

Spośród ludzi zatrudnionych w ambasadzie widywałem czasami pannę Wiktorównę, sekretarkę osobistą Kota. Tę samą funkcję pełniła ona przed wojną, kiedy ambasadorem w Rzymie był jej wuj, Alfred Wysocki. Nieco później poznałem wybitnego pisarza katolickiego, Romana Brandstaettera, który zakochał się w Wiktorównie, zaręczył z nią, a później ożenił.

Kot jako jedyny ambasador PRL z ramienia PSL wywalczył prawo dobrania sobie kilku współpracowników. Oprócz A. Kacz-

kowskiej, W. Wyszyńskiego i Wiktorówny należał do nich, przybyły później do Rzymu, Mieczysław Pruszyński, u którego bywałem w domu, gdzie poznałem jego brata Ksawerego. Ten ostatni przyjechał do Rzymu tylko na jakiś czas i w przeciwieństwie do nad wyraz ostrożnego i wstrzemięźliwego Mieczysława nie krępował się zupełnie w swych wypowiedziach, przytaczając także mocne antyreżymowe dowcipy.

Osobny rozdział, który później zaciążył nad moją sytuacją w więzieniu, to spotkania z Tadeuszem Myślińskim. Przechodził koleje losu dość podobne do moich, ale pobyt we Włoszech znosił dużo gorzej, bowiem zawsze lubił odgrywać ważną rolę, o czym tutaj nie mógł nawet marzyć, a w dodatku nie znał żadnego obcego języka, chyba z wyjątkiem niemieckiego. Po krótkotrwałych kontaktach z 2-gim Korpusem szybko zmienił front i postanowiwszy torować sobie drogę powrotu do kraju nie przebierając w środkach, nawiązał kontakt z Kotem i objął stanowisko redaktora naczelnego pisma, wydawanego przez ambasadę. W związku z tym środowisko 2-go Korpusu uważało go — z pewnością niesłusznie — za agenta komunistycznego reżymu, podczas gdy ja — w niektórych kołach — uchodziłem podobno za agenta Mikołajczyka.

Nie było w tym ani śdźbła prawdy, ale może właśnie dzięki temu, mimo moich kontaktów z ambasadą, których — poza sprawą nasłuchu — przed nikim nie tałem, nie straciłem więzi z 2-gim Korpusem. Pomogło mi to m.in. w doprowadzeniu do spotkania przybyłego z kraju mego znajomego poety, Jerzego Zagórskiego z jego bratem Wacławem, kapitanem w 2-gim Korpusie. Nie było to wcale takie łatwe, bo Jerzy, który przyjechał do Włoch najzupełniej legalnie, odwiedzał rzecz prosta ambasadę, ale nie miała ona nigdy żadnych powiązań z 2-gim Korpusem. Najczęściej widywałem się z Pawłem Zdziechowskim, który w stopniu podporucznika pracował w komisji alianckiej, a potem w Komitecie pomocy dla żołnierzy 2-go Korpusu, ewakuujących się do innych krajów niż Anglia (przede wszystkim do Argentyny). Jego szef w obu tych instytucjach, przedwojenny poseł do sejmu płk Emeryk Hutten-Czapski, miał mu za złe kontakty ze mną, ale kiedy miałem okazję go poznać, potraktował mnie łaskawie i przypomniał, że znał mego ojca. Już po ewakuacji z Włoch 2-go Korpusu widywałem się niekiedy z rezydującym jeszcze długo w Rzymie szefem tamtejszej ekspozytury II Oddziału Korpusu, kapitanem Teichmanem.

Kontakt ten mógłby się okazać niezwykle cenny nie tyle dla mnie, ile dla Tadeusza Myślińskiego. Władze w Warszawie, wiedząc, że jest związany z ambasadą i że redaguje jej pismo,

zaczęły nalegać, żeby jak najprędzej wracał do kraju. Myśliński zwlekał, zastanawiał się co robić, zdając sobie sprawę, że może być aresztowany, bo jego zwolnienie z więzienia Gestapo — o czym już pisałem — mogło budzić poważne podejrzenia, że zgodził się wówczas na współpracę.

Na parę dni przed ostatecznym już terminem, jaki mu wyznaczono, poprosił mnie o spotkanie. Podczas kilkugodzinnego nocnego spaceru nad Tybrem namawiałem go usilnie, żeby nie wracał, podkreślając że nalegania Warszawy świadczą o tym, że władzom na nim bardzo zależy. Roztaczałem przed nim ponure wizje tego, co go spotka, zwracałem uwagę, że naraża nie tylko siebie, ale także osoby związane z nim podczas okupacji, a przede wszystkim dobre imię Delegatury Rządu. Sam przecież powiedział mi o wydaniu komunistów w ręce Gestapo za jego zwolnienie. Fakt, że zrobił to Skosowski — jak twierdził bez jego wiedzy — wcale go nie usprawiedliwia, bo przecież stał na czele „Stożka” i należało domniemywać, że podległa mu komórka z jego aprobatą sporządza listy członków PPR i Gwardii Ludowej, a poza tym Skosowski był przecież jego podwładnym, więc musiał ponosić za niego odpowiedzialność.

Moje argumenty zaczęły trafiać Myślińskiemu do przekonania, ale nie umiał pozbyć się obaw, co się z nim stanie za granicą po zupełnym zerwaniu kontaktów z 2-gim Korpusem, tym bardziej że nie znał języków. Chcąc przełamać w nim te obawy, obiecałem mu, że już nazajutrz spotkam się z kapitanem Tejchmanem i wytłumaczę mu, że osoba Myślińskiego jest niezwykle cenna dla władz bezpieczeństwa PRL w celu skompromitowania prolondyńskiego podziemia współpracą z Gestapo i że wobec tego musi zrobić wszystko, żeby zapobiec jego wyjazdowi, zapewniając mu przerzut do Anglii i otrzymanie tam jakiejś pracy.

Wydawało mi się, że go wreszcie przekonałem. Uznał, że to, co mu proponuję, jest chyba jedynym możliwym wyjściem, powiedział jednak, że musi się jeszcze nad tym zastanowić i że zadzwoni do mnie nazajutrz z ostateczną decyzją.

Niestety nie posłuchał mojej rady. W parę dni potem wyjechał do Polski, dokąd już wcześniej udała się jego żona z córką. Przez dłuższy czas korzystał w pełni z wolności, praktykował jako adwokat, był zapraszany przez MBP na głośne procesy polityczne, na pierwszym moim procesie zeznawał jako świadek, broniąc mnie z całym przekonaniem. Jednakże w 1948 roku aresztowano go pod zarzutem współpracy z Gestapo. Załamał się chyba od razu, bez ciężkiego śledztwa i zeznawał wszystko, czego od niego żądano. W rezultacie stał się koronnym świadkiem oskarżenia

w wielu procesach o rzekomą współpracę Delegatury Rządu z Gestapo. Na moim drugim procesie jego obciążające zeznania, tym razem dotyczące szpiegostwa, stanowiły jedyną podstawę wyroku skazującego (będę o tym pisał w III części moich wspomnień).

Postawa Myślińskiego w więzieniu i jego zeznania obciążające fałszywie w wielu procesach zasługują na najsurowsze potępienie. Wydaje mi się jednak, że wyrok sądu PRL skazujący go na dożywotnie więzienie za współpracę z okupantem był jednym z wielu typowych wyroków z owych czasów, nie mających podstaw, jeśli chodzi o stan faktyczny. Myśliński po zwolnieniu go z więzienia Gestapo był zupełnie odsunięty od wszelkich kontaktów z Delegaturą Rządu, ale nikt nie twierdził, że w tym czasie współpracował z okupantem i — o ile mi wiadomo — nikt z jego powodu nie był aresztowany.



Tymczasem w moim położeniu nic się na razie nie zmieniło. 2-gi Korpus ewakuował się do Anglii, w Rzymie pozostało niewielu (przeważnie żołnierze żonaci z Włoszkami), a z moich znajomych chyba tylko kpt. Teichman, Paweł Zdziechowski i Hutten-Czapski. Aż nadszedł moment ogłoszenia amnestii w 1947 roku, która puszczała w niepamięć wszystkie przestępstwa z wyjątkiem szpiegostwa i wzywała uchodźców politycznych do powrotu. Ale życzliwy dla mnie Kot bynajmniej na mój powrót nie nalegał, radził czekać jak najdłużej, ponieważ — jak sądzę — miał pewne dane, by uważać, że sytuacja w Polsce jest nadal niejasna. Zgodnie z postanowieniami ustawy amnestyjnej musiałem jednak ujawnić się oficjalnie przed nowym szefem polskiej misji wojskowej we Włoszech, pułkownikiem Rosen-Zawadzkiem i nowym konsulem generalnym w Rzymie, byłym wojewodą Piotrem Dunin-Borkowskim, w którego kompetencjach pozostawały sprawy osób wracających do kraju w związku z amnestią. Nie mogłem też oczywiście zataić przed nimi, że robiłem nasłuch radiowy dla ambasady.

I teraz zarysowała się jaskrawa różnica w postawach: Kot, którego przedtem w ogóle nie znałem, nadal usiłował mnie chronić i w odpowiedzi na nalegania Warszawy, a teraz Borkowskiego, wyjaśniał, że zatrzymuje mnie w Rzymie, ponieważ jestem mu tutaj nadal bardzo potrzebny (odbieranie dyktanda prasowego PAP, wbrew pozorom, nie było pracą łatwą; miałem do niej niezłe przygotowanie, bo jako aplikant sądowy zyskałem biegłość w szybkim notowaniu tekstu, a poza tym znałem realia

i bardzo wiele nazwisk ludzi ze świata politycznego, które moja poprzedniczka niesamowicie zniekształcała); natomiast Borkowski, mój znajomy ze spotkań warszawskich u Knolla i z przynależności do Towarzystwa Patriotycznego, nieustannie nalegał, bym jak najprędzej wracał.

Niestety, kiedy minęły już wszystkie wyznaczone mi terminy, musiałem jednak z ciężkim sercem ulec, bo nawet Kot był już bezradny wobec presji Borkowskiego.

Dziś widzę, że gdyby nie on, uniknąłbym siedmiu lat więzienia. Wystarczyło, żebym został w Rzymie jeszcze tylko trzy miesiące, a pozbyłbym się wszelkich złudzeń. Moja rodzina namawiała mnie do powrotu, uzasadniając to m.in. tym, że wszyscy moi koledzy z Delegatury Rządu normalnie pracują i nie spotykają ich żadne szykany ze strony władz (Chromecki, Zieliński oraz zaprzyjaźnieni z Knollem Badeni i Bader byli wówczas urzędnikami reżymowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a Andrzej Leśniewski i Jan Zarański pracowali w organie PSL-u — *Gazecie Ludowej*). Aż wreszcie 9 października 1947 roku rozpoczęły się aresztowania. Nieco wcześniej wpadł Zygmunt Lachert za kontakty z Adamem Doboszyńskim, a wskutek jego obciążających zeznań aresztowano: Jadwigę Studzińską, Zdzisława Klimpla, Bronisława Zielińskiego i Andrzeja Leśniewskiego z Departamentu Spraw Zagranicznych Delegatury oraz Krystynę Dziewanowską, Wiktora Leśniewskiego, Rosenwertha-Różyckę, pomawianych o przynależność do organizacji Ośrodek, na której czele stał rzekomo Roman Knoll.

Nietrudno byłoby mnie powiadomić o tych aresztowaniach w jakiejś zakamuflowanej formie.

CZĘŚĆ III

WIĘZIENIE

Wstęp

Pod koniec lipca 1947 roku wróciłem do Polski po niespełna dwuletnim pobycie we Włoszech, gdzie schroniłem się, będąc poszukiwany w kraju przez NKWD i polskie władze bezpieczeństwa. Na decyzję powrotu wpłynęły dwa fakty: ogłoszenie amnestii, która m.in. wzywała do kraju wszystkich uchodźców politycznych i zapewniała im całkowitą bezkarność, z wyjątkiem

odpowiedzialności za szpiegostwo, oraz obawa o los pozostałej w kraju rodziny, która namawiała mnie do skorzystania z amnestii, podkreślając przy tym, że wszyscy moi koledzy z konspiracji normalnie pracują i nie napotykają na żadne szykany ze strony władz. Mimo tych zachęt i zapewnień, zdawałem sobie sprawę, że po powrocie mogę być przez pewien czas pozbawiony wolności i dlatego zwlekałem z ostatecznym podjęciem decyzji tak długo, jak tylko mogłem.

Postanowiłem jechać przez Paryż, gdzie zatrzymałem się tydzień, żeby choć pobieżnie poznać to miasto. Przypadek zrzucił, że właśnie tam, w polskiej restauracji, której współwłaścicielką była poprzednia żona generała Andersa, spotkałem generała Janusza Bokszczanina. Poznałem go, również przypadkowo, w Pradze kiedy opuszczając nielegalnie kraj we wrześniu 1945 roku napotkałem na poważne trudności w pokonaniu kolejnego etapu mej wędrówki, na trasie Praga - Pilzno, które znajdowało się wówczas pod okupacją armii amerykańskiej.

W tej paryskiej restauracji opowiedzieliśmy sobie swoje losy po naszym rozstaniu. Wiedziałem już, że Bokszczanin wyjechał z Polski jako wysłannik szefa Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, płk. Jana Rzepeckiego, do rządu R.P. w Londynie. Teraz poinformował mnie, że miał objąć funkcję szefa VI Oddziału Sztabu (łączność z krajem), ale uzależniał swoją decyzję od uzgodnienia wielu kontrowersyjnych problemów, a przede wszystkim od podporządkowania sobie, w zakresie łączności z Polską, generała Andersa, ponieważ wiedział, że prowadzi on własną politykę w sprawach kraju i bez żadnego porozumienia z Londynem wysyła tam swoich emisariuszy. W związku z tym Bokszczanin pojechał do Rzymu, ale najbliższe otoczenie Andersa, pod najrozmaitszymi pretekstami, przesunęło termin spotkania w nieskończoność. Bokszczanin zniecierpliwiony tą grą na zwłokę i dopatrując się w niej szczególnych intencji, nie doczekał się rozmowy z Andersem i wrócił do Londynu. Wkrótce potem, zaproszony na posiedzenie Rady Ministrów z udziałem szefa sztabu, generała Kopńskiego, zrezygnował z proponowanej mu funkcji, bo niezależnie od niefortunnej próby porozumienia się z Andersem nie mógł pogodzić się z panującym wówczas w środowisku emigracyjnym poglądem, że wkrótce wybuchnie nowa wojna i że wobec tego oddziały konspiracyjne w kraju nie powinny się ujawniać, lecz nadal tkwić w podziemiu oraz prowadzić akcję dywersyjną i sabotażową, szczególnie na Ziemiach Odzyskanych.

Po powrocie do kraju powtórzyłem treść tej rozmowy tylko dwu znajomym: profesorowi Aleksandrowi Gieysztorowi i Zygmuntowi Lachertowi ze Stronnictwa Narodowego.

Wkrótce po przyjeździe do Polski musiałem odbyć dłuższą rozmowę z płk. Czaplickim, który — o ile wiem — pełnił wówczas funkcję szefa Departamentu Operacyjnego w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego¹. Było to właściwie ponowne, już trzecie z kolei, „ujawnienie się” moje po amnestii, z którego dobrze zapamiętałem zapewnienia płk. Czaplickiego, że „nasz kontrwywiad — w przeciwieństwie do kontrwywiadów w krajach zachodnich — nie stosuje w śledztwie metod fizycznego przymusu”. Niestety, już dwa miesiące później przekonałem się na własnej skórze, jak dalece to zapewnienie odbiega od rzeczywistości.

10 października 1947 roku zostałem zatrzymany przez bezpiekę w „kotle” w mieszkaniu mego kolegi z Delegatury Rządu, Andrzeja Leśniewskiego. Po dwóch dniach zabrano mnie stamtąd do siedziby MBP przy ul. Koszykowej. Spędziłem tam tylko jedną noc, w karcerze (jak się później dowiedziałem, tamtejszy areszt był w remoncie). Wczesnym rankiem zaprowadzono mnie na pierwsze przesłuchanie, podczas którego zadano mi tylko jedno pytanie: kto ułatwił mi ucieczkę za granicę. Będąc na to od dawna przygotowany, wyrecytowałem z góry ułożoną bajeczkę, ale oficer śledczy uznał, że moja odpowiedź jest wykrętna i oznajmił, że jeśli nie wymienię już i tak znanego mu nazwiska „pewnej szarej eminencji”, tj. człowieka, który naprawdę umożliwił mi ucieczkę, zatrzasną się za mną więzienne wrota, i to na bardzo długo. Ponieważ z uporem powtarzałem wymyśloną przeze mnie wersję, kazał oddziałowemu odprowadzić mnie z powrotem do karceru, a wkrótce potem przewieziono mnie do więzienia mokotowskiego i umieszczono w celi na Pawilonie XI.

Śledztwo na Mokotowie

Pawilon XI był niewątpliwie najgorszy w całym Mokotowie. Położone na drugim piętrze dość długie, ale bardzo wąskie cele, pozbawione kanalizacji (w kącie metalowy kibel, wodę podawali dwa razy dziennie „kalifaktorzy”) przed wojną były „pojedynkami”, ale teraz umieszczano tu niemal z reguły trzech do pięciu więźniów. Podobnie zresztą jak w całym mokotowskim więzieniu, nieustannie przeludnionym, spało się tutaj na nędznych sennikach, rozkładanych na noc wprost na betonowej podłodze. Jeden lichy koc na więźnia, więc śpiąc, z braku miejsca, prawie

1. Spec w MBP od spraw AK i w związku z tym zwany w środowisku akowskim „Akowerem”.

zawsze po dwóch na jednym sienniku, przykrywano się razem dwoma kocami. Oczywiście żadnych poduszek; chcąc trzymać we śnie nieco wyżej głowę podkładało się pod sienniki miski, w których przyjmowaliśmy strawę (zdarzało się, że z powodu braku misek dawano więźniom spluwaczki).

Tak wyglądała moja pierwsza cela. Zastałem w niej dwóch towarzyszy niedoli i pierwsza rzecz, która mnie uderzyła, to ich wygląd: nędzne, zniszczone ubrania, brudnawe koszule, ale przede wszystkim mizerne, smętne twarze o niezdrowej, ziemistej cerze, jaskrawo kontrastujące z moją silną opalenizną od cudownego słońca na Capri, gdzie spędziłem dwa tygodnie prawie bezpośrednio przed wyjazdem z Włoch. Dokonałiśmy wzajemnej prezentacji, co — jak się później okazało — było powszechnie przyjętym, dobrym obyczajem we wszystkich celach śledczych. Jeden z więźniów, Henryk Borucki (pseudonim „Czarny”), został aresztowany już na wiosnę 1945 roku, chociaż podczas okupacji stał na czele zbliżonej do AL-u Polskiej Armii Ludowej. Był więc doświadczonym więźniem, zorientowanym dość dobrze w stosunkach, jakie panowały na Mokotowie, znał alfabet Morse’a i nauczył go później nas obu, ale nie radził się nim posługiwać, twierdząc, że stukanie do sąsiednich cel zaraz zostanie wykryte. Z całą powagą przyjmował tytuł „generała”, jakim obdarzał go, z dostrzegalną na szczęście tylko dla mnie ironią, Jaworski. Jak sam nam powiedział, przed wojną był dowódcą oddziału ochrony w fabryce amunicji „Pocisk” w Rembertowie i miał zaledwie stopień podporucznika rezerwy. Ale w PAL-u nie szczczędzono szybkich awansów. Borucki korzystał z pewnych, wyjątkowych na pawilonie XI przywilejów. Miał kilka książek, m.in. słownik angielsko-polski, z którego z zapalem uczył się słówek i otrzymywał co pewien czas paczki, dzieląc się z nami sprawiedliwie ich zawartością. Prócz tego sypiał na jedynym w celi żelaznym łóżku, podczas gdy Jaworski razem ze mną na podłodze, na sienniku.

Jaworski, podczas okupacji wiceprezes Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego, przez pewien czas pełniący obowiązki prezesa Stronnictwa i jego przedstawiciel w Radzie Jedności Narodowej, też miał za sobą doświadczenia więzienne. Aresztowany w 1945 roku jako członek komisji Stronnictwa Narodowego (wraz ze Stanisławem Rymarem i Kazimierzem Kobylańskim), powołanej w celu ujawnienia tej partii, zwolniony po przeszło rocznym pobycie w więzieniu, wpadł ponownie w ręce władz bezpieczeństwa w połowie 1947 roku. Tym razem zarzucano mu kontaktowanie się z Adamem Doboszyńskim, po jego rzykancim, nielegalnym powrocie do Polski. Jaworski, z zawodu adwokat, bronił go w procesie po jego głośnym marszu na Myślenice.

Teraz w celi, z natury pogodny, bywał niekiedy przygnębiony po powrocie z przesłuchań. Opowiadał mi, ale tylko wówczas, gdy zostawaliśmy w celi sami (Boruckiego też od czasu do czasu wzywano na przesłuchania), że jest wstrząśnięty protokołami zeznań Doboszyńskiego, podpisanymi przez niego własnoręcznie, które mu pozwalano czytać. Wynikało z nich wyraźnie, że Doboszyński miał przed wybuchem wojny bliskie, potajemne kontakty z ambasadorem III Rzeszy, von Moltke, i otrzymywał od niego fundusze na prowadzenie działalności politycznej, zgodnej z ideologią NSDAP. Jaworski powiedział mi także, że motywy marszu na Myślenice nigdy nie były dla niego jasne.

Chwile przygnębienia nie zdarzały mu się jednak często i nie trwały zbyt długo. Władek był jednym z najbardziej uroczych ludzi, jakich miałem możliwość spotkać w więzieniu. A było to dla mnie szczególnie cenne w pierwszym, najtrudniejszym okresie mego pobytu na Mokotowie. Przypomnieliśmy sobie od razu, że po Powstaniu Warszawskim spotkaliśmy się kilkakrotnie w barze „U Aktorek” w Milanówku i ustaliliśmy, że mamy wielu wspólnych znajomych i przyjaciół, co bardzo nas do siebie zbliżyło. Jaworski miał teraz na sobie stare, mocno sfatygowane ubranie, z łatami na łokciach, na kolanach i na siedzeniu. Opowiadał nam z humorem, że w chwili gdy go ponownie aresztowano, poprosił, żeby pozwolono mu się przebrać właśnie w ten nędzny przyodziewek, zniszczony podczas poprzedniego pobytu w więzieniu.

Klasyczny typ pyknika, pogodny, dowcipny, inteligentny, potrafił doskonale wpływać na współtowarzyszy niedoli, rozładowując napiętą czasami atmosferę jakimś celnym dowcipem. Kochany Władek! Nigdy nie zapomnę, jak umiał podtrzymywać mnie na duchu w najcięższym okresie śledztwa.

Zaczęło się ono bodaj nazajutrz po moim przybyciu do tej celi. I od razu na ostro. Zorientowałem się szybko, co mi chcą na siłę wmówić. A więc przynależność do jakiejś nielegalnej organizacji, której nadano tutaj nazwę „Ośrodek” i oczywiście szpiegostwo, nie podlegające amnestii z 1947 roku. Nie przyznawałem się do niczego, potwierdzając jedynie fakt należenia do Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, z czego się ujawniłem, jak również kontakty z II oddziałem sztabu 2-go Korpusu podczas mego pobytu we Włoszech, wychodząc z założenia, że nie da się tego ukryć, ponieważ wszystkie osoby przybywające nielegalnie do Włoch, musiały przejść przez sito II oddziału. Podkreślałem jednak z naciskiem, że w moich rozmowach z szefem andersowskiej „dwójki”, pułkownikiem Bąkiewiczem i jego zastępcą, ppłk. Kijakiem, nie zdradziłem żadnej tajemnicy państwowej.

Zaczął się jednak, zgodnie z rytuałem, od napisania mego życiorysu i to bardzo szczegółowego, co musiałem czynić parokrotnie, podobnie zresztą, jak chyba wszyscy. Potem musiałem, równie szczegółowo, wyjaśnić wszystko, co figurowało w znalezionym przy mnie notesie. Na szczęście nie zanotowałem w nim niczego, co mogłoby komukolwiek zaszkodzić. Z kolei mój oficer śledczy, por. Kiszal, przystąpił do zadawania mi pytań, z których stopniowo mogłem się zorientować, za co konkretnie mam ponieść odpowiedzialność. Tak więc ów „Ośrodek” miał być bardzo ważną organizacją, która rzekomo dążyła do zsynchronizowania działalności legalnych, opozycyjnych partii politycznych, tzn. PSL-u i Stronnictwa Pracy Karola Popiela, z działalnością organizacji podziemnych, w celu opanowania władzy i obalenia istniejącego ustroju. Na czele „Ośrodka” — ciągle według wersji mego śledczego — stał Roman Knoll, którego nader często odwiedzali w Chyliczkach ludzie przybywający z Londynu, a więc Henryk Strassburger, Mniszek, Wyszyński i Bader, jak również Adam Obarski z podziemnego WRN-u, Zygmunt Lachert z podziemnego Stronnictwa Narodowego oraz Stefan Korboński i Stanisław Wójcik z PSL-u, a także b. wiceminister rolnictwa Wiktor Leśniewski, dawni pracownicy Delegatury Rządu Andrzej Leśniewski, Bronisław Zieliński, Tadeusz Chromecki, Janusz Pajewski, Zdzisław Klimpel i Jadwiga Studzińska. O aresztowaniu Zielińskiego, Klimpla i Andrzeja Leśniewskiego już wiedziałem, a wkrótce miałem się przekonać, że taki sam los spotkał Jadwigę Studzińską, Wiktora Leśniewskiego, Lacherta i Rosenwertha-Różyckę, którym również zarzucano przynależność do „Ośrodka”.

Ale znacznie groźniejszy był zarzut przekazywania tajemnic państwowych przedstawicielom obcego wywiadu, czyli pomówienie o szpiegostwo. Z tego co mówił mi mój oficer śledczy wynikało, że popełniałem to przestępstwo niejednokrotnie i na rzecz rozmaitych wywiadów. Przede wszystkim miałem rzekomo przekazać tajemnice państwowe dwójce andersowskiej, podczas mego pobytu w Anconie, członkom owego „Ośrodka” — ambasadorowi PRL w Rzymie prof. Stanisławowi Kotowi i radcy tamtejszej ambasady, Witoldowi Wyszyńskiemu — na temat tego, co się dzieje w ich ambasadzie (!), a wreszcie siatce dywersyjno-szpiegowskiej, którą rzekomo stworzyłem na polecenie generała Bokszczanina po powrocie do kraju, werbując do niej dawnych pracowników Delegatury Rządu.

Wszystkie te zarzuty były zupełnie pozbawione podstaw, niemniej jednak były groźne, zwłaszcza jeśli się uwzględni metody stosowane w śledztwie w stosunku do podejrzanego, a także do

więźniów, którzy mogliby potwierdzić wysuwane przeciwko podejrzanemu nieprawdziwe oskarżenia. Przekonałem się o tym bardzo szybko. Kiedy stanowczo odrzucałem wszystkie zarzuty, dotychczasowe śledztwo, względnie łagodne, stało się prawdziwym koszmarem. „Śledź” (tak nazywaliśmy oficerów śledczych) nie zwracał się już do mnie per „wy”, zastępując ten zwrot najobrzydliwszymi wyzwiskami, roztaczał przede mną coraz bardziej ponure wizje losu, jaki mnie spotka, jeśli nie przyznam się do winy, groził, że w najlepszym razie zgniję w więzieniu, ale najprawdopodobniej zawisnę na szubienicy itp. Rozpoczęło się też stosowanie tortur fizycznych, przy czym, zgodnie z panującym tu obyczajem, po raz pierwszy zadawało mi je trzech oprawców, pod wodzą Serkowskiego, jednego z dwóch zastępców dyrektora Departamentu Śledczego MBP, Różańskiego. Przypuszczam, że chodziło po prostu o to, żeby więzień, pełen jeszcze sił w początkowym okresie śledztwa, nie stawiał oporu, mając do czynienia z jednym tylko oprawcą. Zdarzały się takie przypadki. Opowiadano mi na przykład, że oskarżony o sabotaż i szpiegostwo więzień Zbyszyński, doprowadzony do rozstroju nerwowego niezwykle okrutnym śledztwem, wyostrzył sobie o betonową podłogę łyżkę i zabrał ją ze sobą idąc na przesłuchanie, a kiedy „śledź” zaczął się nad nim jak zwykle znęcać, zerwał się nagle ze stołka i wyciągnąwszy z kieszeni groźny „sztylet”, rzucił się z nim na swego oprawcę. Przerażony „śledź” wybiegł czym prędzej za drzwi i wrzeszcząc „ratunku” zaczął uciekać po galerijce, ścigany przez rozjuszzonego Zbyszyńskiego.

Oprócz bowiem generalnego bicia i kopania we trzech po prostu gdzie popadnie, albo w najbardziej czułe miejsca, oficer śledczy „prowadzący” danego więźnia stosował rozmaite tortury, będąc z nim sam na sam. Do takich tortur należało na przykład tzw. „siedzenie na ogonku”, które polegało na tym, że zmuszało się więźnia do siedzenia na nodze odwróconego do góry nogami stołka, bądź na samym tylko rogu stołka, z nogami (więźnia) równo wyciągniętymi przed siebie, tak by ciężar ciała spoczywał na kości ogonowej. Już po paru minutach odczuwało się piekielny ból, którego nie sposób było wytrzymać i nieszczęsny więzień padał na podłogę. Wtedy „śledź” stawał nad nim i kopiąc go, nawet w głowę, lub bijąc gumową pałką, zmuszał do ponownego „siedzenia na ogonku”. Często stosowaną metodą było także zmuszanie więźnia do wykonywania nieskończonej ilości przysiadów. Zazwyczaj w miejscu tego „ćwiczenia gimnastycznego” tworzyła się kałuża z potu, spływającego z czoła ofiary. Kiszel lubił również, kiedy byłem już zupełnie wyczerpany, dusić mnie, ściskając za gardło. Podczas śledztwa dwa razy zemdlałem: raz

właśnie podczas takiego duszenia, a drugi raz podczas katowania mnie przez trzech oprawców, które powtarzało się parokrotnie.

Komuś, kto nie zna ówczesnych warunków panujących na Mokotowie, może się wydawać dziwne, że godziliśmy się, powiedzmy dla przykładu, na wykonywanie przysiadów albo „siedzenie na ogonku”. Otóż i w tym wypadku można było istotnie dokonywać wyboru. Chodziło jednak o to, co się bardziej opłaca. Jeden z więźniów (Witajewski) opowiadał mi, że któregoś dnia miał już tego zupełnie dosyć i oświadczył „śledziowi”, że nie będzie robił przysiadów. Wówczas „śledź” wyszedł z celi, po paru minutach wrócił w towarzystwie dwóch innych i we trzech zaczęli nieludsko katować nieszcześliwca za niewykonanie rozkazu. W rezultacie, oprócz innych ciężkich obrażeń ciała, stracił podczas tego jednego przesłuchania trzy zęby.

Bardzo często stosowaną torturą była też tzw. „stójka” i karcer. „Stójka” polegała na tym, że więzień musiał stać nago, tuż przy otwartym oknie, nawet w zimie (stąd mówiło się też, że ktoś poszedł na „górskie powietrze”), przez wiele godzin, a czasem nawet kilka dni. „Klawisz” zaglądał co pewien czas przez „judasza” i jeśli tylko zobaczył, że więzień pada zemdłony z wyczerpania, otwierał drzwi i doprowadzał go do przytomności, wylewając nań wiadro zimnej wody. Po takiej „stójce” nogi w kostkach puchły nieprawdopodobnie: o włożeniu butów nie można było nawet marzyć. Natomiast karcer było to pomieszczenie tak ciasne, że można w nim było tylko stać lub usiąść na gołej podłodze. Zamykano tam więźnia, także nago, na dłuższy czas, dając mu do jedzenia jedynie suchy chleb i wodę. Najdłuższy znany mi przypadek pobytu w karcu wynosił około dwóch tygodni. Piszę „około”, bowiem więzień, o którego tu chodzi, porucznik RAF-u Bolesław Jedliczko, z głośnej sprawy o szpiegostwo również pilota z RAF-u, porucznika Śliwińskiego, opuszczając karcer nie bardzo zdawał sobie sprawę, ile czasu tam przebywał.

Ja miałem wielkie szczęście, bo w okresie mego ostrego śledztwa „stójek” jeszcze nie wymyślono, a prócz tego w więzieniu mokotowskim były wówczas zaledwie dwa karce, więc z konieczności musiano stosować rotację, żeby umieścić w nich choć na kilka godzin przynajmniej tych, co na to najbardziej zasłużyli. Ja nie siedziałem w karcerze nigdy dłużej niż 6 do 8 godzin. Dopiero później, wraz z rozbudową pawilonów śledczych, kiedy dorbiono w podziemiach pawilon XII, pomyślano przezornie o zwiększeniu ilości karcerów, co pozwoliło na wydatne nasilenie przełotowości. Nigdy nie zapomnę wrażenia, kiedy nie wiedząc o co chodzi, zostałem doprowadzony przez dobrze znaną więźniom

śledczym oddziałową Rózikową nie do pokojów śledczych, tylko przed jakieś drzwi w piwnicy. Tam oznajmiła mi ona, że mam się rozebrać w jej obecności do naga, złożyć ubranie w kostkę, po czym otworzyła drzwi do jakiejś klatki i kazała mi wejść do środka. Po upływie kilku godzin przysłała po mnie, poleciła mi się ubrać i zaprowadziła mnie na przesłuchanie.

Ostre metody śledztwa stosowano z reguły w sprawach o szpiegostwo albo przeciwko więźniom oskarżonym o działalność antykomunistyczną. Na podstawie własnych doświadczeń oraz rozmów z innymi więźniami doszedłem do wniosku, że stosowane wobec mnie metody były niewątpliwie ostre, ale zdarzały się liczne przypadki tortur znacznie bardziej okrutnych i wyrafinowanych. Tragiczny rekord osiągnął chyba Kazimierz Moczarski. W liście, wysłanym z więzienia we Wronkach do prokuratury generalnej w okresie rozluźnienia dyscypliny więziennej, po ucieczce Świątły na Zachód, opisał on szczegółowo czterdzieści kilka metod fizycznego i psychicznego terroru, jakimi usiłowano zmusić go, by przyznał się do niepopołnionych zbrodni, a mianowicie wydawania komunistów w ręce Gestapo. Czytałem ten list, kiedy spotkaliśmy się po wyjściu na wolność, a także wysłuchałem wiernego powtórzenia jego treści w zeznaniach Moczarskiego, które składał w wypełnionej po brzegi sali, podczas swego procesu rehabilitacyjnego pod koniec 1956 roku.

Rzecz prosta, że kiedy więzień nie stawiał oporu i odpowiadał na zadawane mu pytania tak, jak sobie życzył oficer śledczy, nie stosowano wobec niego żadnych tortur, nawet w najpoważniejszych sprawach. Pytania przygotowywał z reguły kierownik sekcji i przekazywał je „śledziowi”, który miał za zadanie wydobyć od więźnia pożądaną odpowiedź. Formułowanie odpowiednich pytań przez zwykłego oficera śledczego przekraczało zdecydowanie jego intelektualne możliwości. W owym czasie byli to ludzie bez żadnego przygotowania, nie mówiąc już o wykształceniu. Zdarzało się, że robili prymitywne błędy ortograficzne, a dość często zwracali się do więźnia, pytając beztrosko czy dany wyraz pisze się przez „ż” czy przez „rz”, przez „u” czy zwykłe, czy przez „ó”, protokoły zeznań spisywał bowiem „śledź”, a potem dawał je do przeczytania więźniowi, który musiał podpisywać każdą stronę, potwierdzając tym swoje zeznanie. Śledztwo wlokło się w nieskończoność, bo na jednym „posiedzeniu” trzeba było odpowiedzieć na tylko jedno zasadnicze pytanie i i ewentualnie kilka dodatkowych, ściśle związanych z tym zasadniczym.

Przez długi czas nie przyznawałem się do żadnego ze stawianych mi zarzutów. Najpoważniejszym była owa siatka szpiegow-

ską, jaką rzekomo miałem stworzyć na polecenie pułkownika Bokszczanina. Kiedy stanowczo przeczyłem, przytaczając prawdziwy przebieg mojej rozmowy z Bokszczaninem, w Paryżu, ni z tego ni z owego „śledź” zapytał mnie, jakie stosunki łączyły mnie z Lachertem. Odpowiedziałem, że dobre. Kiszal wyciągnął z teczki jakąś kartkę i wręczył mi ją mówiąc: „Więc zobacz, co ten twój przyjaciel tutaj o tobie napisał”. Ogarnęło mnie przerażenie: był to podpisany przez Lacherta protokół, w którym stwierdzał wyraźnie, że tworzyłem siatkę szpiegowską na polecenie Bokszczanina, werbowałem do niej dawnych członków Delegatury Rządu i zwróciłem się z podobną propozycją do niego, ale on odmówił. Na domiar złego zarówno Kiszal, jak i później Serkowski twierdzili z uporem, że Bokszczanin stał na czele VI oddziału sztabu w Londynie, co mogło stanowić w pewnym sensie potwierdzenie zeznań Lacherta, ponieważ w ich mniemaniu prowadzenie akcji szpiegowskiej w Polsce było najważniejszym zadaniem „szóstki”. Na nic nie zdały się moje zapewnienia, że wiem od samego Bokszczanina, iż proponowanej funkcji nie przyjął. Powoływałem się przy tym na drugą osobę, której po powrocie do kraju powtórzyłem treść mojej rozmowy z Bokszczaninem, a mianowicie na prof. Aleksandra Gieysztora, domagając się powołania go na świadka.

Właśnie wtedy śledztwo osiągnęło swój szczyt. Będąc u kresu wytrzymałości i chcąc zyskać choćby chwilę wytchnienia, a także złagodzić choć trochę furję znęcających się nade mną oprawców, postanowiłem „przyznać się” do jednego chociaż zarzutu, a mianowicie do rzekomego przekazywania wiadomości z terenu ambasady PRL w Rzymie rzekomym członkom „Ośrodka”, ambasadorowi prof. Stanisławowi Kotowi i pierwszemu radcy ambasady, Wyszyńskiemu. Widziałem w tym zarzucie brak logiki, a nawet śmieszność, bo cóż mogłem ciekawego powiedzieć właśnie ja — nie pracujący w ambasadzie, i to ludziom, którzy powinni przecież wiedzieć znacznie więcej niż ja, co się u nich dzieje. Okazało się, że miałem rację. „Śledź”, zachwycony, że wreszcie się do czegoś przyznałem, zaniechał dalszego znęcania się nade mną i ochoczo przystąpił do mozolnego spisywania protokołu. Zarzut ten powtórzono w akcie oskarżenia, ale — zgodnie z moimi przewidywaniami — udało mi się przekonać sąd o jego bezsensowności.

Natomiast do siatki szpiegowskiej postanowiłem nie przyznawać się za żadną cenę, zdając sobie doskonale sprawę, że w ślad za moim potwierdzeniem tego zarzutu pójdą z kolei pytania, kogo zwerbowałem do współpracy.

Po koniec listopada lub w początkach grudnia przybył do

naszej celi czwarty więzień. Nazywał się Chmiel i należał do IV komendy WiN-u², w której pełnił funkcję kierownika wydziału, będącego mniej więcej odpowiednikiem akowskiego BIP-u. Podobnie jak chyba wszyscy członkowie tej komendy, pochodził z Rzeszowskiego. Miał bardzo ciężkie śledztwo, wzywano go codziennie na przesłuchania, często z udziałem samego Różańskiego, który znęcał się nad nim wraz z dwoma innymi oprawcami. Po takich badaniach Chmiel wracał wprawdzie do celi o własnych siłach, ale z wyraźnymi śladami zadawanych mu tortur. Jego też przesłuchiowano na temat pułkownika Bokszczanina i — jak się od niego dowiedziałem — członkowie IV komendy WiN-u zeznawali w śledztwie, że Bokszczanin był szefem „szóstki”. Pogarszało to jeszcze bardziej moją sytuację. Nadal chodziłem prawie co dzień na przesłuchania, podczas których usiłowano zmusić mnie torturami, żebym przyznał się do montowania siatki szpiegowskiej.

Wreszcie po upływie dwóch czy trzech miesięcy, kiedy byłem już w innej celi, wezwano mnie pewnego dnia na przesłuchanie do drugiego zastępcy Różańskiego, Hummera. Był to inteligent, podobno z ukończonymi studiami prawniczymi. Ku memu zdumieniu potraktował mnie niemal uprzejmie i zwrócił się do mnie z jednym tylko zdaniem, mówiąc „pan”, co wydało mi się niezwykle: „A więc pan twierdzi — powiedział — że Bokszczanin nie był szefem VI oddziału sztabu”. Potwierdziłem stanowczo, że nie jest i nigdy nie był i na tym przesłuchanie się skończyło, bo nagle wszedł do celi jakiś cywil, szepnął coś na ucho Hummerowi i obaj wyszli, a po chwili oddziałowy odprowadził mnie do mojej celi.

Ta moja druga z kolei cela była na parterze, w pawilonie X. Siedzieli w niej, o ile mnie pamięć nie myli: Gładysz, starszy pan, nauczyciel gimnazjalny, pod zarzutem, że udzielił gościny przez parę dni Adamowi Doboszyńskiemu, nie mając pojęcia, że to jest właśnie on, ponieważ przedstawił się jako Więcek; Stanisław Pyra, b. miły kolega, uczynny i rozgarnięty, w czasie okupacji żołnierz Batalionów Chłopskich na Rzeszowszczyźnie, a później szofer Mikołajczyka (to właśnie Pyra otrzymał zamiast miski do jedzenia spluwaczkę) i chyba Kozakowicz z Krakowa, związany

2. WiN — Wolność i Niezawisłość, organizacja podziemna, utworzona pod koniec lata 1945 roku przez szefa Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, płk. Jana Rzepeckiego, po jego bezowocnych staraniach, by nakłonić Mikołajczyka, żeby dopomógł mu w ujawnieniu Delegatury. Szefem II komendy WiN-u był płk Franciszek Niepokólczycki, III — Wincenty Kwiecieński, IV — Łukasz Ciepliński. Wszystkie te komendy były likwidowane przez władze bezpieczeństwa.

ze sprawą WRN-u. Ten ostatni opowiedział nam o pewnym wydarzeniu, które warto przytoczyć. Otóż po konferencji w Moskwie, na której powzięto decyzję o utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, odbyło się w krakowskim Teatrze Starym lub może Słowackiego wielkie zebranie, przy czym głównym mówcą był uczestnik moskiewskiej narady, profesor Adam Krzyżanowski. Relacjonował on szczegółowo przebieg konferencji i jej smętne wyniki, a na zakończenie oznajmił, że niestety będziemy musieli utracić Lwów i Wilno. Na sali zaległa śmiertelna cisza, którą nagle przerwał tragiczny krzyk jakiegoś młodego człowieka siedzącego na galerii: „O, kurwa!”. Cisza trwała nadal jeszcze chwilę, nikt się nie roześmiał, nikt nie protestował, widać było, że wszyscy uczestnicy zebrania dobrze zrozumieli, ile prawdziwej rozpacz wyraził chłopak w tym trywialnym zawołaniu.

Na przesłuchania chodziłem teraz znacznie rzadziej i miałem innego oficera śledczego. Nazywał się Studziński, traktował mnie na ogół grzecznie, nie używał brzydkich epitetów i nie stosował żadnych środków przymusu. Domyślałem się, że ta nagła zmiana w traktowaniu mnie mogła wynikać stąd, że PRL-owski wywiad zdołał wreszcie zbadać, że mówiłem od początku prawdę, to znaczy, że Bokszczanin nie był szefem „szóstki”, wbrew zapewnieniom ludzi z IV komendy WiN-u.

Moja nowa cela miała te plusy, że zamiast kibla posiadała normalny klozet ze spuszczaną wodą, była nieco większa niż cele na pawilonie XI i znajdowała się na parterze. Okno oczywiście zakratowane, ale w owym czasie nie założono jeszcze w pawilonach śledczych tzw. blind, to znaczy blach, zakrywających szyby tak, żeby nie można było zobaczyć co się dzieje na więziennym podwórzu. Wprawdzie zbliżanie się do okna było surowo zakazane, ale nawet stojąc w pewnej od niego odległości można było coś niecoś zobaczyć. W monotonii więziennego życia, przy braku jakichkolwiek wiadomości z zewnątrz, zupełnym braku książek i gazet, stanowiło to dla nas wielką atrakcję. M.in. mogliśmy widzieć idących do łaźni i z łaźni z tzw. „ogólniaka”, gdzie były cele znacznie większe, w których lokowano więźniów po zamknięciu śledztwa i trzymano ich tam aż do czasu zatwierdzenia wyroku pierwszej instancji przez Sąd Najwyższy, wojskowy bądź powszechny, w jakiś czas potem następował transport, najczęściej do Wronek albo do Rawicza. Niekiedy w tym ponurym pochodzie wynędzniałych postaci z lichymi ręcznikami w ręku bądź przewieszonymi przez plecy udawało nam się wyłowić jakąś znajomą twarz. Dzieliłiśmy się wrażeniami i udzielaliśmy sobie wzajemnie informacji o tym, co zwykle tylko jeden z nas (dla zacho-

wania bezpieczeństwa) dostrzegał za oknem. Widok był na ogół pośpny, ale w każdym razie coś się tam działo, chodzili po podwórzu oddziałowi, czasem dobrze nam znani funkcyjni więźniowie z kotłami, zresztą prawie wyłącznie Niemcy, czasem przemknął jakiś oficer śledczy, a kiedyś jeden z kolegów zobaczył Różańskiego, co stanowiło już ewenement.

Ale był też pewien widok przerażający. Co jakiś czas, tuż przed pobudką (było jeszcze zupełnie ciemno) zajeżdżał na więzienne podwórze zwykły chłopski wóz, zaprzęgnięty w jednego konia, niknął gdzieś za murami i po chwili ukazywał się znowu, lecz teraz leżały na nim jedna, dwie, czasami nawet trzy drewniane skrzynie. Z początku nie mogliśmy zrozumieć, co ten kmiotek w swoich skrzyniach wywozi. Dopiero po pewnym czasie skojarzyliśmy dwa fakty. Otóż było tak, że z reguły poprzedniego dnia, już po wieczornym apelu, słyszeliśmy wyraźnie jeden, dwa lub trzy strzały, przy czym ilość strzałów zawsze zgadzała się dokładnie z ilością skrzyń wywożonych nazajutrz o świcie. Wniosek był już prosty: w skrzyniach transportowano potajemnie ciała zabitych poprzedniego dnia więźniów, skazanych na śmierć.

Znacznie później, już na „ogólniaku”, gdzie o wiele łatwiej przenikały wiadomości, dowiedziałem się jak wykonywane są egzekucje. Z największej celi, na drugim piętrze, już po apelu, można było zobaczyć przez okno więźnia, prowadzonego bocznym podwórzem przez kilku oddziałowych. Czasami udawało się go nawet rozpoznać, oczywiście, jeśli wśród obserwujących znalazł się ktoś z jego znajomych. Doprowadzano skazańca zawsze do tego samego miejsca, oddziałowy otwierał jakieś drzwi, w które wchodził więzień i po chwili rozlegał się strzał. Wystarczył tylko jeden. Najprawdopodobniej strzelano w tył głowy, kiedy więzień przekroczył próg. Później system zabijania ludzi jakoś udoskonalcono. W każdym razie nie widywało się już o świcie chłopskiego wozu (być może zresztą tylko dlatego, że założono na oknach pawilonów śledczych blindy). Nie widywało się też z okien „ogólniaka”, gdzie blind do końca mego pobytu na Mokotowie nie było, ostatniej drogi skazańca pod eskortą więziennych strażników.

Nie pamiętam już dokładnie, po upływie tylu lat, jak układały się moje dalsze losy na pawilonie X. Jeszcze chyba raz czy dwa zmieniałem cele, ale nie spotkałem wśród współtowarzyszów niedoli wybitniejszych ludzi. Pamiętam niektóre nazwiska. Tak więc w następnej z kolei celi siedział ze mną pan Kopeć, fernal z podwarszawskiego majątku Łomna, który przed wojną należał do wojewody Jaroszewicza, a po wojnie do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Zarzucano mu, że brał udział w przygo-

towaniach do zamachu na życie ministra Radkiewicza w czasie jakiejś jego wizyty właśnie w Łomnie. Był, oczywiście, Bogu ducha winny, co jednak nie przeszkadzało, że poddano go ciężkiemu śledztwu. Osiągnął chyba smutny rekord w „przysiadach”, przekraczając zdecydowanie tysiąc (ja nie przekroczyłem nigdy osmiuset). Mimo to zachowywał pogodę ducha i opowiadał nam, mieszcuchom, wiele nieznanych szczegółów z życia na wsi, m.in. o tym, jak się odbywa kopulacja wszystkich zwierząt wchodzących w skład inwentarza żywego. Pan Kopeć, przy licznych swoich zaletach, miał tylko jedną wadę: zasypiał natychmiast po apelu i chrapał tak głośno, że niekiedy przeszkadzało to w odbiorze stukania z sąsiednich cel. Bowiem z wyjątkiem mojej pierwszej celi na „jedenastce”, w następnych prowadziliśmy już dość ożywione rozmowy alfabetem Morse’a, z reguły w nocy, po zgaszeniu światła. Można było się porozumiewać nie tylko z sąsiednimi celami z obu stron, ale także z całą, położoną bezpośrednio nad naszą oraz dwiema do niej przyległymi.

Jeszcze cięższe śledztwo niż Kopeć miał inny mój „współlokator” jednej z cel na „dziesiątce”, Ukrainiec o nazwisku Chita, członek UPA (Ukraińska Armia Powstańcza), któremu zarzucono — podobnie zresztą jak chyba wszystkim jego rodakom przebywającym wówczas w śledztwie — udział w zamachu na Karola Świerczewskiego. Chita był pierwszym spośród spotkanych przeze mnie więźniów, który chodził na „stójki”.

Spotkałem też na pawilonie X przedwojennego lekkoatletę z warszawskiego AZS-u, Dzwonkowskiego, po wojnie pracownika LOT-u, zamieszanego teraz w sprawę zakupu francuskich samolotów, które nie bardzo nadawały się do użytku. Później, już na „ogólniaku”, natrafiłem na głównych oskarżonych w tej sprawie, a mianowicie naczelnego dyrektora LOT-u, Wojciecha Zielińskiego, pułkownika Rolanda i inż. Litwinowicza. Zarzucano im wszystkim sabotaż, a Zielińskiego skazano na śmierć, ale wyroku nie wykonano i w okresie popaździernikowej odwilży został zrehabilitowany. Przez pewien czas siedziałem na „dziesiątce” z bardzo miłym i pogodnym Zbigniewem Brzeziewiczem z jakiejś małej ważnej sprawy.

I wreszcie pamiętam z „dziesiątki” młodego człowieka o nazwisku Niezgódka, któremu zarzucano szpiegostwo, chociaż miał jedynie odległe i tylko pośrednie powiązania z głównym oskarżonym w sprawie byłych oficerów RAF-u, Śliwińskim.

Pora teraz przejść do opisu codziennego trybu życia w celach śledczych. Najgorsze były ranki, kiedy zaraz po przebudzeniu człowiek, wyrwany z sennych majaczeń, za każdym razem uświa-

damiało sobie na nowo swoją tragedię. Wystarczyło rozejrzeć się dokoła, by zobaczyć zawsze ten sam ponury widok: cztery gołe ściany, zakratowane okno, w kącie pod oknem żelazny kibel na „jedenastce”, na „dziesiątce” — klozet, kilka nędznych sprzętów, na betonowej podłodze sienniki, posępne, wynędzniałe twarze współtowarzyszy niedoli i posępne myśli, które gnębiły każdego z nas. Ten nastrój sprawiał, że właśnie rano najczęściej dochodziło do ostrych spięć, kłótni i awantur, często bez żadnego powodu. Pragnąc tego uniknąć w jednej z cel postanowiliśmy zgodnie, żeby zaraz po pobudce każdy z nas brał wodę w usta i trzymał ją przez cały czas sprzątanía celi, mycia się i ubierania, aż do chwili, kiedy podawano śniadanie. Okazało się, że był to bardzo skuteczny sposób zapobiegania wszelkim nieporozumieniom. W innej celi, zaraz po pobudce, więźniowie opowiadali swoje sny, często bez żadnych wstępnych wyjaśnień, jak to się zazwyczaj czyni. O tak, po prostu snuli swoją opowieść, jak na przykład: „Jest piękny, słoneczny poranek, idę sobie po łące, dookoła masa kwiatów, ptaszki śpiewają...”.

Potem rozpoczynał się niezwykle długi dzień, zawsze pełen napięcia i trwożliwego oczekiwania, czy wezwą dzisiaj na przesłuchanie. Zywiali bardzo często, zwykle zaraz po śniadaniu, przetrzymując w pokoju oficera śledczego przeważnie do obiadu, a niekiedy bez przerwy aż do późnego wieczora. Odbywało się to z reguły tak: oddziałowy otwierał drzwi, wywoływał jakieś nazwisko, co miało oznaczać, że trzeba wyjść na korytarz i od razu stanąć twarzą do ściany. „Klawisz” zamykał drzwi, ujmo- wał więźnia za rękaw od marynarki i prowadził korytarzem, a potem schodami na pierwsze piętro, gdzie mieściły się pokoje „śledzi”. Były to takie same cele jak na „dziesiątce”, tylko oczywiście trochę inaczej umeblowane. To trzymanie za rękaw, szczególnie ważne w przypadku prowadzenia więźnia z wyższych pięter, miało zapobiec ewentualnej próbie samobójczego skoku z górnej galeryjki na betonową podłogę na parterze. Zdarzały się ponoć takie przypadki, choć najgroźniejszy, tragiczny w skutkach, bo zakończony śmiercią, nastąpił nie na Mokotowie, lecz w areszcie MBP na Koszykowej, gdzie bohaterski żołnierz „Zośki”, Rodowicz („Anoda”), wyskoczył na bruk z ubikacji na trzecim piętrze. Później, w ramach różnych udoskonaleń, założono metalowe siatki na wysokości pierwszego piętra, w trosce o życie więźnia, zawsze nader cenne, a już szczególnie przed zakończeniem śledztwa.

Oddziałowy, prowadząc więźnia na przesłuchanie lub z przesłuchania, do karca lub z karca, co kilkanaście kroków stuknął kluczem w poręcz korytarzy i galeryjek, dając w ten sposób znać

kolegom, że prowadzi więźnia. Chodziło o to, żeby nie doszło do spotkania z innym więźniem.

Pomijając same przesłuchania, zawsze pełne napięcia, dni płynęły monotonnie, czas włókł się niemiłosiernie, zabijany rozmaitymi wspomnieniami z wolności, opowiadaniem o sobie i swojej sprawie, przy czym prawie zawsze każdy mówił, że jest właściwie niewinny, siedzi wskutek nieporozumienia i wyjdzie na wolność w najbliższym czasie. Opowiadano też sobie o swojej przeszłości konspiracyjnej i o przebiegu śledztwa, co dość często było wielce nieostrożne z powodu licznych kapusiów, rozsianych po celach, z zadaniem wydobywania od więźnia tego, czego nie chciał zeznać w śledztwie. W niektórych celach próbowano się czegoś uczyć, najczęściej języków obcych. Było to jednak niezwykle utrudnione wskutek zupełnego braku przyborów do pisania i podręczników. Spośród moich współlokatorów nikt poza Boruckim nie dostawał też książek ani gazet.

Jedzenie — więcej niż skromne. Na śniadanie czarna kawa z minimalną ilością cukru i ćwiartką chleba, która miała wystarczyć na cały dzień. Na obiad trzy czwarte litra nędznej zupki, na kolację — pół litra. Tylko nieliczni więźniowie otrzymywali raz na miesiąc skromne paczki ze ściśle określoną zawartością (trochę tłuszczu, trochę cukru i cebula lub czosnek), którymi na ogół dzielili się ofiarnie z kolegami.

Warunki higieniczne — przerażające. Rano i wieczorem kalifaktorzy dawali nam do cel niewielką ilość wody, mydła otrzymywaliśmy też bardzo mało, przez cały czas śledztwa, tzn. niekiedy przez rok albo i dłużej, nie chodziliśmy ani do łaźni, ani na spacer. Pozostawiano nam nasze prywatne ubrania i buty, a raz na tydzień wydawano nędzne więzienne koszule i kalesony, w których czasami było pełno wszy, chociaż przynoszono je podobno wprost z pralni.

Opieka lekarska — niemal żadna. Lekarz, więzień-Niemiec dr Seitbold, dopuszczany był do więźniów rzadko i tylko w poważniejszych wypadkach. Stosował przeważnie aspirynę, salipirynę, jakieś krople na żołądek, a w razie obrażeń ciała doznanych w śledztwie robił prowizoryczne opatrunki. Czasami pozwalano nam chodzić do „wolnościowej” dentystki, która przyjmowała pacjentów w więziennym szpitalu, ale jej opieka ograniczała się niemal z reguły do wrywania bolących zębów.

Zanim przejdę do opisu dalszych moich losów, już na innym pawilonie, zrobię to, co powinienem był zrobić znacznie wcześniej: wyjaśnię znaczenie różnych specyficznych więziennych określeń. Znaczenie „śledzia” i „karca” lub karceru już podawałem, a oto następne: „kalifaktor” (nikt nie mówił kalefaktor,

jak podają słowniki) — to więzień funkcyjny, z reguły zasługujący na zaufanie władz, często kapuś, do którego zadań należało roznoszenie kotków ze strawą do cel i nalewanie różnych dość obrzydliwych cieczy do misek podstawianych pod kocioł przez więźniów, podawanie do cel dwa razy dziennie wody, a na „jedenastce” także opróżnianie kibli po wystawieniu ich przez nas przed drzwi. Na pawilonach śledczych kalifaktorami byli z reguły nie mówiący po polsku Niemcy, żeby trudniej było się z nimi porozumieć; „kibel” — metalowe naczynie służące do załatwiania potrzeb naturalnych; „kapuś” albo „kapusta” — donosiciel, instytucja bardzo rozbudowana we wszystkich więzieniach PRL. Zdarzali się wśród nich ludzie, którzy na wolności cieszyli się nieskazitelną opinią i zachowywaliby ją zapewne do końca życia, gdyby nie brak wystarczającej odporności na przymus fizyczny lub perfidne metody władz śledczych i więziennych. Warto dodać, że bardzo dużo kapusiów rekrutowało się spośród więźniów podejrzanych o współpracę z Niemcami lub skazanych za to przestępstwo; „kipisz” — bardzo dokładna rewizja celi, połączona zwykle z rewizją osobistą, podczas której kazano rozbierać się do naga, a nawet na wszelki wypadek wykonywać kilka przysiadów — przy okazji dodam, iż nieufność władz posunięta była tak daleko, że oddziałowi przy wydawaniu paczek grzebali we wszystkim niemiłosiernie, przecinali na kilka kawałków masło, smalec, słoninę, cebulę; „kławisz” — oddziałowy, przeważnie bezmyślny tępak, pozbawiony ludzkich uczuć i ślepo wykonujący wszystkie rozkazy. W pawilonach śledczych najbardziej znane było małżeństwo Rózików, wielki służbista przodownik Szymański, brat oficera śledczego, masywna baba Marysia oraz „łodziarz” (taki był podobno jego poprzedni zawód), inaczej zwany „Poniatowszczyk” (bo miał baczki), o którym mówiono, że ochotniczo wykonywał wyroki śmierci, otrzymując za to z pewnością nieliczne premie; „koło” albo „kółko” — kara dożywotniego więzienia; „czapa” — wyrok śmierci; „spec” — oficer do zadań specjalnych, bardzo ważna funkcja na „ogólniaku” i w więzieniach karnych.

Istniały poza tym rozmaite charakterystyczne nazwy lub powiedzenia. Tak więc przede wszystkim więźniowie w PRL dzielili się na dwie zasadnicze kategorie: *antypaństwowych* i *pospolitych*, wśród których można było rozróżnić co najmniej dwie podgrupy — przestępców gospodarczych oraz złodziei, gwałcicieli i bandytów chodzących na „*skok*” (rozbój, włamanie) i mających na sumieniu „*mokre roboty*” (morderstwa). Wbrew temu, co pisze w swoich pamiętnikach Henryk Józewski, oficjalnie żądanych więźniów politycznych nie było i jeśli ktokolwiek z nas

użył tego określenia w rozmowie z więziennymi władzami, spotykał się z reguły co najmniej z surowym napomnieniem. Więźniowie antypaństwowi (czyli w naszym przekonaniu polityczni) byli zawsze gorzej traktowani niż pospolici. Tak więc na przykład do czasu głośnej ucieczki na Zachód pułkownika bezpieki Światły nie mogli korzystać z urlopów zdrowotnych, nawet w razie bardzo ciężkich chorób, co było przyczyną licznych zgonów w więzieniach. Przytoczę tu kilka znanych mi przypadków: minister WRiOP w rządzie londyńskim, ks. prałat Kaczyński, komendant okręgu wileńskiego AK, generał „Wilk”-Krzyżanowski (obaj na Mokotowie), przewodniczący Rady Jedności Narodowej Kazimierz Pużak, którego mimo ciężkiego stanu zdrowia nie umieszczono nawet w szpitalu i zmarł w celi w Rawiczu, mój kolega z Delegatury Rządu, Zdzisław Klimpel, dyrektor Departamentu Spraw Wewnętrznych, a potem dyrektor biura prezydialnego Delegatury, Leopold Rutkowski oraz szef Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa, a od czerwca 1945 roku sekretarz PSL w województwie gdańskim, adwokat Stanisław Tabisz („Pancer”) — wszyscy trzej — o ile wiem — na Mokotowie, a wreszcie we Wronkach Leszek Hajdukiewicz ze Stronnictwa Narodowego i pułkownik Wacław Lipiński.

Więźniom antypaństwowym nie powierzano żadnych funkcji (chyba w drodze wyjątku, głównie lekarzom i inżynierom) i zatrudniano ich raczej rzadko, ponieważ praca uważana była za przywilej. Pracujących traktowano lepiej, spali na łózkach, spacerowali co dzień i dłużej od innych, a także otrzymywali nędzne wynagrodzenie, z którego niewielką część można było przeznaczyć na tzw. „wypiskę”, czyli zakupy w więziennej kantynie (pozostała, znacznie większa część stanowiła przymusowe oszczędności, wypłacane w chwili opuszczenia więzienia).

I jeszcze tylko jedno, ostatnie jakie zapamiętałem, więzienne powiedzenie, zaczerpnięte z gwary przestępców pospolitych: na ogólniaku i więzieniach karnych nie mówiło się nigdy w celi, tylko z reguły „pod celą”.

W życiu więźnia każde przeniesienie z celi do celi, czyli — znowu w naszym języku — „przerzutka” jest swoistą loterią. Chodzi o „towarzystwo”, z którym trzeba spędzić trudny do przewidzenia czas, przeważnie od kilkunastu dni do kilku miesięcy. I to przez 24 godziny na dobę, bez żadnych kontaktów z innymi ludźmi, z wyjątkiem oficerów śledczych, oddziałowych i kalifaktorów. Można było trafić dobrze, spotykając ludzi wybitnych, wartościowych, mądrych, świetnych towarzyszy niedoli, ludzi, od których można się było wiele dowiedzieć i nauczyć. Ale z równym powodzeniem można było wpaść fatalnie, złaszcza

cza na pawilonach śledczych, gdzie spośród dwóch do czterech współtowarzyszy trudno było czasami wyłuskać kogoś naprawdę sympatycznego i interesującego. Dlatego każda „przerzutka” była dla nas przeżyciem.

Spotkało mnie to znowu, chyba w pierwszych dniach października 1948 roku, ale tym razem emocje były jeszcze większe, bo zmieniałem nie tylko celę, ale także pawilon.

Na oddziale I B

Zgrzytnął złowrogi klucz, oddziałowy otworzył drzwi, wyczytał z kartki moje nazwisko i imię, po czym dodał: „pakować swoje rzeczy”. Odetchnąłem z ulgą: a więc nie przesłuchanie, tylko nowa „przerzutka”. Zebranie kilku drobiazgów, stanowiących dobytek więźnia, wymagało zaledwie kilkunastu sekund, więc już po chwili „klawisz” poprowadził mnie korytarzem do drzwi wyjściowych z pawilonu X, szedł ze mną do sutereny, gdzie otworzył drzwi jakiejś celi i kazał mi wejść do środka. Była to ponura, ciemna izba, znacznie większa niż cele na dziesiątce i jedenastce. Oczywiście mieściła też znacznie więcej więźniów. Zgodnie z więziennym obyczajem przedstawiłem się i przywitałem ze wszystkimi. Zapamiętałem nazwiska większości moich nowych kolegów: Szymon Poradowski ze Stronnictwa Narodowego, Sobolewski ze sprawy WRN-u, Bolesław Jedliczko, porucznik — pilot ze sprawy o szpiegostwo przeciwko oficerom z RAF-u, Eichler — oskarżony również o szpiegostwo, tym razem na rzecz wywiadu amerykańskiego i powiązany z nim Wita-jewski, Wiktor Leśniewski, ojciec mego kolegi z Delegatury Rządu — Andrzeja, Jerzy Śmiechowski, aresztowany pod zarzutem udzielenia pomocy Stefanowi Korbońskiemu i jego żonie w ich ucieczce za granicę, Stanisław Kraskowski, związany ze sprawą Zbyszewskiego, oskarżonego o szpiegostwo na rzecz wywiadu szwedzkiego i o sabotaż, Ukrainiec Brewka z UPA, Karol Whitehead, przed wojną współwłaściciel fabryki czekolady „E. Wedel”, Budzińko, Piotrowski i Mocarski z IV komendy WiN-u i wreszcie dość mętna postać — Stamirowski, podobno z 2-go Korpusu generała Andersa.

Z pierwszych rozmów dowiedziałem się, że nasza cela należy do pawilonu, oznaczonego nie wiadomo dlaczego liczbą I B, i że lokuje się w nim więźniów, którzy mają śledztwo już ukończone, albo zbliżające się ku końcowi. Panowała tutaj zupełnie inna atmosfera niż na pawilonach śledczych, chociaż oddział I B również podlegał Departamentowi Śledczemu. Nie było takiego

jak tam rygoru, nie odczuwało się nieustannej grozy, nie docierały tu, ani w dzień, ani w nocy, rozpaczliwe krzyki nieludzko katowanych więźniów. Na przesłuchania wzywano dość rzadko i to przeważnie w związku z zamknięciem śledztwa. Nie pamiętam, czy ktokolwiek z nas miał już zezwolenie na widzenia, ale paczek przychodziło tu znacznie więcej, co pozwalało na pewne urozmaicenie i wzbogacenie nędznego więziennego wyżywienia. Nadal jednak nie chodziliśmy do łaźni ani na spacer, nie otrzymywaliśmy też żadnych gazet i książek.

Pomimo tych ograniczeń nastroje na I B były na ogół zdecydowanie lepsze, odpadło widmo makabrycznych przesłuchań, tylko nad niektórymi ciążyło bezlitośnie zagrożenie wyrokiem śmierci. Dotyczyło to czterech spośród nas. A więc przede wszystkim „szpiegów”, tzn. Eichlera, Witajewskiego i Jedliczki (zarzuty, wysuwane przeciwko mnie, były tak naciągane, że mimo podobnych oskarżeń nie czułem się zagrożony utratą życia) oraz Brewki, który — według tego, co nam opowiadał — pełnił ważną funkcję w Ukraińskiej Armii Powstańczej, będąc w niej odpowiednikiem „politruka”, i pozostawał pod zarzutem udziału w zamachu na Świerczewskiego, chociaż przedstawił dowody, że nie znajdował się w miejscu zamachu. Z tego, czego zdołał się podczas śledztwa i rozmów z więźniami dowiedzieć, wszyscy Ukraińcy, przebywający wówczas na Mokotowie, obciążeni byli tym zarzutem. Podobnie było zresztą ze sprawą głośnej napaści oddziału NSZ na wieś Wierzchowiny i wymordowania większości jej mieszkańców za to, że zapisali się do PPR. Działo się to na początku lata 1945 roku, a więc w okresie ostrych walk podziemia z władzami bezpieczeństwa, w których, niestety, NSZ posuwał się stanowczo zbyt daleko, mordując przy okazji Bogu ducha winnych ludzi. Wielu członków NSZ wpadało w ręce bezpieki i wielu z nich odpowiadało, zupełnie bezpodstawnie, za udział w akcji na Wierzchowiny. Zapadły wyroki śmierci, często w stosunku do ludzi, którzy mieli wprowadzić na sumieniu rozmaite czyny sprzeczne z obowiązującymi przepisami, ale z Wierzchowinami nie mieli nic wspólnego. Bezpieka musiała się wykazać, że działa sprawnie i że żadne przestępstwo nie ujdzie płazem. Wśród warszawiaków, niepozbawionych poczucia humoru nawet w najtragiczniejszych momentach, krążyło wówczas makabryczne powiedzenie: „Zginął za Wierzchowiny niepopelnione”.

Wszyscy ci czterej najbardziej zagrożeni zachowywali godne podziwu opanowanie. Ich postawa, przynajmniej na pozór, nie odbiegała w niczym od postawy pozostałych. Brali chętnie udział we wszystkich imprezach, jakie staraliśmy się organizować dla zabicia czasu, ale przede wszystkim dla pogłębienia wiedzy. Od-

bywały się więc namiętne dyskusje polityczne, w których rej wdzili Sobolewski, Poradowski i Brewka. Ten ostatni, młody, inteligentny człowiek, starał się nas przekonać, że w wyniku doświadczeń ostatniej wojny ukraińscy nacjonałiści doszli wreszcie do wniosku, że ich wrogiem numer jeden jest Związek Sowiecki, a nie Polska, z którą trzeba koniecznie dojść do porozumienia. Twierdził zresztą, że jest to jedna z tez utworzonej na Zachodzie UHWR (Ukraińska Hołowna Wyzwolna Rada).

Słuchaliśmy też w skupieniu ciekawych wykładów Wiktora Leśniewskiego o twórczości Chopina, którego był namiętnym wielbicielem i o koncepcjach filozoficznych prawa słynnego profesora Petrażyckiego, którego był jednym z uczniów. Ale największym osiągnięciem naszej celi były regularne kursy języka angielskiego. Prowadził je zamieszkały od dawna w Warszawie rodowity Anglik, a przy tym nieskazitelny dżentelmen i uroczy kolega, Karol Whitehead. Nie miał jednak żadnego pojęcia jak się do tego zabrać i od czego zacząć, bo znajomość ojczystego języka wyniósł z rodzinnego domu i nigdy nikomu lekcji nie udzielał. Kiedy z wrodzoną mu skromnością wzbraniał się przed przyjęciem funkcji „profesora”, chcąc ratować sytuację, zaproponowałem mu, że będę jego „asystentem”, mimo że znałem angielski słabo i właściwie zaledwie początki normalnego kursu. Nie było jednak innego wyjścia. Na lekcje zgłosili się wszyscy lokatorzy naszej celi, choć o podręcznikach i przyborach do pisania nie można było nawet marzyć. Dawaliśmy sobie jakoś radę, wypisując słówka, wszystkie formy odmiany czasowników, deklinacje rzeczowników itp. po prostu mydłem na betonowej podłodze.

Dużym urozmaicheniem w naszym mimo wszystko monotonnym życiu było porozumiewanie się alfabetem Morse’a z sąsiednimi celami. Dzięki temu można się było wiele dowiedzieć o losach powiązanych z nami ludzi. Bezkonkurencyjnym mistrzem w stukaniu był Brewka, który nadawał i przyjmował wiadomości niezwykle szybko. Do jego wysokiej klasy zaczął się powoli zbliżać Śmiechowski, dzięki temu, że prowadził nieskończenie długie „rozmowy” z siedzącą w sąsiedniej celi Pajdakówną ze sprawy WRN-u, córką zastępcy Delegata Rządu, Antoniego Pajdaka. Te rozmowy przerodziły się we flirt, potem wybuchła wzajemna miłość między dwojgiem młodych ludzi, którzy się nigdy w życiu nie widzieli. Finałem zaś, po wyjściu obojga na wolność, było zawarcie związku małżeńskiego, który — o ile wiem — trwa szczęśliwie do dzisiaj... Nie był to zresztą jedyny tego rodzaju przypadek w licznych więzieniach PRL.

Mój pobyt w pawilonie I B nie trwał niestety zbyt długo.

Mówię niestety, bo w beznadziejnym, siedmioletnim żywocie więziennym stanowił coś, co można określić mianem relaksu, odprężenia, a nawet — chwilami — zapomnienia o otaczającej nas ponurej rzeczywistości. W listopadzie 1948 roku, wkrótce po zakończeniu śledztwa i zapoznania się z aktami mojej sprawy, z których wynikało, że będę oskarżony z art. 7 (szpiegostwo) i 86 (przynależność do tajnej organizacji zmierzającej do obalenia siłą ustroju PRL), odbył się mój pierwszy proces, w którym skazano mnie z obu wspomnianych artykułów na 15 lat więzienia, konfiskatę mienia i utratę praw publicznych (nie pamiętam już na jaki okres czasu). Sądzone mnie, podobnie jak ogromną większość więźniów „antypaństwowych”, przy drzwiach zamkniętych, po prostu w jednej z cel na Mokotowie. Fakt, że nie przyznałem się do winy nie miał żadnego znaczenia. Najgroźniejszy dla mnie świadek oskarżenia, Zygmunt Lachert, nie stanął na rozprawie i jedynie odczytano jego zeznania złożone w śledztwie, w których zarzucał mi przynależność do nielegalnej organizacji „Ośrodek”, natomiast — ku mojemu zdumieniu — nie powtarzał zarzutu o tworzeniu po powrocie do kraju siatki szpiegowskiej z polecenia generała Bokszczanina. Wynikało z tego, że podczas ponownego przesłuchania, odbywającego się zazwyczaj na krótko przed procesem, odwołał pierwotne, najwidoczniej wymuszone torturami, zeznanie, jakie okazano mi z jego podpisem w pierwszych dniach mego śledztwa. Być może właśnie z tego powodu sąd nie przychylił się do wniosku mego adwokata, Leszka Buszkowskiego, o powołanie na świadka profesora Aleksandra Gieysztora, na okoliczność prawdziwego przebiegu mojej rozmowy z Bokszczaninem. Sąd uznał, że dopuściłem się szpiegostwa wyłącznie na tej podstawie, że przyznałem się do kontaktów z II oddziałem 2-go Korpusu we Włoszech.

Bezpośrednio po procesie przeniesiono mnie, zgodnie z mokotowskim rytuałem, na „ogólniak”. Dodam jeszcze tylko, że oba artykuły, z których byłem oskarżony, przewidywały karę śmierci. Nie wymierzono mi jej, ale czterej moi towarzysze niedoli z celi na oddziale I B: Jedliczko, Witajewski, Eichler i Brewka otrzymali ten najwyższy wymiar kary i — o ile wiem — tylko Jedliczce i Witajewskiemu zamieniono ją na dożywotnie więzienie.

O g ó ł n i a k

„Ogólniak” to już zgoła inny świat. Cele, przeszło dwa razy większe niż na oddziale I B, przeznaczone były przed wojną na

24 więźniów. Teraz umieszczano w nich od 70 do 90, a w jednej, jeszcze większej od pozostałych, liczba więźniów dochodziła do 130. Tylko w pierwszej mojej celi na „ogólniaku” zastałem jeszcze metalowe łóżka, które w ciągu dnia musiały być podnoszone do góry i umocowywane przy ścianach. Mimo że były wąskie, spało w nich po dwóch więźniów, a pozostali na rozłożonych na ziemi lichych siennikach. W rogu celi, po stronie okien, stał zasłonięty czymś w rodzaju metalowego parawanu klozet, do którego po śniadaniu ustawiały się długie kolejki, potem rozwiązywane, ale z zachowaniem ustalonej kolejności. Wejście do celi zamykane było żelazną kratą, którą później obito blachą, żeby nie było widać, co się dzieje na korytarzu.

W pawilonach śledczych siedzieli w zasadzie wyłącznie więźniowie „antypaństwowi”, natomiast na „ogólniaku” umieszczano razem, w tej samej celi, „antypaństwowych” i pospolitych. Miałem możliwość zetknąć się tutaj po raz pierwszy w życiu z przestępcami kryminalnymi wszelkich kategorii, z mordercami, bandytami, złodziejami, gwałcicielami, oszustami. Ten obcy mi dotąd świat nie był jednolity. Tak zwani przestępcy gospodarczy, przeważnie inteligenci, uważali się za coś lepszego od zwykłych kryminalistów, którzy z kolei lekceważąco, a nawet z pogardą, traktowali gospodarczych. Dość wyraźna linia podziału przebiegała pomiędzy kryminalistami starszymi wiekiem, uprawiającymi swój „zawód” jeszcze przed wojną, a młodymi przestępcami powojennymi. Przedwojenni mieli jakiś swego rodzaju złodziejski czy bandycki honor, chętnie szukali zbliżenia z „antypaństwowymi” i prawie nigdy nie dawali się namówić „specom” na donosicielstwo. Natomiast powojennym obce były stare tradycje solidarności więziennej i dość często spotykało się wśród nich „kapusiów”, choć pod tym względem pozostawali zdecydowanie w tyle za zbrodniarzami wojennymi i więźniami skazanymi za współpracę z Niemcami. Spośród tych powojennych, jako zasługujących na większe zaufanie władz więziennych, rekrutowali się też „kalifaktorzy” i inni więźniowie funkcyjni, m.in. prawie wszyscy celowi. Ta ostatnia funkcja w celach śledczych właściwie nie istniała, po prostu jeden z więźniów, przeważnie najstarszy „stażem”, meldował oddziałowemu stan celi podczas wieczornych apeli. Za to na „ogólniaku” celowy był ważną osobistością: oprócz meldowania czuwał nad ogólnym porządkiem w celi, wyznaczał miejsca do spania oraz dyżury sprzątających i w zasadzie ponosił odpowiedzialność za wszystko, co się w celi działo.

Tryb codziennego życia na „ogólniaku” różnił się znacznie od trybu życia w pawilonach śledczych. Najważniejszą dla nas

nowością były 15-tominutowe spacery na dziedzińcu więziennym, które odbywały się mniej więcej co tydzień, łaźnia (też raz w tygodniu) oraz 10-minutowe widzenia z bliskimi. Odbywały się one co miesiąc w specjalnym pomieszczeniu, przeznaczonym kratkami na trzy części: w jednej stało ośmiu czy dziesięciu więźniów, w drugiej osoby odwiedzające, w środkowej spacerował „klawisz”, starając się pilnować, by nie przekazywano sobie niewskazanych wiadomości. Zyskiwaliśmy też na „ogólniaku” prasę, choć ściśle mówiąc ograniczała się ona do *Trybuny Ludu*, *Nowych Dróg* i kilku pism sowieckich w różnych wersjach językowych, co było szczególnie cenne dla ludzi uczących się języków. Zapał do wiedzy był duży, uczono się wszystkiego, czego tylko się dało, choć i tutaj nie mieliśmy żadnych podręczników ani materiałów piśmiennych. Słówka obcojęzyczne notowało się na kawałku mydła wyostrzoną zapałką, albo na skrawkach *Trybuny Ludu* „atramentem”, zrobionym z wyludzanego w izbie chorych calihiper-manganicum i „piórem” z wyostzonego kawałka pręta od miotły. Dużym powodzeniem cieszyły się wykłady i popularne pogadanki, wygłaszane niekiedy przez wybitnych specjalistów, a wśród więźniów pospolitych opowiadanie treści jakiejś książki lub filmu, zwłaszcza sensacyjnego. W niektórych celach powstawały także kółka śpiewacze czy chóry. Życie intelektualne wzbogacone było jeszcze i tym, że mogliśmy otrzymywać książki z więziennej biblioteki, aczkolwiek księgozbiór jej był raczej skromny, a dobór tytułów zależał od widzimisię oddziałowych.

W każdej celi na „ogólniaku” istniał zwyczaj tzw. „chodzenia w kieracie”. Polegało to na tym, że większość więźniów spacerowała wkoło celi. Chodziliśmy tak czasami godzinami, dobierając się parami, przy czym trzeba było pilnie baczyć, czy w parze bezpośrednio poprzedzającej nie kroczy jakiś kapuś (głos rozmawiających idzie zawsze do przodu). Również w każdej celi powstawały „kołchozy”: kilku więźniów otrzymujących paczki z domu zawiązywało spółkę i przyjmowało na „utrzymanie” jednego lub kilku „bezpaczkowiczów”. W niektórych celach powoływaliśmy komisje, które czuwały nad sprawiedliwym składem kołchozów (odpowiednia proporcja paczkowiczów i bezpaczkowiczów).

W pierwszej mojej celi na „ogólniaku” zastałem prawie całą grupę WRN-owców³, osadzonych na początku jesieni 1948 roku. Byli to: Kazimierz Pużak, Tadeusz Sturm de Strem, Stefan Zbrożyna, Józef Dziegielewski, Wiktor Krawczyk, Tadeusz Wilczyń-

3. WRN — Wolność, Równość, Niepodległość. Taką nazwę przyjęła przedwojenna Polska Partia Socjalistyczna podczas okupacji.

ski i Kazimierz Rysiewicz. Z ich głównego procesu brakowało jedynie adwokata Ludwika Cohna i Misiorowskiego. Najwybitniejszy z tej grupy był niewątpliwie Pużak, który przed wojną pełnił funkcję sekretarza generalnego CKW PPS, a podczas wojny sekretarza generalnego WRN i przewodniczącego podziemnego parlamentu — Rady Jedności Narodowej. Cieszył się ogólną sympatią i wielkim autorytetem nie tylko wśród swoich towarzyszy partyjnych, ale także wśród wszystkich więźniów, również pospolitych, którym szczególnie imponował swoim stażem więziennym: miał już za sobą przeszło dziesięć lat pobytu w rozmaitych więzieniach. Siedział w aresztach jeszcze przed pierwszą wojną światową, w słynnym więzieniu świątokrzyskim, od 1911 do 1917 w twierdzy szlisselburskiej, a wreszcie — skazany w 1945 roku w procesie szesnastu przywódców Polski podziemnej — w więzieniu w Moskwie. Z pięknym, siwym, sumiastym wąsem, typ starego Polonusa, potrafił sobie zjednać wszystkich mądrością, niezłomną postawą i niezwykle skromnością. Z uwagi na jego podeszły wiek i długie lata spędzone za kratami staraliśmy się stworzyć dla niego oraz dwóch także leciwych jego towarzyszy, Sturm de Strema i Zbrożyny, choć trochę lepsze warunki, m.in. uchwaliliśmy jednogłośnie, że nie będzie obowiązywała ich kolejka z miską do kotła, podczas wydawania posiłków. Nic z tego: wszyscy trzej podziękowali pięknie, ale stanowczo odmówili. Jedyny przywilej, z jakiego nieświadomie korzystał Pużak, polegał na tym, że w zamawianej porannej kolejce do ubikacji „oszukiwaliśmy” kochanego pana Kazimierza, przesuwając go, bez jego wiedzy, na bliższe o kilkanaście pozycji miejsce.

WRN-owcy trzymali się razem, zajmując w ciągu dnia miejsca przy stoliku na lewo od wejścia do celi. Prezydował Pużak, mając obok siebie dwóch uroczych brodaczy, Sturm de Strema i Zbrożynę: trójka leciwych socjalistów, symbolizujących najlepsze, patriotyczne tradycje PPS. Niekiedy pan Kazimierz opuszczał grono towarzyszy i otoczony zwartym murem innych więźniów opowiadał rozmaite szczegóły ze swego bogatego w wydarzenia życia. Nie brakowało przy tym relacji z okresu działalności konspiracyjnej podczas ostatniej wojny i pobytu w więzieniach, barwnych opisów spotkanych tam ludzi, była m.in. opowieść o spotkaniu w więzieniu na Świętym Krzyżu słynnym Macochu, która budziła szczególne zainteresowanie zasłuchanych w słowa Pużaka złodziei.

Drugim moim towarzyszem niedoli, który umiał sobie zdobyć podobną sympatię wśród wszystkich więźniów, z pospolitymi przestępcami włącznie, był spotkany w kilka lat później na Mokotowie poeta, filozof, wielki entuzjasta i propagator Hoene-Wrońskiego, działacz polityczny „Unii” i Stronnictwa Pracy,

ostatni delegat na kraj rządu londyńskiego, Jerzy Braun. Jednym z dowodów tej powszechnej sympatii było jednogłośnie przyjęcie uchwały (i to na wniosek grupy złodziei!), że więźniowie z wyrokiem dożywotniego więzienia mają być zwolnieni z obowiązku sprzątanía celi. Pan Jerzy miał właśnie dożywocie i ten gest zrobiono specjalnie dla niego.

Inną większą grupę w tej samej celi stanowili członkowie nielegalnego Stronnictwa Narodowego: Tadeusz Maciński, Ludwik Chaberski, Leszek Hajdukiewicz, Bronisław Ekiert i Marian Podymniak, mój szkolny kolega, z którym spotkałem się tutaj po kilkunastu latach. Członkiem Stronnictwa Narodowego był także skazany w innym procesie ksiądz Edward Grzechnik. Zawsze pogodny i uśmiechnięty, życzliwy dla bliźnich, przypominał nieco z usposobienia Władka Jaworskiego. Grywał namiętnie w szachy, misternie lepione z chleba, wołając w groźnych dla siebie momentach: „Edziu, Europa na ciebie patrzy!”. W każdą niedzielę ks. Grzechnik odprawiał msze, a poniedziałki spędzał za karę w karcu. Msze celebrowane były uroczystie, z winem produkcji własnej ks. Edwarda z rodzyneków otrzymywanych w paczkach i z opłatkiem (z kapsułek jakichś proszków, wyłudżanych z izby chorych). Uczestniczyła w mszach znaczna większość więźniów, a pozostali nie przeszkadzali wiernym, zachowując całkowite milczenie i przerywając na ten czas „chodzenie w kieracie”.

Czas mijał dość szybko, bo ciągle coś się działo, przybywali nowi więźniowie z pawilonów śledczych, przynosząc wiadomości o przyjaciółach i znajomych, inni z kolei opuszczali naszą celę po zatwierdzeniu wyroku pierwszej instancji i wyruszali transportem w zakratowanych wagonach do więzień karnych. W mniejszym czy większym gronie słuchaliśmy różnych prelekcji, kwitła nauka języków obcych, pamiętam, że Marian Podymniak prowadził regularne kursy języka angielskiego, ja z kolegą Rymarem udzielaliśmy lekcji włoskiego. Chór pilnie ćwiczył, przygotowując pod kierunkiem Tadeusza Macińskiego kolędy na zbliżające się Święta Bożego Narodzenia.

I wreszcie nadszedł ten uroczysty dzień: moja druga Wigilia w więzieniu. Pierwsza minęła niemal niepostrzeżenie, w ponurej celi na „jedenastce”, w okresie kiedy przechodziłem ostre śledztwo, a jeszcze gorszym torturom poddawany był Chmiel. Teraz już od rana trwały przygotowania w poszczególnych „kołchozach”, żeby pomimo więziennych warunków jak najgodniej uczcić spędzane zazwyczaj w gronie rodzinnym święto. Staraliśmy się choć w minimalnym stopniu dochować wierności tradycji, korzy-

stając z nadesłanych z domu nieco bogatszych z okazji świąt paczek.

W świąteczne dni, a także na Nowy Rok, niezawodny ks. Grzechnik odprawiał msze. Było tradycyjne łamanie się opłatkiem, były piękne, patriotyczne, wzruszające przemówienia Pużaka w dniu Wigilii i Nowego Roku. Jego słowa, podtrzymujące na duchu, głęboko przeniknęły do serc i umysłów słuchaczy. Wielu miało łzy w oczach, a niektórzy — zarówno zaprawieni w partyzanckich walkach czasu okupacji jak i w zwykłych bandyckich „skokach” — głośno szlochali, bynajmniej się z tym nie kryjąc. Uświadomiłem sobie wówczas jeszcze dobitniej, jak wiele znaczyła dla nas wszystkich obecność wśród nas takiego jak on człowieka. Po jego mowach nie czuliśmy się już tak bardzo samotni, mniej ciążyła rozłąka z najbliższymi, stawaliśmy się jedną rodziną.

Śpiewano też we wszystkich celach, wbrew więziennemu regulaminowi, kolędy. Stare, dobrze nam znane, płynęły jedna za drugą, ale najbardziej chwytiała za serce kolęda poniekąd nowa. Poniekąd, bo nowe, jakże nam bliskie słowa ułożył do starej, góralskiej kolędy architekt, poeta, a po wyjściu na wolność scenograf, Jan Golka. Ta nowa wersja, przekazywana z celi do celi i znana chyba wszystkim więźniom Mokotowa, zaczynała się od słów:

*„Hej kolęda, kolęda,
Mokotów kolęda.
Hej kolęda, kolęda,
Betlejem, kolęda.*

*Między nas Pan Jezus wszedł,
Na więziennym stołku siadł.
Między nas Pan Jezus wszedł
I chleb czarny z nami jadł”.*



Jak już wspomniałem, wiele szczegółów z mego pobytu na „ogólniaku” zatarło się już w mojej pamięci. Przypomnę jednak jeszcze kilkanaście nazwisk i parę faktów z pierwszego mego tutaj pobytu, który trwał wyjątkowo długo, ponieważ po uchyleniu wyroku pierwszej instancji przez Wojskowy Sąd Najwyższy miałem wznowione śledztwo i musiałem oczekiwać na ponowną rozprawę przed wojskowym sądem rejonowym, a potem jeszcze na zatwierdzenie wyroku. Tak więc spośród księży zapamiętałem szczególnie księdza pułkownika Józefa Zator-Przytockiego, powiązanego

z WiN-em, kapelana AK, a po wyjściu na wolność proboszcza kościoła Naświętszej Maryji Panny w Gdańsku, Marianina ojca Szeląga oraz ks. Mielińskiego, redaktora *Przeglądu Katolickiego*. Obaj ci duchowni, dzięki swej godnej postawie, gotowości spieśnienia każdemu z pomocą i dobrą radą, cieszyli się wśród więźniów dużym autorytetem. Innego rodzaju porad zawsze chętnie udzielali adwokaci, przede wszystkim pisząc skargi rewizyjne więźniom, którzy nie mieli zapewnionej dostatecznej opieki prawnej. Poza członkiem przedwojennego ONR-ABC, Witoldem Bayerem, wszyscy pozostali należeli do Stronnictwa Narodowego. Byli to: Leon Mirecki, Napoleon Siemaszko, Ryszard Retke i Witold Lis-Olszewski, który po odzyskaniu wolności zdobył niemałą sławę jako ofiarny obrońca w procesach politycznych. Wymienię nazwiska jeszcze innych dobrych kolegów, szczególnie godnych zapamiętania na zawsze: członkowie „Ojczyzny” — Kirił-Sosnowski, Stanisław Roskosz i Alojzy Targ, nie pamiętam dlaczego nazywani przez nas Marcinem, pełen niezwykłej dobroci i uroku nauczyciel historii, którego świetnie prowadzonych wykładów słuchaliśmy zawsze z zapartym tchem, Wacek Leśkiewicz z „Baszty”, Henryk Kozłowski i Henryk de Minet z „Zośki”, Wojciech Świątkowski z „Parasola”, mój kolega z Delegatury Rządu — Andrzej Leśniewski, Kazimierz Wiśniewski z WiN-u, szef III komendy WiN-u — Wincenty Kwieciński, Jerzy Woźniak i Józef Szmit z IV komendy WiN-u, Jan Hoppe, Kazimierz Studentowicz i Bukowski ze Stronnictwa Pracy, Kazimierz Kobylański i Seweryn Różycki ze Stronnictwa Narodowego, piloci RAF-u ze sprawy porucznika Śliwińskiego — Zdzisław Radomski, Władysław Kamiński, Bolesław Jedliczko i Pacholczyk, powiązani z tą samą sprawą — profesor Michalski i Jerzy Lutkiewicz, pułkownik Michalski, doktor Bruno Fijałkowski, znany zielarz, który podobno przed wojną leczył prezydenta Mościckiego, a w więzieniu rozpoznawał nasze choroby badając dno oka i wreszcie szef V oddziału sztabu Komendy Głównej AK, pułkownik Kazimierz Pluta-Czachowski, który — jak się okazało — znał mego ojca i był razem z nim w POW.



O ile mnie pamięć nie myli, siedziałem wówczas już w drugiej mojej celi na „ogólniaku”. Pewnego dnia zarządzono, jak zwykle, wieczorny apel, ale tym razem zaraz po zbiorce kazano nam zrobić w tył zwrot, tzn. stanąć twarzą do okien, a plecami do kraty, stanowiącej wejście do celi. Słyszeliśmy, że identyczne rozkazy wydano w celach sąsiednich. Na całym korytarzu pełnił

służbę tylko jeden oddziałowy, nie mógł więc dopilnować, czy wszyscy więźniowie przestrzegają skrupulatnie zakazu oglądania się do tyłu. Już po kilku minutach, kiedy usłyszeliśmy na korytarzu jakiś niezwykły ruch, co chwilę któryś z nas łamał ten zakaz i szeptem informował sąsiadów, co widzi. Padały krótkie, zwiększone komunikaty: w stronę celi „kaesów” poszedł Różański, jego zastępcy Hummer i Serkowski, kilku oficerów śledczych. Po kilku minutach — nowe komunikaty: wyprowadzają Jurka Woźniaka, wyprowadzają Szmita, Siłę-Nowickiego... Trwało to długo, bo wyprowadzili z tej celi po kolei wszystkich. Nie mogliśmy pojąć o co chodzi, w każdym razie była to jakaś gigantyczna, masowa „przerzutka”.

Wyjaśniło się wszystko już nazajutrz. W naszej celi też zarządzono dość dużą „przerzutkę”, która objęła wszystkich więźniów z dużymi wyrokami, a więc także mnie. Skierowano nas do celi na pierwszym piętrze, w innym skrzydle „ogólniaka”, gdzie spotkaliśmy kilku więźniów z wyrokami śmierci, przezuconych poprzedniego wieczoru. Pamiętam, że byli wśród nich Kuźma, Górski, Leśniak, Woźniak i Szmit. I właśnie od nich dowiedzieliśmy się, co się stało. Otóż władze więzienne, posługując się jak zwykle kapusiami, wykryły, że w celi „kaesów” przygotowywana jest ucieczka. Głównymi jej organizatorami było dwóch niebezpiecznych bandytów, Kuźma i Józef Górski, którzy dopuścili do spółki kilku, czy nawet kilkunastu więźniów „antypaństwowych” z wyrokami śmierci. Byli wśród nich wszyscy z głośniejszej sprawy „Zapory” (Hieronima Dekutowskiego), a więc sam „Zapora”, dowódca partyzanckich oddziałów WiN-u na Lubelszczyźnie, Władysław Siła-Nowicki, inspektor partyzantki winowskiej na Lubelszczyźnie, jakiś „Rys” czy „Żbik” oraz Tudroj i Wasilewski, którzy przybyli do naszej celi w dwa dni później wprost z karca i chyba ktoś jeszcze z tej sprawy, a także trzech WiN-owcy z IV komendy, Widelski, Woźniak i Szmit, i dwóch czy trzech ludzi z okręgu wileńskiego AK. Kuźma i Górski wpadli na dość prosty, ale trudny do wykonania pomysł. Postanowili wywiercić dziurę w suficie celi, w jej rogu, bezpośrednio nad klozetem, który był zasłonięty oszalowaniem z desek aż po sufit. Cella „kaesowców” położona była przy samym końcu korytarza, na drugim piętrze. Nad nią znajdował się tylko strych. Strychem można było dojść do miejsca nad przylegającymi do „ogólniaka” jednopiętrowymi zabudowaniami gospodarczymi, po-

4. K.S. — kara śmierci. Cella „kaesów” sąsiadowała z naszą, była największa na Mokotowie. Umieszczano w niej wszystkich skazanych w I-szej instancji na śmierć oraz większość więźniów skazanych na dożywocie.

tem należało wyjść na dach przez niewielkie okno, zjechać na powiązanych razem kilku prześcieradłach na dach tych zabudowań i stamtąd zeskoczyć na ciągnący się wzdłuż nich chodnik ulicy Rakowieckiej. Ale jak wywiercić dziurę w suficie, nie zwracając uwagi licznych kapusiów w celi, w której na domiar złego pali się światło przez całą noc, żeby ułatwić kontrolę „klawiszowi”, zaglądnącemu co pewien czas przez kratę, a zarazem utrudnić popełnianie samobójstw? Otóż na noc rozkładało się na betonowej podłodze sienniki i żeby powiększyć wolną przestrzeń, ustawiało się wszystkie ławki pod ścianą, a ze stołków robiono w kłozecie piramidę, sięgającą aż do sufitu. Po tej piramidzie Józio Górski wchodził co noc z wyostrzoną o beton łyżką i mozolnie wiercił nią dziurę w suficie, starannie zbierając gruz do typowego więziennego worka, zwanego u nas „samarą”. Potem ten gruz wrzucał do kłozetu i spuszczał wodę, żeby nie pozostawiać żadnych śladów. A jak ustrzec się przed kapusiami? W tym celu wszyscy wtajemniczeni mieli kolejno nocne dyżury i w jakiś przemyślny sposób dawali znać Górskiemu, jeśli ktośkolwiek z niewtajemniczonych budził się i szedł do kłozetu. Górski przerywał wówczas na chwilę pracę i siedział sobie cichutko na szczycie swojej piramidy. Niestety w celi, w której przebywało wówczas chyba ponad stu więźniów, trudno było zachować do końca ścisłą tajemnicę. Dopuszczono więc z konieczności do grupy potencjalnych uciekinierów przestępcę kryminalnego, pełniącego obowiązki zastępcy celowego, który po prostu pewnej nocy nakrył Górskiego, w chwili gdy był on pogrążony w pracy.

Po kilku tygodniach dziura była na tyle szeroka, że Górski wszedł przez nią na strych i odbył trasę aż do okienka nad parkowymi budynkami gospodarczymi. W zasadzie można już było podjąć śmiałą próbę ucieczki, postanowiono jednak zaczekać na czas, kiedy nadejdą noce bezksiężycowe, co dawałoby większą gwarancję uniknięcia pościgu przez często krążące po Rakowieckiej patrole KBW. Według skrupulatnie przeprowadzonych obliczeń do tego momentu brakowało zaledwie kilku dni! I właśnie w ciągu okresu wyczekiwania nastąpiła katastrofa. Zastępca celowego, skazany „tylko” na dożywocie, z nieznanych mi powodów wtajemniczył w plan ucieczki swego bezpośredniego zwierzchnika, to znaczy celowego⁵, skazanego na śmierć za współpracę z Niemcami. Ten zaś uznał, że ucieczka jest niezwykle ryzykowna i że bardziej mu się opłaci „zakapować” całą imprezę, wychodząc ze

5. O ile mnie pamięć nie myli, nazywał się on Leśniak.

słusznego założenia, że za tak ogromną przysługę uratuje własną głowę i zamienia mu wyrok śmierci na dożywocie.

Dość szybko zdołaliśmy się zorientować, że po wykryciu spisku władze więzienne doszły do wniosku, że przetrzymywanie w jednej celi wszystkich więźniów skazanych na śmierć jest niebezpieczne. Dlatego też zapewne postanowiono ich rozdzielić, osadzając w kilku celach, razem z innymi więźniami skazanymi na długoletnie więzienie. Po przyjsciu do naszej celi Tudroja i Wasilewskiego dowiedzieliśmy się dalszych szczegółów. Na wiosnę 1948 roku Dekutowski i jego sztab postanowili, w porozumieniu z inspektorem WiN-u, Siłą-Nowickim, rozwiązać i ujawnić swoje partyzanckie oddziały. W tym celu nawiązali kontakty z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego i w rezultacie w lasach na Lubelszczyźnie odbyła się konferencja, na którą przylecieli helikopterem z Warszawy wiceminister bezpieczeństwa Romkowski oraz dyrektor Departamentu Politycznego MBP, Luna Bristigero-wa. WiN reprezentowali: Siła-Nowicki i Dekutowski. W zasadzie osiągnięto już porozumienie, oddziały winowskie miały ujawnić się, złożyć broń i wracać do domów, ale pertraktacje rozbiły się z jednego tylko powodu: przedstawiciele MBP nie chcieli się zgodzić na warunek wysunięty przez Siłę-Nowickiego i Dekutowskiego, żeby ludzie z oddziałów WiN-u, przebywający w więzieniu, odzyskali wolność. Po zerwaniu pertraktacji dowódcy oddziałów winowskich postanowili rozwiązać oddziały, a sami mieli zamiar opuścić nielegalnie kraj, ponieważ groziło im aresztowanie. Niestety jednak, kiedy byli już na granicy z Czechosłowacją, jeden z nich, jak się okazało agent bezpieczeństwa, wydał wszystkich w ręce władz bezpieczeństwa. Wożono ich potem z workami na głowach, żeby ich nikt nie rozpoznał (z obawy przed ewentualnym odbiciem) jako świadków na rozmaite procesy podległych im członków WiN-u. Potem odbył się ich proces, w którym wszyscy otrzymali po kilka wyroków śmierci.

Tudroj i Wasilewski opowiedzieli nam także, że bezpośrednio po zabraniu z celi „kaesów” niektórych spośród organizatorów ucieczki (nie pamiętam już konkretnie kogo ale z pewnością Siły-Nowickiego i Dekutowskiego) przetrzymano ich przez kilka dni w karcu, nago i skutych w kajdanki. Tudroj i Wasilewski, mili, dzielni, inteligentni chłopcy, otrzymali po dwa czy nawet trzy wyroki śmierci i nie liczyli na ulaskawienie. Jediną nadzieję pokładali w tym, że Siła-Nowicki jest siostrzeńcem Dzierżyńskiego i że wobec tego władze uznają, że nie wypada go zabijać, a w takim razie należałoby również zamienić jego podwładnym kary śmierci na dożywocie. Nie spełniły się niestety ich nadzieje: wyroki śmierci wykonano na wszystkich, z wyjątkiem Siły-No-

wickiego. Opowiadano mi później, już w więzieniach karnych, że przeżywał on silny kryzys psychiczny, nie mogąc się z tym pogodzić, że z całej jego sprawy tylko on jeden pozostał przy życiu, natomiast jego podwładni, nie mając takich jak on koligacji, zostali zabici. W więzieniach karnych zachowywał się niezwykle odważnie, wręcz prowokująco, wskutek czego wiele dni spędzał za karę w pojedynkach.

Na zakończenie tej tragicznej sprawy dodam, że byłem na procesie rehabilitacyjnym Siły-Nowickiego. Było to niezwykle: przed rozprawą, w kularach sądowych spotykało się wielu przyjaciół, byłych więźniów, którzy niedawno odzyskali wolność. Serdeczne uściski, pocałunki, wymiana wiadomości o swoich losach. Miałem wrażenie, że prawie wszyscy się znają, w każdym razie czuliśmy, że jesteśmy sobie bliscy. Tylko na ławce pod ścianą dość skromnie ubrana jakaś pani, z którą nikt się nie witał. Uderzyło mnie to, więc zapytałem mego ówczesnego sąsiada z Milanówka, Franka Niepokólczyckiego, czy przypadkiem nie wie, kto to jest. „Jak to, nie wiesz? To przecie słynna Luna Bristigerowa”. Pozbawiona już stanowiska, została teraz wezwana w charakterze świadka. Drugim koronnym świadkiem w tej sprawie był były wiceminister bezpieczeństwa, Romkowski, którego doprowadzono na salę sądową w kajdankach, co sprawiło nam wszystkim niemałą satysfakcję.



Wkrótce do naszej celi zaczęli napływać nowi więźniowie, wielu z wyrokami śmierci. Nie pamiętam, czy od samego początku siedział tam ze mną jeden z najbardziej uroczych kolegów, Mieczysław Pszon z Krakowa. Wybitnie inteligentny, obdarzony znakomitą pamięcią i wielkim poczuciem humoru, mimo ciężkiego nad nim widma śmierci trzymał fason i zachowywał godną podziwu pogodę ducha. Miecio, magister polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, został już po tak zwanym wyzwoleniu mianowany przez rząd Arciszewskiego Delegatem Rządu na województwo krakowskie. Ministrem Spraw Krajowych był wówczas starszy kolega Pszona ze Stronnictwa Narodowego, Zygmunt Berezowski i chyba dlatego Delegatem Rządu na województwo wrocławskie został również endek, Bilan. Muszę tu wyznać, że wprawdzie nigdy nie przepadałem za endekami, ale właśnie dwaj endecy, Pszon i Władek Jaworski, który zresztą nieco później też zjawił się, ku wielkiej mojej radości, w naszej celi, przypadli mi bardzo do serca. Bardzo miłym towarzyszem niedoli w tej samej celi był też Kazimierz Leski, szef sztabu obszaru północ-

nego pierwszej komendy WiN-u, człowiek o wielkich zasługach i zupełnie niezwykłych przygodach w czasie wojny, kiedy jako członek akowskiego kontrwywiadu jeździł kilkakrotnie do Francji, kilka razy nawet w mundurze generała Wehrmachtu. Dalej uroczy Zdzisław Radomski, pilot myśliwski RAF-u, który stracił rękę podczas nalotu na Niemcy. Zawsze z poważną miną, ale przy tym bardzo zabawnie opowiadał nam swoje dzieje, z reguły bagatelizując własne wyczyny bojowe. Zżyłem się też bardzo z Wacławem Leśkiewiczem z „Baszty” i Bohdanem Rudnickim z AK wileńskiej, którego później spotkałem we Wronkach.

Kogo by tu jeszcze wymienić? Miłą kompanię stanowili „podwładni” Miecia Pszona, czyli „pana wojewody”. Byli to Władysław Gałka z Bochni, Leszek Masłowski, Lesser i profesor Łukasiewicz. Wspomniałem już o Jurku Woźniaku, ale jeszcze muszę dodać, że pod względem zalet osobistych i wielkiego przy tym uroku dorównywał Jaworskiemu i Pszonowi.

Pamiętam, że spośród skazanych na śmierć, na których wyroki wykonano, siedzieli wówczas ze mną Kawalec, szef wywiadu w IV komendzie WiN-u, Rzepka z tejże komendy, który bezwzględnie powinien był zostać ułaskawiony, ponieważ w więzieniu postradał zmysły, trzech inni członkowie WiN-u, Bernatowicz, Widelski i Mierzwiński, który idąc już korytarzem na niewątpliwą rozwałkę zawołał głośno „Jeszcze Polska nie zginęła”, Edmund Bukowski z AK wileńskiego, atletycznie zbudowany Rossochacki, z jakichś akowskich odprysków, który wiedząc już, że idzie na śmierć, żegnał się jak inni z przyjaciółmi, a wyciągającego do niego dłoń znanego na Mokotowie kapusia, Kłysa, regularnie znokautował, a wreszcie Kuźma i Górski. I o nich jeszcze kilka słów. Otóż w tej naszej celi postanowili jeszcze raz podjąć próbę ucieczki. W tym celu Górski, zaprawiony już w takiej robocie, zaczął znowu wiercić dziurę w rogu celi mając nadzieję, że dokopie się do jakiegoś komina, którym zdołają wydostać się do piwnic, a stamtąd na wolność. Znowu ktoś go „zakapował” i w rezultacie obu współników przeniesiono do innej celi. Podejmowali te beznadziejne próby, mając bowiem na sumieniu wiele przestępstw, w tym kilka morderstw, nie mogli liczyć na ułaskawienie. Ich sprawa wlokła się w nieskończoność, bo chcąc odwlec wykonanie wyroku, co pewien czasu ujawniali jakieś nowe swoje przestępstwo, co z konieczności — mimo ciążyących na nich wyroków śmierci — powodowało wznowienie śledztwa. Ostatecznie jednak Sąd Najwyższy wyroki zatwierdził. Ale władze więzienne, obawiając się, że będą stawiać opór, zastosowały wobec nich podstęp. Polegał on na tym, że wywołano ich obu z celi, jak zwykle tuż przed apelem, ale nie kazano im zabierać ze sobą

rzeczy, co z reguły robiono w przypadkach wykonywania wyroku. Wyszli bez żadnego oporu, nawet uradowani, sądząc, że wzywają ich do kancelarii, żeby powiadomić ich o ułaskawieniu.

W celi śmierci panował obostrzony regulamin: spacery mieliśmy tylko raz na miesiąc, a przez całą noc paliło się w nocy światło. Leżąc po dwóch na jednym mizernym sienniku, przy dość mocnym górnym świetle trudno było zasypiać, więc zawiązywaliśmy sobie oczy chustkami. Niezwykły to był widok: kilkudziesięciu mężczyzn leżących na podłodze z zawiązanymi oczami.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, moja trzecia więzien na Wigilia, tym razem w celi skazanych na śmierć, wśród ludzi, którzy w każdej chwili mogli być zabrani na egzekucję. Nie miała więc tego świątecznego i mimo wszystko dość pogodnego nastroju, jak Wigilia poprzednia. Staraliśmy się jednak trzymać fason i w miarę możliwości zachować wigilijne tradycje. „Kolchozy” przygotowywały wspólną wieczerzę, zapraszając na nią — w imię chrześcijańskich zasad, nakazujących wybaczać winy — dość liczną grupę Niemców, których większość miała wyroki śmierci za zbrodnie wojenne. Łamaliśmy się wszyscy opłatkami, odmawialiśmy wspólnie modlitwy, a potem koładowaliśmy z zapamiętaniem. Oprócz tradycyjnej już koledy Jana Golki były te stare, tak dobrze wszystkim znane, a także nowe, które napisał obdarzony dużym talentem Bohdan Rudnicki, autor dowcipnych szopek więziennych. Śpiewały dwa chóry: polski i niemiecki. Trzeba przyznać, że ten drugi był lepszy. Może dlatego, że z naszego zespołu ubywali w okresie prób co pewien czas śpiewacy, wzywani na egzekucję. Do innych już byli powołani chórów: do chórów anielskich w zaświatach.

Niemcy śpiewali na głosy, pod dyрекcją Ślązaka Grzymka, jednego z uczestników pamiętnej prowokacji gliwickiej, którą tuż przed wybuchem wojny zorganizował słynny Naujoks. Śpiewali znaną w wielu krajach, piękną koledę „Stille Nacht, heilige Nacht” z ogromnym przejęciem i mimo woli odnosiło się wrażenie, że ci ludzie, z których większość oczekiwała na wykonanie wyroku śmierci, gorąco pragną, by słowa ich modlitwy dotarły do Najwyższego i wyjednały im przebaczenie.



Wspominałem już o kolegach z AK wileńskiej, Bohdanie Rudnickim i Bukowskim, ale miałem szczęście spotkać i innych więźniów z tej samej sprawy, a mianowicie: Stahla, Nakwasa-Puhaczewskiego, braci Stachiewiczów, Henryka Meyera i Wacława Beynara, brata Lecha Beynara, czyli Jasienicy. Aresztowani w

1948 roku pod poważnymi zarzutami zbrojnej akcji przeciwko władzy ludowej i wojskom sowieckim, otrzymywali z reguły bardzo surowe wyroki. Bukowski i starszy Stachiewicz mieli wyroki śmierci (wyrok na Bukowskim został wykonany), a chyba wszyscy pozostali skazani byli na dożywocie. Aresztowany w tej samej sprawie Paweł Jasienica, któremu groziła kara śmierci, wyszedł z więzienia dość szybko wskutek interwencji Bolesława Piaseckiego. Znali się oni z czasów, kiedy Piasecki wraz ze swoim Batalionem Uderzenia prowadził walki w nowogrodzkim, a potem wileńskim okręgu AK. Piasecki cieszył się dużym zaufaniem władz i pozostawał w bliskich kontaktach z dyrektorem Departamentu Politycznego Ministerstwa Bezpieczeństwa, Luną Bristigerową. Dzięki swoim znajomościom mógł w pewnych wypadkach skutecznie działać na rzecz uwieczonych, a prócz tego nie obawiał się zatrudniać zwolnionych więźniów i ich rodzin w licznych podległych mu instytucjach, jak PAX, INCO, Veritas. Mówiono dość powszechnie, że w ten sposób stara się stworzyć sobie alibi w razie radykalnej zmiany sytuacji. Zwolnienie Jasienicy było o tyle szczególne, że ciążyły na nim poważne zarzuty, a mimo to interwencja Piaseckiego okazała się nie tylko skuteczna, ale także wyjątkowo szybka. Jednakże wybitny pisarz, związany dotąd ściśle z *Tygodnikiem Powszechnym*, zapłacił za to wysoką cenę: zgodził się po wyjściu z więzienia nawiązać współpracę z PAX-em i przez pewien czas dotrzymywał danego przyrzeczenia.

Znanych mi z opowiadań przywódców AK wileńskiej skazano na śmierć i wyroki wykonano. Byli to pułkownik Antoni Olechnowicz, słynny partyzant Zygmunt Szendzielarz („Łupaszka”), wspomniany już Bukowski i Witold (?) Minkiewicz (który nie był moim krewnym). Przez pewien czas siedziała na „dziesiątce” w pobliżu mojej celi żona Minkiewicza, Wanda, o czym dowiedziałem się dzięki stukaniom w ściany i dopóki nie podano mi jej imienia, sądziłem, że chodzi o moją żonę.

Równie surowo jak przywódców AK wileńskiej potraktowano Hieronima Dekutowskiego („Zaporę”) i jego najbliższych współpracowników: na wszystkich, z wyjątkiem Siły-Nowickiego, wykonano wyroki śmierci. Drugim wyjątkiem był także ułaskawiony na dożywocie Kubik z IV komendy WiN-u. Wszyscy pozostali zginęli na Mokotowie. Oto nazwiska, które zapamiętałem: szef IV komendy, Łukasz Ciepliński i członkowie Komendy — Lazarowicz (szef obszaru zachodniego), Kawalec, Chmiel, Rzepka, Bernatowicz i Błażej (szef obszaru południowego).



Nie pamiętam kiedy i gdzie, ale zapewne na „ogólniaku” spotkałem jeszcze kilkunastu dzielnych i ciekawych ludzi. Byli to: Piotr Szewczyk, zwany przez nas Pitrem, przed wojną komisarz policji, potem cichociemny; Żuralski, również cichociemny; Antoni Cheda, znany dowódca partyzantki na Kielecczyźnie, podkomendny słynnego „Ponurego” (Piwnika), wsławiony rozbięciem obozu w Rembertowie, gdzie NKWD trzymało akowców, i uwolnieniem towarzyszy broni z więzienia w Kielcach; Kazimierz Gorzkowski, wzór wszelkich cnót, wspinały harcmistrz, założyciel i komendant sabotażowo-dywerysyjnej organizacji „Palmyry”, pracownik BIP-u, szczególnie zasłużony w utrzymywaniu łączności więziennej i w akcji „N”; marianin, ojciec Szela, zawsze pogodny, koleżeński i pełen dobroci; Lech Oktawian Lipiński, cieszący się dużym autorytetem, współorganizator akcji mającej na celu sprawiedliwe dzielenie się paczkami w „kołchozach”; Mirosław Urtata, przed wojną podporucznik Korpusu Ochrony Pogranicza, w czasie okupacji dzielny oficer AK, a w więzieniu świetny kolega; inżynier Sudlitz, wielce zasłużony w produkcji broni i amunicji dla AK. Z młodszej generacji: żołnierze „Żółki” — Henryk Kozłowski, Jerzy Grundman, Witold Morawski, Henryk Deminet, Andrzej Wolski, Stanisław Lechmirowicz, Bogdan Deczkowski, Stanisław Sieradzki, Wojciech Szymanowski i Gorgoń; z „Parasola” — Kijowicz; z oddziałów żoliborskich „Żywiciela” — Wacław Gluth-Nowowiejski i Ryszard Kamiński, który spotkał się na „ogólniaku” ze swoim stryjem, również Ryszardem; a wreszcie kilku młodych działaczy katolickich, związanych z *Tygodnikiem Warszawskim*: wybitnie zdolny prawnik, później doradca „Solidarności”, Wiesław Chrzanowski, Wojciech Kostkiewicz, Kazanecki i Eska, syn mego starszego kolegi z Departamentu Spraw Zagranicznych Delegatury Rządu, Stanisław Eska.

Nieco więcej miejsca muszę poświęcić Adamowi Obarskiemu. Przed wojną członek OMTUR i PPS, miał on mimo to pewne powiązania z sanacją i przez pewien czas pracował w prasie czerwonej; jego siostra wyszła za mąż za Bogusława Miedzińskiego, a brat był redaktorem naczelnym Polskiej Agencji Telegraficznej. Podczas okupacji działał w szeregach WRN, a po wojnie reprezentował tę partię we władzach Porozumienia Organizacji Polski Niepodległej.

Utrzymywałem z nim pewne kontakty także po wyjściu na wolność. Podczas jednego z naszych spotkań opowiedział mi dość niezwykle zdarzenie. Władze PRL doszły wreszcie do wniosku, że dalszy napływ repatriantów z Francji i z Belgii nie jest wskazany. Wkrótce po zakończeniu wojny zjawili się ich w Polsce

dość dużo, prawie wszyscy byli członkami partii komunistycznych i w związku z tym powierzano im często różne funkcje, wprowadzie raczej drugorzędne, ale wymagające dużego zaufania. M.in. wielu z nich pracowało w Ministerstwie Bezpieczeństwa, przeważnie w charakterze oddziałowych. W areszcie MBP przy ulicy Koszykowej prawie wszyscy „klawisze” rekrutowali się spośród repatriantów. Nazywaliśmy ich „Francuzami”. Przywykli do zupełnie innego standardu życiowego na Zachodzie, czuli się w Polsce źle, tym bardziej, że wskutek przynależności do partii komunistycznych spodziewali się zrobić tutaj karierę, do czego nie mieli jednak żadnych kwalifikacji, nie znając nawet dobrze języka polskiego. W rezultacie władze PRL postanowiły położyć kres dalszemu napływowi do kraju ludzi, którzy prędzej czy później zaczęli dawać wyraz swemu rozczarowaniu, oddziałując destrukcyjnie na otoczenie.

W związku z tym zwrócono się do Obarskiego z propozycją, żeby wyjechał na pewien, krótki zresztą czas do Brukseli w celu przeprowadzenia rozmów na ten temat z przedstawicielami II-ej Międzynarodówki, która miała dość duże wpływy wśród francuskich i belgijskich górników. Obarski powiedział mi, że w nawiązaniu kontaktów dopomógł mu jego przyjaciel z PPS, Adam Ciołkosz. Trudno mi powiedzieć, ile w tym wszystkim prawdy, bo Obarski — przy licznych swoich zaletach — lubił niekiedy przesadzać i koloryzować. W każdym razie napływ repatriantów do Polski wyraźnie się zmniejszył.



Wymieniając ludzi, z którymi spotkałem się w pawilonach śledczych, zapomniałem o księdzu Marszałku, chyba dlatego, że siedziałem z nim bardzo krótko. Był poważny, skupiony, zamknięty w sobie i mówił niewiele, zwłaszcza o swojej sprawie. Dowiedziałem się jednak od niego, że podobnie jak ja przebywał przez pewien czas w siedzibie Brygady Świętokrzyskiej w Regensburgu. Miał chyba z nią jakieś bliskie powiązania, bo — jak się później dowiedziałem — został podobno skazany na karę śmierci i zgładzony na Mokotowie.



Do naszej celi przybywało stopniowo coraz więcej chłopów, przede wszystkim z okolic Ciechanowa, Ostrołęki i Przasnysza. Większość z nich otrzymywała wyroki za udzielanie pomocy oddziałom partyzanckim Narodowego Zjednoczenia Wojskowego,

które powstało już po tzw. wyzwoleniu i skupiało w swoich szeregach ludzi z dawnej Narodowej Organizacji Wojskowej oraz części Narodowych Sił Zbrojnych, podporządkowanej Komendzie Głównej AK w ramach akcji scaleniowej. Udzielaniem pomocy w rozumieniu Sądów Wojskowych było przenocowanie, nawet jednorazowe, partyzanta lub choćby poczęstowanie go byle jakim posiłkiem. Drugim zarzutem, jaki wysuwano przeciwko chłopom, było słynne „wiedział — nie powiedział”, to znaczy powstrzymywanie się od przekazania władzom bezpieczeństwa jakichkolwiek wiadomości o partyzantach, a zatem uchylenie się od spełnienia jednego z podstawowych obowiązków obywatela PRL, jakim jest donosicielstwo.

Jednakże, obok tych niezbyt groźnych przestępców, napływali do naszej celi również członkowie oddziałów partyzanckich NZW, dzielni chłopcy, głównie z kurpiowskich wsi, z dużymi wyrokami, często nawet z wyrokami śmierci. Wszyscy, z którymi się zetknąłem, trzymali się w więzieniu dobrze, zachowywali godność, garnęli się do wiedzy, pilnie słuchali rozmaitych wykładów i stanowili wraz z nami jedną rodzinę więźniów „antypaństwowych”. Większość z nich to byli ludzie młodzi, wyładowywali więc swój temperament w meczach bokserskich, z tym że zamiast normalnych rękawic obwiązywali dłonie ręcznikami. Najwyraźniej nie wystarczało im całodzienne, monotonne „chodzenie w kieracie”, toteż — oprócz tych meczów — urządzali w karnawale zabawy taneczne, demonstrując nam kurpiowski taniec, nazywany przez nich „kuntra”, który był właściwie wiązańką polskich tańców ludowych: oberka, kujawiaka, polki i mazura. W ponurej więziennej rzeczywistości był to dla nas niezwykle, niezapomniany widok, zwłaszcza kiedy w pierwszej parze występowało dwóch skazanych na śmierć partyzantów, przy czym jeden z nich, z lekką ucharakteryzowany, w roli dziewczyny.

Starsi wiekiem chłopci, stateczni i spokojni, pozwalali się niekiedy terroryzować celowemu, zwykłemu powojennemu bandycie, który cieszył się szczególnym zaufaniem władz więziennych. Zdarzało się nawet, że podczas zbiórki, tuż przed wieczornym apelem, bił po twarzy co potulniejszych chłopów za byle jakie, najczęściej wyimaginowane przewinienie. Liczył przy tym na brak odwetu, bo starannie dobierał sobie ofiary, a ponadto lada chwila miał do celi wkroczyć przodownik, by odebrać apel. Ale raz powinęła mu się noga. Było to co prawda w ciągu dnia, nie groziła szybka interwencja „kławisza”, lecz kiedy czepiał się znów bez istotnego powodu, a nawet uderzył dobrodusznie wyglądającego, skazanego na śmierć jednego z dwóch braci Samselów,

dostał od niego — ku powszechnej radości — takie lanie, że uspokoił się na długi czas i nie gnębił nikogo.



Osobną kategorię więźniów stanowili milicjanci, skazani najczęściej za jakieś nadużycia i wojskowi, odpowiadający za tzw. „szeptankę”. Jeden z artykułów — już nie pomnę czy małego kodeksu karnego, czy może ustawy o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa polskiego — przewidywał surowe kary za uprawianie wrogiej propagandy, to znaczy za wypowiedzi, nawet w najmniejszym gronie dwóch czy trzech osób, szkalujące partię, władze państwowe, bądź przywódców polskich czy sowieckich. Zdarzało się przy tym często, że te wypowiedzi, których koniecznie musiało być co najmniej dwie (żeby, broń Boże, nie ukarać kogoś nazbyt pochopnie) prowokował, najczęściej przy kieliszku, oficer II oddziału lub kulturalno-oświatowy w stosunku do kolegów, co do których lojalności miał pewne podejrzenia.

Ta metoda przetrwała zresztą długie lata, a jej ofiarą padł m.in. mój przyjaciel, Kazimierz Moczarski, w 12 lat po swoim głośnym procesie rehabilitacyjnym, który odbywał się w wypełnionej po brzegi największej sali sądów na Lesznie i w popaździernikowej atmosferze zupełnej swobody w wypowiedziach oskarżonych i świadków, dzięki czemu oskarżony stał się oskarżycielem. Otóż po sześciodniowej wojnie na Bliskim Wschodzie, Kazio, który jako przedwojenny działacz, a nawet jeden z założycieli klubów demokratycznych i Stronnictwa Demokratycznego, pełnił funkcję kierownika działu łączności z czytelnikami w organie SD *Kurierze Polskim*, jadąc samochodem z Kawką, kierownikiem działu zagranicznego *Kuriera*, powiedział dwie rzeczy: 1) że Izrael ma historyczne prawa przynajmniej do części zagarniętych terenów i 2) że zwycięstwo Dajana było imponujące. Po przyjeździe do redakcji Kawka zameldował o tym znanemu „moczarowcowi”, naczelnemu redaktorowi *Kuriera Polskiego*, Tycnerowi. I to zupełnie wystarczyło: były przecież dwie „wypowiedzi”. Moczarskiego wprowadzie nie zamknęli, bo mimo wszystko czasy się trochę zmieniły, ale w Stronnictwie odbyła się swego rodzaju „dintojra”. Ściągnięto Kazia telegraficznie z Sopotu, gdzie spędzał urlop i ku jego zdumieniu postawiono go przed „sądem” Stronnictwa pod zarzutem uprawiania wrogiej propagandy. Jedynym świadkiem oskarżenia był Kawka i na podstawie jego zeznań „sąd” postanowił usunąć „oskarżonego” z redakcji *Kuriera Polskiego*.

W jakiś czas potem „Radosław” (Mazurkiewicz), który był wówczas wiceprezesem Zarządu Głównego ZBOWiD-u i znał głośną już w warszawskim środowisku dziennikarskim sprawę, zwrócił się do Moczarskiego i oznajmił, że poruszy ją w zarządzie ZBOWiD-u, zapewniając, że zarząd weźmie go w obronę. Kiedy Moczarski zwrócił uwagę, że nie jest członkiem ZBOWiD-u, „Radosław” odparł, że zgodził się pełnić funkcję wiceprezesa głównie po to, żeby walczyć o prawa akowców, niezależnie od tego czy są członkami tej organizacji. W rezultacie, pod naciskiem Moczara (krwiożerczego antysemitę), który będąc prezesem ZBOWiD-u i mając wielkie ambicje polityczne starał się zjednać sobie wszystkich dawnych kombatanów, Moczarskiego ponownie przyjęto do redakcji *Kuriera Polskiego*, ale nie na dawne stanowisko kierownika działu, a jedynie w charakterze starszego publicysty.

Spotkałem się z nim wkrótce potem i opowiedział mi wszystkie te swoje przygody, dodając, że wniosł do sądu koleżeńskieg przy Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich sprawę przeciwko Kawce o donosicielstwo, ale — jak dotąd — nie nabrała ona biegu. Odzyskał wprawdzie utraconą posadę, niezmiernie dla niego cenną, bo jego żona Zofia po przeszło sześcioletnim pobycie w więzieniu była niezdolna do pracy, a nieletnia wówczas córka poważnie chorowała na serce, ale przynębia go obrzydliwa atmosfera nagonki na Żydów, a poza tym źle się czuje psychicznie, ponieważ otrzymując te same pobory, co poprzednio, nie ma właściwie nic do roboty. Starałem się podtrzymać go na duchu i namawiałem usilnie, zresztą nie po raz pierwszy, żeby właśnie, korzystając z wolnego czasu, przystąpił wreszcie do pisania pamiętnika z okresu pobytu w więzieniu.



Najwyższy jednak czas, bym wrócił do moich własnych wspomnień z Mokotowa. A więc kilka słów o dwóch dość specyficznych grupach więźniów. Obu zarzucano szpiegostwo, przy czym warto dodać, że aby spotkać się z zarzutem popełnienia tego przestępstwa, wystarczyło na przykład poinformować przedstawiciela obcego wywiadu, gdzie mieści się gmach takiego czy innego urzędu państwowego lub partyjnego, którego adres można było zresztą znaleźć w książce telefonicznej. Fakt, że osoba udzielająca tej wiadomości nie miała pojęcia z kim ma do czynienia nie miał żadnego znaczenia. Zdaje mi się, że pod takimi właśnie zarzutami znaleźli się m.in. Bogu ducha winni świadkowie Jehowy, którzy w więzieniu dawali przykład prawdziwie koleżeńskiej

postawy, oddając towarzyszom niedoli niemal wszystko, co otrzymywali w paczkach i podejmując się ofiarnie zastępowania innych więźniów, zwłaszcza starszych, w pełnieniu funkcji dyżurnych, wyznaczonych przez celowego do sprzątanía celi lub do zmywania misek po posiłkach, z reguły w lodowato zimnej wodzie, czerpanej ze zbiornika nad klozetem.

Zarzut szpiegostwa wysuwano także przeciwko teozofom. Nie zetknąłem się wprawdzie z nimi bezpośrednio, ale wiele o nich słyszałem od współwięźniów. Cała ta nieszczęsna sprawa zrodziła się stąd, że przebywający jeszcze wtedy we Włoszech wybitny teozof, generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski, korzystając z wyprawy do Polski wysłanego przez Andersa faktycznie w misji szpiegowskiej rotmistrza Andrzeja Czaykowskiego, wręczył mu kilkanaście listów do zaprzyjaźnionych teozofów i teozofek. W listach nie było nic poza pozdrowieniami od generała i wezwaniami, żeby adresaci pozostawali z nim w „łączności duchowej”. Wkrótce po nielegalnym przybyciu do Polski Czaykowski został aresztowany, nie zdążywszy tych listów doręczyć. Bezpieka nie zastanawiała się długo: co to miało znaczyć „łączność duchowa”? Nic innego, jak tylko wezwanie do uprawiania szpiegostwa. Posypały się więc od razu aresztowania, głównie starszych wiekiem dam. Sam Czaykowski skazany został na śmierć i zgładzony na Mokotowie.

Identyczny los spotkał kapitana Pileckiego, bohaterskiego oficera AK, który będąc w kraju podczas okupacji dał się dobrowolnie złapać w obławie, żeby trafić do Oświęcimia w celu organizowania tam ruchu oporu, a przede wszystkim ucieczek. Podobnie jak Czaykowski uległ namowom, żeby przedostać się nielegalnie do kraju w misji wywiadowczej. Aresztowano go również dość szybko, po ciężkim śledztwie skazano na śmierć i wyrok wykonano.

Spotykałem później w więzieniu bardzo wartościowych ludzi, powiązanych z jego sprawą. Na „ogólniaku” siedział ze mną kapitan Ryszard Jamontt-Krzywicki, adiutant trzech kolejnych komendantów głównych ZWZ i AK, który po prostu spotkał się kilka razy ze znanym mu uprzednio Pileckim. Natomiast we Wronkach przebywałem przez dłuższy czas w jednej celi ze skazanym na dożywotnie więzienie Makarym Sieradzkim i Tadeuszem Płużańskim, ułaskawionym na dożywocie po wyroku śmierci. Wszyscy trzej mogli służyć za wzór godnej i koleżeńskej postawy. Jamontt-Krzywicki wkrótce po opuszczeniu więzienia zmarł na zawał serca, a dwaj pozostali mieszkają w Warszawie.



W jednej z cel na „ogólniaku” spotkałem dwóch głównych oskarżonych w głośnej swego czasu sprawie LOT-u, oskarżonych o sabotaż, ponieważ zakupili we Francji dla Polski samoloty firmy „Languedoc”, które okazały się niezbyt zdadne do użytku. Nie ulegało wątpliwości, że w świetle przepisów obowiązujących w PRL pełnili przestępstwo, bo przyjęli od Francuzów dość znaczną prowizję, co zresztą w tamtejszych zwyczajach było podobno rzeczą normalną. Niemniej jednak zarzuty, jakie im postawiono i wyroki były stanowczo nazbyt surowe. Główny oskarżony, Wojciech Zieliński, naczelny dyrektor LOT-u (przed wojną główny księgowy) otrzymał karę śmierci, zamienioną na dożywotnie więzienie. Na dożywocie skazano dwóch pozostałych: pułkownika lotnictwa Rolanda, również wysokiego urzędnika LOT-u oraz Litwinowicza, który we Francji wystąpił w roli pośrednika, a w poufnych rozmowach przechwalał się, że przed wojną miał romans ze słynną panią Lupescu, kochanką króla Rumunii.

Z tej trójki najbardziej interesującą i barwną postacią był niewątpliwie Wojciech Zieliński. Odnaczał się dużą inteligencją, miał wiele wiadomości z różnych dziedzin i potrafił prowadzić pasjonujące dysputy na tematy teologiczne i filozoficzne z nie byle jakim specjalistą, księdzem prałatem Mielińskim, przy czym niekiedy wychodził z nich zwycięsko. W przedziwny sposób potrafił godzić swoje marksistowskie przekonania z katolicyzmem: był aktywnym działaczem PPR-u, co nie przeszkadzało mu jednak w pilnym uczęszczaniu do kościoła i wypełnianiu wszelkich praktyk religijnych.

Pewnego dnia, ku mojej wielkiej radości, zjawił się w mojej celi Władysław Jaworski. Jak zwykle przy takich ponownych spotkaniach w kryminale, przywitaliśmy się bardzo serdecznie, a potem opowiadaliśmy sobie długo swoje dzieje od chwili rozstania na „jedenastce”. Władka, który zachował pogodę ducha i poczucie humoru, nurtowała jednak nieustannie sprawa Adama Doboszyńskiego.

Osobliwą, ale jednocześnie pozytywną postacią na Mokotowie był dr Bruno Fijałkowski. Skończył medycynę przed wojną, chyba w Heidelbergu i mówił po niemiecku lepiej niż po polsku. Specjalizował się w ziołarstwie, a choroby rozpoznawał badając dno oka. Mieliśmy istotnie wiele przykładów, że na tej podstawie potrafił określić choroby, na które cierpieli zwracający się doń o poradę więźniowie. Podobno przed wojną leczył prezydenta Mościckiego. Opowiadał nam, że — aresztowany przez gestapo — całą wojnę przesiedział w różnych obozach koncentracyjnych. Po kapitulacji Niemiec nie wrócił od razu do swego

zawodu, lecz zajął się handlem na dużą skalę, przewożąc zdobywane za bezcen samochody i opony samochodowe z Niemiec do Włoch, na czym dorobił się dość znacznej fortuny. Po pewnym czasie postanowił wrócić do kraju i to samochodem — już dziś nie pamiętam — Göringa lub Goebbelsa i zabierając ze sobą niezwykle wówczas cenny mikroskop elektronowy. Chyba właśnie to stało się przyczyną, dla której go aresztowano. Po prostu bezpieka, zmyślając jakieś nieprawdopodobne zarzuty, postanowiła doprowadzić do procesu i skazującego wyroku z dodatkową karą konfiskaty mienia.

Opowiadał mi dość dużo o sobie, bo spaliśmy przez pewien czas w jednym łóżku w mojej pierwszej celi na ogólniaku (gdzie jeszcze wówczas zachowano łóżka). Był dobrym kolegą i chętnie udzielał porad lekarskich, ale z pewnością właśnie dlatego władze więzienne nie miały do niego zaufania i nie zatrudniały go ani w szpitalu, ani w izbie chorych. Na funkcję dostał się dopiero w Rawiczu, gdzie m.in. usiłował robić wszystko, co było w jego mocy, dla ratowania Kazimierza Pużaka. Jednakże pomimo energicznych interwencji Fijałkowskiego, żeby ze względu na ciężki stan zdrowia przenieść Pużaka do więziennego szpitala i otoczyć go niezbędną opieką, władze rozmyślnie grały na zwłokę, doprowadzając tym do śmierci jednego z najwybitniejszych przywódców podziemia. Potem Bruno, zawsze bardzo koleżeński i powszechnie lubiany (ze wszystkimi bez wyjątku więźniami był na ty), znalazł się we Wronkach, gdzie też pozostawił po sobie jak najlepsze wspomnienia, bo — narażając się władzom — usiłował wszystkim udzielać pomocy.

Po wyjściu z więzienia dowiedziałem się, że Fijałkowski, zwolniony na kilka lat przede mną, otworzył gabinet lekarski przy ul. Berezyńskiej na Saskiej Kępie i ma ogromne powodzenie jako doświadczony lekarz. Poszedłem więc do niego po poradę. Bruno przyjął mnie serdecznie i nie zgodził się przyjąć honorarium, wyjaśniając, że wszystkich kolegów z więzienia leczy za darmo.

Nie mieszkalem wówczas w Warszawie i będąc pochłonięty swoimi sprawami, nie miałem już z nim żadnych kontaktów, ale dochodziły do mnie słuchy, iż powodzi mu się doskonale, kupił willę przy Wale Miedzeszyńskim, a później wyjechał na stałe z Polski, zdaje mi się, że do Szwajcarii.



Wrócę jeszcze na chwilę do moich wspomnień z celi skazanych na śmierć. Pisałem już chyba, że wszyscy „kaesowcy” zachowywali godną największego szacunku postawę, a idąc na

śmierć, kiedy nie mieli już najmniejszych wątpliwości, co ich czeka, nadal wykazywali spokój i opanowanie, budząc w nas podziw.

Tylko jeden raz byłem świadkiem rozpaczliwego ataku histirii. Skazany na śmierć za współpracę z Niemcami, więzień Zaklika, w chwili kiedy — jak zwykle tuż przed apelem — oddziałowy wywołał jego nazwisko, dodając, żeby pakował wszystkie swoje rzeczy, nie usłuchał tego wezwania, zaczął krzyczeć, że nie wyjdzie i pobiegł w kąt celi schronić się za metalowym ogrodzeniem kłozetu. Zaskoczony tym oddziałowy, nie wiedząc co począć, kazał celowemu Sobierajowi, żeby z pomocą kilku innych więźniów wyciągnął Zaklikę z kłozetu i doprowadził go do kraty zamykającej wejście do celi. Sobieraj, który nie cieszył się wśród nas zbyt dobrą opinią, zyskał sobie wówczas w naszych oczach uznanie, bo kategorycznie odmówił wykonania rozkazu, oświadczając, że nie należy to do jego obowiązków. Oddziałowy kazał mu zarządzić zbiórkę do wieczornego apelu i opuścić celę, by po chwili wrócić z kilkoma innymi „kławiszami”. Podążyli w głąb celi, gdzie musieli stoczyć formalną walkę z broniącym się rozpaczliwie Zakliką. Na naszych oczach rozegrała się makabryczna scena: oddziałowi wlekli go tuż przed naszym zwartym szeregiem, a my mogliśmy stwierdzić jak wielka jest różnica w zachowaniu się ludzi, którzy wiedzieli za co giną i przestępcami, mającymi na sumieniu ofiary swej gorliwości w wysługiwaniu się okupantom.



Podczas pobytu na „ogólniaku” odnowiło mi się owrzodzenie dwunastnicy, na które zachorowałem już w 1941 roku. Jak zwykle w tej chorobie, najbardziej dokuczliwy był okres wiosny i jesieni, kiedy występowały ostre bóle. W normalnych warunkach trzeba było wówczas stosować ścisłą dietę, przyjmować rozmaite leki, a czasami nawet całymi dniami leżeć w łóżku. W celi nie można było o tym nawet marzyć. Bywały dni, kiedy wijąc się z bólu kładłem się wprost na betonowej podłodze i nie jadłem prawie nic, oprócz skórek czarnego chleba i kilkunastu łyżek zupy, jeżeli nie były to kapuśniak lub grochówka. Dopiero znacznie później uzyskałem pozwolenie na otrzymywanie skromnych paczek dietetycznych. Kilka razy udawało mi się dostać do izby chorych i do więziennego szpitala. Warunki były tutaj bez porównania lepsze, choć daleko im było do doskonałości. Ale w każdym razie mieliśmy oddzielne łóżka z pościelą (!), dietę, a także jakieś namiastki leczenia. W niemal wszystkich przypadkach komendant szpitala, oczywiście ubek, nakazywał stoso-

wać uniwersalny w jego mniemaniu lek — oczywiście sowiecki — szczepionkę Fiłatowa. Polegało to na tym, że nacinało się skórę pacjenta, żeby włożyć pod nią wycinek z łożyska rodzącej matki. Mnie stosowano tę szczepionkę dwukrotnie, ale niestety nie przyczyniła się ona do poprawy mego zdrowia w najmniejszym nawet stopniu. Jeśli po opuszczeniu szpitala lub izby chorych czułem się nieco lepiej, to jedynie dzięki diecie, bardzo zresztą skromnej i niezwykle monotonnej oraz po prostu dzięki leżeniu w łóżku.

Częstymi pacjentami obu tych instytucji byli tzw. „połykacze”. Rekrutowali się niemal wyłącznie spośród złodziei i innych przestępców pospolitych, którzy chcąc uniknąć przewiezienia do więzień karnych bądź zaprotestować przeciwko czemuś, co im się nie podobało, po prostu połykali czy też zjadali rozmaite ostre i twarde przedmioty, jak na przykład żarówki, gwoździe lub kawałki drutu. Kierowano ich wówczas z konieczności do szpitala, gdzie musieli się poddać operacji żołądka, dzięki czemu pozostawali przez pewien czas pod opieką lekarską i odwieleali opuszczenie Mokotowa, przynajmniej do czasu następnego transportu. Trafiali się wśród nich „recydywiści”, poddawani takim zabiegom nawet kilkakrotnie, którzy pokazywali z dumą blizny na brzuchu, zdobiące ich ciała, najczęściej obok licznych niekiedy nader dziwnych tatuaży.

W szpitalu i izbie chorych spotkałem też najnieszczęśliwszych spośród wszystkich nieszczęśliwych w tragicznym mokotowskim świecie — ludzi obłąkanych. Najczęściej wpadali oni w obłąd po fizycznych i psychicznych torturach w śledztwie i z powodu obawy o los swoich najbliższych. Władze więzienne niemal z reguły podejrzewały ich o symulowanie choroby w celu złagodzenia wyroku sądowego, a przede wszystkim uniknięcia wykonania wyroku śmierci. Dlatego bardzo często aplikowano im wstrząsy elektryczne, licząc na to, że człowiek normalny nie zniesie okropnych przeżyć, jakie one powodują i chcąc ich uniknąć przyzna się, że udawał chorego. Traktowanie ludzi obłąkanych zależało przede wszystkim od decyzji lekarza-psychiatry, ale niestety niektórzy z nich wykonywali ślepo wskazania bezpieki i uznawali za symulantów więźniów niewątpliwie obłąkanych, jak na przykład Rzepkę, członka IV komendy WiN-u.

Znienawidzona chyba przez wszystkich, którzy mieli z nią do czynienia, ale za to ceniona przez władze więzienne, była doktor Szembergowa, natomiast wprost przeciwnie było z doktorem, a potem profesorem Zajączkowskim: potrafił on znaleźć uznanie wśród więźniów, bo traktował swoich pacjentów po ludzku, z całą życzliwością i właśnie z tego powodu nie cieszył

się zaufaniem władz więziennych, które dość szybko się go pozbyły.

Pobyty w szpitalu wspominam z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, przy moim ówczesnym stanie zdrowia, była to dla mnie niewątpliwie wielka szansa dla odzyskania sił, niezbędnych do dalszego znoszenia więziennych trudów, ale z drugiej były to okresy beznadziejnej nudy: towarzystwo, jakie tam spotykałem, było mało ciekawe, a poza tym ściśle przestrzegany regulamin szpitalny nakazywał leżenie w łóżku, wskutek czego można było rozmawiać tylko z najbliższymi sąsiadami i to raczej szeptem, żeby nie przeszkadzać innym. Dlatego też z jedynym bodaj ciekawszym towarzyszem więziennej sali (czy może raczej celi?) — Kostkiem-Biernackim, podczas paru dni spędzonych razem, zdołałem zamienić zaledwie kilka zdań, przechodząc obok jego łóżka do umywalni lub do ubikacji.

Pod tym względem dużo lepiej było w izbie chorych, gdzie też mieliśmy oddzielne łóżka, też z pościelą, ale komendant szpitala dr Habermann (?) nie pojawiał się tutaj prawie nigdy i dzięki temu można było dość swobodnie krążyć po celi, a nawet przy pewnej dozie szczęścia i obojętności oddziałowego postarać się o łóżko obok kogoś, do kogo czuło się sympatię. I właśnie raz jeden to mi się udało. Trafilem do celi, w której leżał znany mi z popowstaniowego okresu w Milanówku Jan Hoppe, wiceprezes Stronnictwa Pracy, jeden z założycieli konspiracyjnej organizacji „Unia”, a przed wojną poseł do przedostatniego Sejmu z grupy „Jutro Pracy”. Nie pamiętam już jakim sposobem, może w drodze zamiany miejsc, udało mi się zdobyć łóżko obok niego. I właśnie tutaj, w izbie chorych, mogłem się przekonać bardziej niż kiedykolwiek, jak wiele znaczy w więziennym żywocie towarzystwo człowieka czy ludzi, z którymi się przebywa. To było niczym wygranie losu na loterii, bo przecież mogłem być znowu skazany na beznadziejną nudę i głupie, banalne rozmowy, gdyż towarzystwo w izbie chorych też nie było ciekawe.

Tymczasem pan Jan, przy dużej wiedzy, głębokiej inteligencji, nie byle jakim doświadczeniu politycznym, miał niezwykle pozytywnie oddziaływać na psychikę swoich rozmówców. Rozmawialiśmy całymi dniami, a nawet szeptem w nocy, na najrozmaitsze tematy. Mieliśmy wielu wspólnych znajomych, więc kolejno opowiadaliśmy sobie nawzajem o ich losach. Ale przede wszystkim Hoppe miał bardzo dużo do powiedzenia o okresie okupacji, swoim udziale w „Unii” i Stronnictwie Pracy, o działalności Rady Jedności Narodowej, o swoim pobycie w obozie w ZSSR po aresztowaniu go w Brwinowie na wiosnę 1945 roku, o niezwy-

kłych trudnościach na jakie napotykało Stronnictwo Pracy Popiela po utworzeniu Rządu Jedności Narodowej, a wreszcie o swoim procesie.

Pamiętam, jak pewnego dnia wywołano go z celi na widzenie. Po kilkunastu minutach wrócił niesłyszalnie zemocjonowany, z silnymi wypiekami na twarzy, co zdarzało mu się zresztą dość często, kiedy się czymś głęboko przejął, bo miał bardzo wysokie ciśnienie. Już po chwili oznajmił mi wzruszony, że przyszła do niego na widzenie, rozwiedziona z nim jeszcze przed wojną, znana aktorka warszawskich teatrów, Karolina Lubieńska. Pan Jan bardzo to sobie cenił, bo w owych czasach świadczyło to o odwadze i głębokim przywiązaniu do niego, czemu zresztą — znając go bliżej — nie można było się dziwić. W zasadzie na widzenia mogli przychodzić tylko członkowie najbliższej rodziny, tzn. mąż, względnie żona, rodzice, dzieci i rodzeństwo. Dlatego i ja byłem mile zdziwiony, a nawet — przyznam się — wzruszony, kiedy zjawił się u mnie na widzeniu mój kuzyn, Janusz Minkiewicz, który nigdy nie przejawiał serdeczniejszych uczuć rodzinnych, nawet w stosunku do swoich najbliższych.

W izbie chorych miałem także okazję zetknięcia się z człowiekiem, który pod każdym względem różnił się, i to bardzo, od Hoppego. Był to słynny w całym mokotowskim więzieniu kapuś i prowokator Rybicki, który pełnił tutaj funkcję kalifaktora i roznosił po celach kotły z kawą i zupą. Był on podobno kapitanem francuskiej Legii Cudzoziemskiej, a w roku 1945 zjawił się w Polsce w białym mundurze oficerskim (stąd na Mokotowie nazywano go powszechnie „biały kapitan”) i zaczął tu uprawiać intratny proceder, polegający na nielegalnym przewożeniu na Zachód za wygórowaną opłatą w dolarach różnych majątnych osób wraz z ich dobytkiem. Transport odbywał się ciężarowym samochodem, a swych klientów zaopatrywał Rybicki w jakieś rzekomo autentyczne dokumenty, które wyłudzał we francuskich konsulatach w Polsce. Krążyły pogłoski, że w ten sposób właśnie przewiózł na Zachód wiele bardzo cennych dzieł sztuki z Łańcuta. Dość szybko jednak powinęła mu się noga, został aresztowany, od razu zaczął sypać i zeznawać na różnych procesach jako fałszywy świadek oskarżenia.



Na wiosnę 1949 roku, kiedy wróciłem już do zwykłej celi na „ogólniaku”, przyszedł do mnie na widzenie mój adwokat, Leszek Buszkowski i powiadomił mnie, że w wyniku jego skargi rewizyjnej na wyrok Rejonowego Sądu Wojskowego Najwyższy Sąd

Wojskowy postanowił wyrok ten uchylić i nakazał przeprowadzić ponowną rozprawę w pierwszej instancji. W związku z tym miałem wznowione śledztwo, ale na kilka czy może kilkanaście przesłuchań, które zresztą nie wniosły niczego nowego i na ogół miały dość spokojny przebieg, chodziłem z „ogólniaka”.

Chyba pod koniec lata odbył się mój drugi proces w tej samej scenerii co pierwszy. Więzienna cela, przewodniczący kompletu sędziowskiego w stopniu majora, dwóch oddziałowych w roli ławników, mój obrońca i ja, nikogo więcej, a zatem znowu przy drzwiach zamkniętych ze względu na tajemnicę państwową.

W skardze rewizyjnej adwokat Buszkowski powołał się na to, że artykuł 7 (szpiegostwo) wyraźnie określa odpowiedzialność osoby, która zdradziła tajemnicę państwową przedstawicielowi obcego wywiadu. Musiały więc być spełnione dwa warunki. Przedstawicielami obcego wywiadu byli w rozumieniu praktyki sądowej w PRL oficerowie II oddziału 2-go Korpusu we Włoszech, ale ja, nie negując bezspornego faktu długotrwałych z nimi rozmów, nie przyznałem się nigdy do tego, bym przekazał im jakiegokolwiek tajemnice. W związku z tym na początku tej drugiej rozprawy przewodniczący sądu zapytał mnie wprost, po co siedziałem aż dwa tygodnie w Anconie, prowadząc codziennie rozmowy z płk. Bąkiewiczem, szefem „dwójki”, jego zastępcą ppłk. Kijakiem i młodszymi rangą oficerami, a także sporządzając dla nich na piśmie jakieś relacje. Kiedy stwierdziłem w odpowiedzi, że naświetlałem wiele nieznanymi im spraw z okresu okupacji, sąd kazał mi powtórzyć to, co im tam w Anconie mówiłem i pisałem, licząc chyba na to, że albo się na czymś potknę, albo nie będę miał wiele do powiedzenia.

Większość spotykanych przeze mnie więźniów trafiała po raz pierwszy w życiu do sądu na swoim własnym procesie. Ludzie ci byli na ogół wystraszeni, zagubieni, niepewni siebie i przy pomocy podchwytliwych pytań można było skłonić ich do zeznawania czegoś, co powinni byli zachować dla siebie. Ze mną było o tyle inaczej, że stawałem przed sądem już po raz drugi, przed wojną i podczas okupacji bywałem w sądach wielokrotnie jako aplikant sądowy, a także na głośnych procesach politycznych, jak proces brzeski i proces Starzyńskiego przeciwko Studnickiemu. Miałem więc pewną rutynę, dzięki czemu zachowałem spokój, a znając dość blisko wiele spraw podziemia i wielu wybitnych działaczy, mogłem bez trudu mówić chyba przez trzy godziny o różnych organizacjach, partiach politycznych, rozłamach w nich, o prasie podziemnej itp. Ponadto zarówno na moich rozprawach, jak i przedtem w długotrwałym śledztwie zdawałem sobie sprawę, że niezmiernie naiwne jest przeświadczenie więźnia, iż „oni wszystko

wiedzą”. Najczęściej wiedzą niewiele, a niekiedy są to szczegóły zupełnie drugorzędne, dotyczące na przykład prywatnego życia więźnia lub jego bliskich.

Zapewnienia oficera śledczego, że znany mu jest dobrze taki czy inny fakt na podstawie zeznań innych więźniów są często zwykłym kłamstwem, a niekiedy źródłem tej „wiedzy” są istotnie zeznania, ale fałszywe, wymuszane najrozmaitszymi sposobami. Na podstawie moich własnych obserwacji oraz wiadomości od kolegów, doszedłem do wniosku, że więzień, który wróciwszy z przesłuchania mówił do współtowarzyszy „oni wszystko wiedzą”, zaczął już sypać. Było to jakby usprawiedliwieniem przed samym sobą i przed kolegami, że nie warto się upierać, znosić szykan czy tortur, bo i tak prawdy nie da się ukryć.

W różnych celach spotykałem na ścianach napisy wyryte jakimś zaostrzonym przedmiotem: były to pseudonimy, nazwiska, inicjały, daty, czasami całe zdania, jak na przykład: „niech żyje Polska, „dzisiaj idę na rozwałkę” i data, nazwiska kapusiów i różne sentencje, jak ponure — *perdete ogni speranza*, ta najgłupsza — „oni wszystko wiedzą” i ta najmądrzejsza i najcenniejsza — „na miły Bóg, nie wierzcie im!”.

W czasie mego pobytu na Mokotowie niepisany kodeks moralny więźnia przewidywał, że jeśli świadek oskarżenia zezna nieprawdziwie, bo nie był w stanie wytrzymać tortur, a potem na rozprawie odwoła swoje zeznania, należy mu wybaczyć. Natomiast z bezwzględnym potępieniem spotykali się ci, co chcąc ratować siebie, powtarzali nieprawdziwe zarzuty na rozprawie i tym samym przyczyniali się walnie do wyroków skazujących, często do wyroków śmierci. Tak było w procesach pułkowników i komandorów z przedwojennego wojska polskiego, których świadkami oskarżenia byli m.in. generałowie Stanisław Tatar i Jerzy Kirchmayer oraz major Władysław (?) Roman, skazani w głównym procesie najwyżej na dożywocie. Na podstawie ich fałszywych zeznań skazano w kolejnych, oddzielnych procesach kilkudziesięciu wyższych oficerów na karę śmierci, przy czym prawie dwadzieścia wyroków wykonano. Paradoks tej znanej już dość dobrze gigantycznej prowokacji polegał na tym, że rzekomi przywódcy rzekomej tajnej organizacji w ludowym wojsku polskim, dążącej rzekomo do obalenia ustroju, nie otrzymali wyroków śmierci, natomiast ich podwładni, pułkownicy i komandorowie, stracili życie, a po październiku 1956 roku zostali zrehabilitowani pośmiertnie.

Wracam do mego drugiego procesu. Otóż po moim długim „referacie” przewodniczący sądu, najwyraźniej znudzony i nie

mogąc z mojego gadania wyłuskać niczego, co mogłoby mi zaszkodzić, zrezygnował z moich dalszych wyjaśnień i przystąpił do przedstawienia „dowodów” mojej winy. Były to zeznania świadków Zygmunta Lacherta i Tadeusza Myślińskiego, odczytane z protokołów, bo żaden z nich nie został na rozprawę doprowadzony. Lachert, podobnie jak na pierwszym procesie, zarzucał mi przynależność do „Ośrodka”, Myśliński zaś zeznał, że kiedy spotykał się ze mną w Rzymie w 1946 i 1947 roku, uzyskiwał ode mnie wiadomości stanowiące tajemnicę państwową i wyjaśnił, że redagując już pismo wydawane przez ambasadę PRL w Rzymie był jednocześnie agentem II oddziału 2-go Korpusu. Dodał wielkodusznie, że ja o tym nie wiedziałem. Rejonowy Sąd Wojskowy nie mógł mnie w żadnym razie uniewinnić, więc musiał się z konieczności zadowolić tym fałszywym zeznaniem, które w jego przekonaniu spełniało oba warunki artykułu 7 i skazał mnie tym razem na łączną karę 12 lat więzienia za szpiegostwo i przynależność do nielegalnej organizacji, z karami dodatkowymi utraty praw publicznych i konfiskaty mienia.

Pozostawało znowu odwołanie się do Wojskowego Sądu Najwyższego i w związku z tym siedziałem nadal na „ogólniaku”. Nie działa się już nic godnego uwagi, nie wzywano mnie na przesłuchania, nie zgłoszono mnie na świadka w głównym procesie „Ośrodka”, w którym Wiktor Leśniewski i Zygmunt Lachert otrzymali kary dożywotniego więzienia, Andrzej Leśniewski chyba dwanaście lat, a Bronisław Zieliński zaledwie sześć, z czego odsiedział tylko trzy lata i wyszedł na wolność na podstawie amnestii. Mnie wyłączono z głównego procesu przypuszczalnie dlatego, że nie przyznałem się do przynależności do „Ośrodka”. Również oddzielnie sądzono związanych z tą sprawą Rosenwertha-Różyczkę i panią Jadwigę Studzińską, która miała bardzo ciężkie śledztwo, a potem przeżyła w szpitalu śmierć kliniczną. Podejrzany o przynależność do „Ośrodka” przedwojenny urzędnik MSZ-u, Zdzisław Klimpel, nie przetrzymał trudów śledztwa i zmarł w więzieniu.

Jako świadek zeznawałem tylko w procesie generała Juliana Skokowskiego. Wspomniałem już o nim w pierwszej części mego pamiętnika, więc dodam tylko, że na wiosnę 1945 roku został on mianowany dowódcą DOK Kraków, ale po pewnym czasie, zrażony do nowej rzeczywistości, postanowił nielegalnie opuścić kraj. Aresztowano go na granicy i osadzono w więzieniu, zarzucając mu różne przestępstwa, a przede wszystkim współpracę z Abwehrą oraz bliskie kontakty z Delegaturą Rządu i dowództwem AK. Miałem być świadkiem na powyższe okoliczności i na okoliczność wyjścia Skokowskiego z obozu przejściowego w Prus-

kwie, w którym po Powstaniu przebywała cywilna ludność Warszawy.

Wyjaśniłem najpierw sprawę wyjścia z obozu, stwierdzając, że była to rzecz zupełnie normalna, zdarzająca się dość często, zwłaszcza jeśli chodzi o ludzi starszych i dodając, że pomoc Abwehry nie była w tym wypadku potrzebna. Z kolei sąd nalegał, żebym potwierdził zarzuty o współpracę oskarżonego z Abwehrą, z Delegaturą i AK, podkreślając że w mieszkaniu mojej pierwszej żony w Milanówku i w prowadzonym przez nią barze spotykali się codziennie liczni działacze prolondyńskiego podziemia, którzy z pewnością musieli mieć jakieś kontakty z mieszkającym w tym samym domu Skokowskim. Nie mogłem temu zaprzeczyć, bo istnienie i charakter tego baru było już dobrze znane władzom bezpieczeństwa, a kilkunastu jego klientów spotkałem w więzieniu. Wyjaśniłem jednak, że na drugim piętrze, w tymże domu przy Grudowskiej 6, mieszkał i miał pracownię analityczną pułkownik Armii Ludowej, dr Suchanek, który w mojej obecności niejednokrotnie rozmawiał ze Skokowskim, nie ukrywając przed nim swojej organizacyjnej przynależności. Zakończyłem zeznanie prostym wnioskiem, że gdyby Skokowski był faktycznie agentem Abwehry, zadenuncjowałby, jeśli nie Delegaturę i AK, to z pewnością Suchanka.

Tak więc przypadkowo ze świadka oskarżenia przemieniłem się w koronnego świadka obrony. Bezpieka najwyraźniej pokpiła sprawę. Nie przesłuchiwali mnie uprzednio w sprawie Skokowskiego ani razu, uznając, że jest to zbędne, bo z pewnością nie zaprzeczę znanym powszechnie faktom. Nie wiedzieli jednak, że w tym niezwykłym domu, oprócz tego że na parterze spotykali się przywódcy prolondyńskiego podziemia a na pierwszym piętrze urządził sobie kwaterę główną dowódca zjednoczonych sił PAL — AL — KB, generał Skokowski, na drugim piętrze mieszkał pułkownik Armii Ludowej Suchanek, o którego istnieniu zapomniał chyba sam oskarżony.



W parę miesięcy po mojej drugiej rozprawie Najwyższy Sąd Wojskowy zatwierdził wyrok pierwszej instancji. Tym samym przestałem być więźniem śledczym i stałem się więźniem karnym. W związku z tym po raz pierwszy ostrzyżono mnie maszynką „pod zero”, musiałem oddać moje prywatne ubranie wraz z butami i swetrem, a w zamian otrzymałem drelichową kurtkę, drelichowe spodnie i drewniaki, w których — zwłaszcza początkowo — trudno było chodzić. Bieliznę więzienną otrzymywaliśmy raz

na tydzień, często zawszoną. Musieliśmy więc, zwłaszcza w pewnych okresach, po zdaniu brudnej bielizny siedzieć w ubraniach nałożonych na gołe ciało i starannie przeglądać tę rzekomo czystą, tępiąc z zapalem robactwo.

Tak więc, ostrzyżony prawidłowo „pod zero” i ubrany już w więzienny strój, oczekiwałem na „ogólniaku” na najbliższy transport do więzienia karnego we Wronkach lub w Rawiczu.

Zanim jednak rozstanę się (niestety nie na zawsze) z więzieniem śledczym na Mokotowie, jeszcze kilka ogólnych uwag.

Zacznę od adwokatów. Przed sądami wojskowymi mogli występować tylko adwokaci cieszący się zaufaniem bezpieki i wpisani na specjalną listę. Jak łatwo się domysleć, na ogół nie byli to ludzie godni szacunku i zasługujący na zaufanie swoich klientów. Często współpracowali po prostu z władzami bezpieczeństwa i ściśle wykonywali ich zalecenia. Taką opinię miał m.in. wybitny prawnik, adwokat Maślanko, który jednak, dzięki dobrym stosunkom z dyrektorem departamentu śledczego, Różańskim, w pewnych przypadkach potrafił więźniom pomóc i wyjednać dla nich stosunkowo niski wyrok, zwłaszcza jeśli otrzymał odpowiednio wysokie honorarium. M.in. jego klient Bronisław Zieliński ze sprawy „Ośrodka”, mając obciążenia z pewnością nie mniejsze niż Andrzej Leśniewski (zarzucano mu, że jako urzędnik MSZ utrzymywał bliskie stosunki z radcą czy sekretarzem ambasady brytyjskiej i uzyskane od niego informacje przekazywał „Ośrodkowi”), otrzymał wyrok znacznie łagodniejszy. Zetknąłem się osobiście z Maślanką już po opuszczeniu więzienia, kiedy przebywając na urlopie zdrowotnym postanowiłem wnieść skargę rewizyjną. Poleciał mi go Janusz Minkiewicz, który często spotykał Maślankę w różnych nocnych lokalach. Maślanko potraktował mnie o tyle przyzwoicie, że dzięki protekcji Janusza wziął ode mnie zaledwie 500 zł, to znaczy oficjalną stawkę, jaką się wtedy płaciło w zespołach adwokackich. Ale skargę rewizyjną napisał tak niedbale i pomijając kilka argumentów przemawiających na moją korzyść, że została przez Najwyższy Sąd Wojskowy odrzucona. W rezultacie musiałem wnieść ponownie skargę rewizyjną i tym razem zwróciłem się do adwokata Buszkowskiego, którego polecił znany mi jeszcze sprzed wojny przyjaciel mego stryja, znakomity cywilista, adwokat Lucjan Altberg-Laskowski.

Słyszałem od kolegów, że oprócz Maślanki, dużym zaufaniem władz bezpieczeństwa cieszyli się także adwokaci: Pintarowa, Nowogródzki i Rettinger, który zdaje się przez pewien czas prowadził kancelarię razem z Maślanką. Moczarski opowiadał mi z oburzeniem, że Nowogródzki, będąc jego obrońcą, namawiał go żeby przyznał się do zarzucanej mu współpracy z Niemcami,

twierdząc, że tylko to może go uratować od śmierci. W tej samej rozmowie, oczywiście już po wyjściu z więzienia, Moczarski wyrażał się za to z wielkim uznaniem o adwokatach Anieli Steinsbergowej i Władysławie Winawerze, którzy prowadzili jego sprawę rehabilitacyjną. Mogłem zresztą przekonać się o tym osobiście na procesie rehabilitacyjnym Moczarskiego, a potem jego żony, Zofii, który odbywał się w kilka miesięcy później, już w 1957 roku, w atmosferze znacznie gorszej, kiedy fala wolnościowego, październikowego entuzjazmu zaczęła wyraźnie opadać. Mimo to adwokat Winawer poczynił sobie bardzo śmiało, a odpowiedź na jakiś wniosek prokuratora wygłosił z taką swadą, że po rozprawie złożyłem mu gratulacje, porównując jego replikę z oracjami najwybitniejszych przedwojennych obrońców, jak Śmiarowski, Nowodworski, Szurlej czy Berenson, co przyjął z nieukrywaną satysfakcją.

Przypadek namawiania Moczarskiego, by przyznał się do niepopelnionej winy, nie był niestety odosobniony. Prócz tego niektórzy adwokaci, nie licząc się zupełnie ze swoimi klientami, wybierali kierunek obrony uwłaczający ich godności, przedstawiając ich jako alkoholików, co w ich mniemaniu miało stanowić okoliczność łagodzącą (tak prezentował adwokat swojego klienta Dzięgielewskiego na procesie WRN-u), bądź jako ludzi niezbyt inteligentnych, ograniczonych, łatwo ulegających wpływowi wrogiej propagandy.

Zdarzało się również, że adwokaci odbiegali daleko od etyki swego zawodu w rozmowach z klientami, którzy zwracali się do nich z jakąś prośbą. Wiem od Tadeusza Płużańskiego, że kiedy po otrzymaniu wyroku śmierci poprosił adwokat Pintarową, żeby wyjednała dla niego widzenie z przebywającą również w więzieniu jego żoną, Pintarowa oświadczyła cynicznie, że to chyba zbyt czyste, bo przecież zobaczą się wkrótce w niebie.

Na szczęście, w tym niezbyt ciekawym gronie obrońców uprawnionych do stawiania w sądach wojskowych trafiali się niekiedy rzetelni adwokaci, a przy tym ludzie przywoici i odważni. Oprócz wspomnianych już Steinsbergowej i Winawera należeli do nich m.in. mój obrońca Leszek Buszkowski, adwokat Zygmunt Gross, obecnie profesor uniwersytetu w Stanach Zjednoczonych i adwokat Soroka, który bronił Tudroja i Wasilewskiego ze sprawy „Zapory”.

Większość więźniów miała adwokata z wyboru, którego angażował ktoś z rodziny, opłacając go czasami sownie, znacznie ponad miarę swoich możliwości. Dość często jednak zdarzały się przypadki, że więzień nie miał nikogo bliskiego lub jego rodzina

nie była w stanie pokryć kosztów adwokackich. Wówczas sąd wyznaczał obrońcę z urzędu i wtedy wszystko zależało od tego na kogo się trafiło. Niestety przeważnie trafiało się źle: adwokat z urzędu, pozbawiony skrupułów, a także w danej sprawie dochodów, nie zadawał sobie trudu, by zapoznać się z aktami sprawy, nie dbał o interes klienta, a czasami nawet nie przeprowadzał z nim żadnej rozmowy przed procesem. W tych warunkach znacznie lepiej było skorzystać z pomocy kolegów więźniów adwokatów, takich jak Witold Bajer, Witold Lis-Olszewski i Leon Mirecki, którzy oczywiście nie mogli bronić swoich klientów-więźniów przed sądem, ale zawsze chętnie służyli poradą prawną, a szczególnie oddawali wielkie przysługi, pisząc skargi rewizyjne lub prośby o ułaskawienie skazanych na śmierć.

Narady z adwokatami przed rozprawą odbywały się, mimo wszystko, w warunkach znacznie lepszych niż tzw. widzenia z bliskimi. Można było rozmawiać dłuższy czas w oddzielnym pokoju, bez asysty oddziałowego, w cztery oczy. Mimo to wielu z nas żywiło obawy, czy w tym pokoju nie ma podsłuchu i najtajniejsze sprawy wolało przekazywać po prostu na piśmie, na skrawku papieru.



O kapturowych sądach w celi więziennej na Mokotowie pisałem już, relacjonując moje dwa procesy. Dodam więc tylko, że tak samo sądzono ogromną większość więźniów antypaństwowych, tzn. — z uwagi na tajemnicę państwową — przy drzwiach zamkniętych i prawie zawsze bez udziału prokuratora, którego z powodzeniem zastępował przewodniczący kompletu orzekającego. Ten komplet orzekający — to też parodia, bo obok przewodniczącego, który miał jednak jakieś wykształcenie prawnicze (co prawda dość często jedynie kursy Duracza), zasiadało, w charakterze ławników, dwóch oddziałowych, zupełnie nie zorientowanych w sprawie i najwyraźniej znudzonych jej przebiegiem. Tylko większe procesy, prawie wyłącznie grupowe, odbywały się w normalnej sali sądowej, z udziałem prokuratora, prasy i rodzin oskarżonych, bo przy drzwiach otwartych. Nie znaczy to jednak, by ich przebieg był taki, jaki być powinien, gdyż władze bezpieczeństwa zawsze dbały o sprawną reżyserię.

Podobnie jak ogromna większość kolegów nie miałem bezpośredniego kontaktu z prokuratorem. Jego rola polegała zazwyczaj na wystawianiu sankcji prokuratorskiej, która pozwalała na trzymanie więźnia w śledztwie przez trzy miesiące, ale niemal z reguły bywała przedłużana i to parokrotnie (tak było też w moim przypadku).

Drugą czynnością prokuratora było sporządzanie aktu oskarżenia.



Nad całym więzieniem mokotowskim sprawował władzę dyrektor departamentu śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa, Różański, brat Borejszy (prawdziwe nazwisko Goldberg), przed wojną aplikant adwokacki. Odznaczał się wprawdzie inteligencją, ale jego cechą charakterystyczną, najbardziej rzucającą się w oczy, był niewątpliwie sadyzm. W ważniejszych sprawach, zwłaszcza szpiegowskich, brał osobiście udział w przesłuchaniach i potrafił nieludzko znęcać się nad więźniem. Oczywiście nigdy sam, zawsze w asyście co najmniej dwóch innych oficerów śledczych.

Po moim aresztowaniu Janusz Minkiewicz próbował interweniować u władz, a ponieważ ówczesny prezes „Czytelnika”, Jerzy Borejsza, uważał się za przyjaciela i mecenasa ludzi sztuki, dzięki jego rekomendacji dotarł do Różańskiego. Jedyne skutki tych zabiegów polegały na tym, że Różański ani razu mnie nie przesłuchiwał. Wyręczył go w tym „godnie” jeden z jego zastępców, Serkowski. Był to człowiek dość inteligentny, ale prymitywny, pochodził chyba ze wschodu, bo mówił z wyraźnym kresowym akcentem, przypuszczam, że nie miał wyższego wykształcenia.

Z drugim zastępcą Różańskiego, Hummerem, zetknąłem się bardzo przelotnie w końcowej fazie mego śledztwa.

Wszyscy trzej awansowali niezwykle szybko. Różański u początku swej kariery był zaledwie porucznikiem, a kiedy opuściłem mokotowskie więzienie, awansował do stopnia pułkownika. Natomiast jego zastępcy byli już podpułkownikami. Również mój główny oprawca, porucznik Kiszel, musiał cieszyć się u władz dobrą opinią, bo — nie pamiętam dokładnie kiedy — spotkałem go, idąc do lekarza, z odznakami majora.

O oficerach śledczych i oddziałowych z „dziesiątki” i „jedenaśtki” pisałem już, omawiając mój pobyt w tych pawilonach. Muszę jeszcze tu dodać jedną uwagę: oficerowie śledczy byli przesładowani, że to oni rządzą państwem, że stoją nie tylko ponad prawem, ale także ponad partią, sejmem i rządem. Już wtedy, w latach 1947-1948, oczywiście z polecenia swoich wysokich przełożonych, przesłuchując nawet nas, więźniów antypaństwowych, zbierali przy okazji tzw. „haki”, czyli materiały obciążające niektórych prominentów. Ja osobiście zetknąłem się z tym tylko jeden raz, kiedy Kiszel usiłował uzyskać ode mnie zeznania obciążające rzekomego członka „Ośrodka”, wiceministra Ziemi Odzyskanych, Czajkowskiego, który podczas okupacji był dyrektorem

Departamentu Ziem Nowych Delegatury Rządu. Czajkowski wprawdzie już nie żył, ale chodziło o wykrycie jego konspiracyjnych powiązań z innymi wysokimi urzędnikami ministerstwa Ziem Odzyskanych, współpracującymi z nim blisko w Delegaturze. Jak dziś pamiętam pierwsze słowa tego przesłuchania. Kiszczel z całą powagą oznajmił: „Opowiedzcie szczegółowo, co wiecie o tym skurwysynie Czajkowskim, nad którego grobem towarzyszy wicepremier Gomułka wygłosił takie piękne przemówienie”. Oczywiście nic mu nie powiedziałem, twierdząc — zgodnie z prawdą — że Czajkowskiego widziałem zaledwie kilka razy w życiu.



Na „ogólniaku”, który jako część więzienia śledczego także podlegał Różańskiemu, rządził naczelnik czy może komendant więzienia, Grabicki (?). Jego prawą ręką był oficer do specjalnych zadań, zwany przez nas „specem”. Obaj byli niezbyt rozzagarnięci, ale niezwykle gorliwie wypełniali powierzone im obowiązki. W szczególnych wypadkach potrafili znęcać się nad więźniami, jak np. po głośnej próbie ucieczki więźniów skazanych na śmierć, kiedy co pewien czas zjawiali się w celi, gdzie osadzono skutych kajdankami i rozebranych do naga Władysława Siłę-Nowickiego, Hieronima Dekutowskiego („Zaporę”), „Rysia”, „Żbika” i chyba jeszcze kilku innych.

Grabicki pilnował, żeby podległy mu personel rygorystycznie przestrzegał regulaminu więziennego, a przy tym zawsze dbał o to, by w miarę możliwości ograniczać wypływające zeń przywileje. Prasa — prośbę bardzo, ale wyłącznie *Trybuna Ludu*, *Nowe Drogi* i jakieś periodyki sowieckie; korzystanie z biblioteki, oczywiście, ale księgozbiór nader skromny, niewielka ilość książek na całą celę i brak możliwości ich wyboru; spacer — ale króciutkie, około 10 minut i wstrzymywanie tego przywileju pod byle pretekstem, za drobne lub urojone przewinienia; to samo z paczkami, a po ich wycofaniu z równie skromnymi „wypiskami” (zakup raz na miesiąc za posiadane na koncie więźnia pieniądze bardzo ograniczonego jakościowo i ilościowo towaru, jak smalec, słonina, masło — do wyboru, oraz cukier, cebula, chleb i 100 papierosów). Cały ten więzienny regulamin, łącznie z zawartymi w nim przywilejami, był w istocie jeszcze jedynym środkiem służącym do obrzydzenia nam życia.

Nawet golenie i strzyżenie „pod zero” więźniów karnych było nieprzyjemnym zabiegiem. Golono nas tylko raz na tydzień bez ciepłej wody, z reguły tępą brzytwą, a fryzjerami byli niemal zawsze przypadkowo wybrani więźniowie, oczywiście zasługujący

na zaufanie, bo chodzili do różnych cel. Tak się złożyło, że podczas mego pobytu na „ogólniaku” funkcję tę sprawowali dwaj Żydzi, obaj jeszcze przedwojenni złodzieje. Jediną dobrą stroną tej tortury było to, że obaj byli sympatyczni, życzliwi i obdarzeni dużym poczuciem humoru, zwłaszcza popularny Karolek Memler. Drugi nazywał się Ślepoń — w świecie złodziejskim „Złota Rączka”, z racji niebywalej biegłości w kradzieżach kieszonkowych.

Wronki

Nie czekałem zbyt długo na transport do więzienia karnego. W styczniu lub lutym 1950 roku wyruszał transport do Wronek. Pierwszy raz po przeszło dwuletnim pobycie na Mokotowie opuściłem ponury gmach przy ulicy Rakowieckiej 37. Dodam tu pewien szczegół: pisząc listy z więzienia do bliskich, nie wolno było podawać jako adresu nadawcy więzienia, tylko Warszawa, Rakowiecka 37; oczywiście tak samo musiały być adresowane listy do nas.

Załadowano nas do więziennych ciężarówek, upychając do ostatnich granic, żeby zmieścić jak najwięcej. Przez małe, zakratowane okienka nie widzieliśmy prawie nic. Samochody podjechały pod dawny Dworzec Główny i tu z kolei upychano nas znowu w niewielkich przedziałach, a raczej celach, też z zakratowanymi oknami, gdzie było tak ciasno, że mogliśmy siedzieć jedynie na zmianę.

Po wielogodzinnej, uciążliwej podróży przyjechaliśmy do Wronek. Z dworca przeprowadzono nas pod silną eskortą przed ponury gmach więzienia i kazano stać pod bramą co najmniej godzinę. (Dowiedziałem się później, że w najgorszym okresie Wronek kazano więźniom klęczeć przed bramą). Następnie wprowadzano nas kolejno do gmachu i rozmieszczano w celach. Miałem wiele szczęścia, bo w mojej zastałem wyjątkowo dobrych kolegów i ani jednego kapusia. W celi o rozmiarach podobnych jak na mokotowskiej „dziesiątce”, ale niestety bez klozetu, tylko z kibelem, jak na „jedenastce”, siedziało nas pięciu. Byli to Makary Sieradzki i Tadeusz Płużański, o których już pisałem, dwóch innych (nazwisk niestety nie pamiętam) i ja. Po wzajemnej prezentacji każdy z nas opowiedział pokrótce swoje więzienne dzieje. Zaczęło się ode mnie, gdyż musiałem dodatkowo przedstawić ówczesną sytuację na Mokotowie, a ponieważ ze względu na dwie rozprawy siedziałem na „ogólniaku” wyjątkowo długo i miałem możliwość poznać wielu ludzi, koledzy zasypali mnie

pytaniami o przyjaciół i znajomych, bo chyba wszyscy przeszli przez mokotowskie więzienie.

Z kolei oni opisali mi dokładnie warunki we Wronkach, które na szczęście uległy ostatnio dość znacznej poprawie. Przede wszystkim zaniechano już dodatkowych przesłuchań więźniów szczególnie przez władze nielubianych. Prowadzili je, na rozkaz naczelnika więzienia lub „specy”, więźniowie-kapusie, odznaczający się brutalnością i okrucieństwem. Niewątpliwie działa się to z inicjatywy departamentu śledczego, który liczył, że więźniowie karni, mając przed sobą perspektywę długoletnich szykan, a nawet tortur, załamają się i wreszcie zaczną sypać. Znacznie rzadziej wzywano teraz więźniów do „specy”, który najczęściej starał się zjednać sobie nowych kapusiów albo przynajmniej dowiedzieć się ogólnikowo, jakie są nastroje w więzieniu.

Jednakże nadal stosowano dawne, wypróbowane kary, jak na przykład tzw. „żabki”, polegające na niezwykle uciążliwym skakaniu w przysiadzie po więziennej galeryjce oraz „pojedynki”, czy lokowanie więźnia w oddzielnym pawilonie w pojedynczej celi na kilka miesięcy, bez książek i gazet, bez prawa pisania i otrzymywania listów i bez prawa widzeń.

Koledzy opowiedzieli mi o tragicznym losie pułkownika Wacława Lipińskiego⁶ i Leszka Hajdukiewicza ze Stronnictwa Narodowego, syna wiceprezesa tegoż stronnictwa w 1944 roku, Józefa Hajdukiewicza. Obaj zmarli we Wronkach w niewyjaśnionych okolicznościach, podobno jeden i drugi, torturowani w nieludzki sposób, odebrali sobie życie, wieszając się w celi. Podczas mego pobytu na Mokotowie słyszałem od kolegów, że Lipiński zachowywał się cały czas bardzo odważnie, czasami aż do przesady, wymyślał oddziałowym bez żadnego skrupowania, narażając się wskutek tego na nieustanne kary. Najprawdopodobniej tak samo postępował we Wronkach, a przy tym przesłano go tutaj z pewnością z odpowiednią adnotacją Departamentu Śledczego, zalecającą „zmiękczenie” opornego więźnia. W tym celu oddano go w ręce doświadczonego oprawcy, Hoffmana, skazanego na dożywocie za współpracę z okupantem. Nie wszyscy wierzyli w samobójczą śmierć pułkownika Lipińskiego: mówiono, że po

6. Płk W. Lipiński był przed wojną dyrektorem Instytutu im. Józefa Piłsudskiego; podczas okupacji stał na czele Konwentu Organizacji Niepodległościowych, a po wojnie powołał do życia Stronnictwo Niezawisłości Narodowej i jako jego przedstawiciel wszedł w skład Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Polski Podziemnej, w której — oprócz grupy piłsudczyków — byli: przedstawiciel WiN-u, szef jego III komendy, Wincenty Kwieciński, przedstawiciel Stronnictwa Narodowego, Włodzimierz Marszewski i przedstawiciel WRN — Adam Obarski.

prostu powiesił go — może z pomocą innego kapusia — Hoffman. Za jego bestialskie wyczyny spotkała go zresztą zasłużona kara. Z Wronek, gdzie był już zbyt znany, by nadal skutecznie kapować, przewieziono go do kamieniołomów w pobliskich Potulicach, a zatrudnieni tam więźniowie, wśród których musiało być przynajmniej kilka jego ofiar, zlinczowali go, zabijając kamieniami. Oczywiście bezpośrednio potem wszczęto drobiazgowe dochodzenie, a kilku więźniom wytoczono nowe sprawy o zabójstwo i po procesach osadzono ponownie we Wronkach z nowymi, dużymi wyrokami.

Samobójcza śmierć Leszka Hajdukiewicza też nie wydała mi się prawdopodobna. Siedziałem z nim jakiś czas na „ogólniaku” i miałem możność trochę go poznać. O ile wiem, był praktykującym katolikiem, a przy tym robił wrażenie człowieka bardzo zrównoważonego, opanowanego i dość pogodnie znosił więzienne trudy. Wszystkie przemawiało za tym, że właśnie on był jak najdalej od samobójczych zamiarów, jeśli więc do tego istotnie doszło, to chyba tylko dlatego, że musiano go zadreć w szczególnie niehumanitarny sposób.

◆

Warunki w celach i wyżywienie mniej więcej takie same jak na Mokotowie. Też spaliliśmy tutaj po dwóch na jednym lichym sienniku, dzięki czemu jednak mogliśmy przykrywać się „aż” dwoma kocami. Posiłki również nędzne, może nieco rzadziej dawano nam ohydą zupę z brukwi. Paczki, a później wypiski niezwykle skromne. Dużo przymusowego leżenia: od apelu o godzinie 18-tej do pobudki o godzinie 6-tej rano. Po wprowadzeniu czasu letniego musieliśmy się kłaść na nasze sienniki właściwie o godzinie 5-tej po południu, kiedy jeszcze w najlepsze świeciło słońce. Oczywiście nikt z nas nie mógł spać dwanaście godzin, prowadziliśmy więc szeptem rozmowy, opowiadaliśmy sobie treść filmów lub książek, a także uprawialiśmy na leżąco gimnastykę, byle tylko jakoś zabić niemiłosiernie wlekący się czas.

O ile mnie pamięć nie myli, nie otrzymywaliśmy we Wronkach gazet, a jedynie książki, w liczbie dwóch do trzech na miesiąc. Były to prawie wyłącznie podręczniki z zakresu rolnictwa i hodowli zwierząt. Pamiętam naszą ogromną radość, kiedy więzienny bibliotekarz, wprowadzony w błąd tytułem, dał nam „Życie pszczoły” Maeterlincka, które przeczytaliśmy wszyscy po kilka razy.

I tak mijały dni, niesłychanie do siebie podobne. Właściwie nic się nie działo. Jedyną atrakcją był kilkunastominutowy codzienny spacer, bo wypędzano po kilka cel naraz i dzięki temu

można było zobaczyć innych więźniów, a przy dużej dozie szczęścia zamienić z najbliższymi choć kilka słów na spacerniaku. Te spacerzy, w początkowym okresie mego pobytu we Wronkach, były jednak dla mnie katuszą. Zima była w tym roku surowa i przy kilkunastostopniowym mrozie więźniowie z mego transportu wychodzili na dwór w drelichowych ubraniach, bo nasze prywatne swetry wydano nam dopiero po kilku tygodniach, kiedy zima już się kończyła. Potem dostaliśmy także sukienne kurtki.

Staraliśmy się na wszelkie sposoby zwalczać więzienną monotonię. Wypełnialiśmy więc czas różnymi pogadankami, wykładami, nauką języków obcych. Mój kolega z gimnazjum, a później z Mokotowa, Marian Podymniak, systematycznie uczył angielskiego i osiągał wcale niezłe wyniki. Jego najzdolniejszym uczniem był Stanisław Karolkiewicz, najstarszy wśród nas więzień Wronek i świetny towarzysz niedoli. Ze starych znajomych z Mokotowa spotkałem się też z Bohdanem Rudnickim, który z kolei był moim najlepszym uczniem na kursach języka włoskiego. Pamiętam jeszcze dwóch innych dobrych kolegów z Wronek: Budzyńskiego i Filipkowskiego, syna pułkownika Władysława Filipkowskiego, komendanta obszaru lwowskiego AK.

We Wronkach przeżyłem krótkotrwałą, ale chyba najgorszą torturę w moim życiu. Rozbolał mnie ząb. Doświadczeni więźniowie uprzedzali mnie, że we Wronkach nie ma żadnego dentysty, a funkcję tę pełni jakiś więzień, student drugiego roku stomatologii, który nie umie leczyć i tylko nieudolnie wyrывa zęby, w dodatku bez znieczulenia. Bałem się tego zabiegu bardziej niż śledztwa. Cierpiałem więc przez kilkanaście dni, a jedyną, niewielką zresztą ulgę przynosiło mi ogrzewanie twarzy, kiedy przykładałem ją, wbrew więziennemu regulaminowi także w nocy, do ogrzewającej celę rury. Zasnęliśmy dopiero nad ranem. Nie mogąc tego dłużej znieść, zdobyłem się na bohaterską decyzję i zgłosiłem się do dentysty. Koledzy mieli niestety rację: młody, sympatyczny zresztą chłopak męczył się nad moim zębem chyba przeszło 20 minut, zanim wreszcie mi go wyrwał bez znieczulenia.

Powrót na Mokotów

Po kilkumiesięcznym pobycie we Wronkach przewieziono mnie skutego kajdankami za ręce z bardzo miłym kolegą z AK wileńskiej, Stahlem, do więzienia mokotowskiego. Obaj nie mieliśmy pojęcia, po co nas tam transportują. Jechaliśmy pod eskortą trzech oddziałowych zwykłym osobowym pociągami, w oddzielnym przedziale. Przyjechaliśmy nad ranem i pierwszą rzeczą,

jaka rzuciła mi się w oczy, był ohydny, monstualny Pałac Kultury, który ujrzałem pierwszy raz w życiu.

Na Mokotowie osadzono mnie w jednej z cel w znanym mi już pawilonie I B. Odetchnąłem z ulgą, bo wiedziałem, że w tym pawilonie siedzą prawie wyłącznie więźniowie antypaństwowi. Spotkałem tam kilku miłych i ciekawych ludzi: adwokatów Eugeniusza Ernsta i Sakowicza z podziemnego sądownictwa Delegatury Rządu, księdza Połoskę i Jerzego Baya z BiP-u, który był kuzynem Kazia Moczarskiego. Tryb życia nie różnił się od zwykłego więziennego bytowania. Ernst i Sakowicz opowiadali nam, jak była zorganizowana i jak działała podziemna sprawiedliwość. W jednej z rozmów ze mną Ernst powiedział mi, że w specjalistycznych badaniach przeprowadzonych przed wojną w Ministerstwie Sprawiedliwości stwierdzono, iż więźniowie z reguły załamują się psychicznie i fizycznie po dwóch latach i w związku z tym wyraził zdziwienie, że pomimo mego przeszło dwu i pół-letniego stażu więziennego jestem ciągle jeszcze w dobrej formie.

Nie było łatwo ją zachować. Jednakże niemal od początku postanowiłem dbać o kondycję fizyczną i dlatego — gdy tylko pozwalały na to warunki — uprawiałem codziennie gimnastykę i starałem się jak najwięcej chodzić. Spacerów w małych celach śledczych i we Wronkach polegały na tym, że dwóch albo trzech więźniów, krocząc gęsiego, robiło cztery kroki w jedną stronę, potem wykonywało jednocześnie w tył zwrot przez prawe ramię, z kolei cztery kroki z powrotem i zwrot tym razem przez lewe ramię, żeby się nie zawróciło w głowie, bo łączyliśmy tak całymi godzinami. Pozostali więźniowie musieli wówczas stać, siedział tylko jeden na jedynym w celi stołku. Po pewnym czasie następowała zmiana: pierwsi przerywali swój marsz, a ich miejsce zajmowali drudzy. „Chodzenie w kieracie” na „ogólniaku” już opisywałem.

Robiłem też wszystko, co było możliwe, żeby zachować sprawność umysłową. Tak więc słuchałem niemal wszystkich pogadek i wykładów, brałem udział w różnych dyskusjach, uczyłem języka włoskiego i francuskiego, a sam brałem lekcje angielskiego i przez krótki czas rosyjskiego. Często, nie mogąc zasnąć, gdyż mam bardzo lekki sen i budzi mnie każdy hałas, a chrapanie kolegów niezwykle utrudniało zaśnięcie, powtarzałem w nieskończoność te same znane mi wiersze i nowe słówka angielskie, co było niezłym ćwiczeniem pamięci.

A wreszcie rzecz chyba najważniejsza: zawsze wierzyłem, że wytrwam. Modliłem się o to codziennie, a także — w okresie śledztwa — żebym się nie załamał i nie obciążył nikogo moimi

zeznania. Wyznawałem umiarkowany optymizm trochę na wyrost; sam nie bardzo wierząc w to, co mówię. Wystrzegałem się jednak bacznie nadmiernego optymizmu, a więc na przykład gady, że wkrótce będzie z tej czy innej okazji amnestia i wszyscy wyjdziemy na wolność. Było to groźne, bo kiedy mijały bez rezultatu różne wyznaczone terminy, nieuchronnie przychodziło załamanie.

Podobnie jak przedtem na „ogólniaku” z Sewerynem Różycim, tak i teraz w mojej nowej celi codziennie rozmawiałem po francusku z Bayem, który dobrze znał ten język, bo przed wojną studiował w Belgii.

Interesujące rozmowy w cztery oczy prowadziłem z księdzem Połoską, który spędził dłuższy czas w Stanach Zjednoczonych i opowiadał mi wiele o tamtejszych stosunkach, a zwłaszcza o problemie istniejącej za jego czasów ścisłej segregacji rasowej. Aresztowano go w związku ze sprawą biskupa kieleckiego, Kaczmarka. Kiedy mu powiedziałem, że podobno Kaczmarek traktowany jest znacznie lepiej niż inni więźniowie, a nawet otrzymuje obiady z zewnątrz, nie zaprzeczył temu i dodał, że niestety zdaje mu się, iż ksiądz biskup za dużo mówi w śledztwie. Ta powściągliwa, ale bądź co bądź krytyczna ocena postawy biskupa była jednak znamienna, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę daleko posuniętą lojalność duchownych w wyrażaniu opinii o swych konfratrach, a już szczególnie o przełożonych.

Okazało się zresztą potem, że ksiądz Połoska był wręcz po-błażliwy w swojej ocenie. Podczas publicznego procesu, któremu nadano duży rozgłos, biskup Kaczmarek nie zdobył się na godną postawę, jakiej można było od niego wymagać, a nawet obciążał swoimi zeznaniami innych. Dowiedziałem się o tym znacznie później, po wyjściu na wolność, czytając relacje z procesu w *Trybunie Ludu*. Ale dowiedziałem się także z opowiadań znajomych o czymś niezwykle znamiennym. Otóż kiedy biskup Kaczmarek po kilku latach pobytu w więzieniu wracał autem do swojej siedziby w Kielcach, witano go po drodze niezwykle gorąco, a wielu wiernych leżało nawet krzyżem wzdłuż szosy. Wielu z nich czytało z pewnością sprawozdania z procesu. Wystarczało jednak, że publikowała je *Trybuna Ludu*, żeby nikt im nie wierzył. Oto jeszcze jeden wymowny przykład, do czego doprowadza nieudolna propaganda reżimu. Gazety, radio, telewizja kłamią, codziennie, nieustannie i tak niezręcznie, że nawet wówczas, kiedy podają prawdę — jak niestety w przypadku biskupa Kaczmarka — nikt im nie wierzy.

W jakiś czas po mnie pojawił się w naszej celi wybitny historyk i znawca sztuki, profesor Michał Walicki, pracujący w

czasie okupacji w II oddziale Komendy Głównej AK. Mieliśmy kilku wspólnych znajomych, a on był otwarty, szczery, komunikatywny, więc szybko zdołałem nawiązać z nim bliższy kontakt i równie szybko mogłem się przekonać, że jest to jeden z najmądrzejszych i najbardziej uroczych ludzi, jakich spotkałem. Jako więzień o bezwzględnie najdłuższym stażu zdołałem mu bez trudu wytłumaczyć, jak wielkie znaczenie w naszym życiu ma kontakt z ciekawymi i mądrymi ludźmi. Dzięki temu zgodził się od razu na moją propozycję wygłaszania dla nas codziennych wykładów o sztuce. Masę wiedział i miał ogromny dar słowa. Jego prelekcje o Rembrandcie, zwłaszcza niezwykle wnikliwa analiza „Nocnego patrolu” i „Lekcji anatomii”, a potem wykłady o impresjonistach, których uwielbiał, były fascynujące. Sylwetki wielkich mistrzów i omówienia ich dzieł tak plastyczne, a przy tym podawane tak prostym, jasnym i pięknym językiem, że słuchaliśmy tego wszyscy z zapartym tchem.

Michał zwierzył mi się kiedyś w poufnej rozmowie, że pisuje wiersze. Okazało się, że wiele z nich zna na pamięć, a kiedy zaczął mi je deklamować, znów byłem urzeczony ich pięknem. Jego wiersze, w stylu zbliżonym do Skamandrytów, odznaczały się nie tylko świetną formą poetycką, ale także głęboką treścią. Długo pamiętałem fragmenty wspaniałego poematu pt. „Ballada o czosnku”. I znów nie napotkałem na najmniejsze trudności w przekonaniu go, że powinien wzbogacić swoje prelekcje o sztuce recytacjami własnych wierszy.

Te istne uczty duchowe nie trwały niestety zbyt długo. Chyba już po tygodniu zabrali Walickiego z naszej celi. Odczuliśmy to boleśnie, jakże brakowało nam potem tych codziennych popołudniowych godzin z Michałem!

Wróciły monotonne, szare więzienne dni, a mnie zaczęto wzywać na przesłuchania. Okazało się, że przywieziono mnie na Mokotów jako świadka w niezbyt ważnej sprawie kuzynki mojej pierwszej żony, Anny Szyszkowskiej, z domu Bortkiewiczówny. W 1938 roku spędziłem wakacje na Wileńszczyźnie, w majątku Koziczyn, należącym do jej rodziców. W ramach wymiany kulturalnej z zagranicą przebywało tam wówczas dwóch bardzo miłych studentów, Węgier i Francuz. Nie wiem skąd dowiedziała się o tym po tylu latach bezpieka, ale oczywiście wystarczył sam fakt, że obaj byli cudzoziemcami, by od razu zrodziło się podejrzenie, że musieli oni być szpiegami. Przesłuchiwali mnie na ich temat kilka razy, ale wreszcie dali mi spokój, bo kategorycznie twierdziłem, że nie rozmawiałem z nimi nigdy na tematy polityczne i pamiętam jedynie, że Węgier doskonale pływał, a Francuz dobrze grał w tenisa.

Wkrótce potem przewieziono mnie z powrotem do Wronek, gdzie spędziłem jakiś czas, by następnie, znowu w kajdankach, wyruszyć więziennym transportem na Mokotów. Okazało się, że tym razem mam być świadkiem w sprawie b. wojewody wołyńskiego, a potem łódzkiego, Henryka Józewskiego, którego nie znałem i nigdy w życiu nie widziałem. Ponieważ jednak mój szef w Delegaturze Rządu, Roman Knoll, swego czasu należał do obozu sanacyjnego, władze śledcze wydedukowały, że tworząc swój rzekomy „Ośrodek” musiał próbować wciągnąć do współpracy działającego nadal w podziemiu, starego piłsudczyka, Józewskiego. Tym razem sprawa była poważniejsza (domyśliłem się podczas przesłuchań, że Józewski jest aresztowany) i musiałem poświęcić więcej trudu, by wreszcie przekonać mojego oficera śledczego, że Józewskiego nigdy u Knolla nie spotkałem, nigdy na jego temat nie rozmawialiśmy i nigdy w życiu go nie widziałem.

Podczas tego mojego trzeciego już pobytu na Mokotowie siedziałem na „ogólniaku”. I znowu dopisało mi szczęście: trafiłem do celi, gdzie miałem możliwość spotkać wyjątkowo dużo ciekawych i wybitnych ludzi. Niemal od razu wieczorem, po wkroczeniu do celi, uderzył mnie niezwykle widok: przy dość długim stole siedziała na ławkach grupa — jak się później okazało — kryminalistów, a wśród nich, pośrodku, na honorowym miejscu, Jerzy Braun. Pod jego dyrygenturą śpiewali wszyscy zgodnym chórem jakieś nieznane mi pieśni, przy czym autorem i kompozytorem jednej z nich był Braun.

Nie znałem go przedtem, choć oczywiście wiele o nim słyszałem. Filozof, entuzjasta i gorliwy propagator myśli filozoficznych Hoene-Wrońskiego, poeta, przed wojną redaktor pisma *Zet*, które wypełniał niemal sam, działacz katolicki, wkrótce po wybuchu wojny z właściwym mu zapałem i temperamentem pogrążył się w ruchu podziemnym, był jednym z założycieli i przywódców organizacji „Unia”, która później połączyła się ze Stronnictwem Pracy. Reprezentował przez pewien czas to stronnictwo w Radzie Jedności Narodowej, po aresztowaniu w Pruszkowie przez NKWD Kazimierza Pużaka był jej przewodniczącym, a po aresztowaniu Stefana Korbońskiego pełnił funkcję ostatniego Delegata Rządu w Londynie na kraj. Odznaczał się fenomenalną pamięcią i po dwukrotnym przeczytaniu jakiegoś, wprawdzie niezbyt długiego, tekstu potrafił powtórzyć go wiernie; miał wiele wiadomości z różnych dziedzin, a będąc dobrym kolegą dzielił się swoją wiedzą z innymi. Szczególnie znakomite były jego wykłady o Hoene-Wrońskim. Cały dzień miał wypełniony od pobudki do apelu, ale zawsze potrafił znaleźć czas dla więźniów pospolitych, którzy go uwielbiali. Wspominałem już przedtem, że wyłącznie

z myślą o nim, skazanym na dożywocie, kryminaliści z naszej celi uchwalili jednogłośnie, że dożywotniacy mają być zwolnieni z pełnienia dyżurów.

W wiele lat później spotkałem pana Jerzego kilkakrotnie w Rzymie, gdzie jakiś czas po opuszczeniu więzienia mieszkał chyba przez kilkanaście lat. Zawsze bardzo chętnie wspominał Mokotów i wspólnych przyjaciół, ale mówił mi, że jego pobyt we Włoszech nie układa się zbyt pomyślnie. Ostatni raz widziałem się z nim na miesiąc przed jego śmiercią i namawiałem go, nie po raz pierwszy, żeby wreszcie zaczął pisać pamiętniki. Chcąc go zdopingować, powiedziałem, że na krótko przed wyjazdem z Polski słyszałem wywiad Głosu Ameryki ze Stefanem Korbońskim z okazji ukazania się jego nowej książki pt. „Polskie państwo podziemne”, przy czym dziennikarz przeprowadzający rozmowę przedstawił autora tej książki jako ostatniego Delegata Rządu polskiego w Londynie. Korboński nie protestował, a przecież musiał wiedzieć, że po nim objął tę funkcję Braun. Pan Jerzy odpowiedział mi, że będąc w Stanach Zjednoczonych widział się z Korbońskim i zwrócił mu na to uwagę, ale spotkał się z odpowiedzią, że „ja już nic nie będę prostował”. Braun zdawał sobie doskonale sprawę, że powinien napisać wspomnienia, życzliwie potraktował moje namowy, ale wyjaśnił, że jest w bardzo trudnych warunkach, musi z czegoś żyć i w tej chwili nie może sobie pozwolić na luksus pisania pamiętników, bo zmuszony jest dorywczo zarabiać na bieżące wydatki.

Wiele korzystał z obecności Jerzego Brauna drugi znakomity kolega z tejże celi, pułkownik Franciszek Niepokólczycki, jeden ze współzałożycieli Służby Zwycięstwa Polski, szef tajnej organizacji „Związek Odwetu”, która do czasu utworzenia Kierownictwa Dywersji (Kedyw-u) wypełniała jego zadania, potem szef służb saperskich przy Komendzie Głównej AK i zastępca szefa „Kedyw-u”, generała Fildorfa („Nila”), a wreszcie po wojnie szef II komendy WiN-u. Gdy patrzyłem jak ten zawodowy wojskowy, świetny dowódca, bohaterski żołnierz podziemia garnie się do wiedzy w dziedzinach dotychczas mu obcych, czułem dla niego podziw, a zarazem ogarniało mnie wzruszenie.

Dość szybko nawiązała się pomiędzy nami przyjaźń i prawie co dzień prowadziliśmy długie rozmowy. Były to właściwie monologi Franka, przerywane tylko od czasu do czasu moimi pytaniami. Tematy przeważnie te same, to znaczy działalność konspiracyjna podczas okupacji i potem w WiN-ie, a wreszcie proces II komendy. Poza sprawami dzisiaj już znanymi, dowiedziałem się od Niepokólczyckiego pewnych szczegółów, dotyczących zamordowania Makowieckiego i Widerszala. Franek siedział przez

pewien czas na „dziesiątce” lub na „jedenastce” z Władysławem Jamonttem, którego znałem przed wojną jako starszego o rok kolegę z wydziału prawa Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego, a potem aplikanta warszawskiej prokuratury. Już na pierwszym roku studiów należał do ONR-ABC i brał bardzo aktywny udział w wielu antysemitkich demonstracjach na uniwersytecie. Otóż ten-że Jamontt przyznał się Niepokólczykiemu, że to właśnie on polecił Sudeczce, żeby zamordował Makowieckiego i Widerszala (przypominam, że Sudeczko dowodził bandą, gotową do wykonania za odpowiednią zapłatą wszelkich poleceń). W rozmowie z Frankiem Jamontt był jednak bardzo lakoniczny i nie chciał wdawać się w jakieś bliższe rozważania na temat powodów, które go skłoniły do tego zbrodniczego kroku. Dodał tylko, że uważał działalność obu jego ofiar za szkodliwą. Było to tym bardziej niezwykłe, że Jamontt, w randze chyba kapitana, pracował w II oddziale Komendy Głównej AK, a przecież obaj zamordowani pełnili odpowiedzialne funkcje w VI oddziale sztabu.

Doszliśmy wówczas z Frankiem do wniosku, że Jamontt, będąc w AK, nie zerwał swoich ścisłych powiązań z ONR-em i musiał nadal pozostawać w kontaktach z jego wojenną kontynuacją, to znaczy NSZ. Wiedzieliśmy obaj, że z chwilą zbliżania się klęski III Rzeszy NSZ, korzystając z możliwości, jakie dawała podziemna dżungla, postanowił rozprawić się krwawo ze wszystkimi, których uważały za swoich wrogów. Znałe nam były przy tym ich wyczyny, jak choćby wydanie w ręce Gestapo profesora Marcelego Handelsmana i Haliny Krahelskiej. Warto przy tym dodać, że nasze przypuszczenia były zgodne z podejrzeniami, jakie zrodziły się wśród przyjaciół i współpracowników z BiP-u Makowieckiego i Widerszala, wkrótce po ich zamordowaniu. Po prostu Franek, dzięki rozmowie z Jamonttem, odkrył ogniwo, które musiało być powiązane z ośrodkiem dyspozycyjnym, jakim był NSZ.

O ile mnie pamięć nie myli, oprócz Jerzego Brauna Stronniczo Pracy reprezentował w tej celi także Józef Kwasiborski, którego poznałem po powstaniu w Milanówku jako Delegata Rządu na województwo warszawskie, a z pewnością ks. prałat Zygmunt Kaczyński, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego w rządzie polskim w Londynie (zmarł później w więzieniu). Trzymał się on raczej na uboczu, przebywając przeważnie z dwoma innymi duchownymi — jezuitami, ojcem Tomaszem Rostworowskim i ojcem Nawrockim. Wszyscy trzej siedzieli z nami krótko, chyba nie więcej niż tydzień. Bliższy kontakt nawiązałem tylko z mądrym i przemyśłym ojcem Rostworowskim, z którym rozmawiałem często po francusku, korzystając z tego,

że znał dobrze ten język. Język francuski znał także sędzia Stanisław (?) Jagusz, czołowy działacz PSL, który przed wojną studiował we Francji. Rozmawiałem z nim dużo, podobnie jak z drugim członkiem PSL, sekretarzem Mikołajczyka, Dąbrowskim, a głównym tematem naszych konwersacji były zacięte walki, jakie musiało prowadzić ich stronnictwo przed wyborami, jak również same wybory.

W tej celi siedzieli także dwaj komandorzy marynarki wojennej, Wronka i Bartoszewicz. Z Bartoszewiczem, który był starszym kolegą mego brata, również oficera marynarki wojennej, miałem wielu wspólnych znajomych. Ten sympatyczny i kulturalny człowiek, już po wyroku śmierci, zachowywał godny podziwu spokój, choć nie miał złudzeń, że wyrok będzie wykonany. Niestety, jego przewidywania okazały się trafne, zginął na Mokotowie.

Pamiętam także trzech miłych, starszych już panów: Jerzego Krzymowskiego, przed wojną naczelnika wydziału — chyba bezpieczeństwa — w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Jerzego Strowskiego, wicedyrektora Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu oraz Wacława Dlouhy'ego, który przed wojną był dyrektorem biura personalnego w Ministerstwie Sprawiedliwości. Nie pamiętam już dokładnie, ale wydaje mi się, że w tej właśnie celi spotkałem się ponownie ze znanym mi już z „dziesiątki” Świątkiem. Był on przed wojną urzędnikiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w referacie mniejszości narodowych (orientował się znakomicie w całej problematyce stosunków polsko-ukraińskich) a podczas okupacji pracował w Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury. W czasie tego naszego ponownego spotkania powiedział mi, że kiedy byliśmy na „dziesiątce”, oddałem mu wielką przysługę, powiadamiając go o śmierci jego szefa, naczelnika wydziału bezpieczeństwa, Tadeusza Miklaszewskiego, który umarł na krótko przed moim aresztowaniem, o czym on, aresztowany wcześniej, nie wiedział. Dzięki tej informacji mógł uniknąć dalszych szykan i tortur, jakie stosowano wobec niego, nalegając, by swymi zeznaniami obciążał Miklaszewskiego. Po prostu nie musiał go już z takim poświęceniem bronić.

Nie pamiętam nazwisk przebywających w tej celi żołnierzy z bohaterskich batalionów Kedyw-u, „Zośki”, „Parasola” i „Miotły”, poza Góralczykiem z „Zośki” i kapitanem Janickim z „Miotły”. Atletycznie zbudowany Góralczyk, oficer powojennej marynarki wojennej, uprawiał codziennie intensywną gimnastykę, podnosząc z łatwością wiadro pełne wody w wyprostowanej ręce. Janicki już od dłuższego czasu cierpiał na silne zaburzenia

psychiczne, polegające przede wszystkim na przekonaniu, że stale otoczony jest kapusiami, którzy usiłują go skłonić do wyznania jakichś szczegółów, zatajonych w śledztwie. Bywało to powodem licznych konfliktów, ponieważ dość często udawało mu się wykryć prawdziwych donosicieli i nigdy nie omieszczał powiedzieć im, co o nich myśli.

Doszło do tego, że pewnego dnia, po ostrej wymianie zdań, kilku znanych nam dobrze kapusiów rzuciło się na Janickiego, bijąc go brutalnie, obalając go na ziemię i kopiąc, gdzie popadło. Pierwszy pośpieszył na pomoc oczywiście Jerzy Braun, ja za nim, żeby go wesprzeć. I teraz wywiązała się walka przy bardziej wyrównanych siłach: ich chyba czterech, a nas trzech, bo Janicki poderwał się szybko z podłogi i z furią zaatakował kapusiów. Na szczęście bijatyka nie trwała zbyt długo: przerwał ją strażnik, który — zaalarmowany hałasem — wbiegł do celi.

Byłem przekonany, że za udział w tym starciu zostanie ukarany karcerem. Tymczasem, ku mojemu zdumieniu, już po chwili oddziałowy wywołał moje nazwisko i po sakramentalnym „pakować swoje rzeczy” zaprowadził mnie do jakiejś celi, wyposażonej w metalowe łóżka i znacznie mniej zaludnionej niż inne cele na „ogólniaku”. Okazało się, że są tu zakwaterowani więźniowie zatrudnieni w mokatowskiej drukarni, którzy oprócz oddzielnych łóżek korzystają także z innych przywilejów, jak codzienny półgodzinny spacer, częstsze widzenia, nieco lepsze wypiski i pół litra mleka dziennie, które miało zapobiegać szkodliwemu dla zdrowia działaniu farby drukarskiej. Prócz tego otrzymywali oni dość liche wynagrodzenie, z tym że większa jego część miała pozostawać na ich kontach do chwili wyjścia na wolność, a za pozostałą część mogli kupować żywność w więziennej kantynie. Byłem zdumiony, że spotkał mnie ten przywilej, bo — jak już wspominałem — w owym czasie zatrudniano tylko więźniów pospolitych, a antypaństwowych raczej wyjątkowo, kiedy wśród pospolitych brakowało fachowców, jak na przykład lekarzy bądź inżynierów, którzy pracowali w więziennym Biurze Architektoniczno-Konstrukcyjnym (BAK). Niewątpliwie dzięki skierowaniu mnie do pracy uniknąłem karceru za udział w bójce.

Już nazajutrz, w drukarni, mogłem stwierdzić, że oprócz mnie jest tutaj jeszcze kilku antypaństwowców, a mianowicie: pułkownik Szopiński, Władysław Bartoszewski, który mając za sobą staż w organie PSL-u *Gazecie Ludowej*, pełnił funkcję korektora; adwokat Witold Lis-Olszewski ze Stronnictwa Narodowego, podczas okupacji komendant Narodowej Organizacji Wojskowej na obwód radomski; profesor Łaskiewicz; przedwojenny komisarz policji, Miszkurko i Muszyński z Lublina, którzy podobnie jak

ja zostali zatrudnieni w introligatorni, bo praca tam nie wymagała żadnych kwalifikacji oraz Stemler (brat sądanego w procesie szesnastu w Moskwie Józefa Stemlera) na stanowisku zastępcy więziennego kierownika drukarni, fachowego drukarza z Poznania.

Podczas mojej dziewięciomiesięcznej pracy utrzymywałem bliższe kontakty jedynie z Lisem-Olszewskim, Muszyńskim, znakomitym zecerem, Włochem Vittorio Vasconem, właścicielem drukarni w Turynie, który ożeniwszy się z Polką osiadł po wojnie w Lublinie oraz Władkiem Bartoszewskim. Ten ostatni był niewątpliwie najpopularniejszą postacią w drukarni. W nieustannym ruchu, pracował sprawnie i szybko, latał po hali maszyn w takim tempie, że wszyscy nazywali go Zatopkiem, który w owym czasie był niedoścignionym mistrzem długich dystansów.

Praca w introligatorni nie była zbyt męcząca, z wyjątkiem pierwszego okresu, kiedy trzeba było nabrać wprawy w wykonywaniu różnych nudnych, monotonnych czynności. Natomiast nad wyraz wyczerpujące były tzw. akcje, podczas których pracowaliśmy po 16 godzin na dobę. W mokotowskiej drukarni drukowano nowe cenniki, wprowadzane po zwykłych cen, ponieważ władze uznały, że tylko w warunkach więziennych uda się utrzymać wysokość cen w największej tajemnicy aż do dnia, kiedy miały zacząć obowiązywać. W związku z tym musieliśmy na czas akcji przeprowadzać się wraz z łózkami i całym nędznym dobytkiem z naszych cel do drukarni, a ponadto — chcąc trzymać nas w zupełnej izolacji od świata — pozbawiano nas spacerów i widzeń. Mordercza, wielogodzinna praca wyczerpywała nas do ostatnich granic. Zdarzały się przypadki zasłabnięć i omdleń, a mnie podczas drugiej akcji tak spuchły stopy, że z największym trudem mogłem wkładać buty.

Oprócz normalnej służby więziennej, kontrolę nad gorliwym wykonywaniem pracy sprawowali trzej więźniowie na wysokich funkcjach: kierownik drukarni, jego zastępca Stemler i kierownik techniczny, Andrzej Kłyszynski, który podobno miał ukończone wyższe studia poligraficzne w Niemczech, a znacznie później, w czasie rozkwitu „Solidarności”, był lansowany przez władze partyjne, jako człowiek godny zaufania, na redaktora technicznego, czy może nawet na zastępcę redaktora naczelnego organu *Solidarności Rolników Indywidualnych*.

R a w i c z

Mój pobyt w drukarni skończył się równie nieoczekiwanie, jak się zaczął. Po prostu, po upływie dziewięciu miesięcy kazano

niektórym więźniom antypaństwowym spakować rzeczy i wkrótce potem, skutych kajdankami, wieziono nas więziennymi budami na dworzec. Ponieważ skuwali nas po dwóch, stanęliśmy z Bartoszewskim obok siebie, dzięki czemu stanowiliśmy parę. Miałem więc przynajmniej przyjemnego towarzysza podróży. Warunki transportu takie same jak do Wronek, ale tym razem zawieziono nas do Rawicza.

Podczas wstępnych badań lekarskich stwierdzono, że mam jakieś zaciemnienia w szczytach płuc i wobec tego skierowano mnie do pawilonu przeznaczonego dla więźniów cierpiących na złeższe przypadki gruźlicy.

Po paru tygodniach przeniesiono mnie do więziennego szpitala. Warunki były tu lepsze niż w szpitalu na Mokotowie. Przede wszystkim znacznie większa swoboda, zwłaszcza podczas godzinnych spacerów, bo można było dobierać się parami, niezależnie od tego, że siedziało się w różnych salach.

Korzystałem z tego skwapliwie i prawie zawsze spacerowałem z Henrykiem Józewskim, który znośił pobyt w więzieniu pogodnie, zachowując dobry humor. Chyba już w pierwszej rozmowie powiedział mi, że właściwie jest zadowolony, bo w swoim długim życiu nigdy jeszcze nie siedział w więzieniu, a w obecnej sytuacji nie wypadałoby zamknąć swojego żywota bez przejścia przez komunistyczny kryminal. Był jednym z najdłużej działających konspiratorów, aresztowano go dopiero w 1950 lub nawet 1951 roku. Okazało się, że znał mego ojca i tylko przypadek zrządził, że nie zginął wraz z nim. Opowiedział mi, że miał jechać tym samym pociągiem, którym wyruszył na wschód mój ojciec, żeby — jako naczelny komisarz Wołynia i Frontu Podolskiego — ewakuować podległe mu urzędy wobec zbliżającej się ofensywy bolszewickiej. Pociąg ten został zatrzymany przez jakiś zagon kawalerii Budionnego i od tej chwili mój ojciec zginął bez śladu. Józewski ocalał tylko dlatego, że w ostatniej chwili Piłsudski postanowił zatrzymać go w Warszawie. Nie pamiętam, czy właśnie w owym czasie na polecenie Piłsudskiego pełnił on funkcję ministra w ukraińskim rządzie Petlury.

Po wyjściu na wolność spotkałem się z Józewskim kilkakrotnie. Byłem na jego dwóch wernisazach w galerii plastyków na MDM-ie i z satysfakcją stwierdziłem, że ma talent; szczególnie udane były jego pejzaże o tematyce marynistycznej. Otwarcie drugiej wystawy odbyło się uroczyście, z lampką wina, ale także z czystą wódką i wcale niezłymi zakąskami. Mistrzem ceremonii był wybitny rzeźbiarz Alfons Karny, a towarzystwo, jakie tam spotkałem, przypominało dobre, przedwojenne czasy. Tak wytworne panie i panów, przeważnie w podeszłym wieku, spoty-

kałem po wojnie tylko kilka razy na meczach tenisowych o puchar Davisa.

Kilkakrotnie odwiedzałem Józewskiego w jego mieszkaniu przy ulicy Koszykowej na piątym piętrze bez windy. Miał już ponad siedemdziesiąt lat, kulał na jedną nogę i wchodzenie po schodach tak wysoko musiało mu sprawiać niemałą trudność. Starał się wychodzić tylko raz dziennie na obiad w restauracji dietetycznej przy ulicy Marszałkowskiej, koło Placu Zbawiciela. Na szczęście miał przyjaciół, którzy w miarę swoich możliwości zapewniali mu niezbędną opiekę. M.in. odwiedzali go dość często nasi wspólni koledzy z więzienia, bardzo sympatyczni i uczynni ludzie, Jerzy Czekanowski (bratanek słynnego antropologa) i Wacław Iwaszkiewicz (bratanek generała), obaj z Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu.

Z ciekawszych ludzi spotykałem też na spacerach profesora Karola Buczka z Krakowa, ze sprawy II komendy WiN-u.

W mojej celi w szpitalu miałem łóżko obok komendanta głównego Batalionów Chłopskich, pułkownika Franciszka Kamińskiego. Dość szybko nawiązała się pomiędzy nami przyjaźń i spędzaliśmy całe wieczory na długich rozmowach o wielu wydarzeniach z czasów okupacji, ale także o okresie powojennym, kiedy Franek wchodził z ramienia PSL, jako poseł, do Sejmu.



Od czasu rewelacji pułkownika Świątły w radiu Wolna Europa warunki w więzieniu uległy dość wyraźnej poprawie. Dyscyplina nie była już tak surowa, oddziałowi i inni funkcjonariusze przestali nas szykanować i — co najważniejsze — więźniom antypaństwowym zaczęto przyznawać urlopy zdrowotne, z jakich dotychczas mogli korzystać jedynie pospolici. W szpitalu mówiło się o tym wiele, zwłaszcza od czasu, kiedy w Rawiczu pojawiły się pierwsze komisje lekarskie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, które na podstawie wniosków starannie przygotowanych przez lekarzy-więźniów, udzielały sześciomiesięcznych lub rocznych urlopów zdrowotnych. Teraz chyba każdy z nas, więźniów przebywających w szpitalu, marzył, że prędzej czy później przyjdzie kolej na niego.

Mnie spotkało to szczęście 27 listopada 1954 roku, po siedmiu latach i siedemnastu dniach pobytu za kratami. Ministerialna komisja uznała wniosek lekarzy-więźniów, stwierdzający, że choruję na owrzodzenie dwunastnicy i na gruźlicę i przyznała mi roczną przerwę w odbywaniu kary dla podratowania zdrowia.

Pożegnałem serdecznie moich przyjaciół i jeszcze tego samego dnia zaprowadzono mnie do magazynu, gdzie zdałem więzienne ciuchy, otrzymałem zaś moje mocno podniszczone w okresie śledztwa ubranie. W kancelarii wręczono mi kartę zwolnienia, bilet kolejowy drugiej klasy do Warszawy oraz resztki pieniędzy, które miałem na koncie. W kilka minut potem zatrzasnęła się za mną więzienna brama. Znalazłem się na wolności, a przynajmniej tak mi się wówczas wydawało.

Władysław MINKIEWICZ

RECENZJE

Piotr WANDYCZ

NOWE KSIĄŻKI

W poniższych uwagach chciałbym zająć się kilkunastu pozycjami wydanymi tak w kraju jak i na Zachodzie. Większość z nich ukazała się w roku ubiegłym, ale włączam również parę dzieł wydanych w 1985 roku. Książki te, choć dotyczą głównie najnowszej historii Polski, różnią się znacznie między sobą.

Zacznijmy od próby syntezy międzywojennej Polski. Książka niedawno zmarłego Olgierda Terleckiego, znanego publicysty i autora biografii *Generał Sikorski, Józef Beck* i innych, nosi tytuł *Z dziejów Drugiej Rzeczypospolitej* (Krajowa Ag. Wyd., Kraków 1985). We wstępie autor prosi czytelników, „aby pamiętali, iż książka niniejsza nie jest w najmniejszej mierze podręcznikiem. Jest jedynie opowieścią o historii okresu szczególnie ważnego, okresu odradzania się państwowości i następnie jej utrwalania w kształcie fizycznym i w psychice narodu”. Jest to bardzo uczciwe określenie charakteru tego okazałego tomu, będącego popularyzacją dwudziestolecia. Jako taki ma on niewątpliwe walory

Wydana przez Instytut Krajów Socjalistycznych PAN książka Jerzego Kumanieckiego (z profesorskiej dynastii Kumanieckich) pt. *Pokój polsko-radziecki 1921: geneza, rokowania, traktat, komisyje mieszane* (Biblioteka Narodowa, Warszawa 1985) jest bodaj pierwszym opracowaniem naukowym traktatu ryskiego. Mam na myśli prace ogłoszone drukiem, gdyż istnieje praca doktorska na ten temat St. Dąbrowskiego pisana pod naukowym kierownictwem Oskara Haleckiego. Nieduży tom pióra historyka sowieckiego Olszanskiego pt. *Ryskiej mir* trudno brać na serio jako pracę o traktacie ryskim. Opracowanie Kumanieckiego jest

raczej faktograficzne, zawiera bardzo pożyteczne aneksy i dobrą bibliografię.

Lata 1930-1935 stanowią przedmiot czwartego tomu Andrzeja Garlickiego, z serii będącej polityczną biografią, w szerokim znaczeniu tego słowa, Józefa Piłsudskiego. Obecny tom pt. *Od Brześćcia do maja* (Czytelnik, Warszawa 1986), kończący się śmiercią Marszałka, jest jeszcze bardziej kontrowersyjny niż poprzednie. Dla piłsudczyka jest on wręcz szokujący, zwłaszcza, gdy chodzi o konkluzje podsumowujące dzieło Piłsudskiego, a utrzymane w czarnej tonacji. Ufam, że *Zeszyty Historyczne* ogłoszą obszerną recenzję tego dzieła; ja ograniczam się tylko do zasygnalizowania go. Skoro mowa o Piłsudskim, to być może nie jest nawet potrzebne zwrócenie uwagi na *Uzupełnienie do Kroniki Życia Józefa Piłsudskiego* pióra Wacława Jędrzejewicza (Londyn 1986), bo czytelnicy klasycznej już dziś *Kroniki* z pewnością rozchwyтали ten prawie stustronicowy tom. Ale czynię to z obowiązku kronikarskiego. Dobrze, że *Uzupełnienie* to się ukazało, gdyż jest niezbędne do posługiwania się poprzednimi tomami. Zwłaszcza errata jest ważna.

Praca w języku angielskim, dotycząca stosunków polsko-amerykańskich na tle polityki USA wobec Europy — Neal Pease, *Poland, the United States and the Stabilization of Europe 1919-1933* (Oxford University Press, 1986) — to rzecz solidna, dogłębnie opracowana i interesująco napisana. Książka wywodzi się z pracy doktorskiej na Yale University, której walory zostały szybko zauważone przez tak dobre wydawnictwo jak Oxford. Autorowi, który należy do młodszego pokolenia historyków Polski i Europy środkowo-wschodniej, należą się gratulacje.

Szereg interesujących artykułów odnośnie drugiej Rzeczypospolitej zawiera dzieło zbiorowe pt. *Studia z najnowszej historii Niemiec i stosunków polsko-niemieckich* pod redakcją Stanisława Sierpowskiego, wydane dla upamiętnienia 30-lecia pracy naukowej prof. A. Czubińskiego (Poznań 1986). Na uwagę zasługują: Ludwika Malinowskiego „Opinia publiczna w Polsce wobec *Machtergreifung*” [dojście Hitlera do władzy], Janusza Farysia „Niemcy w poglądach politycznych Stanisława Strońskiego (do 1939 roku)” i z późniejszego okresu Doroty Mazurczak „Niemcy wobec granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej w zachodnio-niemieckiej literaturze pięknej”. Ten ostatni esej szczególnie mnie zainteresował wobec zarysowujących się coraz wyraźniej w historiografii tendencji do śledzenia procesów historycznych w ich odbiciu w literaturze pięknej. Ciekawie pisał o tym na przykład młody historyk wrocławski W. Suleja, analizując twórczość Kadena-Bandrowskiego (vide tom V *Polskiej myśli politycznej, W kręgu twórców myśli politycznej* (Wrocław 1983).

Dzieje polskiej myśli politycznej, zaniedbywane przez szereg dziesięcioleci, znajdują w ostatnich latach godnych reprezentantów tradycji sięgającej Wilhelma Feldmana. Szczególną pozycję

zajmuje tutaj Marcin Król, który łączy wielką erudycję z pasją i piórem publicysty. Jego praca habilitacyjna *Konserwatyści a niepodległość: studia nad polską myślą konserwatywną XIX wieku* (Instytut Wydawniczy Pax, 1985) wypełnia bardzo poważną lukę. W sześciu częściach przedstawia on ewolucję koncepcji konserwatywnych od Józefa Kalasantego Szaniawskiego po stańczyków i „dylematy polskiego konserwatyzmu”. A mianowicie problem szlachty i tradycji, problem katolicyzmu i wartości uniwersalnych, problem narodu i niepodległości oraz kwestia społeczna i problem ugody. Ostatni podrozdział to „zwycięstwo i przegrana polskiej myśli konserwatywnej”.

Konserwatyści jest to dzieło naukowe *sensu stricto* — chyba praca habilitacyjna. Najnowsza książka Króla natomiast, *Podróż romantyczna*, wydana w serii niebieskiej przez Libellę (tom 12, 1986 r.) jest trudniejsza do scharakteryzowania. Jest to jednocześnie esej o polskości (część czwarta zatytułowana „Polska polityka i polski duch”, która jest propozycją a jednocześnie wyzwaniem. Spoiwem książki jest romantyzm przez duże r, który autor kontrastuje z „romantyzmem usługowym”) zakodowanym w polskiej mentalności, spłyconym i zniekształconym, mającym w gruncie rzeczy mało wspólnego z prawdziwym romantyzmem. *Podróż romantyczna* to typ książki, którą trudno jest streścić — a nie czuję się powołany i kwalifikowany do dysputy z Królem na płaszczyźnie filozoficznej. Tak więc w poniższych uwagach będę jedynie prześlizgiwał się po powierzchni. W pierwszej części zafrapowały mnie doskonałe sformułowania dotyczące „nieustającego Zbaraża polskości”, tej tradycji emocjonalno-obronnej tak drogiej Polakom. Towarzyszące pojęcie „nieustającej Reduty” jest dla mnie również przekonującym przedstawione. Trafna jest analiza (w tym kontekście) Piłsudskiego oraz paradoksalne na pozór, a w gruncie rzeczy jakże trafne przeciwstawienie Narodowej Demokracji mentalności endeckiej. Jak autor słusznie stwierdza, te dwa zjawiska nie są absolutnie identyczne.

Król widzi główny element dzisiejszego rozbitcia ideowego w podziale na mentalność sakralną i liberalną, którego nie udawało się dotąd ani przezwyciężyć, ani pogodzić. Twierdzi jednak, iż w tym względzie istnieje obecnie koniunktura duchowa sprzyjająca Polsce, której brakowało w okresie Wielkiego Romantyzmu. Trzy elementy współkształtują, jego zdaniem, tę koniunkturę: 1. uświadomienie sobie istnienia tego nierozstrzygniętego sporu, 2. zdanie sobie sprawy z tego, że demokracja liberalna „nie jest najlepszym i ostatecznym rozwiązaniem problemów ustrojowych i społecznych” (str. 220) oraz, że mentalność liberalna nie zdołała wyeliminować „odniesień metafizycznych i duchowych z życia publicznego”; wreszcie 3. zrozumienie, iż przemiany w katolicyzmie współczesnym w sensie „otwarcia na historię” i pozytywnego pojmowania ułomności natury ludzkiej są „wyz-

waniem do tworzenia... do rozbudowania terytorium rzeczywistości duchowej". Król widzi pewne analogie z zachodzącymi obecnie procesami duchowymi a romantyzmem, który, jak pisze, wyprzedził „o półtora stulecia koniunkturę duchową, w której mógł się rozwinąć i wpłynąć na kształt kultury europejskiej". Autor kończy swą książkę wyzwaniem, które należałoby zacytować w pełnym brzmieniu: wzywa, aby „iść nie do muzeum polskich tradycji, nie po naukę do instruktorów myśli i demokracji liberalnej, lecz z odwagą — przyznając nieco szaleńczą — wkroczyć na arenę wielkiego dziejowego sporu, przekonani i pewni siebie, pewni swojej racji filozofowie 'przyszłego wieku'. Że awanturnicze to zamierzenia i ryzykowna wyprawa — zgoda, ale czy nie lepiej płynąć do nieznanych lądów i zasiedlać tajemnicze wyspy niż grzebać w piasku, popłakiwać i powoli oddalać się w czas narodów minionych?"

Podróż romantyczna nie powinna zostać bez echa na emigracji. Mam nadzieję, że bogactwo myśli w niej zawarte i ostrość sformułowań sprowokuje do dyskusji i to do dyskusji o głębszym podłożu i ciekawszej od wielu „potępieńczych swarów". Jeśli o mnie chodzi, to stawiam tę książkę bardzo wysoko.

W jakimś sensie książka Macieja Kozłowskiego *Krajobrazy przed bitwą* (Spół. Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 1985) należy do tego samego kręgu co praca Króla, choć tematycznie zbliża się bardziej do krajowego *best-seller*u sprzed paru lat, a mianowicie Tomasza Łubieńskiego *Bić się czy nie bić*. Jak czytelnicy może pamiętają, książka ta została omówiona w *Kulturze* w formie recenzji-trójęgłosu. Kozłowski, podobnie jak Łubieński, jest pisarzem, a nie zawodowym historykiem i książkę swoją traktuje jako „publicystyczną próbę naszkicowania sytuacji poprzedzających trzy, w mniemaniu autora najdonioślejsze powstańcze, czy jak mówili współcześni rewolucyjne zrywy za lat niewoli". Są nimi insurekcja kościuszkowska, powstanie styczniowe i czyn zbrojny Piłsudskiego w 1914 roku. Książka napisana jest z talentem, żywo i barwnie. Autor zamieszcza na końcu wskazówki bibliograficzne do opracowanego tematu.

Jak wspominałem powyżej, *Krajobrazy* wyszły nakładem Znak, który wydał ostatnio szereg pozycji ważnych dla historyka Kościoła a równocześnie dla historyka Polski. W 1985 roku ukazał się pod tytułem *Wobec nowego czasu* i ze wstępem Jerzego Turowicza zbiór artykułów ks. Jana Piwowarczyka, założyciela *Tygodnika Powszechnego*. W 1986 Znak wydał *Zarys dziejów Kościoła katolickiego w Polsce* pióra Jerzego Kłoczowskiego, Lidii Müllerowej i Jana Skarbka. Na czterystu kilkudziesięciu stronach autorzy dają syntezę dziejów od chrztu Polski aż po lata powojenne. Ostatni rozdział pt. „W nowej sytuacji od 1945 roku" jest nieco lakoniczny, a część informacji przerzucona do obszernego zestawienia chronologicznego, w którym zdają koń-

cową jest druga wizyta Jana Pawła II w kraju. Dzieło Kłoczowskiego, Müllerowej i Skarbka wypełnia ogromną lukę, gdyż jest to właściwie pierwsze syntetyczne opracowanie, zawierające doskonale wskazówki bibliograficzne i wpisujące dzieje Kościoła polską rzeczywistość historyczną. Autorzy kładą duży nacisk na kontekst kultury i nie zapominają o fakcie, iż przedrozbiorową Rzeczypospolitą zamieszkiwali nie tylko katolicy, mamy więc rozdziały poświęcone innym wyznaniom chrześcijańskim i Żydom. Całość składa się z trzech części poświęconych okresowi przedrozbiorowemu (Kłoczowski), rozbiorowemu (Skarbek i po 1918 roku (Kłoczowski, Müllerowa); napisana jest przejrzyście, a nastawienie autorów jest „posoborowe”. Charakterystyczne w tym względzie jest zaznaczenie sprzeciwu wobec ujęć i sformułowań występujących w pewnych starszych opracowaniach (str. 13). Duża ilość map i sporo zdjęć stanowi dodatkowe walory tej cennej książki. Jak na obecne warunki polskie szata graficzna jest bez zarzutu.

Drugą książką, która ukazała się nakładem Znaku prawie jednocześnie jest Karola Górskiego *Zarys dziejów duchowości w Polsce* (Kraków 1986). Oba te dzieła dobrze się uzupełniają, jakkolwiek krąg czytelników pracy Górskiego będzie zapewne węższy. Tom, wydany równie starannie jak poprzedni, ma dobre ilustracje skomentowane przez Tadeusza Chrzanowskiego i liczne przypisy. Szkoda, że nie ma bibliografii.

Skoro jesteśmy przy tematyce religijnej, muszę uderzyć się w piersi za pochopne zdanie, jakie napisałem w numerze 77 *Zeszytów Historycznych*. Wraziłem tam mianowicie zdziwienie wobec ciszy wokół książki Cywińskiego *Ogniem próbowane* i zignorowania jej przez polskie księgarnie. Zarówno Libella jak Księgarnia Polska w Paryżu ostro zaprotestowały, wskazując, że wprawdzie z pewnym opóźnieniem, ale umieściły Cywińskiego w swych katalogach w roku 1984 i 1985. Następnie prof. Jerzy Lerski napisał mi, iż omówił *Ogniem próbowane* w *Kulturze*, co uszło mojej uwadze. Więc raz jeszcze *mea culpa*.

Gdy mowa o syntezach, pewną sensację stanowi ukazanie się w Paryżu, nakładem Editions Spotkania, *Historii Polski* pióra Michała Tymowskiego, Jana Kieniewicza i Jerzego Holzera. Ponieważ w *Zeszytach Historycznych* ma ukazać się recenzja z tej książki, ograniczę się do wymienienia jej tutaj. Czytelnik zainteresowany moją opinią na ten temat będzie mógł znaleźć ją w recenzji, która ukaże się w najbliższym numerze *Niepodległości*. Podobnie, tylko wymienię dwie interesująco wyglądające pozycje w niebieskiej serii Libelli (nr 10 i 11), a mianowicie Michała Komara *Zmęczenie* i Wojciecha Włodarczyka *Socrealizm: sztuka polska w latach 1950-1954*. Obie rzeczy wydane w ubiegłym roku.

Sądzę, iż czytelnika polskiego może zainteresować książka historyka francuskiego Bernarda Michela, która nosi tytuł *La Mémoire de Prague* (Paryż 1986). Jest to rzecz o świadomości

zbiorowej (i historycznej) Czechów, a częściowo i Słowaków, z częstymi nawiązaniem do Polski i Polaków. Ponieważ uważam komparatystykę za szczególnie przydatną metodę w historii, a porównania między Polską a jej sąsiadami (podobieństwa i kontrasty) dają nam dodatkowy wymiar w śledzeniu dziejów, książka Michela jest ze wszech miar godną polecenia. Kilka drobnych poślizgnięć nie umniejsza jej wartości.

Nasza znajomość ważnego wycinka z lat 50-tych została wzbogacona przez książkę, wydaną w 1985 roku, Jana Nowaka *Wojna w eterze*, tom I. Po *best-sellerze* jakim był (tak w języku polskim jak i angielskim) *Kurier z Warszawy*, książki Nowaka nie potrzebują reklamy. Jeśli zaś chodzi o tematykę *Wojny w eterze* — działalność polskiej sekcji Wolnej Europy za czasów dyktury autora — to zainteresowanie jest zapewnione, bądź ze względów polityczno-historycznych, bądź personalnych — tytuł w tej książce jest znajomych.

Na zakończenie chciałbym zasygnalizować ukazanie się pierwszego numeru kwartalnika pod dziwną nieco nazwą EEPS — co oznacza *Eastern European Politics and Societies*. Dwa artykuły dotyczą spraw polskich. Jeden nosi tytuł „Czy Węgry są przyszłością Polski?” pióra Zvi Gitetman; drugi to „Pierwsze wybory pod sowiecką egidą w Europie wschodniej” Jana T. Grossa. Stanowi on skróconą wersję jednego z rozdziałów książki tegoż autora o okupacji wschodnich województw Polskich przez Sowiety, która ma się ukazać wiosną tego roku. Kilka sformułowań w tym artykule budzi pewne zastrzeżenia, ale zobaczymy, czy znajdują się one również w samej książce.

Wreszcie uwaga końcowa, która może jest już zbyt liczna, jeśli zważymy, że moje refleksje zatytułowane „Nowe książki” ukazują się już od kilku lat w *Zeszytach*. Chciałbym jednak podkreślić, iż wybór omawianych tu książek nie wypływa z jakichś aprioristycznych zasad, ani nie pretenduje do reprezentatywności publikacji. Piszę po prostu o książkach, które w większości wypadków dostają, a które wydają mi się godne choćby krótkiego omówienia czy wzmiankowania.

Piotr WANDYCZ

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz WYRWA

AMBASADOR FRANCJI W BUKARESZCIE O SYTUACJI RZĄDU POLSKIEGO W RUMUNII WE WRZEŚNIU 1939 ROKU

Z uwagi na decydującą rolę, jaką odegrała Francja w tworzeniu rządu generała Sikorskiego¹ — co z kolei związane było z internowaniem przedwojennego rządu polskiego w Rumunii — wszelkie dane zawarte w raportach Adrien Thierry, jej ambasadora w Bukareszcie, mają szczególną wymowę. Niestety zachowały się jedynie nieliczne raporty ambasadora Thierry i nadto, rozproszone w różnych miejscach, są dopiero stopniowo odnajdywane².

W archiwum francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych zostały ostatnio udostępnione papiery Charles A. Rochat, który w 1939 roku sprawował w tym ministerstwie funkcję zastępcy dyrektora departamentu spraw europejskich. Wśród tych papierów znajduje się pięć depech, jakie Thierry wysłał do Paryża i jedna depesza wysłana do niego przez premiera Daladier³.

1. *Vide: Zeszyty Historyczne* Nr 52, str. 215-224.

2. *Vide: Zeszyty Historyczne* Nr 67, str. 215-218.

3. Archives du Ministère des Affaires étrangères w Paryżu, Papier 1940, Rochat, Nr 15.

Dnia 19 września 1939 roku Thierry nadał do Paryża trzy depesze. Treść pierwszej, wysłanej w nocy o godzinie 1.30, została już opublikowana na łamach *Zeszytów Historycznych*⁴. W depeszy tej (znajdowała się w innym *dossier*, ujawnionym kilka lat temu) Thierry zapytywał m.in., czy winien iść w ślady ambasadora brytyjskiego, któremu „polecono wyrazić nadzieję, że rząd rumuński udzieli rządowi polskiemu wszelkich udogodnień umożliwiających wyjazd”.

Thierry otrzymał odpowiedź od premiera Daladier w depeszy nadanej w Paryżu tego samego dnia, o godzinie 23.45: „Proszę uprzedzić rząd rumuński, że uwzględnienie żądań niemieckich odnośnie internowania rządu polskiego byłoby sprzeczne tak ze zobowiązaniami zawartymi w przymierzu oraz więzami przyjaźni, które go łączą z Polską, jak i z zasadami prawa azylu. Wymaganie rządu rumuńskiego jest uzasadnione wtedy, gdy zwraca się do członków rządu polskiego, żeby wstrzymali się, dopóki będą przebywać na jego terytorium, od wszelkiej działalności politycznej i wszelkiego sprawowania władzy; nie może jednak domagać się od nich, aby warunkiem pozwolenia na opuszczenie Rumunii było stanowcze zrzeczenie się ich funkcji i zobowiązanie się, że wyjadą do kraju neutralnego”.



Druga z rzędu depesza, wysłana 19 września przez Thierry do Paryża, o godzinie 12-tej, zawierała jedynie dane, które przekazywał ambasador Noël o internowaniu członków rządu polskiego, z zaznaczeniem, że „warunki, jakie zostały im narzucone, uniemożliwiają wszelki kontakt między korpusem dyplomatycznym a p. Beckiem”.



Kilka godzin później, a mianowicie o 16.35, Thierry wysłał trzecią depeszę, gdzie podawał:

„Dzisiaj rano Gafenco miał oświadczyć ambasadorowi Polski (Rogerowi Raczyńskiemu), który mi to doniósł, że jeżeli Rzesza utworzy w Polsce nowy rząd, Rumunia będzie mogła uważać Mościckiego i jego rząd za osoby prywatne i dać im zezwolenie na wyjazd do kraju, jaki sami wybiorą. Ponadto hrabia Raczyński zaproponuje prezydentowi R.P. zrobienie użytku z artykułu konstytucji, który mu pozwala, w razie wojny, podać się do dymisji i wyznaczyć swojego następcę. Nowym prezydentem zostałby prawdopodobnie p. Zaleski, były minister spraw zagranicznych, który znajduje się obecnie w Rumunii i którego wyjazd do Francji jest bardzo bliski”.



⁴. *Vide*: Władysław Żeleński w *Zeszytach Historycznych* Nr 56, str. 226-227.

Dnia 20 września, o godzinie 20.15, Thierry nadał nową depeszę, w której zreasumował stanowisko rządu rumuńskiego:

„Dzisiaj rano byłem u premiera Calinescu, któremu odpowiadało oczywiście twierdzenie, że rząd rumuński działał nie pod obcą presją, lecz na mocy suwerenności. Obiecując przesłać mi wkrótce oficjalną odpowiedź, usiłował potem usprawiedliwić swoją postawę następującymi argumentami:

1. Rząd polski nie jest internowany, lecz jest gościem rządu rumuńskiego, bez żadnych ograniczeń jeśli chodzi o swobodę komunikowania się. Był on jedynie proszony, zgodnie z prawem azylu, o powstrzymanie się od wszelkiej działalności i manifestacji politycznych.

2. W orędziu wystosowanym na terytorium rumuńskim w Cernauti, p. Calinescu posiada tekst tego orędzia, rząd polski oznajmił swojemu narodowi, że wycofuje się na terytorium neutralne, gdzie będzie wykonywał 'suwerenność państwa' [*il exercera „la souveraineté de l'Etat”* — cudzysłów użyty jest w oryginale]. Calinescu uważa ten akt za pogwałcenie neutralności Rumunii⁵.

3. Premier przypomniał, że rząd polski odmówił — wtedy, gdy prosił o zezwolenie na tranzyt przez terytorium Rumunii — zobowiązania się do wyjazdu do kraju neutralnego. Zaznaczyłem premierowi Calinescu, co już zrobiłem uprzednio prywatnie, że argument ten uważam za pozbawiony wszelkiej wartości.

4. Jak tylko zostanie utworzony nowy rząd polski w porozumieniu z Niemcami, powtórzył mi Calinescu, członkowie obecnego rządu odzyskają całkowitą swobodę działania.

Następnie, p. Calinescu długo uskarżał się, przytaczając liczne detale, z których zdam później sprawozdanie, na osobistą postawę przyjętą tak przez p. Becka jak i p. Rydza-Śmigłego od czasu, kiedy znajdują się na terytorium Rumunii.

Na końcu Calinescu zasygnalizował mi zabiegi poczynione przez hrabiego Ponińskiego. Polski *chargé d'affaires* przyszedł, żeby wyrazić, w imieniu prezydenta R.P., wdzięczność rządowi królewskiemu za okazane mu względy i grzeczności i prosić p. Gafenco, aby nie brał pod uwagę prośby p. Becka o audiencję, gdyż p. Mościcki sądzi, że jedynie on jest uprawniony do reprezentowania rządu polskiego.

Jakkolwiek słaba byłaby pozycja prawna rządu rumuńskiego w tej sprawie, uważamy, p. Léon Noël i ja, że być może nie leży w naszym interesie wywieranie na niego nowej presji, która w konsekwencji mogłaby spowodować nowe trudności dla tego kraju. Z drugiej strony, przeszkody stawiane chwilowo przez ga-

5. W rzeczywistości chodziło o orędzie prezydenta R.P. do obywateli polskich, wydane w Kutach 17 września, informujące o decyzji „przeniesienia siedziby naczelnych władz państwowych do jednego z krajów sprzymierzonych, aby przy zachowaniu pełnej suwerenności dalej prowadzić wojnę przy ich boku”.

binet z Bukaresztu, mające na celu uniemożliwienie wyjazdu swoich gości, mogą okazać się korzystne, dając Polakom czas na zreorganizowanie rządu, a Francji okazję, żeby uniknąć przyjęcia na swojej ziemi osobistości, których działanie było często sprzeczne z jej polityką”.

◆

Do osoby Alfreda Ponińskiego Thierry powraca w depeszy wysłanej z Bukaresztu do Paryża 21 września o godzinie 17-tej:

„Polski *chargé d'affaires* oznajmił mi ostatnio, iż zdaniem jego koniecznym jest, żeby nie wywierać więcej presji na rząd rumuński odnośnie traktowania rządu polskiego. Hrabia Poniński nie zaprzecza, że rząd polski, po przyjeździe do Cernauti, źle postąpił ogłaszając orędzie o suwerenności, z czego zdałem sprawozdanie w moim telegramie Nr 1031-1034” [chodzi o depeszę, wyżej cytowaną, którą Thierry wysłał 20 września o godzinie 20.15 — T.W.J.].

Następny paragraf depeszy z 21 września jest zniekształcony, brak kilku słów, które są zastąpione kropkami. Przytaczam znajdujące się tam zdania tak, jak zostały odtworzone: „Ale on mniema, iż z uwagi na to, że cały aparat państwa polskiego, jego podstawowe kadry, część skarbu znajdują się obecnie w Rumunii... Jedynie... przebiegła współpraca z obecnym rządem [domyślnie: rządem rumuńskim — T.W.] może ułatwić uratowanie szczątków tego, co zostało”.

Dalszy ciąg depeszy brzmi: „W tych warunkach hrabia Poniński sądzi, że trzeba okazać zaufanie premierowi Calinescu, który zamierza zezwalać, stopniowo i dyskretnie, na wyjazd indywidualny przeważającej większości osobistości polskich, które schroniły się w Rumunii. Jeżeli będziemy skłaniać p. Calinescu, który jest 'drażony przez Niemców', do skompromitowania się w oczach Rzeszy, zezwalając Polakom wyjeżdżać, wówczas — zakończył mój rozmówca — działalibyśmy na rękę naszych nieprzyjaciół”.

◆

Depesze ambasadora Thierry potwierdzają również dwuznaczną rolę Alfreda Ponińskiego, ówczesnego radcy ambasady R.P. w Bukareszcie, odegraną w Rumunii w stosunku do internowanego tam rządu polskiego, a szczególnie do ministra Becka, rolę, którą Poniński usiłował przedstawić nieco odmiennie w ogłoszonych dawniej swoich wspomnieniach⁶. Podobny stosunek zachował Poniński i później, gdy już z Ankary informował rząd Sikorskiego o sytuacji internowanego ministra Becka⁷.

6. Vide: Alfred Poniński, „Wrzesień 1939 roku w Rumunii” w *Zeszytach Historycznych* Nr 6, str. 146-202, oraz Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, Londyn 1960, tom III, str. 70-74.

7. Vide: *Zeszyty Historyczne* Nr 77, str. 188-189.

Jeśli chodzi o Polaków w Rumunii, to trudno oczywiście przewidzieć, jaki byłby ich los, gdyby żył premier Calinescu, który zginął 22 września 1939, w następstwie zamachu rumuńskiej „Żelaznej Gwardii”. Jedno jest pewne, a mianowicie, że rząd polski został internowany w czasie, gdy on piastował urząd premiera.

Tadeusz WYRWA

Tadeusz WYRWA (opracował)

GENERAŁ SOSNKOWSKI O POSTAWIE FRANCUZÓW WOBEC EWAKUACJI WOJSKA POLSKIEGO DO ANGLII W CZERWCU 1940 ROKU

W archiwum generała Kazimierza Sosnkowskiego, które znajduje się obecnie w zbiorach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, jestteczka z kopią raportu Generała o ewakuacji wojska z Francji w 1940 roku¹. Raport ten, z datą 5 lipca 1940, napisał Sosnkowski w Londynie, dwa tygodnie po przyjeździe do Anglii, a więc za świeżej pamięci o ostatnich wypadkach.

W dniu zajęcia przez Niemców Paryża, 14 czerwca, rząd polski opuścił pośpiesznie Angers i udał się do Libourne, miasteczka w pobliżu Bordeaux, miejscowości, do której dzień później wycofał się rząd francuski. Generał Sosnkowski zamierzał, jak podaje w swoim raporcie, opuścić Angers dopiero 17 czerwca, ale w nocy 15-go otrzymał telefoniczne zlecenie od prezydenta Raczkiewicza, żeby wyjechał niezwłocznie do Libourne, gdzie dotarł nazajutrz rano.

Następne dwa dni zeszyły na naradach i dyskusjach o ewakuacji. Prezydent Raczkiewicz, po 24 godzinach czekania w porcie Le Verdon, odpłynął na pokładzie krążownika brytyjskiego w nocy z 18-go na 19-go. Dnia 18-go generał Sikorski, przed odlotem do Londynu, powierzył generałowi Sosnkowskiemu kierownictwo nad ewakuacją resztek wojska do Wielkiej Brytanii.



„Za najpilniejsze swoje zadanie — pisze Sosnkowski —

1. Biblioteka Ossolineum we Wrocławiu, Archiwum generała Sosnkowskiego, teczka Nr 223/84.

uznałem poczynienie prób u Rządu francuskiego wydostania statków na cele ewakuacji.

Około godziny 16-tej (18 czerwca) przyjechał generał Denain² i oświadczył mi bez obstrukcji:

a) że jeżeli w warunkach rozejmu będą warunki dotyczące wojska polskiego, Rząd francuski nie będzie miał możliwości oprzeć się tym warunkom,

b) że nie ma chwili do stracenia, wobec czego daje mi radę, bym przystąpił niezwłocznie do zakupywania statków, ewentualnie nawet za złoto.

Odpowiedziałem gen. Denain bardzo mocno:

a) że rada kupienia statków jest śmieszną, gdyż nie mamy ani złota, ani pieniędzy, ani czasu na podobną procedurę;

b) że nie mogę uwierzyć w to, aby Rząd francuski, zapominawszy o honorze żołnierskim, mógł wydać Niemcom wojsko polskie, które spełniało zawsze i spełnia do końca swój obowiązek względem sprzymierzonej Francji.

Generał Denain bardzo zażenowany oświadczył gotowość towarzyszenia mi do Bordeaux, dokąd niezwłocznie udaliśmy się samochodem. W ciągu niespełna trzech godzin przeprowadziłem w towarzystwie gen. Denain rozmowy z marszałkiem Pétain, gen. Weygand i admirałem Darlan. Marszałek Pétain zrobił na mnie wrażenie złamanego, zniedołężniałego starca. Powiadomiony o celu mej wizyty, upoważnił mnie do przeprowadzenia rozmowy technicznej w admirałem Darlan w sprawie ewakuacji wojska polskiego. W toku rozmowy oświadczył w sposób niezrozumiały dla mnie, że proponował Niemcom nie rozejm, lecz natychmiastowe wszczęcie rokowań pokojowych (czemu później — a tak rychło fakty zaprzeczyły). Podczas mego pobytu w gabinecie Marszałka przyniesiono mu pismo od Premiera Sikorskiego. Pétain nie czytając go prosił o przekazanie jego pozdrowienia generałowi Sikorskiemu.

Generał Weygand uczynił na mnie wrażenie człowieka panującego nad sobą wysiłkiem woli. Był to jednak jak gdyby człowiek całkiem inny od Weyganda, znanego mi tak dobrze z lat dawnych. Mówił z trudem; zachowanie się jego było jak gdyby przymusowe i nienaturalne. Wydawało mi się, że mam do czynienia z człowiekiem złamanym psychicznie i zakłopotanym moralnie w stosunku do mnie.

Sprawę rozmowy z Darlanem załatwiłem analogicznie jak u marszałka Pétaina — specjalnie zaś prosiłem generała Weyganda o zezwolenie na utrzymanie radiostacji, której zwiniecie nakażały lokalne władze francuskie. Uzyskałem takie zezwolenie na piśmie ważne na przeciąg 24 godzin. Dało mi to możliwość nawiązania w okresie najkrytyczniejszym intensywnej łączności z Londynem.

2. Generał Victor Denain był szefem wojskowej misji francuskiej przy rządzie polskim we Francji.

W toku rozmowy na temat ewakuacji generał Weygand użył określenia, że trzeba się spieszyć, gdyż sytuacja jest tego rodzaju, że „godziny się liczą”.

W rozmowie z admirałem Darlanem powołałem się na upoważnienie ze strony marszałka Pétaina i generała Weyganda, dałem elementy planu ewakuacji, podając porty i ilość ludzi do załadowania w każdym porcie. Prosiłem o pośpiech, cytując pod tym względem słowa gen. Weyganda. Admirał Darlan przy mnie prze telefonował wszystkie elementy szefowi sztabu marynarki, zlecając mu niezwłoczne przestudiowanie zagadnienia. Mnie obiecał udzielić odpowiedzi w ciągu nocy lub najpóźniej do 10-tej rano dnia 19-go. Poinformował mnie, że są w Bordeaux torpedowce angielskie i doradzał niezwłoczne zwrócenie się do ambasadora angielskiego przy Rządzie francuskim o miejsce dla Polaków na tych okrętach. Rada powyższa wzbudziła we mnie wątpliwości co do szczerości obietnicy pomocy francuskiej.

... Po powrocie do Libourne wysłałem niezwłocznie depezę do Londynu, wyrażając wątpliwości w szczerość obietnic francuskich i przekonanie, że jedynie pomoc angielska może rozwiązać zagadnienie ewakuacji.

Od rana 19-go zaczęły się szerzyć objawy niepokojące. Wezwano nas do niezwłocznego opróżnienia gmachu podprefektury. Zaczęto szykany i utrudnienia w zakresie połączeń telefonicznych. Zaczęły napływać wiadomości o hamowaniu poruszeń wojsk przez władze francuskie, o wstrzymaniu transportów kolejowych pod pretekstem braku węgla, parowozów itd. Zapowiedziana odpowiedź od admirała Darlana nie nadeszła ani w ciągu nocy, ani o godzinie 10-tej rano, ani w ciągu dnia. W późnych godzinach popołudniowych zjawił się oficer łącznikowy z Misji Francuskiej i nieprzyjemnym a nawet aroganckim tonem oświadczył, że Francuzi statków nie mają, że może dnia następnego będą mogli cośkolwiek w tej sprawie powiedzieć itd. Komandora Korytowskiego, którego wysłałem do admiralicji francuskiej urgując odpowiedź, przyjęto zgoła niegościnnie. Nieco później przyszło awizo możliwości odpowiedzi dopiero po pięciu czy sześciu dniach. Generał Denain nie dał dalszego znaku życia. W ciągu dnia powziąłem przekonanie, że sytuacja jest groźna, że Rząd francuski pragnie unieruchomić wojsko polskie i nie dopuścić do wyjazdu z Francji [*zdanie podkreślone w raporcie — T.W.*].

... Dwa samoloty komunikacyjne, postawione przez Francuzów w Mérignac na cele ewakuacyjne Rządu, zostały nam odebrane w chwili, gdy została już skierowana na lotnisko część Rady Narodowej z prezesem Mikołajczykiem na czele.

Wieczorem dnia 19-go przyszło zawiadomienie o ewakuacji Libourne i o montowaniu na rzece Dordogne nowej linii obronnej.

Nakaz ewakuacji dotyczył zarówno francuskich jak i polskich instytucji wojskowych. Wybrałem jako nowe m.p. miasteczko Langon 30 km na południe od Libourne i wydałem zarządzenie

skierowania tam ciężkiego eszelonu sztabu; sam postanowiłem pozostać w Libourne jak najdłużej wraz z generałem Kukielem i Modelskim oraz ze sztabem ścisłym.

Od dnia 20-go rano sytuacja zaczęła się polepszać. Oddziały skupione w La Rochelle wymusiły sobie wejście do portu pomimo oporu oddziału angielskiego w liczbie około 5.000 ludzi. Od Wodza Naczelnego z Londynu nadeszły w ciągu nocy dobre wiadomości o uzyskanej pomocy angielskiej. Zatrzymane transporty kolejowe Francuzi zdecydowali się uruchomić. Ich zachowanie w ogóle stało się przychylniejsze i grzeczniejsze. Udało się nawiązać łączność ze wszystkimi bez mała oddziałami naszymi i skierować je celowo do wyznaczonych portów.

Prof. min. Kot, zakończywszy swoją pracę w Libourne, w porozumieniu ze mną odjechał przez Lourdes do Bayonne, pokierować dalszymi etapami ewakuacji cywilnej.

Około południa 20-go utrwaliłem się w przekonaniu, że kryzys minął i że sytuację należy uważać za opanowaną.

Około godziny 8-mej wieczorej przybył do Libourne Wódz Naczelny. Dnia 21-go rano wraz z grupą oficerów sztabu odlecieliśmy do Anglii.

Zakończyć muszę następującymi stwierdzeniami prawdy historycznej:

1) Francuzi nic nie zrobili, aby pomóc w ewakuacji wojsk polskich, przeciwnie, utrudniali ją celowo. Jestem przekonany, że Rząd w Bordeaux był zdecydowany wydać wojska polskie Niemcom, o ile by tego w warunkach swoich zażądali. Mam na myśli przede wszystkim politycznych ministrów, którzy zdobyli w gabinecie wpływ decydujący; nie mógł a może i nie chciał im się oprzeć ani marszałek Pétain, ani generał Weygand, utraciwszy w znacznej mierze na skutek klęski militarnej odporność duchową i powagę osobistą. Jak również jasne jest, że Rząd w Bordeaux nie chciał narazić się Niemcom przez udzielenie wyraźnej pomocy Polakom, prawdopodobnie miał nadzieję, że przez nieudzielenie tej pomocy wytarguje lepsze dla siebie warunki.

Stwierdzić trzeba, iż pomimo że porty atlantyckie w Bretanii były zawałone statkami francuskimi (w samym Le Verdon było ich podobno około 40), ani jeden statek (ostatnie trzy słowa są podkreślone — T.W.) francuski nie został oddany na cele ewakuacji Polaków. Obietnice udzielone mi przez Pétaina, Weyganda i Darlana okazały się nieszczerą grą.

2) Uratowanie resztek wojska polskiego z Francji należy w pierwszym rzędzie zawdzięczać pomocy angielskiej wyjednanej przez generała Sikorskiego w Londynie — w drugim rzędzie czysto przypadkowemu, szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że Niemcy — pomimo braku wszelkiego oporu ze strony Francuzów — zwolnili z własnej woli tempo poruszania się po przekroczeniu Loary.

Ustępy sprawozdania dotyczące postępowania Rządu w Bordeaux mają na celu jedynie ustalenie prawdy historycznej. Jestem natomiast zwolennikiem kontynuowania, o ile to od nas zależy, polityki przyjaznej względem Francji. Dałem pod tym względem wyraz swemu przekonaniu, proponując wykreślenie z radiowego publicznego przemówienia premiera wszystkich ustępów krytycznych i drastycznych dotyczących Francji, jej armii i przyczyn katastrofy".



Po odlocie Sosnkowskiego do Anglii, dnia 21 czerwca, ewakuacja wojska powierzona została generałowi Kukielowi, a urzędników i ludności cywilnej prof. Kotowi, zgodnie właściwie z uprzednio istniejącym stanem rzeczy, gdyż generał Sosnkowski zachował dla siebie „ogólną koordynację całości”, tak jak sam to zaznaczył w swoim raporcie. Ewakuacja zakończyła się 25 czerwca wraz z odpłynięciem generała Kukiel do Anglii z Saint-Jean-de-Luz, portu, w którym dwa dni wcześniej zaokrętował się również profesor Kot.

Winę za spóźnioną i chaotyczną ewakuację — która spowodowała zaprzepaszczenie większości wojska polskiego, rozgoryczenie ludności cywilnej oraz zniszczenie archiwów, niezbędnych do wiarygodnego odtworzenia dziejów rządu polskiego we Francji — ponoszą w dużej mierze sami Polacy, o czym dość często zapomina się, krytykując Francuzów. Skutki wadliwej ewakuacji były, jak wiadomo, poddane ostrej krytyce i stanowiły w Londynie jeden z głównych powodów tzw. przesilenia lipcowego z 1940 roku, z którego jednak nie chciano wyciągnąć odpowiednich wniosków i wszystko potoczyło się znowu po staremu.

Tadeusz WYRWA

Andrzej SUCHCITZ

O DZIECIŃSTWIE EDWARDA ŚMIGŁEGO-RYDZA

Życiorys Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza jest przedmiotem rosnącego zainteresowania historyków badających dzieje niepodległej Polski. Jak na jedną z czołowych postaci tej historii, liczne aspekty jego życia są mało znane lub całkiem nieznane. Odnosi się to szczególnie do jego pochodzenia i dzieciństwa.

Wśród dokumentów w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego znajduje sięteczka akt przedwojennego Wojskowego Biura Historycznego (WBH) zawierająca wiele informacji o dzieciństwie Marszałka, które pozwalają chociaż częściowo naświetlić sprawy, które były dotychczas przedmiotem sporów pomiędzy różnymi autorami piszącymi o Rydzu.

Akta te były przechowywane w kopercie z lakowanymi pieczęciami Wojskowego Biura Historycznego. Kopertę opatrzono napisem: „Tajne materiały osobiste do życiorysu Marszałka Śmigłego-Rydza zebrane przez kpt. Librowskiego. Otworzyć może upoważniony przez Marszałka względnie przez szefa Wojskowego Biura Historycznego”. W dolnym prawym rogu ręką gen. L. Berbeckiego widnieje napis: „O respektowanie napisu proszę” z jego podpisem i datą 11. XI. 1939 w obozie internowanych w Baile Herculane. Po lewej jest napis „Łączę swoją prośbę jako szef Wojskowego Biura Historycznego” i podpis mjr. O. Laskowskiego z datą 11. XI. 1939. Z dwóch innych zapisów na kopercie wynika, że akt było więcej, ale zostały oddzielone razem z całością akt (przypuszczalnie chodzi o akta WBH). Za podpisem kpt. Librowskiego teczka została przekazana w maju 1943 mjr. Kosakowi¹.

Teczka ta zawiera różne relacje zebrane w Brzeżanach w dniach 18-21 maja 1937 roku i spisane przez kpt. Stanisława Librowskiego, pracownika WBH. Widocznie zbierano w WBH materiały do życiorysu Marszałka. Jest pismo szefa WBH płk. dypl. Bronisława Ragowskiego z 23 marca 1938, upoważniające kpt. Librowskiego do „zebrania materiałów historycznych tyczących osoby Pana Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza”. Wiemy, że co najmniej od roku Librowski zajmował się zbieraniem tych materiałów.

Z zebranych relacji można ustalić, że Edward Rydz urodził się 11 marca 1886 w Brzeżanach przy ul. Izabelówka 176. Dom ten został później rozebrany i na jego miejsce zbudowano dom murowany, który w 1937 nosił numer 24 i w którym mieszkał cioteczny brat Marszałka, Eugeniusz Babiak, z którym Marszałek nie utrzymywał stosunków, ponieważ „prowadził się źle” (chodziło o jakieś nadużycia). Ojcem Edwarda był Tomasz, syn Sebastiana i Józefiny z domu Kowalczewskiej. Sebastian Rydz był kowalem („Kurschmied”) w Mogilanach w powiecie Wieliczka. Tomasz, będąc zawodowym podoficerem armii austriackiej, przybył do Brzeżan ok. 1884 roku. Zakochał się w Marii Babiak, którą poślubił 12 lutego 1885 roku. Świadcami ślubu byli dwaj koledzy Tomasza z 4 pułku ułanów, Eugeniusz Leine i Andrzej Kaczor. Maria Babiak, matka Marszałka, była „bardzo piękna dziewczyna”. Była córką Jana Babiaka, listonosza a później wach-

1. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego (IPMGS): B.36 teczka Marszałka Śmigłego-Rydza.

mistrza policji w Brzeżanach i Katarzyny z domu Klecor. Jan Babiak, dziadek Edwarda, jakoby był powstańcem 1848 roku (relacja p. Gałęckiej na podstawie relacji E. Uranowicza). Edmund Uranowicz, kolega szkolny Rydza, opisał Jana Babiaka jako „człowieka poważnego i cenionego ogólnie²”.

Według relacji księdza greckokatolickiego Baczyńskiego z Brzeżan ślub Tomasza i Marii odbył się w cerkwi (Maria Babiak była wyznania greckokatolickiego). Kpt. Librewskiego poinformował w tajemnicy, że metryki ślubu oddał „p. Marszałkowi osobiście na jego żądanie³”.

W niektórych publikacjach miejsce urodzenia Edwarda Rydza jest podawane jako Leśniki (wioska na zachód od Brzeżan). Wśród relacji zebranych przez kpt. Librewskiego również jest o tym mowa. Informacje, że Rydz urodził się w Leśnikach pochodzą z dwóch źródeł. Pierwszym był Józef Jędrzejowski, wójt Leśnik (w 1937 roku miał 76 lat). Podał informację, że Rydz urodził się w domu pod numerem 117 (w 1937 ul. Piłsudskiego 8) na dwa lata przed ślubem rodziców. Tomasz Rydz, który zakochał się w Marii Babiak, podobno nie mógł się z nią ożenić z powodu swego niskiego stopnia podoficerskiego. Mieszkali razem, a ślub wzięli w lutym 1888 po awansie Tomasza na wachmistrza. Fakt urodzenia się Marszałka w Leśnikach Jędrzejowicz tłumaczył tym, że podczas zimowych miesięcy pluton pionierów 4 pułku ułanów kwaterował w Leśnikach, aby zrobić miejsce na szkołę podoficerską w koszarach brzeżańskich. Druga osoba, p. Porańka Zachorkowa z domu Owsiana, powtórzyła wiadomość, że Rydz urodził się w Leśnikach i że ślub rodziców odbył się 12 lutego 1888 (Zachorkowa mieszkała z matką Rydza w domu pod nr. 117) i dodała, że Maria Babiak miała siostrę Zofię. Powyższe wiadomości kpt. Librewski opatrzył zapisem: „wiadomości niesprawdzone⁴”.

Daty śmierci rodziców Rydza nastęrczały dotychczas wiele trudności i były różnie podawane⁵. Niestety relacje zebrane przez Librewskiego nie ujawniają, kiedy umarł Tomasz Rydz. Wiadomo tylko, że zmarł przed swoją żoną. Matka, Maria Rydz, zmarła 19 lub 20 maja 1896 roku na gruźlicę w Brzeżanach. Datę 19 maja podaje ks. Baczyński, który pokazywał kpt. Librewskiemu księgę zapisów zgonów.

Oprócz spisanych relacji zachowała sięteczka sprawy spadkowej po Marii Rydz. Zaopatrzona nagłówkiem: „c.k. Sąd powiatowy Oddz. III w Brzeżanach”, ma numer IV 705/96 i nosi

2. IPMGS: B.36 relacja Edmunda Uranowicza, str. 1.

3. IPMGS: B.36 relacja (nr 5) ks. Baczyńskiego, spisana przez kpt. Librewskiego, str. 7.

4. IPMGS: B.36 relacja (nr 8) J. Jędrzejowicza i P. Zachorkowej spisana przez kpt. Librewskiego, str. 7.

5. Andrzej Sucheitz: „Marszałek Edward Śmigły-Rydz”, *Przegląd Kawalerii i Broni Pancerniej* nr 123, 1986 r., str. 441 i 449.

tytuł: „księga sieroca poz. 171 Akta sprawy pupilarnej po śp. Maryi z Babiaków Rydz w Brzeżanach”. Akta te zostały przesłane do WBH przez Jerzego Warchoła, sędziego w Brzeżanach. O ich istnieniu WBH poinformował mgr Stanisław Wiszniewski w liście z 2 marca 1938. Napisał m.in.: „Szczegóły w nich (aktach spadkowych — A.S.) są w przeważnej części fałszywe...”. Na końcu listu w *post scriptum* napisał „akta spadkowe po śp. Matce Marszałka wymagają wyjaśnienia i komentarzy, które ja podam przy najbliższym pobycie w Warszawie...”. I rzeczywiście, różne podstawowe dane były spisane źle. We wszystkich tych aktach (oprócz jednego) imię dziecka jest podane jako Edmund. Na akcie zgonu (akt zejścia) wiek Marii Rydz został podany jako 23 lata (!). W pozostałych aktach podano jej wiek jako 29 lat. Zapisano ją jako wdowę po „Aleksandrze Rydzu, konduktorze kolejowym w Nowym Sączu” (!). W tych aktach dzień śmierci Marii Rydz podano jako 20 maja 1896. Akt zgonu przechowywano w parafii greckokatolickiej. Po różnych trudnościach Jan Babiak podpisał przyrzeczenie opiekuńcze nad wnukiem 15 października 1896. Sąd c.k. stwierdził, że Maria Rydz zmarła nie pozostawiając żadnego majątku i oddał Rydza pod opiekę dziadka.

Edward Rydz uczęszczał do gimnazjum brzeżańskiego w latach 1896 do 1905. Pierwszą klasę powtarzał. Wśród autorów relacji o nim przeważają właśnie koledzy z ławy szkolnej. Oprócz nich jest relacja p. Anieli Baranównej, służącej p. Widmanowej, u której przez jakiś czas mieszkał Edward Rydz. Kpt. Librewskiemu opowiedziała, że „pan Rydz był bardzo grzeczny i układowy, skromny — czytał dużo, malował dużo — na ogół mało mówił — lubił dużo czynić a mało mówić”.

Wspomniany już ksiądz Baczyński chodził z Rydzem do szkoły od 1-ej do 8-ej klasy gimnazjalnej. Wspominał, że „Marszałek był lubiany przez wszystkich kolegów, przypuszczalnie, że nie miał nigdy zatargów z kolegami — mimo że był już okres początkowy walk narodowościowych. P. Marszałek nie robił nigdy różnicy pomiędzy kolegami innych narodowości, ze wszystkimi podtrzymywał stosunki koleżeńskie jednakowo”.

Inny kolega szkolny, adwokat dr Milche, wspominał, że „był bardzo sympatyczny kolega, usłużny — nie istniały u niego różnice wyznaniowe ani narodowościowe. W gimnazjum wybijał się jako dobry rysownik i malarz — pamiętam, że w czasie lekcji szkicował nieraz fizjognomię Kolegów i podawał na karteczkę zainteresowanym. On był kierownikiem wszystkich ćwiczeń wojskowych. Z natury poważny, zawsze poważnie rozmawiał — oczywiście w ramach swego wieku. Był poważnie traktowany przez Ko-

6. IPMGS: B. 36 relacja (nr 7) A. Baranównej, spisana przez kpt. Librewskiego, str. 6.

7. IPMGS: B. 36 relacja (nr 5) ks. Baczyńskiego, spisana przez kpt. Librewskiego, str. 4.

legów, na skutek poważnego traktowania każdej kwestii, każdego problemu⁸”.

Najdłuższa i najciekawsza jest relacja Edmunda Uranowicza, wiceprezesa Sądu Okręgowego w Brzeżanach. Została spisana przez S. Silberga pod dyktando Uranowicza w grudniu 1936⁹. Uranowicz był może najbliższym przyjacielem szkolnym Rydza z lat brzeżańskich. Poniżej podaję większe cytaty z tej relacji, które naświetlają szczegółowo różne epizody z dzieciństwa Rydza. O tym jak rodzina Uranowiczów wzięła sierotę pod swą opiekę pisze następująco:

„Mój ojciec jako lekarz miejski miał ciągłą styczność ze śp. Janem Babiakiem, który wtenczas był już starcem, ale do ostatnich czasów swego życia pełnił funkcję wachmistrza policji miejskiej i stąd też śp. Jan Babiak często wyrażał przed moim ojcem swoje troski o los Wnuka, tym bardziej, że wiedział, że po jego śmierci dostanie się pod wyłączną opiekę swojej babki, która była osobą całkiem innego pokroju niż jej mąż, bo była osobą pospolitą i złą¹⁰”.

Kiedy w późniejszych latach naszych czasów gimnazjalnych matka moja wspomniała Generałowi o babce jego, wyraził się On jednak z uznaniem dla swojej babki, mówiąc sam o sobie, że jemu trzeba było silnej ręki swej babki, bo był straszny urwisz.

Ojciec mój cenił bardzo jego dziadka, to też obawy jego o los Wnuka były mu w pamięci.

Kiedy w roku 1897 przyszedłem do pierwszej klasy gimnazjalnej, zacząłem kolegować z Generałem, który wtedy tę klasę powtarzał, ale ponieważ był starszym i już drugi rok do gimnazjum chodził, przeto przez cały rok nie zbliżyliśmy się do siebie, aż

8. IPMGS: B.36 relacja (nr 6) dr. Milche, spisana przez kpt. Librewskiego, str. 6.

9. Z tekstu odnosi się wrażenie, że E. Uranowicz mógł relację opowiedzieć p. Salomonowi Silbergowi wcześniej, ponieważ ciągle mówi o Generale, a Śmigły-Rydz otrzymał nominację na marszałka Polski 10 listopada 1936 r. Relacja ta jest maszynowym odpisem z rękopisu, który znajdował się w posiadaniu mgr. Stanisława Wiszniewskiego, który stwierdził ten fakt i podpisał się na końcu relacji. Prawdziwość podpisu Wiszniewskiego stwierdził referent Ubezpieczalni Społecznej w Brzeżanach. Edmund Uranowicz zmarł w 1936 roku. Czy relacja ta była podana i spisana jednocześnie, czy p. S. Silberga odtworzył ją później na podstawie notatek branych wcześniej podczas ustnej relacji Uranowicza, nie da się ustalić na podstawie zachowanej dokumentacji znajdującej się w teczce B.36.

10. W aktach spadkowych po Marii Rydz znajduje się pismo c.k. notariusza działającego jako komisarz sądowy do sądu okręgowego w Brzeżanach, w którym podaje, że Jan Babiak żyje „w rozłączeniu od swojej żony”. Ale jednocześnie określa Babiaka jako ojczystego dziadka Rydza! Również jest wobec Babiaka krytycznie nastawiony, stwierdzając, że „wezwany... na termin w tej sprawie odmówił wyjaśnień, twierdząc, że jego ta sprawa nic nie obchodzi”.

dopiero w czasie wakacji letnich, a to dopiero przy końcu sierpnia 1898 spotkaliśmy się w kościele farnym w Brzeżanach.

Koledzy nasi byli jeszcze na feriiach i to spowodowało, żeśmy się zbliżyli do siebie i po mszy zaprosiłem Go do siebie.

Rodzice moi nigdy nie brali mi korepetytora, ale zawsze starali się, ażebym się uczył z kolegą, a ponieważ Generał podobał się rodzicom jako chłopak bardzo żywy, a ja byłem 'niemrawy', jak to mnie nazywano, przeto z chwilą rozpoczęcia roku szkolnego na propozycję moich rodziców zaczął przychodzić do nas i uczyliśmy się razem, a wtedy już nawet jego dziadek nie żył...

Przez pierwsze lata naszej wspólnej nauki mieszkaliśmy na końcu Izabelówki u swojej babki, której chata, waląca się, była tak zniszczona, że w nocy przez sufit, jak mówił, gwiazdy widywał, a do tego babka nieraz wymawiała Mu kawałek chleba, a nieraz znowu była przy swoich zajęciach i o Niego całkiem się nie troszczyła, jak sam mówił, ale rzadko o tym wspominał i dopiero drogą okreśną przez ludzi dowiadawali się rodzice moi, że jest mu tam źle. Toteż gdy byliśmy w 4-tej klasie gimnazjalnej i zbliżała się zima, zaproponowali Mu rodzice, aby u nas nocował i od tego czasu stale byliśmy ze sobą, a babkę swoją już tylko odwiedzał¹¹."

Pierwsze objawy zdolności artystycznych przysły, gdy rodzice Uranowicza kupili chłopcom zeszyty z papierem rysunkowym (w 1936 E. Uranowicz jeszcze miał te zeszyty) w których obaj rysowali, a Rydz również malował. Uranowicz wspominał, że:

„Odtąd czym raz więcej malował, gdzie co tylko mu się trafiło, czy widoki, czy martwą naturę, czy osoby, a ja częstym byłem jego modelem, bo umiałem Mu godzinami pozować¹²”.

W 1903 roku do klasy Rydza przybyli, a raczej repetowali ją „z powodu prowadzenia wojny z profesorami” uczniowie tacy jak np. Stanisław Barzykowski, Mieczysław Lewandowski, Tadeusz Sokulski, Bolesław Czapelski i Jan Rupp. Wówczas rozpoczęły się „strajki i tajne zgromadzenia studentów”. Zbierano się w domach rodziców wyżej wymienionych kolegów oraz u państwa Hozerów, u których „odbywały się zgromadzenia poświęcone literaturze beletrystycznej, bądź też politycznej i historycznej (...)”¹³”. Starano się „młodzieży dostarczyć jak najwięcej książek i uświadomić ją w każdym kierunku, a przede wszystkim w tych kierunkach, jakich gimnazjum nie dawało. (...) Na zgromadzeniach tych odbywały się czytania i omawianie różnych spraw, a nieraz nawet przyjezdni referenci występowali z wykładami, a nieraz znowu zreferowanie jakiejś sprawy lub książki poruczano jednemu ze studentów¹⁴”. Organizowano również przedstawienia muzyczne. W klasie 7-mej na wieczorze mickiewiczowskim uczni-

11. IPMGS: B. 36, relacja E. Uranowicza, str. 1-2.

12. *Op. cit.*, str. 3.

13. *Op. cit.*, str. 4.

14. *Op. cit.*, str. 4-5.

wie wystawili „Konrada Wallenroda”, w którym Rydz odegrał rolę tytułową.

Gdy kpt. Librewski był w Brzeżanach, E. Uranowicz już nie żył. Jego dom był w trakcie likwidacji. Na strychu stały różne pudła z szkolnymi pamiątkami po Rydzu. Materiały te miały być przesłane do Wojskowego Biura Historycznego.

Co do politycznych zapatrywań, dr Milche wspominał, że Rydz był „zasad demokratycznych i był sympatykiem PPS¹⁵”.

Wśród niesprawdzonych historii, jakie Librewski spisał, była opowieść o tym, jak w 1911 Edward Rydz na prośbę proboszcza namalował postać Matki Boskiej na kościele ormiańskim w Brzeżanach. Twarz jej miała być namalowana na podobiznę Wandy Weichmanówny, wówczas sympatii Rydza. Gdy proboszcz ks. Śledziowski się o tym dowiedział, kazał zamalować obraz i poproszono L. Winterowskiego do namalowania nowego obrazu¹⁶.

Teczka zawierająca powyższe relacje i akta spadkowe Marii Rydzowej pozwalają po raz pierwszy odtworzyć z większą dokładnością młodość Edwarda Rydza. Dają odpowiedzi na różne pytania dotychczas nurtujące badaczy, ale jednocześnie, jak to często bywa, wzbudzają różne nowe pytania, na które nie dają odpowiedzi. Niemniej odświeżają one w dużej mierze nieznane kulisy dzieciństwa osoby przyszłego zwycięskiego generała wojny polsko-sowieckiej, marszałka Polski i Naczelnego Wodza w kampanii polskiej 1939 roku.

Andrzej SUCHCITZ

15. IPMGS: B.36, relacja dr. Milche, str. 5.

16. IPMGS: B.36 relacja (nr 4) str. 3, spisana przez kpt. Librewskiego bez podania źródła.

Ignacy ROM

LIST OSÓBKIMORAWSKIEGO DO EISENHOWERA

Geneza tego listu wiąże się z zaproszeniem ministra Obrony Narodowej, marszałka Michała Roli-Zymierskiego, do złożenia rewizyty generałowi Dwight D. Eisenhowerowi¹, naczelnemu dowódcy sił USA w Europie i gubernatorowi amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, w jego kwatery we Frankfurcie nad Menem 15 października 1945 roku. Wówczas to władze polskie postanowiły zdobyć poparcie Eisenhowera w sprawie czy-

1. Generał Eisenhower przebywał w Warszawie 21 września 1945 roku. Oglądał wówczas ruiny Starego Miasta, getta, złożył kwiaty przy zniszczonym Grobie Nieznanego Żołnierza. W Belwederze był przyjęty i odznaczony orderem krzyża Grunwaldu przez B. Bieruta.

nionych już w Warszawie u ambasadora Stanów Zjednoczonych Ameryki Arthura Bliss Lane'a kroków, mających na celu uzyskanie amerykańskich kredytów, w tym także dla wojska. Goszcząc więc w kwatrze Eisenhowera — gdzie został także odznaczony orderem Legii Zasług, przyznany mu przez prezydenta Harry Trumana — Żymierski wręczył publikowany tutaj list i podjął rozmowę na temat powrotu do kraju żołnierzy polskich pozostających na zachodzie Europy oraz w sprawie wyposażenia wojska na zimę 1945/1946 roku. Jeśli jednak w tej pierwszej kwestii Eisenhower w dość skromny sposób poparł starania Żymierskiego, to w drugiej ograniczył się tylko do przekazania listu Osóbki do War Department oraz do States-War-Navy Coordinating Subcommittee for Europe. Natomiast władze USA, opierając się głównie na opinii A. Bliss Lane'a, odpowiedziały negatywnie. Przydzielenie kredytów dla gospodarki i dla armii obwarowały wypełnieniem przez Polskę zobowiązań jałtańsko-poczdamskich. Konkretnie — jak powiedział Bliss Lane prezydentowi B. Bierutowi 14 listopada 1945 roku w Belwederze — „...do obecnych trudności Polski odnosimy się z największym zrozumieniem. Ale jednocześnie jesteśmy głęboko zainteresowani odbyciem się w Polsce wolnych i nieskrępowanych wyborów, a ja nie widzę możliwości ich przeprowadzenia, jeśli milicja, z pomocą sowieckiej armii, będzie kontynuować aresztowania przeciwników rządu²”.

List ten i załączony doń dodatek napisane zostały w języku angielskim. Publikowany jest po raz pierwszy, a oryginał znajduje się w National Archives w Washingtonie D.C., sygn. RG 218/10/24-45/400 Poland.

Ignacy ROM

Dwight D. Eisenhower General of the Army
Comander-in-Chief United States Forces
European Theater

Warszawa, 10 października 1945.

Szanowny Panie Generale,

Naczelnny Dowódca Wojska Polskiego pragnąłby zakupić od rządu Stanów Zjednoczonych żywność i sprzęt na użytek rzeczzonego Wojska, którego potrzeby na razie nie mogą być w pełni zaspokojone przez zdewastowany przemysł i rolnictwo kraju. W obliczu nadchodzącej zimy niezmiernie ważne jest, aby Wojsko Polskie jak najszybciej otrzymało żywność i sprzęt, w przeciwnym razie brak zimowej odzieży oraz mięsa i tłuszczu może odbić się ujemnie na zdrowotnej kondycji armii.

Mając to na względzie, mam zaszczyt prosić w imieniu Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego Pana, Drogi Generale, o pośredniczenie w umożliwieniu zakupu potrzebnego wyposażenia, którego szczegółową listę załączam.

Szanowny Panie Generale, niech mi wolno będzie mieć nadzieję, że nie odmówi Pan życzliwego zajęcia się tą sprawą, a korzystając z okazji ponownie zapewniam o moim najwyższym szacunku i poważaniu.

Premier

(podpis)

OSÓBKA-MORAWSKI

2. Patrz: telegram A. Bliss Lane'a do Departamentu Stanu z 14 listopada 1945 roku, opublikowany w *Foreign Relations of the United States*, 1945, tom V, Europe, Washington 1967, str. 414-417 lub Arthur Bliss Lane, *I saw Poland Betrayed*, Indianapolis - New York 1948.

DODATEK

ARTYKUŁY MUNDUROWE

1. 300 000	plaszczy żołnierskich
2. 50 000	plaszczy oficerskich
lub	lub
150 000 m	materiału
3. 300 000	żołnierskich wełnianych mundurów
4. 50 000	oficerskich mundurów
lub	lub
90 000 m	materiału
5. 300 000	wełnianych żołnierskich spodni
lub	lub
360 000 m	materiału
6. 50 000	oficerskich spodni
lub	lub
60 000 m	materiału
7. 600 000 par	lekkiej bielizny
8. 100 000 par	oficerskiej lekkiej bielizny
9. 300 000 par	żołnierskiej ciepłej bielizny
10. 50 000 par	oficerskiej ciepłej bielizny
11. 300 000 par	żołnierskich butów
12. 50 000 par	oficerek
lub	lub
50 000 par	półbutów
13. 50 000 kompletów	oficerskiego oprzyrządowania
14. 3 000 kompletów	siodła kawalerskich
15. 350 000	kocy
16. 700 000	prześcieradeł
17. 700 000	poszewek
18. 250 00 kg	skóry na zelówki

ARTYKUŁY ŻYWNOŚCIOWE

<i>nr</i>	<i>rodzaj</i>	<i>jednostka miary</i>	<i>ilość</i>
1.	konserwy mięsne	tona	6 800
2.	tłuszcz	tona	2 650
3.	masło	tona	2 915
4.	ryż	tona	2 150
5.	kakao	tona	5
6.	mydło toaletowe	tona	420
7.	mydło zwykłe	tona	380
8.	papierosy sztuki		724 500 000

SAMOCHODY

1.	2 640	ciężarówek
2.	1 700	samochodów osobowych
3.	100	samochodów pancernych (<i>motor-tanks</i>)
4.	25	samochodów strażackich
5.	25	polowych stacji do ładowania akumulatorów
6.	25	polowych warsztatów dla zmotoryzowanej kompanii
7.	25	polowych warsztatów dla zmotoryzowanych batalionów.

INFUŁAT MARIAN TOKARZEWSKI*

Wspomnienia ks. T. Swirtuna o ks. infułacie diecezji łuckiej Marianie Tokarzewskim praktycznie kończą się na 1939 roku. Jest jeszcze informacja o tym, że z chwilą rozpoczęcia wojny ksiądz Tokarzewski został w Kowlu i prowadził działalność charytatywną. Umarł w 1941 roku (?).

W oparciu o znane mi źródła spróbuję odtworzyć nieznan szerzej przebieg procesu ks. Tokarzewskiego.

Ks. infułat M. Tokarzewski został aresztowany przez NKWD w 1940 roku i przewieziony z Kowla do więzienia w Łucku. Powodem aresztowania był rzekomy udział księdza w konspiracji na Wołyniu. Dowodem tej działalności mogły być notatki, znalezione przy aresztowanym wcześniej pułkowniku Sztabu Głównego (?), który dwukrotnie rozmawiał z ks. Tokarzewskim. Nieznany pułkownik kontaktował się również z księdzem W. Szpaczyńskim. Ks. Marcin Wojciechowski uważa, że obaj księża stali się ofiarami bolszewickiej prowokacji. W czasie przesłuchań zarzucano ks. Tokarzewskiemu, że jest generałem i prowadzi na Wołyniu działalność antybolszewicką. Przez niego wielu komunistów miało stracić życie (generał Tokarzewski-Karaszewicz nie był krewnym ks. infułata, była to jedynie zbieżność nazwisk. Sowieci utożsamiali te dwie osoby).

W więzieniu doszło do spotkania ks. Tokarzewskiego z ks. Marcinem Wojciechowskim, skazanym na 8 lat przymusowych robót na Komi za akcję zbrojną o wyzwolenie Polski. Ks. Wojciechowski był ciężko chory.

Wspomina: „Poznał mnie, wypowiadał, przygotował na śmierć i zrobił mi *passus*... poczułem się lepiej. Ks. Tokarzewski rozchorował się bardzo. Będąc pod ciągłą obserwacją nie mogliśmy odprawiać mszy św.

Proces ks. infułata Tokarzewskiego rozpoczął się 1 listopada 1940 roku o godz. 9-ej rano w dawnym klasztorze potrynitańskim i trwał dwa dni. Na ławie oskarżonych obok ks. Tokarzewskiego zasiadli: ks. kanonik Władysław Szpaczyński — wybitny prefekt szkół średnich, Roman Ruciński — student, Olszański — właściciel księgarni w Kowlu i kilku lekarzy wojskowych. Razem 8 osób.

Na dziedzińcu przed budynkiem sądowym oczekiwała grupka ludzi: krewni, przyjaciele, rodzina. Więżniowie skuci kajdanami

* Uzupełnienia do artykułu ks. T. Swirtuna „Wspomnienie o ks. infułacie Marianie Tokarzewskim” (*Zeszyty Historyczne* Nr 61, 1982, str. 233-234).

byli pilnowani przez strażników. Gdy przechodzili na salę sądową, Olszański ucałował bez słowa swoją matkę. Reakcja konwojenta była błyskawiczna — silny cios w twarz. Olszański spokojnie zapytał strażnika: „Czy wy w takiej sytuacji nie podeszłobyście do matki? Nie wiem, czy ją kiedykolwiek zobaczę”.

Około godziny 13-ej z sali wyszli adwokaci wyznaczeni z urzędu. Ks. Tokarzewskiego miała bronić p. Tierieńtiewa z Moskwy. Adwokaci zapewniali, że oskarżeni czują się dobrze, kategorycznie zabronili jednak podawać żywność. Około godziny 16-ej kazano wszystkim opuścić korytarze budynku i z wielkim pośpiechem wyprowadzono więźniów do samochodu. Następnego dnia o godzinie 9-ej przywieziono więźniów.

Siostra zakonna K.S. (OSB) była jedynym świadkiem procesu. Jako młoda osoba przedostała się po rynnie i po drzewie na balkon budynku sądowego. Duże oszklone drzwi pozwalały obserwować i częściowo słyszeć przebieg rozprawy sądowej.

Księża siedzieli w pierwszej ławce. Przy stole było czterech sędziów i adwokaci. Proces trwał do godziny 12-ej. Przemawiali w kolejności: prokurator, sędzia, oskarżeni. Adwokat p. Tierieńtiewa nie zabierała głosu. Ks. W. Szpacyński mówił cicho, ok. 5 minut. Na końcu przemawiał ks. M. Tokarzewski. Wstał. Chwiał się na nogach. Prokurator pozwolił mu usiąść. Ks. infulat mówił po rosyjsku o historii Rosji i Polski na przestrzeni wieków, o stosunkach polsko-rosyjskich aż do chwili obecnej (1940 r.). Wszyscy słuchali w wielkiej ciszy i z wyraźnym zainteresowaniem. Nikt nie przerywał. Pod koniec swej mowy ks. Tokarzewski wstał. Był bardzo zmęczony. Jeden z oskarżonych podtrzymał go pod ramię. Ostatnie słowa: ... „Osądziliście mnie za to, że jestem kapłanem katolickim i Polakiem. Dziękuję p. prokuratorowi, że mnie oskarżył. (Uklonił się p. Tierieńtiew). Pani obrońcy dziękuję, że mnie broniła, p. sędziemu, że mnie skazał na śmierć!” Usiadł. Drzwi się otworzyły i wyszli obrońcy. Tierieńtiewa stwierdziła, że będąc na różnych rozprawach tak wspaniałej obrony jeszcze nie słyszała. Siostrze K.S. powiedziała: „W sprawie obrony nie występowałam, on sam się bronił”.

Zebrany — rodzinie, przyjaciółom — pozwolono wejść na salę sądową i na 5-minutową rozmowę ze skazanymi. Siostra K.S. wręczyła ks. infulatowi Tokarzewskiemu kanapki. Ksiądz bardzo się ucieszył ze spotkania. Na pytanie jak się czuje powiedział: „Czuję się słabo. Mogło być gorzej. Ostatnio przez 42 dni siedziałem w piwnicy po kostki w wodzie. Nawet reumatyzmu nie dostałem” (67 lat!). W czasie spotkania z ks. Wojciechowskim ks. Tokarzewski wspominał, że naczelnik NKWD wydał specjalne zarządzenie, aby się z nim grzecznie obchodzono. Ks. infulat dorzucił, że tego nie zauważył. Odnośnie swojej obrony: „Wyłożyłem im historię Polski i Rosji — oni o tym nie wiedzieli”. Kazano kończyć rozmowę i wychodzić. Ks. Tokarzewski wszystkich błogosławiąc powiedział: „Was wszystkich widziałem w

Sercu Jezusowym". Więźniów umieszczono w samochodzie. Ks. infułat był bardzo zmęczony i osłabiony. Oczy miał smutne, na nogach obrzęki. Był bez sutanny, w jesionce, na głowie kape-lusz. Twarz zmęczona, spuchnięte ręce, usta i nos sine...

Odwieziono ich do więzienia w Łucku. Adwokaci zapewniali, że ich zwolnią. Ktoś zaproponował składkę w złocie w celu wykupienia więźniów. Gdy zebrano przedmioty wartościowe i zawieziono do więzienia, okazało się, że wszystkich wywieziono do Kijowa. Wszelki ślad po nich zaginął. W czasie zwalniania Polaków z obozów przymusowej pracy w Rosji nie znaleziono żadnego śladu po ks. Tokarzewskim. Nie zidentyfikowano go również wśród rozstrzelanych więźniów w Łucku. Znana mi jest wersja, według której ks. Tokarzewski zginął gdzieś na etapie w chwili ewakuacji obozu, pchnięty przez konwojenta do dołu z wapnem. Schorowany Kapłan opóźniał marsz...

Ks. kanonik W. Szpaczyński został zastrzelony 22 czerwca 1941 roku, w czasie likwidacji więzienia w Łucku.

Niniejsze informacje oparte są na relacjach: Siostry K.S. (OSB), śp. ks. infułata Stanisława Kobyleckiego i ks. Marcina Wojciechowskiego „Moje wspomnienia z lat 1939-1942”.

Leon POPEK

P.S. W swoich wspomnieniach ks. T. Swirtun nie podaje kluczowej pracy ks. M. Tokarzewskiego: „Przyczynek do historii męczeństwa Kościoła rzymsko-katolickiego w diecezji kamienieckiej i łucko-żytomierskiej 1863-1930”. Łuck 1931, str. 55.

L. P.

ROZKAZ GENERAŁA T. ROZWADOWSKIEGO

z dnia 13 maja 1926

Wojskowy Przegląd Historyczny w nrze 1/1987 zamieszcza faksimile rozkazu generała T. Rozwadowskiego do dowódcy 30 pułku piechoty pułkownika Izydora Modelskiego, w którym stwierdza się m.in.: „Natrzeć bezwzględnie na tyły buntowników, którzy obsadzili Pałac Mostowskich i głównie Komendę Miasta i starać się dostać w swe ręce przywódców ruchu nie oszczędzając ich życia”.

Zamieszczamy na str. 206 faksimile tego rozkazu, który nie wymaga komentarza. (*Red.*).

KIEROWNIK
KANCELARJI WOJSKOWEJ
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

Belweder, dn. 13/5 1926

D o

Pułkownikom O D E L B R I G O

10 pułk już przybył - Szkole Podchorążych kompletnie gotowe do
skoji - oddziały poznańskie które mają przybyć do dnia będą
użyte razem z poprzednimi do bezwzględnej natarcia na centrum
miasta Plac Seki, i Kmdę Placu. Przedtem nastąpi zlikwidowanie 1-
pułku aswoleterów w jego koszarach.

Wytyskując wczesne rannę godziny natrząś bezwzględnie natyły
buntowników, którzy obsadzili Plac Mostowskich i głównie Kmdę
Minuta i staroś się dostać w ręce przywódców ruchu nieoszczęd-
zając ich życia.

Wykonują natarcia 71 pp. i 30 pp. wsparty wybranymi oddziałami ar-
tylerzystów, których resztę użył dla obsadzenia i utrzymania
Cytadeli.

Chociaż cały szereg pawnych pułków jest zedyrgany do Stolicy
jednak pośpiech w skoji dalszego konieczny, że buntownicy doła-
gają posiłki z Wilna a chociaż ich w drodze będą my opóźnić -
to jednak należy zlikwidować cały incydent przed ich nadjeściem.
Liczne niennergja i dzielność obu Pułkowników i ich oddziałów.



Handwritten signature: Rozwadowski

DOKUMENTY

Ludwik ŁUBIEŃSKI
podporucznik

Polish Institute and Sikorski Museum
Archives Ref. No. A.20.5/14

R A P O R T *

Wstąpiłem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych 1 sierpnia 1937. Dostałem wówczas przydział do Rzymu do konsulatu generalnego R.P. Po osiemnastu miesiącach pracy w konsulacie złożyłem podanie o przyjęcie w poczet praktykantów i dopuszczenie do egzaminu dyplomatycznego. Podanie moje przyjęto, zostałem więc odwołany z Rzymu i przydzielony do centrali MSZ z dniem 1 stycznia 1939. Podczas mej praktyki po różnych departamentach i wydziałach byłem również przydzielany do protokołu dyplomatycznego podczas oficjalnych wizyt ministrów Ribbentropa, Ciano i Gafenco (protokół delegował mnie do rozmaitych funkcji przy organizowaniu wizyt i ich przebiegu). Podczas tej pracy poznałem osobiście ministra Becka. Z dniem 1 lipca 1939 zostałem powołany przez min. Becka na jego osobistego sekretarza, równocześnie z nominacją na prowizorycznego referendarza w VIII stopniu służbowym.

Przez miesiąc lipiec uczyłem się moich nowych obowiązków

* Ten raport był złożony Komisji gen. Modelskiego do Zbadania Przyczyn Klęski Wrześniowej. Tematycznie łączy się z artykułem L. Łubieńskiego pt. „Ewakuacja władz polskich 23 września 1939 roku” w 76 numerze *Zeszytów Historycznych*.

i przyglądałem się pracy moich kolegów, a z końcem tegoż miesiąca zacząłem już normalnie urzędować. Miesiąc sierpień odznaczył się gorączkową pracą dniami i nocami; czyniono wówczas wszystko, by choć na pół roku odroczyć wojnę, która nam nieuchronnie groziła ze strony Niemiec. Jednak wszelkie wysiłki kończyły się niepowodzeniem wobec całkowitej zmiany stanowiska i nieustępliwości Niemiec. Jeszcze 31 sierpnia zdawało się, że może akcja państw neutralnych, Papieża, prezydenta Roosevelta i ambasadora Anglii w Berlinie Hendersona da jakieś pozytywne rezultaty. Również ostatnie telefony z Berlina brzmiały nie tak tragicznie. Na wszelkie apele głów koronowanych do prezydenta odpowiadaliśmy, że wojny nie chcemy i do niej nie dążymy, ale w razie ataku będziemy się bronili. Ostatnie dni sierpnia spędzaliśmy prawie wyłącznie w ministerstwie, w godzinach nocnych drzemiąc przy telefonach na fotelach i kanapach.

Tak też zbudził mnie 1 września o godz. 5.50 rano telefon od wiceministra Komunikacji, inż. Piaseckiego, informujący, iż Niemcy w kilku punktach przekroczyli granicę polską, bombardując zarazem wszystkie lotniska i węzły komunikacyjne. Dałem od razu alarm na całe ministerstwo. Zresztą parę minut po tym hiobowym telefonie miał miejsce pierwszy alarm lotniczy i nalot nieprzyjacielski na Warszawę, jednak, dzięki naszej artylerii przeciwlotniczej, niezbyt udany. Pierwsze wizyty ambasadorów i posłów: pierwszy przyjechał poseł węgierski de Hory, wyrażając w imieniu swego narodu oburzenie na zdradziecki najazd niemiecki. Cały aparat wojenny poszedł w ruch. Pierwsza konferencja u marszałka Śmigłego i ożywiona działalność dyplomatyczna ministra Becka, ażeby stwierdzić agresję i wezwać aliantów na pomoc, do której byli zobowiązani. Instrukcje do wszystkich naszych placówek dyplomatycznych i dyrektywy na pierwsze dni wojny.

Co do mnie osobiście, to mimo iż jako oficer rezerwy w dniu mobilizacji zgłosiłem się do wojska, zostałem wyreklamowany przez władze wojskowe i przydzielony nadal do MSZ.

2-gi września. Niemcy napierają ze wszystkich sił, szalona przewaga motorowa i lotnicza. Ciągłe bombardowanie miast otwartych, bestialskie mordowanie ludności cywilnej, mimo oficjalnej zapowiedzi Hitlera, iż nie prowadzi wojny z ludnością cywilną. Protest wobec całego świata, a specjalnie Ameryki Północnej, i podanie poszczególnych faktów bombardowania miast otwartych. Stwierdzenie niesłychanej wprost sieci i doskonałej organizacji wywiadu niemieckiego. Niemcy są o wszystkim od razu poinformowani.

Posiedzenie Sejmu o 15-tej godzinie oraz Senatu o 16-tej: krótka mowa premiera i przywódców mniejszości ukraińskiej i żydowskiej, uchwalenie paru koniecznych ustaw. Coraz ostrzejszy nacisk min. Becka na aliantów, żeby dotrzyмали warunków aliansu i wypowiedzieli wojnę Niemcom.

3-ci września. Godzina 11-ta wypowiedzenie wojny przez Anglię, godzina 17-ta przez Francję, zaraz potem radiowe przemówienie min. Becka do narodu polskiego, stwierdzające agresję niemiecką i wejście Aliantów do wojny.

4-ty września. Rano msza św. w katedrze św. Jana dla całego rządu — w intencji zwycięstwa oręża polskiego, odprawiona przez prymasa Polski, kardynała Hlonda. Zaraz potem Rada Ministrów i pierwsze zarządzenia ewakuacyjne wydane przez premiera. Po Radzie Ministrów wizyta min. Becka u Marszałka, podczas której minister próbował przekonać go o konieczności ewakuacji wprost do Lwowa, twierdząc, że jeżeli już ma się odwagę na opuszczenie stolicy i jeżeli jest to nieodzowne, trzeba to zrobić jednym rzutem, oderwać się od nieprzyjaciela, skomasować tamże wszystkie ministerstwa, cały rząd i korpus dyplomatyczny, dać 50-ciu batalionom marszowym (które się formowały naokoło Lwowa), artylerii przeciwlotniczej i eskadrom myśliwskim rozkaz zebrania się we Lwowie, okopania się i bronięcia się tam do upadłego, mając wolne zaplecze (Rumunię i Węgry) — czyli możliwość wszelkich dostaw od Aliantów, wielkie zapasy broni i amunicji w Tarnopolskiem, benzynę w Zagłębiu Naftowym i dużo niezmobilizowanej jeszcze ludności. Przy sposobności rozwiązałoby się tym sposobem kwestię ukraińską, tym bardziej, że mniejszość ukraińska była w przeważającej części zdecydowanie po naszej stronie. Armiom zaś wydać rozkaz wycofywania się albo na Lwów, albo na Warszawę, stworzyć tam dwa ośrodki oporu i czekać skutecznej pomocy aliantów. Rozrzucenie zaś całego rządu i ministerstw po różnych miastach przy braku wszelkiej łączności i zapchaniu szos przez uciekinierów cywilnych nie da żadnych pozytywnych rezultatów i utrudni szalenie jakąkolwiek pracę. Niestety propozycja ta, jak i podobna, uczyniona po raz drugi w Brześciu, nie zostały zaaprobowane przez Naczelnego Wodza.

Godzina 17-ta. Odprawa wszystkich dyrektorów i naczelników ministerstwa przez min. Becka, zaznajomienie ich z narzucanym planem ewakuacyjnym i wydanie potrzebnych rozkazów. Zaraz potem ewakuacja drugiego rzutu personelu ministerstwa do Nałęczowa i Kazimierza nad Wisłą oraz wezwanie korpusu dyplomatycznego do opuszczenia Warszawy i przeniesienia się do Nałęczowa, do przygotowanych tam willi.

5-go września. Przygotowania do ewakuacji pierwszego rzutu ministerstwa i archiwów. Mniej więcej normalna praca ministra, dawanie instrukcji radiem na placówki, konferencje w Kwaterze Głównej oraz nacisk na Aliantów o skuteczniejszą i szybszą pomoc.

6-go września. Ostateczna ewakuacja ministerstwa, jednak w myśl rozkazów premiera już nie do Nałęczowa, a do Krzemieńca, wydanie rozkazów dla personelu uprzednio ewakuowanego do Nałęczowa i Kazimierza i powiadomienie korpusu dyplomatycznego o przejechaniu do Krzemieńca. Kierownikiem ministerstwa w Krzemieńcu zostaje mianowany min. Szembek, łącznikiem zaś przy Prezydium Rady Ministrów w Łucku min. Arciszewski. Min. Beck zdecydował się opuścić Warszawę ze swoim ścisłym sztabem i radiem ministerstwa (jednym z trzech) dopiero w wypadku opuszczenia stolicy przez Kwaterę Główną i początkowo trzymać się jej ze względu na konieczność stałego kontaktu Kwatery Głównej z Aliantami, również za pośrednictwem ministra Spraw Zagranicznych.

(...)

7-go września o godzinie 16-tej wizyta premiera i gen. Malinowskiego. O 18-tej konferencja u Marszałka, w której wziął udział gen. Sosnkowski.

9-go września. Dołącza do nas min. Chodacki wraz z całym swoim personelem Generalnego Komisarjatu w Gdańsku, haniebnie potraktowanym przez Niemców, wbrew wszelkim zwyczajom i przepisom prawa międzynarodowego. Po południu potworne bombardowanie samego miasta Brześcia, zupełnie nie bronionego i otwartego. Przez półtorej godziny padają bomby 500 kg. Atak spowodowany, mam wrażenie, dokładnymi informacjami wywiadu niemieckiego o miejscu pobytu min. Becka. Przez cały czas bombardowania byłem razem z min. Beckiem w jego mieszkaniu i obserwowaliśmy wspólnie skutki bomb. Po wizycie min. Becka u Marszałka i szefa sztabu w fortecy wyjechaliśmy na noc do Krzemieńca, gdzie Beck chciał się zobaczyć z korpusem dyplomatycznym. Po przejechaniu Kowla dojechaliśmy na wieczór do Łucka, gdzie Beck rozmawiał z premierem i min. Arciszewskim, po czym pojechaliśmy dalej i o północy dotarliśmy do Krzemieńca.

11-go września. Od samego rana wizyty różnych dyplomatów, w pierwszym rzędzie ambasadorów alianckich, nuncjusza i ambasadora Biddle'a. O godzinie 11.30 półtoragodzinna rozmowa min. Becka z ambasadorem Rosji, Szaronowym, który w imieniu swego rządu zapytywał, jaką pomocą może służyć Polsce oraz zakomu-

nikował, iż na własną odpowiedzialność dał wizy wjazdowe do Rosji polskiej misji wojskowej, która jechała do Moskwy po zakupy wojenne. Po południu odprawa całego korpusu dyplomatycznego, krótkie przemówienie ministra i prosta odpowiedź dziekana korpusu, Jego Eminencji nuncjusza Cortesi.

12-go września. Rano bombardowanie Krzemieńca i duża liczba ofiar wśród ludności cywilnej (właśnie odbywał się jarmark na rynku). Przestrasch korpusu dyplomatycznego, który zaczyna zbierać się do wyjazdu. Apel min. Becka do korpusu o zachowanie zimnej krwi. Wieczorem wyjazd ministra do Ołyki, gdzie rezydował Prezydent i gdzie odbyła się konferencja z udziałem premiera i Marszałka. Powrót w nocy do Krzemieńca.

13-go września. Rano normalna praca. Po południu wizyta nuncjusza i ambasadorów alianckich, o godz. 19-tej rozmowa z wojewodą Raczkiewiczem. W nocy nagła wizyta gen. de Faury, szefa misji francuskiej, który starał się nakłonić min. Becka, żeby natychmiast wraz z całym ministerstwem wyjeżdżał w stronę Rumunii, gdyż niemiecka kolumna pancerna przedarła się na północ od Lwowa i grozi odcięciem nas od granicy rumuńskiej. Gen. de Faury mówił w imieniu ambasadora Noëla i własnym, twierdząc, że jako wojskowy ma prawo namawiać min. Becka, żeby ratował siebie i swoich urzędników przed ewentualną niewolą niemiecką. Beck odpowiedział na to, że bez rozkazu premiera nie ruszy się z Krzemieńca. Dalsze namowy gen. de Faury pozostały bez skutku.

14-go września. Rano przyszedł od premiera rozkaz dalszej ewakuacji do Kosowa i Kut. Zawiadomienie korpusu dyplomatycznego i ewakuacja ministerstwa do Kut po osi marszu Wiśniowiec - Zbaraż - Trembowla - Tarnopol - Kopyczyńce - Horodenko i Kosów. Dojazd do nowego miejsca postoju pod wieczór i dyslokacja ministerstwa.

15-go września. Na nowo organizacja urzędu. Korpus dyplomatyczny przeważnie osiedlił się w Czerniowcach, ambasador rumuński zaś pojechał nawet dalej, aż do Bukaresztu. Rano wizyty gen. Kasprzyckiego i Rayskiego. Po południu wyjazd do Kosowa do premiera i do Kołomyi do Marszałka. Wieczorem konferencja z naszym konsulem w Czerniowcach, p. Buynowskim. Potem wizyta ambasadora Rumunii i min. Arciszewskiego. W tym dniu dojechał też ambasador Lipski.

16-go września. Od samego rana wizyty gen. Kasprzyckiego, Rayskiego w sprawie ewakuacji lotników polskich do Rumunii, a później dalej do Francji i Anglii. Następnie wizyty min. Kwiatkowskiego, amb. Noëla, Biddle'a, nuncjusza, gen. Zajęca, dyr.

Schimiczka w sprawie budżetu placówek MSZ, min. Raychmana w sprawie FON-u, wreszcie wieczorem konferencja z wojewodą Raczkiewiczem. Po południu telefon od premiera, donoszący o zwycięstwie gen. Sosnkowskiego pod Gródkiem Jagiellońskim. Odbyla się również konferencja z prawnikami MSZ, nac. Kulskim i Potulickim, w sprawie prawnego przygotowania ewentualnego przejścia rządu przez granicę rumuńską. Następstwem tej konferencji był wyjazd nac. Potulickiego do Czerniowiec do Biblioteki Uniwersyteckiej w celu przygotowania memoriału w tej sprawie dla min. Becka. Przyjazd z Bukaresztu zawezwanego telefonicznie ambasadora Rogera Raczyńskiego i dłuższa narada z min. Beckiem, po której to rozmowie i przenocowaniu w Kutach ambasador wyjechał do Czerniowiec i Bukaresztu.

17-go września. Rano o 6-tej wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski, wzdłuż całej granicy, od Połocka do Śniatynia. Protest min. Becka za pośrednictwem korpusu dyplomatycznego i naszego konsulatu w Czerniowcach wobec całego świata, stwierdzający zarazem nową agresję. Niestety komunikacja radiowa z naszymi placówkami prawie już nie istniała, szyfry zaś, przychodzące do ambasady R.P. w Bukareszcie z przeznaczeniem dla min. Becka, do nas nie dochodziły. Sowiety motywowały swój krok koniecznością wzięcia w obronę uciskanych ludów rosyjskich, jednak zarazem ogłosiły całkowitą neutralność w wojnie polsko-niemieckiej. Wizyty z samego rana gen. Kasprzyckiego i Rayskiego, jak również wiceministra Skarbu Morawskiego. Wyjazd min. Becka do Kosowa i Kołomyi, gdzie znajdowała się Kwatera Główna, po czym powrót do Kut, gdzie zastaliśmy już prezydenta Mościckiego.

Po południu rozmowa Ministra z ambasadorem Rumunii, specjalnym wysłannikiem króla, który zapytał w imieniu rządu rumuńskiego, co rząd polski wybiera w razie konieczności przejścia granicy rumuńskiej, czy *droit de résidence* czy *droit de passage*. Po dłuższych naradach stanęła umowa formalna pod względem prawa (Konwencja Haska z 1895 roku) i uzgodniona z aliantami, iż rząd polski w razie konieczności przekroczy granicę rumuńską używając *droit de passage*, przypuszczalnie w kierunku na Constanzę (gdzie miały czekać angielskie statki wojenne), żeby osiedlić się tymczasowo na terenie Francji, stosując tzw. *cas belge* z 1914 roku, polegający na tym, że rząd francuski oddałby do dyspozycji rządu polskiego pewne miasto jako eksterytorialne i jako tymczasową stolicę.

W tym duchu utrzymany był manifest Prezydenta do narodu polskiego, będący wynikiem konferencji, w której brali udział

poza Prezydentem Marszałek, premier i min. Beck. Manifest powyższy wykazywał konieczność przejścia Prezydenta wraz z rządem granicy polskiej w celu uratowania symbolu państwa i ciągłości władzy, gdyż może się w wojnie alianckiej zdarzyć, że pewien obszar czy terytorium jakiegoś państwa zostanie przez nieprzyjaciela czasowo zajęte.

Pod wieczór jeszcze raz wizyta amb. Noëla i Grigorcia (rumuńskiego). Wreszcie wieczorem o 21-szej telefon z Kosowa od Marszałka, proszący, żeby Prezydent wraz z całym rządem natychmiast przekroczyli granicę polską, gdyż pierwsze zmotoryzowane oddziały bolszewickie są już o 20 km od Kut.

O godzinie 21.45 Prezydent, rząd i min. Beck przekroczyli granicę rumuńską. O 1-szej w nocy dojechalśmy do Czerniowiec, gdzie Beck udał się do rezydenta królewskiego.

Rano rozmowy min. Becka z przedstawicielami rządu rumuńskiego, urzędnikami MSZ, jak również wizyta u Prezydenta i u ambasadorów Anglii i Francji. Żądanie władz rumuńskich natychmiastowego wyjazdu z Czerniowiec w kierunku południowym, gdyż w Czerniowcach ogłoszono stan wojenny i odbywa się koncentracja wojsk rumuńskich w obliczu grożącego ataku Rosji. Po południu wyjazd pociągiem Prezydenta i rządu. Min. Beck jechał samochodem przez Siret, Suceava, Fălticeni, Roman, Bacau, Terg-Ocna do Slanic Moldova, gdzie została nam wyznaczona tymczasowa siedziba dla całego rządu, skąd mieliśmy jechać dalej po przygotowaniu nam trasy przez Rumunów. Prezydenta zaś umieszczono w Bicaz i od razu odcięto wszelką z nim komunikację. Po przyjeździe do Slanic dowiedzieliśmy się, że jesteśmy formalnie (choć bezprawnie) internowani. Byliśmy pod bardzo ścisłą obserwacją policyjną, szlaban zamykał jedyną drogę wyjazdową, na wyjazd do Terg-Ocna po zakupy trzeba było prosić za każdym razem o przepustkę. Komunikacja telefoniczna nie istniała, gdy zaś drogą łapówek dostawaliśmy połączenie z naszą ambasadą, ta nie odpowiadała na nasze wezwania. W myśl poprzedniego porozumienia zaraz po naszym przyjeździe do Slanic miał przyjechać minister Spraw Zagranicznych Gafenco dla ułożenia z min. Beckiem warunków dalszej jazdy i załatwienia wszelkich formalności. Zamiast niego przyjechał radca ministerstwa, pan Dimitrescu, który niczego nowego nie wniósł do sprawy. Rzadkie wiadomości radiowe z Polski. Coraz ostrzejsza kontrola policyjna. Wiadomość o zamordowaniu premiera rumuńskiego Calinescu.

28-go września wiadomość o upadku Warszawy i Modlina. Obawa, że wobec internowania rządu polskiego w Rumunii Niemcy mogą łatwo stworzyć w Warszawie jakiś pseudopolski rząd.

Wiadomość, że prezydentowi Mościckiemu udało się przekazać konstytucyjnie swoją władzę nowemu następcy, prezydentowi Raczkiewiczowi. Wieczorem 30 września dymisja gabinetu premiera Sławoj-Składkowskiego, wysłana depeszą do Paryża, na ręce prezydenta Raczkiewicza. Tego samego dnia o godz. 21-szej ostatnia odprawa urzędników MSZ w pokoju Ministra. Oto tekst jego przemówienia do urzędników.

Na skutek nalegania aliantów przeniosłem swoją siedzibę z Kwatery Głównej Wodza Naczelnego do siedziby korpusu dyplomatycznego i biur ministerstwa, tj. do Krzemieńca. W czasie wojny minister Spraw Zagranicznych może więcej niż jego kole-dzy, powinien przewidywać i to przywidywać nawet rzeczy naj-gorsze. W drodze dyplomatycznej ustalony został z Rumunią, państwem *soi-disant* sojuszniczym, wolny przejazd głowy państwa i rządu.

Mimo, że chodziło tu o *casus foederis*, Polska chciała tylko wolnego przejazdu, na który uzyskała zgodę rządu rumuńskiego. Ale jak to w życiu bywa, w pewnych wypadkach wchodzi w grę element prawa i element strachu. W tym wypadku zwyciężył strach nad prawem. Chociaż, jak mi ostatnio donoszą, żaden z prawników rumuńskich nie kwestionuje, że prawo nie zostało w tym wypadku poszanowane. W tych warunkach uniemożliwio-ne zostało głowie państwa i rządowi wykonywanie ich funkcji. Wobec tego pan Prezydent postanowił skorzystać z przysługują-cego mu prawa i zrealizować poprzednio już przygotowany i dobrze zabezpieczony akt, zapewniający ciągłość władzy Rzeczpos-politej. Pan Prezydent ustąpił i następcą jego jest Władysław Raczkiewicz i on jest wyrazicielem suwerenności Rzeczypospolitej. Rząd podał się do dymisji. Wszystko co pan Prezydent zrobił, to rząd popiera, albowiem pomimo wszelkich kordonów policyj-nych został nawiązany z nim kontakt. Od jutra władzę Rzecz-pospolitej sprawować będzie rząd, wyznaczony przez nowego Pre-zydenta w Paryżu. Jemu musimy być posłuszni i lojalni...”

W końcowych słowach Minister podziękował urzędnikom za ich pracę, oświadczając, że będą mogli dalej służyć państwu swym długoletnim doświadczeniem bądź w urzędach, bądź w wojsku. Równocześnie polecił urzędnikom ministerstwa, którzy jeszcze byli w Słanic, żeby starali się uzyskać pozwolenie od Rumunów na wyjazd i wraz ze swoimi archiwami i aktami swoich wydzia-łów udali się do Paryża i ofiarowali swoje usługi nowemu rzą-dowi i wojsku polskiemu. Jedynym polskim rządem jest teraz rząd z siedzibą we Francji i jemu wszyscy Polacy muszą być posłuszni. Równocześnie wyznaczył kilku panów do przekazania

wszelkich agend ministerstwa swojemu następcy, jak też przesłał przez okazję min. Augustowi Zaleskiemu list odręczny, zawierający różne informacje. Urzędnicy ministerstwa wyznaczeni przez Ministra przekazali panu Szumlakowskiemu, ministrowi pełnomocnemu i delegatowi min. Zaleskiego wszelkie swoje agendy, akta, pieniądze, pieczęcie itp., sporządzając protokoły zdawczo-odbiorcze, podpisane przez obydwie strony.

Wobec coraz dotkliwszego zima, braku kaloryferów i innych wielkich niewygód w hotelu, w którym mieszkaliśmy, Rumuni przewieźli cały były rząd do Baile Herculane, wyłączając po drodze ministrów Becka i Romana, których ze względu na bardzo zły stan zdrowia przewieziono w okolice górską, w centrum Rumunii, mianowicie do Brasov. Tam wyznaczono nam hotel Aro do mieszkania, wszystkie pokoje razem na drugim piętrze. Dniami i nocami byliśmy pod bardzo ścisłą obserwacją tajnych agentów rumuńskich, wydalenie się poza obręb miasta wymagało za każdym razem uzyskania specjalnej przepustki, wydawanej przez władze centralne w Bukareszcie. Każdy, nawet pieszy spacer Ministra był pod obserwacją policyjną. Początkowo specjalny urzędnik rumuńskiego MSZ załatwiał wszystkie sprawy organizacyjne. Po jego wyjeździe zajmowaliśmy się tym my, dwaj byli sekretarze Ministra. Po zorientowaniu się, że dyrekcja hotelu używa wszelkich, nawet najnieprzyzwoitszych metod, żeby jak najwięcej zarobić, mając taką okazję, weszliśmy w kontakt z prefekturą i rumuńskim MSZ, aby położyć temu kres. Mimo naszych wysiłków i codziennej pracy, kontrolowania rachunków i wyklócania się z dyrekcją o ceny, zadanie nasze nie było łatwe i często napotykalismy na różne nieprzewidziane przeszkody, wobec których musieliśmy się ugiąć. Kto zna dobrze stosunki rumuńskie, ten łatwo może sobie wyobrazić, jak ciężką sytuację mieliśmy w Brasov. Początkowo przyjeżdżało dużo zagranicznych dziennikarzy, którzy używali różnych metod, aby dostać się do min. Becka i zrobić z nim wywiad. Próby ich jednak kończyły się zawsze niepowodzeniem, gdyż Beck odmawiał kategorycznie wszelkich rozmów na tematy polityczne, socjalne i narodowościowe. Odebyła się tylko raz rozmowa z redaktorem Valdo, Polakiem amerykańskim, który jadąc z okupowanej przez bolszewików Polski (był tam przez trzy miesiące) do Ameryki Północnej koniecznie chciał uzyskać chwilę widzenia z Ministrem. Beck go przyjął, zastrzegając się jednak od razu, że to nie ma być wywiad, tylko towarzyska rozmowa na temat różnych problemów. Prosił również o wiadomości z polskich terenów okupowanych.

Mimo ciągłych obietnic rządu rumuńskiego, że wypuści nas

z Rumunii, nie zanosiło się na to zupełnie. Na wszelkie nasze zapytania, jakim prawem jesteście internowani, stale padała odpowiedź, nawet całkiem jasna: „Nie możemy, presja niemiecka, nie możemy się narażać na wojnę, jeszcze trochę cierpliwości”. Mając w Brasov małą kolonię polską, złożoną przeważnie z robotników różnych państwowych fabryk lotniczych ewakuowanych z Polski, weszliśmy z moim kolegą do filii Centralnego Komitetu Pomocy dla Uchodźców Polskich w Rumunii, który znajdował się w Bukareszcie, aby przyjąć tym ludziom z pomocą (byliśmy filią tego komitetu na Brasov i okolice). Udało nam się uzyskać pracę w rumuńskich fabrykach lotniczych dla przeważającej liczby robotników, pozostali, nie pracujący, dostawali regularne zasiłki. Dzięki wydatnej pomocy YMCA i władz rumuńskich mogliśmy też udzielać pomocy odzieżowej, pieniężnej i innej. Mieliśmy własną świetlicę, gdzie odbywały się kursy języków obcych, zebrania i pogadanki. Urządziliśmy wspólną Wigilię i Święcone. Z chwilą rejestracji wojskowej ja, a później mój kolega (jako pełnomocnik na Brasov *attaché* wojskowego ambasady R.P. w Bukareszcie) zarejestrowaliśmy wojskowo wszystkich bez wyjątku, również min. Becka. Od stycznia zorganizowaliśmy wysyłkę do Francji poszczególnych robotników do wojska i fabryk, rodziny zaś ich do Algieru, zawsze w ścisłym kontakcie z Centralnym Komitetem i biurem *attaché* wojskowego. W samym Brasov mieliśmy też dużo pracy ze zwalczaniem bardzo aktywnej propagandy niemieckiej, która namawiała robotników do powrotu do kraju, obiecując im za to bardzo duże korzyści, przede wszystkim możliwość zobaczenia się z rodzinami w Polsce, a w przeciwnym razie grożąc represjami w stosunku do tych rodzin. Propaganda ta dawała z początku jakieś rezultaty, później jednak dzięki energicznej akcji Centrali w Bukareszcie została prawie całkowicie zastopowana. Zajmowaliśmy się oficerami polskimi uwięzionymi w więzieniu wojskowym w Brasov (złapani podczas ucieczki albo ci, którzy namawiali do niej). Dzięki interwencji u nuncjusza uzyskaliśmy stały przydział księdza polskiego do obozu junaków o 8 km od Brasov, w miejscowości Timisul de Jus, który niósł religijną pociechę wszystkim Polakom w okolicy (stałe msze św., spowiedź i komunie oraz rekolekcje). Udało się nam również pomóc paru oficerom w ucieczce z więzienia i odtransportowaniu ich do Bukaresztu. Zorganizowaliśmy także w świetlicy czytelną gazet, małą biblioteczkę oraz darmową pomoc i opiekę lekarską.

W tej całej działalności społecznej min. Beck prawie nie brał udziału, gdyż po pierwsze jego sytuacja była bardzo ciężka i delikatna, a po drugie Rumuni nie chcieli pozwalać na żadne jego kontakty z Polakami, poza ścisłym gronem, które było inter-

nowane razem z nim. Tylko my dwaj, sekretarze jego z czasów, gdy był ministrem Spraw Zagranicznych, dostaliśmy pozwolenie zajęcia się tymi sprawami i pracą społeczną, co też czyniliśmy, chcąc tym sposobem, choć internowani, przysłużyć się sprawie polskiej i ulżyć doli naszych uchodźców.

Dostawszy imienne powołanie do wojska polskiego, wyjechałem do Bukaresztu starać się o pozwolenie na wyjazd i dla załatwienia wszelkich innych formalności. Po załatwieniu ich opuściłem min. Becka definitywnie, zostawiając go w tym samym położeniu, w którym znajdował się od 4 października, tj. internowanego w Brasov.

Ludwik ŁUBIEŃSKI
podporucznik

Paryż, dnia 21 maja 1940 r.

P.S. Wobec licznych wysłanych z palca plotek, o których autentyczność pytał mnie por. Modelski z Komisji (jak np. że ministrowa Beckowa szmuglowała duże ilości dolarów w złocie, że minister Beck polował w Rumunii z ogarami na rogacze, że były jakieś orgie w hotelu Brasov, niszczenie mebli itp.), już po podpisaniu mego sprawozdania, na żądanie Komisji byłem zmuszony dodać ręcznie moje uwagi na ten temat.

„Niniejszym stwierdzam, że granicę polsko-rumuńską przekroczyłem jadąc w samochodzie min. Becka wraz z jego małżonką, z nim, panną Burhardt Bukacką, szoferem Władysławem Lisowskim i Janem Malewskim (agent bezpieczeństwa). Samochodu nam nie rewidowano, ani nie pytano nas o jakiekolwiek posiadane waluty.

W samochodzie były najniezbędniejsze rzeczy samego ministra i jego małżonki w ilości czterech walizek i jedna mała moja. Gros rzeczy ministrowa zostawiła w piwnicy w Liceum Krzemienieckim, potem wpadły one w ręce sowieckie. Czy min. Beck i jego małżonka posiadali jakieś waluty w dewizach, nie wiem, w każdym razie nikomu ich na granicy nie zgłaszano, bo nie byliśmy o to pytani i rumuńskiego oficera granicznego nie przekupywano. W ogóle całej kolumny samochodów rządowych nie rewidowano, ani nie wymagano zgłaszania jakichś walut. Wszelkie ułatwienia szybkiego przejazdu robił obecny na miejscu ambasador rumuński wraz z delegatem rumuńskiego *attaché* wojskowego. Minister Beck w Rumunii nie polował ani nie miał takich zamiarów. Życie jego i jego rodziny w całym okresie internowania było bardzo skromne. Żadne „orgie” i „niszczenie mebli” nie miały miejsca. W okresie mego pobytu w Rumunii u boku

ministra w Slanic, a potem w Brasov Beck był dwa razy w Bukareszcie, zaproszony przez rumuńskiego ministra Spraw Zagranicznych Gafenco, pod ścisłą obserwacją tajnej policji rumuńskiej, po czym wracał do Brasov.

Ludwik ŁUBIEŃSKI
podporucznik

POLSKI AUTOKEFALICZNY KOŚCIÓŁ PRAWOSŁAWNY W PRL

K O P I A

W y z n a w c y
Polskiego Autokefalicznego
Kościoła Prawosławnego

Czerwiec 1985.

PREZES RADY MINISTRÓW
POLSKIEJ RZECZPOSPOLITEJ LUDOWEJ
W a r s z a w a

W roku 1970 Synod Biskupów uchwalił, a dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań zatwierdził statut wewnętrzny PAKP, regulujący całokształt działalności Kościoła, określający prawa i obowiązki jego hierarchii. Wkrótce jednak po zatwierdzeniu zaczęło się lekceważenie postanowień statutu przez głównego sygnatariusza — Metropolitę Bazylego (Doroszkieвича). Naruszeniem tego podstawowego prawa charakteryzuje się cała 15-letnia kadencja zwierzchnika PAKP, szczególnie zaś niepokój społeczności prawosławnej wywołują fakty następujące:

1. Likwidacja w seminarium duchownym nauki języków białoruskiego i ukraińskiego, którymi posługuje się podstawowa masa wiernych, co z kolei przyczyniło się do obniżenia poziomu wykształcenia i autorytetu duchowieństwa.

2. Publiczne ekspozowanie w prasie i telewizji służalczego stosunku do władz w stopniu żenującym same władze, uwłaczającym godności człowieka i kapłana, a tym bardziej zwierzchnika Kościoła Autokefalicznego.

3. Trwonienie nieruchomości kościelnych, jak np. wolskiego cmentarza prawosławnego w Warszawie, gdzie od kilkunastu lat robi się systemem przemysłowym grobowce, a następnie sprzedaje ludności rzymskokatolickiej. Według szacunkowych danych sprzedano już za wielomilionowe sumy 22.000 miejsc, przekształcając powoli wpisany do rejestru zabytków cmentarz wyznaniowy w cmentarz komunalny. Metropolita przekonuje oponentów, że zmusił go do sprzedaży władze miejskie, grożąc wywłaszczeniem terenu pod budowę skansenu.

4. Prowadzenie bezkontrolnej gospodarki finansowej, zabezpieczanie bezkontrolności poprzez obsadę odnośnych etatów personelem z grona rodzinnego oraz permanentne utrzymywanie dekompletacji Komisji Kontroli, jak też mianowanie jej członków spośród służbowo podległego personelu.

Będąc typowym działaniem na szkodę PAKP, powyższe fakty stanowią pogwałcenie § 5, p. 2, podp. a) statutu, zalecającego Metropolicie dbałość

o dobro Metropolii, w części zaś dotyczącej Komisji Kontroli — również § 34.

5. Wykroczeniem bez precedensu w historii prawosławia stało się wyświecanie duchowieństwa z grona homoseksualistów. Jeszcze w latach siedemdziesiątych za uprawianie stosunków z seminarzystą Metropolita Bazyli musiał zdyktować ze stanowiska wychowawcy seminarium duchownego ówczesnego dyrektora kancelarii metropolitalnej, bowiem sprawa nabrała rozgłosu. Zamiast usunięcia ze stanu duchownego, Metropolita wyświęcił pierwszego na księdza, drugiego na biskupa, i skierował obu do jednej miejscowości. Rozwinęły się tam orgie potrzebujące pieniędzy, doszło więc dwukrotnie do kradzieży ogromnej sumy dotacji państwowych przydzielonych na remont katedry, skutkiem czego Metropolita dopingowany przez prokuratora, był zmuszony w marcu 1985 zawiesić biskupa w czynnościach na przeciąg roku. Są to dane zaczerpnięte bezpośrednio z relacji Metropolity Bazyłego.

Jest to już nie tylko wykroczenie przeciwko § 18, pkt b statutu wewnętrznego zalecającego czuwanie nad moralnością duchowieństwa, lecz świadome i celowe wprowadzanie rozkładu w Cerkiew prawosławną, kwalifikujące się z punktu widzenia wiernych do rzędu czynów przestępczych. I smutne refleksje budzi fakt, że Rada Państwa przyznała temu człowiekowi Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą.

6. Zgodnie z § 5 pkt 3 statutu wewnętrznego, Metropolita winien składać sprawozdanie ze swej działalności przed Soborem Krajowym. Aby więc uniknąć odpowiedzialności za swe czyny, Metropolita Bazyli nie zwołuje Soboru, co tworzy kolizję z § 29 pkt 1 statutu wewnętrznego, przewidującego zwoływanie Soboru przynajmniej raz na 7 lat. Torpedowanie tego obowiązku okazało się skuteczne, gdyż od zatwierdzenia statutu płynie już rok piętnasty, a Soboru nie było żadnego.

7. Ponieważ według statutu Sobór Krajowy może zwoływać tylko Metropolita i jego zastępca, to Metropolita Bazyli utrzymuje od roku 1979 vacat na stanowisku zastępcy. Jest to wykroczenie z § 10 statutu, który dopuszcza możliwość wakowania do trzech, zaś w wypadkach wyjątkowych do sześciu miesięcy, i to za zgodą władz państwowych. W tej sytuacji, formalnie biorąc, nie ma żadnej możliwości przełamania blokady Soboru.

Urząd do Spraw Wyznań doskonale orientuje się w sytuacji, otrzymuje bowiem indywidualne i grupowe skargi w tej sprawie, adresowane do prezesa Rady Ministrów, jednak nie reaguje, a nawet, wbrew przepisom art. 32 § 1 Kodeksu Postępowania Administracyjnego — nie odpowiada na skargi.

Toteż my, niżej podpisani, pokładając się na autorytet osoby premiera w państwie, prosimy o spowodowanie jak najszybszego zwołania nadzwyczajnej sesji Soboru Krajowego PAKP, gdyż istniejącego stanu rzeczy nadal tolerować nie wolno. Ostatni Sobór Cerkwi prawosławnej w Polsce (Kongregacja Pińska) odbył się jeszcze za króla Stanisława Augusta w roku 1791, a więc po upływie dwóch wieków czas najwyższy zwołać następny.

(—) tu następują podpisy.

Otrzymują do wiadomości:

Patriarcha Konstantynopolski, Patriarcha Aleksandryjski, Patriarcha Jeruzolimski, Patriarcha Moskiewski, Patriarcha Gruziński, Patriarcha Serbski, Patriarcha Rumuński, Patriarcha Bułgarski, Metropolita Czechosłowacji, Metropolita Finlandii, Metropolita USA i Kanady, Arcybiskup Albański, Arcybiskup Aten, Arcybiskup Cypryjski, Światowa Rada Kościołów, Komisja Obrony Praw Człowieka i Obywatela ONZ.

Mimo upływu czasu memoriał powyższy jest nadal jak najbardziej aktualny. — *Red.*

Marek Kazimierz KAMIŃSKI
(Warszawa)

POLSKO-CZECOSŁOWACKIE STOSUNKI POLITYCZNE PRZED KONFERENCJĄ TRZECH MOCARSTW W POCZDAMIE* (maj-czerwiec 1945 roku)

Trwająca od 17 lipca do 2 sierpnia 1945 roku konferencja przywódców trzech zwycięskich mocarstw koalicji antyhitlerowskiej: Związku Sowieckiego, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, w Poczdamie zakończyła się dużym sukcesem z punktu widzenia polskich interesów terytorialnych. Jak wynikało z jej końcowego komunikatu mocarstwa wyraziły zgodę na przekazanie polskiej administracji terenów między przedwojenną zachodnią granicą Polski a rzekami Odrą i Nysą Łużycką do chwili ostatecznego uregulowania zachodniej granicy Polski na konferencji pokojowej¹. To ostatnie zastrzeżenie z biegiem czasu nabierało coraz bardziej formalnego charakteru, choć w pierwszych latach powojennych stanowiło dogodny punkt zaczepienia dla tych wszystkich sił politycznych w Europie i na kontynencie amerykańskim, które z różnych powodów nie życzyły sobie powiększenia obszarów Polski na zachodzie, mimo iż wschodnia granica Polski uległa przecież przesunięciu w tym samym kierunku. Można wszelako przyjąć, że postanowienia poczdamskie stanowiły istotną cezurę dzielącą świeżo zapoczątkowaną erę powojenną na dwa jakościowo różne okresy. Miesiące od maja do czerwca odznaczały się spontanicznością działań podejmowanych przez polskie władze państwowe podobnie zresztą jak i przez kierownictwo sąsiedniej Czechosłowacji. Wszelkie warianty rozwiązań terytorialnych wydawały się wówczas Warszawie i Pradze możliwe do wykonania, gdyż w obu stolicach rozumowano kategoriami tworzenia faktów dokonanych, wychodząc z prawidłowego założenia,

* Artykuł ten trzykrotnie był zatrzymywany przez cenzurę PRL, kolejno w następujących periodykach historycznych: „Studiach z Dziejów ZSRR i Europy Środkowej” (w 1982 r.), „Przeglądzie Historycznym” (w 1983 r.) oraz „Kwartalniku Historycznym” (w 1984 r.). Obecna jego wersja została wzbogacona o kilka dodatkowych informacji.

1. *Documents on polish-soviet relations 1939-1945*, vol. II, London 1967, str. 634; por. Roman Buczek, *Udział delegacji polskiej w Konferencji Poczdamskiej w 1945 roku*, *Zeszyty Historyczne* nr 34, Paryż 1975, str. 85-135.

że podobne postępowanie jest koniecznością w nie wyjaśnionej do końca sytuacji, gdy na mapie europejskiej nie zostały jeszcze wyraźnie zarysowane kontury odradzających się państw Europy Środkowo-Wschodniej. Po konferencji poczdamskiej szereg wątpliwości i nadziei jeśli nie zostało wyeliminowanych z umysłów polityków polskich i czechosłowackich, to musieli oni sobie uzmysłowić, że zostały na nich nałożone poważne ograniczenia, co do metod realizacji stawianych celów politycznych. Dla badacza dziejów najnowszych okres pierwszy, nazwijmy go przedpoczdamskim, wydaje się szczególnie frapujący ze względu na swój niepowtarzalny charakter.

Stosunki polsko-czechosłowackie były zaś zdeterminowane dwoma sporami terytorialnymi: strona polska pragnęła przyłączenia do Polski Zaolzia, które niespodziewanie dla polskich czynników kierowniczych znalazło się w rękach czechosłowackiej administracji, strona czechosłowacka zaś usiłowała rozciągnąć swoją władzę na północ od Sudetów, napotykając tam na nowych polskich gospodarzy. Szczegółowe prześledzenie stosunków polsko-czechosłowackich pozwoli nam na zapoznanie się z dotychczas mało znanymi wydarzeniami historycznymi ułatwiającymi zrozumienie w ogóle specyfiki okresów, w których wszystko jest dopiero *in statu nascendi*.

W dniach od 3 do 5 maja Armia Czerwona oczyściła Zaolzie z wojsk niemieckich². W chwili wypędzenia oddziałów hitlerowskich Polacy zaolziańscy zamieszkujący ten obszar w liczbie około 100 tysięcy osób³ nie wiedzieli jeszcze, że niedługo będą mogli

2. Raport M. Lechowicza do poselstwa polskiego w Pradze, 19. VII. 1945. Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych (dalej AMSZ).

3. Według spisu niemieckiego z grudnia 1939 roku na Zaolziu 51.631 osób podało narodowość polską, 46.512 osób narodowość czeską, 78.468 osób tzw. narodowość śląską (termin wprowadzony przez Niemców), a 38.430 osób narodowość niemiecką. Ponieważ w odróżnieniu od Polaków Czesi, znacznie lepiej traktowani przez okupantów hitlerowskich, nie byli zainteresowani w deklarowaniu tzw. narodowości śląskiej, należy przypuszczać, iż tę ostatnią w dużym stopniu stanowili Polacy, chroniący się w ten sposób przed niemieckim aparatem terroru. Gdyby założyć, że wszyscy tzw. Ślązacy byli Polakami, wówczas ludność polska liczyłaby 130.099 osób, a więc znacznie więcej niż Czesi i Niemcy razem wzięci (84.942 osoby). O tym, że Polacy w dużej części podawali się za Ślązaków by uniknąć represji, świadczy również fakt, że we wschodniej części Śląska Cieszyńskiego, należącej do Polski przez cały okres międzywojenny, tylko 15.139 osób zadeklarowało narodowość polską, a 48.124 — tzw. narodowość śląską. Statystyka niemiecka odnotowała na tym terenie 55 Czechów. (Uwagi do niemieckiego spisu ludności, marzec 1947, z PPS-Wydz. Zagr., sygn. 235/XIX, t. 26, k. 7-12, Archiwum Zakładu Historii Partii). W Polsce uważano, że na Zaolziu mieszka około 100 tys. Polaków. (Memoriał pt. „W sprawie stosunku Polski do Czecho-

cieszyć się uzyskaną wolnością. Uroczysty rozkaz premiera Josifa Stalina dla wojsk sowieckich, w którym była mowa o wstąpieniu Armii Czerwonej na terytorium Czechosłowacji i oswobodzeniu miasta Cieszyna został odpowiednio zinterpretowany przez stronę czechosłowacką⁴. Spontanicznie tworzona polska administracja została w ciągu sześciu dni od momentu wyzwolenia zlikwidowana przez konkurencyjne czeskie władze mające poparcie miejscowego komendanta sowieckiego. Czeska powiatowa rada narodowa zainstalowała się w Cieszynie Zachodnim⁵.

Nieoczekiwany zupełnie obrót spraw na Śląsku Zaolziańskim zaskoczył najwyższe czynniki polskie. Polacy zaolziańscy dodatkowo zrozpaczeni szykanami czeskiej administracji, takimi jak zwalnianie z pracy, wyrzucanie z mieszkań, traktowanie na równi z Niemcami, jeśli chodzi o kolejność nabywania w sklepach produktów żywnościowych, wysłali delegację do Katowic do wicewojewody Wengierowa. Wengierow udał się do Warszawy, gdzie 16 maja zapoznał prezydenta KRN Bolesława Bieruta ze złożonymi na jego ręce skargami. Otrzymał następnie polecenie zbadania sprawy na miejscu. Informacje zdobyte przez wicewojewodę z jego podróży w dniach od 16 do 18 maja uświadomiły w pełni rządowi polskiemu, iż został on postawiony przez stronę czechosłowacką przed faktem dokonanym.

Granica sprzed roku 1938 oddzielająca Zaolzie od reszty Śląska Cieszyńskiego była obsadzona przez straż czeską. Właśnie 18 maja dotarło do miejscowych władz sowieckich rozporządzenie gen. Nikołaja Bułganina, aby zachować administrację czeską na Śląsku Zaolziańskim. Sowieckie wojska pograniczne dostały również rozkaz szczelnego zamknięcia granicy. Pozostawało to w związku z kursującą plotką, że wojsko polskie szykuje się do zajęcia Zaolzia przemocą⁶. W rzeczywistości na Śląsku Cieszyńskim nie było nawet jeszcze polskich jednostek. Rozpowszechnianie

słowacji", 14. V. 1946, z PPS-Wydz. Zagr., sygn. 235/XIX, t. 26, k. 1-5 AZHP). Czołowy działacz KPCz w Morawskiej Ostrawie, późniejszy redaktor naczelny *Rudého práva*, Vilem Novy, oceniał liczbę Polaków „w przybliżeniu na 70 do 80 tysięcy” (V. Novy, *Život a revoluce*, Praha 1975, str. 221). Według danych przedłożonych rządowi czechosłowackiemu Zaolzie zamieszkiwało pod koniec okupacji niemieckiej w 1945 roku 104,5 tys. Polaków i 87,8 tys. Czechów. K. Kaplan, *Poválečné Československo. Československo 1945-1948. Narody a hranice*. Mnichov 1985, str. 210, przypis 25).

4. V. Novy, *op. cit.*, str. 193-194.

5. Raport Lechowicza, 19. VII. 1945; Sprawozdanie z podróży służbowej po Śląsku Cieszyńskim wicewojewody katowickiego Wengierowa dla prezydenta Bieruta, między 18 a 22. V. 1945, AMSZ.

6. Sprawozdanie Wengierowa.

mylnych pogłosek było bardzo na rękę władzom czeskim, którym udało się zresztą osiągnąć zamierzony efekt. Oddzieliły się do datkowo od północnego sąsiada sowieckim kordonem.

Rząd polski znalazł się w sytuacji wymagającej podjęcia natychmiastowej decyzji. 22 maja został wysłany do rządu sowieckiego *aide-mémoire*, w którym strona polska przedstawiła swoje stanowisko wobec faktów zaistniałych na Śląsku Zaolziańskim. Przeczyły one, zdaniem polskiego rządu, przyjętym ustaleniom podczas wizyty w Moskwie polskiej delegacji rządowej w kwietniu 1945 roku. Uzgodniono wówczas, że wobec wyraźnej kolizji interesów czechosłowackich i polskich Śląsk Zaolziański nie będzie podporządkowany ani polskiej ani czechosłowackiej administracji. Do momentu ostatecznego rozwiązania problemu cała władza miała spoczywać w rękach sowieckich komendantów wojennych współpracujących z miejscowymi komitetami narodowymi jako ciałami przedstawicielskimi miejscowej ludności. Zastrzeżono, że prawa polskich mieszkańców Śląska Zaolziańskiego nie mogą być w żadnym wypadku uszczuplone. Zapowiedziano, że ochrona granicy będzie spoczywać wyłącznie w gestii wojsk sowieckich. Nie sprecyzowano jednak wyraźnie, czy Śląsk Zaolziański zostanie podobnie jak od strony polskiej oddzielony granicą od strony czechosłowackiej. Usłne uzgodnienie przyjęte w Moskwie potwierdził wobec władz polskich przebywający w Warszawie generał armii Bułganin.

W nocy podnoszono, iż wbrew zasadzie niepodporządkowywania Śląska Zaolziańskiego którejkolwiek ze stron ubiegających się o to terytorium, władzę przejęła administracja czeska, głosząc otwarcie, że Zaolzie stanowi integralną część Czechosłowacji i że problem został już rozstrzygnięty na korzyść republiki. Wraz z administracją zjawily się tam wojska czechosłowackie i straż graniczna⁷. Strona polska proponowała, by wojskowe władze sowieckie po otrzymaniu odpowiednich dyrektyw spowodowały odwołanie przysłanej z Morawskiej Ostrawy administracji czeskiej oraz wyprowadzenie wojska czechosłowackiego, straży pogranicznej i milicji. Wówczas zaistniałyby warunki do rozwiązania nabrzmiałego problemu.

Rząd polski wystąpił też z koncepcją zorganizowania do 1 lipca mieszanej polsko-czechosłowackiej komisji, która zajęłaby się rozstrzygnięciem sporu. Rozmowy bilateralne między Czecho-

7. *Aide-mémoire* Rządu Tymczasowego RP do rządu sowieckiego, 22. V. 1945, AMSZ, oraz Protokół nr 11 z posiedzenia Prezydium KRN w dniu 25. V. 1945, z KRN, Biuro Prezydialne KRN — Wydział Prawny, t. 2, k. 59, Archiwum Akt Nowych (dalej AAN).

słowacją a Polską wydawały się rządowi polskiemu koniecznością ze względu na większość polską zamieszkującą Śląsk Zaolziański⁸. W nocy zastrzegano się przy tym, że rząd polski nadal zajmuje stanowisko negatywne wobec zajęcia Zaolzia w roku 1938⁹.

25 maja kwestia Zaolzia stała się przedmiotem narady na posiedzeniu Prezydium KRN. Po zreferowaniu sytuacji przez prezydenta KRN Bieruta, zabrali głos marszałek Michał Rola-Zymierski oraz Roman Zambrowski. Minister obrony narodowej domagał się postawienia sprawy w „sposób zasadniczy”, by „skłonić Czechosłowację do bardziej demokratycznego postępowania”. Zambrowski zgłosił wniosek konkretnego sprecyzowania stanowiska polskiego w kwestii zaolziańskiej oraz postawienia problemu na forum publicznym. Propozycje obu mówców zostały zaakceptowane przez Prezydium¹⁰. Najszybciej należało uporać się z wypracowaniem różnych wariantów rozwiązań problemu granicznego, by móc przygotowany materiał przedłożyć stronie czechosłowackiej.

28 maja został wypracowany przez komisję rzeczoznawców: dr. Lutmana, dr. Stanisława Leszczyckiego i dr. Romana Staniewicza, szkic propozycji dla rządu czechosłowackiego w sprawie rozgraniczenia terytoriów na Śląsku Cieszyńskim.

Autorzy sugerowali, iż po drugiej wojnie światowej zaistnieją dotychczas nie spotykane warunki współpracy gospodarczej między państwami. W związku z tym stare jeszcze przedwojenne argumenty strony czechosłowackiej za utrzymaniem Zaolzia w granicach republiki ze względu na pokłady wysoko koksującego węgla, huty żelaza oraz kolej łączącą Czechy i Morawy ze Słowacją traciły zdaniem polskich ekspertów na aktualności.

Rzeczoznawcy proponowali również obiecać, że rząd polski gotów byłby zawrzeć „trwałe porozumienie” z rządem czechosłowackim, na mocy którego przedsiębiorstwa czechosłowackie otrzymywałyby węgiel koksujący. Również podpisano by „trwałą umowę” zapewniającą stronie czechosłowackiej możliwość „pełnego wykorzystania i współużywania” tego odcinka kolei koszyczko-bogumińskiej, który znajdowałby się na terytorium Polski. Autorzy mówili o możliwościach dalszych koncesji gospodarczych.

Ubolewając nad tym, że rozgraniczenie z 5 listopada 1918 roku na Śląsku Cieszyńskim nie stało się punktem wyjścia dla

8. Por. przypis 3.

9. Aide-mémoire, 22. V. 1945.

10. Protokół nr 11 z posiedzenia Prezydium KRN w dniu 25. V. 1945, z KRN, Biuro Prezydyjne KRN — Wydział Prawny, t. 2, k. 59, AAN.

ostatecznego ustalenia granicy, proponowali natychmiastowe wyznaczenie prowizorycznej linii demarkacyjnej oddzielającej administrację czechosłowacką od polskiej. Zakładali bowiem, że załatwienie problemu granicy „nawet w najbardziej przyjaznej atmosferze i przy największym pośpiechu będzie wymagało pewnego czasu”.

Eksperci brali pod uwagę cztery możliwe warianty linii demarkacyjnej. Przyjęcie któregośkolwiek z nich oznaczałoby dla Czechosłowacji wycofanie się z Zaolzia i pozostawienie inicjatywy stronie polskiej. Wszystkie warianty były jednak bardziej korzystne dla Czechosłowacji niż granica z 1 października 1938 roku. Oddawały też Czechosłowacji w porównaniu z rozgraniczeniem z 5 listopada 1918 roku sześć gmin w swoim „środkowym biegu”¹¹. Jedną z linii demarkacyjnych w pozostałym swoim „biegu” pokrywała się z linią z 1918 roku. Przy trzech innych wariantach Polska w północnym odcinku linii demarkacyjnej zyskiwała i traciła w porównaniu z rokiem 1918: w pierwszym przypadku zyskiwała cztery gminy, a traciła dwie, w drugim przypadku zyskiwała tylko dwie gminy i traciła te same dwie, co poprzednio, a w ostatnim przypadku zyskiwała dwie wspomniane gminy, tracąc natomiast jedenaście¹².

Oprócz pierwszej propozycji rozgraniczenia wszystkie pozostałe linie demarkacyjne przecinały na mniejszym lub większym odcinku linię kolejową Bogumin - Cieszyn Zachodni - Czadca. Ostatni wariant przewidywał nawet oddanie Bogumina z okolicą w ręce czechosłowackie. Byłoby to związane z odstąpieniem Czechosłowacji zakładów metalurgicznych w Boguminie. We wszyst-

11. Mapa sztabowa z nakreślonymi liniami proponowanego rozgraniczenia załączona do szkicu propozycji rzeczoznawców; chodzi tutaj o następujące gminy: „Dobranice, Trzonowice Dolne, Trzonowice Górne, Domasłowice Górne, Domasłowice Dolne, Szobiszowice, AMSZ.

12. *Ibidem*.

Wariant IA:

w północnym odcinku linia demarkacyjna pokrywa się z linią z 5. X. 1918.

Wariant IB:

Polska zyskuje gminy: Orłowa, Łazy, Sucha Dolna, Sucha Średnia, traci: Rychwałd, Poręba.

Wariant IC:

Polska zyskuje gminy: Sucha Dolna, Sucha Średnia, traci: Rychwałd, Poręba.

Wariant II:

Polska zyskuje gminy: Sucha Dolna, Sucha Średnia, traci: Rychwałd, Poręba, Dzieńmorowice, Lutynia Polska, Lutynia Niemiecka, Wieszniewice, Skrzeczów, Zabłocie, Szonchel, Pudłów, Bogumin.

kich wypadkach Polska posiadałaby huty żelaza w Trzyńcu oraz Karwinę — centrum zagłębia węglowego. Największy obszar zagłębia węglowego większy niż w roku 1918 odpowiadający bowiem nabytkom z roku 1938 przypadłby Polsce w wypadku drugiego rozwiązania¹³.

Cele nakreślone w projekcie ekspertów wybiegały jednak znacznie dalej niż polskie postulaty sformułowane w nocie do rządu sowieckiego. O ile bowiem rządowi polskiemu chodziło o usunięcie czeskiej administracji z Zaolzia i powołanie komisji mieszanej złożonej z przedstawicieli obu państw w celu ustalenia granicy, o tyle rzeczoznawcy zakładali, że wojsko polskie obsadzi sporny teren, do którejś z czterech proponowanych linii i dopiero wtedy rozpoczną się pertraktacje na temat ostatecznego przebiegu granicy. Wówczas jednak praktycznie biorąc problem byłby już rozwiązany po myśli polskiej, a wszelkie dalsze dyskusje miałyby charakter *pro forma*. Takie ujęcie sprawy było w istniejących warunkach zupełnie nierealne. Toteż gdy zdecydowano się na wariant drugi tzw. linię z 4 czerwca 1945 roku była ona brana pod uwagę nie jako linia demarkacyjna, ale jako konkretna propozycja ostatecznej granicy między Polską a Czechosłowacją na Śląsku Cieszyńskim¹⁴.

Już więc na przełomie maja i czerwca strona polska przygotowała się do wystąpienia ze sprecyzowanymi bliżej postulatami. Potrzebna była jeszcze tylko akcja dyplomatyczna przeprowadzona w „sposób zasadniczy” i zorganizowana kampania prasowa, by wprowadzić w życie wnioski zatwierdzone przez Prezydium KRN.

Zanim jednak do tego doszło strona czechosłowacka wszczęła na drodze dyplomatycznej działanie mające na celu przyłączenie do republiki niektórych terenów byłej Rzeszy Niemieckiej, które znalazły się już pod polską administracją. Tymczasem miesiąc maj zdawał się nie zapowiadać przeciętnie poinformowanemu czytelnikowi gazet w Polsce zbliżającej się burzy w stosunkach polsko-czechosłowackich.

Rząd polski mógł nawet na swoim koncie odnotować pewne osiągnięcie. Strona czechosłowacka zdecydowała się w myśl jego postulatu na zwrot Górnego Spisza i Orawy przed wojną należących do państwa polskiego. 20 maja nastąpiło w Trstenej na Słowacji podpisanie odpowiedniego protokołu przez przedstawicieli władz polskich z Nowego Targu oraz zastępcę przewodniczącego Słowackiej Rady Narodowej mjr. Milana Polaka. Po tym

13. Chodzi tutaj o wariant IB zwany później linią z 4. VI. 1945.

14. Memorandum w sprawie Śląska Cieszyńskiego z czerwca 1945, mające być podstawą dyskusji ze stroną czechosłowacką, AMSZ.

akcie tego samego dnia słowacka straż została wycofana na granicę sprzed roku 1938¹⁵.

Moment rezygnacji z Górnego Spisza i Orawy na rzecz Polski był związany z umocnieniem się administracji czeskiej na Zaolziu. Śląsk Zaolziański miał dla Czechosłowacji ze względów gospodarczych priorytetowe znaczenie. Czynniki czechosłowackie przeszły więc do porządku dziennego nad manifestacją urządzoną w Jablonce na Górnjej Orawie przez trzy tysiące osób przeciw przyłączeniu tej ziemi do Polski. Władze czechosłowackie pragnęły bowiem wzmocnić swój tytuł do Zaolzia. Mogły głosić, iż poniosły ofiarę na rzecz zasady utrzymania granic przedmonarchijskich republiki i tego samego spodziewają się od strony polskiej. Zdawały też sobie sprawę z tego, że administracji polskiej nie będzie łatwo zacząć urzędowanie w warunkach fermentu wśród miejscowej ludności Górnego Spisza i Orawy. Wicestarosta nowotarski Witke musiał już w trzy dni po podpisaniu protokołu w Trstenej zwrócić się do wojewody krakowskiego z prośbą o przysłanie wojska ze względu na bardzo napiętą sytuację¹⁶. W rezultacie polska administracja została wprowadzona na Górnym Spiszu i Orawie dopiero w lipcu, po fiasku czerwcowych rozmów polsko-czechosłowackich w Moskwie.

Pod koniec maja dało się już zauważyć, że kwestia Kłodzka zaprzęta uwagę czynników czechosłowackich. Oficjalny organ partii narodowych socjalistów *Svobodne Slovo* z 28 maja wydrukował niewielki artykuł pt. „Nie zapominamy o Łużycach i Kłodzku”. Autor dochodził do wniosku, że wszystko co czeskie musi wrócić do Czechosłowacji, a więc między innymi Śląsk Zaolziański i Kłodzko. *Svobodne Slovo* zresztą nie rozpoczynało żadnej kampanii prasowej. Rząd czechosłowacki widocznie uważał, iż należy zacząć od akcji dyplomatycznej, tym bardziej że atmosfera polityczna wydawała się, jeśli nie sprzyjająca realizacji celów czechosłowackich, to przynajmniej niedogodna z punktu widzenia zamierzeń rządu polskiego w sprawie ziem na zachód od przedwojennej granicy Polski.

Począwszy od końca marca, gdy prasa polska ogłosiła powrót Śląska Opolskiego do macierzy, mocarstwa anglosaskie wkroczyły na drogę interwencji dyplomatycznych u najwyższych czynników sowieckich. Przedstawiciele Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych występowali przeciwko przyłączeniu do Polski ziem śląskich. W odpowiedziach strona sowiecka zwracała uwagę, że

15. Protokół posiedzenia w Trstenej, 20. V. 1945, AMSZ.

16. Pismo wicestarosty powiatu nowotarskiego J. Witka do wojewody krakowskiego, 23. V. 1945, AMSZ.

decyzje krymskie nie tylko nie wykluczały, ale raczej implikowały możliwość istnienia polskiej administracji na terenach byłej Rzeszy hitlerowskiej, co jednak nie przesądzało z góry przyszłego załatwienia kwestii granicznych, które miały być rozstrzygnięte podczas konferencji pokojowej¹⁷.

Do czynników czechosłowackich docierały prawdopodobnie echa ciągnącej się przez kwiecień i maj polemiki anglosasko-sowieckiej. Wnioski mogły być jednoznaczne: należy działać zanim zapadną jakiekolwiek wiążące decyzje uznawane przez wszystkie mocarstwa. Już 5 maja komunistyczny minister informacji Václav Kopecký, proponując na posiedzeniu rządu „abyśmy również my jak najszybciej wystąpili ze swymi postulatami uregulowania kwestii granic, szczególnie jeśli idzie o Kłodzkie, Głubczyckie i Raciborskie”, spotkał się z aprobatą wicepremiera Gottwalda i innych ministrów. Zdaniem Kopecký'ego w wypadku zwlekania z zajęciem stanowiska przez Czechosłowację w sprawie wyżej wspomnianych ziem, Polska powiększy znacznie swój stan posiadania kosztem Niemiec. W dwa tygodnie później 19 maja rząd w Pradze po otrzymaniu petycji dwunastu gmin kłodzkich odnośnie obsadzenia ich obszaru przez wojska czechosłowackie, podjął z inicjatywy Fierlingera decyzję wysłania do władz sowieckich noty z odpowiednią prośbą^{17a}. Interwencja prezydenta Benesza sprawiła, że władze czechosłowackie objęły akcją dyplomatyczną również mocarstwa anglosaskie i Francję^{17b}.

31 maja podsekretarz stanu w czechosłowackim MSZ Vladimír Clementis złożył amerykańskiemu *chargé d'affaires* w Pradze Alfredowi Klieforthowi notę (wraz z dołączoną do niej mapą), w której wyrażony był „zamiar” rządu czechosłowackiego przejęcia „bezwzględnie” kontroli nad terytorium okręgu kłodzkiego. Nota zawierała zastrzeżenie, że „roztoczenia opieki” nad Kłodzkiem rząd nie traktuje jako rozwiązania ostatecznego, bowiem zdaje sobie sprawę, że nastąpi ono na konferencji pokojowej. Ponieważ regulacja północno-wschodnich granic Czechosłowacji na jej korzyść mogła mieć zdaniem rządu związek z przyszłymi granicami Polski, deklarował on w tej kwestii gotowość „przyjaznego porozumienia” z Polską. Podkreślał przy tym, że nie uważa

17. *Foreign Relations of the United States* (dalej FRUS). *Diplomatic Papers 1945, Europe*, vol. V. Washington 1967, str. 230, również str. 207, przypis 99. Polemikę Anglosasów z ZSRR i sprawy z tym związane można prześledzić na następujących stronach: 198-199, 205-208, 229-231, 276-278, 289-290, 293-298, 325-326.

17 a. K. Kaplan, *op. cit.*, str. 68-69.

17 b. Public Record Office, FO-371, t. 47088, N. 74870/207/12, pismo Nicholisa do Sargenta, 18. VI. 1945.

obecnej noty za zaspokajającą wszystkie żądania w sprawie rektyfikacji granic. Informował również czynniki amerykańskie, że podobne noty zostaną wręczone przedstawicielom Wielkiej Brytanii, ZSSR, Francji i Polski.

Punktem wyjścia dla sformułowania roszczeń była kwietniowa proklamacja pełnomocnika rządu polskiego Stanisława Piskowskiego, adresowana do ludności Dolnego Śląska. Rząd czechosłowacki podjął w nocy polemikę z polskim stanowiskiem w sprawie przeszłości tego regionu. Utrzymywał, że słowiańscy mieszkańcy tego terytorium są z pochodzenia Czechami. W nocy twierdzono ponadto, że rząd czechosłowacki, domagając się odnowienia przedmonachijskich granic republiki, nigdy nie zapominał podkreślać wobec kompetentnych czynników, że ten punkt widzenia nie przesądza wystąpienia w odpowiednim czasie „w pełnej zgodzie z rządami alianckimi” z postulatami rektyfikacji granic na swoją korzyść — kosztem wrogich państw. W nocy celowo z dużym naciskiem podkreślono wolę porozumienia się państwami sprzymierzonymi i gotowość podporządkowania się postanowieniom konferencji pokojowej. Akcentując swój legalizm strona czechosłowacka pragnęła widocznie wywołać u mocarstw anglosaskich wrażenie, że byłaby kontrahentem „solidniejszym” niż Polska, posługująca się metodą faktów dokonanych¹⁸. Zanim jednak rząd czechosłowacki doczekał się amerykańskiej odpowiedzi, strona polska przystąpiła do realizacji uprzednio przyjętych postanowień w kwestii Śląska Zaolziańskiego.

W nocy z 6 czerwca adresowanej przez ministra spraw zagranicznych Wincentego Rzymowskiego na ręce posła Józefa Hejreta Rząd Tymczasowy RP proponował powołanie w najbliższym czasie komisji mieszanej polsko-czechosłowackiej, która opracowałaby projekt polubownego rozwiązania sporu terytorialnego o ziemię Śląska Cieszyńskiego. Strona polska zaznaczała, że chodzi jej o usunięcie przeszkód dla politycznego, gospodarczego i kulturalnego zbliżenia między obu sąsiadami. Tradycyjnie już potępiała akt wcielenia Zaolzia z roku 1938. Dodawała jednak wyraźnie to, o czym dotychczas tylko w sposób zakamuflowany i bardzo rzadko wspominała prasa polska¹⁹, że „podobnie potępia jednocześnie akt przyłączenia Śląska Zaolziańskiego do Czechosłowacji, dokonany w roku 1919 przez ówczesny Rząd Czechosłowacki”. Akcentowała konieczność rozwiązania sprawy w duchu

18. FRUS, *Diplomatic Papers 1945, Europe*, vol. IV, Washington 1968, str. 513-514.

19. Np. *Rzeczpospolita*, 2. II. 1945, artykuł redakcyjny „Otwieramy nową kartę”.

poszanowania zasady narodowościowej i stwierdzała, że „Rząd Tymczasowy RP nie może pominąć oczywistego faktu, że Śląsk Cieszyński stanowi w swej przeważającej części obszar zamieszkały przez Polaków”. Nota stanowiła realizację polskiej zapowiedzi zawartej w majowym *aide-memoire* do rządu sowieckiego.

Rząd polski wystosował tego samego dnia również drugą notę, w której domagał się zaniechania dyskryminacji Polaków na Zaolziu, twierdząc, że jest ona wynikiem „oddziaływania skrajnych żywiołów nacjonalistycznych na administrację czechosłowacką powołaną jednostronnie na Śląsku Zaolziańskim”. Jako przykład przytoczono nakaz wysiedlenia wielu Polaków, określając go jako „akt bezprawny i nie dający się niczym usprawiedliwić”. Agencja Polpress podała w trzy dni później oficjalną informację, że minister Rzymowski przyjął 6 czerwca posta czechosłowackiego Hejreta²⁰. W oczekiwaniu na odpowiedź prasa polska milczała na razie.

Praskie MSZ nie spieszyło się jednak z odpowiedzią, mimo że jej treść została już ustalona na posiedzeniu rządu czechosłowackiego 8 czerwca. Przyjęta została wówczas propozycja Clementisa nie uznawania kwestii Śląska Zaolziańskiego za sporną oraz odrzucenia możliwości powołania komisji mieszanej. Premier Fierlinger zwrócił przy okazji uwagę, że „Polacy skarżyli się organom radzieckim na postępowanie czechosłowackie wobec polskiej mniejszości”. Kopecky powrócił natomiast do tematu ziem byłego Śląska niemieckiego, domagając się wystąpienia z postulatami nie ograniczającymi się wyłącznie do Kłodzkiego. Wydaje się, że pod jego wpływem rząd czechosłowacki zdecydował się wystosować notę w sprawie swoich roszczeń terytorialnych do władz w Warszawie^{20a}. Tymczasem głos zabrało natomiast *Rudé Právo*. 3 czerwca wydrukowało artykuł pt. „Powrót Śląska Zaolziańskiego do ojczyzny”. Autor artykułu Bruno Moldřik stwierdzał, że Śląsk Zaolziański nie będzie stanowił problemu spornego, ponieważ Związek Sowiecki konsekwentnie nie uznaje układów monachijskich i wszystkich zmian granicznych z nimi związanych. „Potwierdzenia tego stanowiska — pisał — otrzymaliśmy od rosyjskich oficerów, z którymi mieliśmy okazję spotkać się, a których mapy wojskowe miały zakreślony Śląsk Zaolziański jako część naszej republiki”. Wspominając rok 1938 autor nie omieszczał oskarżyć ówczesnych polityków polskich o współpracę z Niemcami hitlerowskimi. Ubolewał nad losem wygnanych Czechów i tendencyjnie sugerował niższość kulturalną

20. *Rzeczpospolita*, 9. VI. 1945.

20 a. K. Kaplan, *op. cit.*, str. 52, 169.

Polaków, którzy przybyli z wojskiem polskim na Zaolzie. Twierdził, że lud polski w swej większości popiera „swoją rząd” tzn. rząd w Pradze. „Nieporadne próby zaolziańskich Polaków w kilku gminach [czyli tworzenie zawiązków administracji przez miejscowe polskie społeczeństwo — przypis M.K.K.] po wyzwoleniu przez Związek Radziecki, by proklamować przyłączenie Śląska Zaolziańskiego do Polski, stare szowinistyczne hasło « Ostrawica — granica » i miejscowe czyny sabotażu są bezczelnością i beckowską faszystowską prowokacją”. Przeciwwstawiał w ten sposób Polaków zaolziańskich pragnących przyłączenia swej ziemi do macierzy rządowi polskiemu, „którego polityka jest równie jak nasza ludowa i demokratyczna” i z którym „na pewno będziemy żyć w braterskim sąsiedztwie”. Autor domagał się wykluczenia Polaków z tych rad narodowych, z których nie zostali jeszcze usunięci. „Powrót Śląska Zaolziańskiego — kończył swój artykuł — uczymy najlepiej w ten sposób, gdy damy tej ziemi to, czego natychmiast najbardziej potrzebuje: dobrą czeską administrację i dobrą ludową i demokratyczną kulturę”.

Wypowiedź *Rudého Práva*, organu najsilniejszej współzrządzącej partii w Czechosłowacji, świadcząca o niechęci do podejmowania dyskusji z rządem polskim na temat Śląska Zaolziańskiego, nie mogła pozostać niezauważona w Warszawie. Do dalszych wystąpień w sprawie Zaolzia skłoniła również czynniki polskie nota Hejreta z 9 czerwca, wręczona Rzymowskiemu. Jej treść nie miała wprowadzić nic wspólnego z tematem podjętym przez stronę polską trzy dni wcześniej, niemniej jednak pozostawała z nim w pewnym związku. Rząd czechosłowacki deklarował zamiar przejścia Kłodzka pod swą administrację aż do ostatecznego ustalenia granic. Nota była skonstruowana prawie identycznie, jak dokument wręczony 31 maja Klieforthowi, i zawierała tę samą argumentację na poparcie stanowiska czechosłowackiego. „Mając na uwadze przynależność terytorium Kłodzka do Republiki Czechosłowackiej — głosiła nota — ze względów historycznych, etnicznych, geograficznych, gospodarczych i komunikacyjnych, rząd Czechosłowacji uważa, że postanowienie rządu polskiego [odnośnie wprowadzenia administracji na tym terenie — przypis M.K.K.] ma jedynie charakter przejściowy i że rząd polski, kierując się równie szczerym dążeniem jak rząd Czechosłowacji po przyjaznym porozumieniu we wszystkich kwestiach, które mogłyby interesować oba nasze sąsiednie i zaprzyjaźnione państwa, będzie mieć zrozumienie dla zamiaru rządu czechosłowackiego przejścia pod swą administrację terytorium Kłodzka”. Propozycja w sprawie Kłodzka była, jak zaznaczono wyraźnie w nocie, jednym z kilku przygotowywanych projektów rektyfika-

cji granic Czechosłowacji. Należało się więc spodziewać, że rząd czechosłowacki wystąpi z postulatami przyłączenia do swego państwa innych ziem byłej Rzeszy Niemieckiej.

Rząd czechosłowacki pragnął uchylić się na razie od zajmowania stanowiska wobec polskiej propozycji powołania komisji mieszanej w celu rozstrzygnięcia sprawy Zaolzia. O tym, że był do niej negatywnie nastawiony świadczył głos *Rudého Práva*. Mimo to, w nocy sugerowano, że w wypadku podjęcia rozmów przez stronę polską na temat czechosłowackich roszczeń terytorialnych dojdzie wówczas do „przyjaznego porozumienia we wszystkich kwestiach” interesujących oba państwa. Celem tej niejasnej obietnicy było skłonienie rządu polskiego do wszczęcia pertraktacji w sprawie czechosłowackich postulatów. W ten sposób władze czechosłowackie usiływały przesunąć punkt ciężkości zagadnienia spornego ze sprawy Śląska Zaolziańskiego na kwestię przynależności państwowej niektórych obszarów byłego Śląska niemieckiego, pod pozorem, iż rozmowy będą się toczyć „o wszystkim”.

Jeśliby do rozmów na temat Kłodzka w ogóle nie doszło lub strona czechosłowacka niczego nie wynegocjowała, to rezerwowała ona sobie możliwość interwencji u wielkich mocarstw. Pierwsze kroki w tym kierunku zostały już uczynione. ZSSR, mocarstwa anglosaskie i Francja otrzymały odpowiednie noty, o czym nie zapomniano poinformować rządu polskiego. Czechosłowacja miała tym większe szanse realizacji swych postulatów terytorialnych, że jeszcze formalnie nie zrezygnowała z Rusi Podkarpackiej, za której odstąpienie mogła żądać poprawek granicznych na Śląsku na swoją korzyść.

Okres, w którym południowy sąsiad wystąpił ze swymi roszczeniami, był niepomyślny dla polskiej granicy zachodniej. W dniach od 16 do 19 maja władze polskie po raz pierwszy opuściły Szczecin i 9 czerwca tylko władze miejskie doń powróciły, ale już 18 czerwca na polecenie sowieckie ponownie musiały się stamtąd wycofać²¹. ZSSR w ten sposób reagował na interwencje mocarstw anglosaskich w sprawie ziem przyłączonych do Polski. Krążyły też rozmaite plotki celowo inspirowane przez różne ośrodki biorące udział w rozgrywce. Mówiono, że Szczecin zostanie przyznany Czechosłowacji bądź też będzie podzielony na trzy koncesje: polską, czeską i niemiecką²². W tych wieściach

21. P. Zaremba, *Pierwszy szczeciński rok 1945*, Poznań 1970, str. 136, 142, 159, 179-180, 184-187.

22. *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza*, 8. VI. 1945; Zaremba, *op. cit.*, str. 151, 186, 193, 230.

tkwiła odrobina prawdy: czynniki czechosłowackie wydaje się przemyślały poważnie nie tyle o Szczecinie jako nabytku terytorialnym, choć uzyskanie strefy w porcie byłoby im bardzo na rękę, ale o otrzymaniu niektórych bliżej leżących obszarów zarządzanych już przez administrację polską. Przykład wycofania się polskich władz ze Szczecina mógł być korzystnym dla Czechosłowacji precedensem.

Czynniki czechosłowackie postanowiły w tym czasie wytknąć władzom polskim, że Słowakom z Górnego Spisza i Orawy nie najlepiej wiedzie się w ramach nowej państwowości. W nocy z 11 czerwca Hejret w imieniu swego rządu prosił o umożliwienie Słowakom, którzy tego pragną, przesiedlenia wraz z majątkiem ruchomym do republiki. „Głównie chodzi o to, aby ci Słowacy nie byli prześladowani przez różne grupy po gminach tych poruszające się” — pisał Hejret.

Stawianie znaku równości między sytuacją ludności polskiej na Zaolziu i ludności Górnego Spisza i Orawy ciężącej do Czechosłowacji było merytorycznie bezzasadne, choć z punktu widzenia czechosłowackiego, ze względów propagandowych, uzasadnione. Na Zaolziu administracja czeska planowo walczyła z polskim żywiołem, na Górnym Spiszu i Orawie polska administracja nie zdołała zaś jeszcze przejąć władzy w swoje ręce. Tym bardziej nie mogła przeciwdziałać antyrządowej partyzantce równocześnie dającej się we znaki tym mieszkańcom gmin spiskich i orawskich, którzy po kilku latach życia w Słowacji oświadczaali, że są obecnie Słowakami.

Napięcie między Polską a Czechosłowacją wzrastało. 10 czerwca na teren powiatu raciborskiego, słabo chronionego przez milicję, wkroczyły czechosłowackie wojska pancerne, zajmując między innymi stację kolejową Chałupki na linii Bogumin - Racibórz. Wraz z wojskiem przybyli czescy kolejarze²³. Oficer kierujący operacją oświadczył powiatowemu komendantowi MO z Raciborza, że zamierza obsadzić teren aż do Odry²⁴. W sprawie tej polskie MSZ wystosowało 12 czerwca notę protestacyjną do poselstwa czechosłowackiego. Rząd polski określił akcję czechosłowacką jako naruszenie granicy i zażądał natychmiastowego wycofania wojsk i funkcjonariuszy czeskich z zajętego terytorium. „Rząd Rzeczypospolitej Polskiej widzi się zmuszony stwierdzić — głosiła nota — że nie odpowiada za konsekwencje gdyby żądaniu powyższemu nie stało się zadość”.

23. Nota polskiego MSZ do poselstwa czechosłowackiego, 12. VI. 1945, AMSZ; V. Novy, *op. cit.*, str. 195-196.

24. Raport komendanta powiatowego MO w Raciborzu do wojewódzkiej komendy MO w Katowicach, 10. VI. 1945, AMSZ.

Tego samego dnia, 12 czerwca, odbyło się posiedzenie Prezydium KRN, podczas którego Rola Żymierski poinformował zebranych, że na polecenie Bieruta tegoż dnia rano zostały wysłane oddziały wojska polskiego w rejony nadgraniczne z Czechosłowacją. Zapowiedział, że jeżeli w ciągu 24 godzin nie zostaną wycofane czołgi czechosłowackie wówczas zostaną one usunięte siłą. Prezydium postanowiło polecić postawienie słupów granicznych wzdłuż granicy polsko-czechosłowackiej jedynie z pominięciem odcinka na Olzie ze względu na sporny charakter tej ziemi. Ponadto zadecydowano „sprawę czeską postawić wyraźnie i mocno na forum publicznym” oraz w tym celu zwołać konferencję prasową²⁶. W trzy dni później, 15 czerwca, rząd czechosłowacki został poinformowany przez Clementisa o proteście strony polskiej oraz niebezpieczeństwie starcia zbrojnego w Raciborskiem między oddziałami polskimi i czechosłowackimi. Gottwald, przekazując niepotwierdzoną wiadomość o wkroczeniu wojsk polskich do Cieszyna Zachodniego uznał, iż gdyby była ona prawdziwa, świadczyłaby o podjęciu przez północnego sąsiada działań odwetowych. Ministrowie zaniepokojeni rozwojem sytuacji upoważnili premiera, aby bez zwłoki „oświadczył wobec radzieckich i polskich organów wojennych, że rząd o niczym nie wie, że potępia samowolną akcję, a odpowiedzialni zostaną ukarani”. Do Pragi nie dotarła jeszcze informacja o tym, że poprzedniego dnia wojskowe władze sowieckie, polskie i czechosłowackie zdążyły dojść do porozumienia, zapobiegając możliwości wybuchu lokalnego konfliktu natury militarnej^{26a}.

Zanim konfliktowi polsko-czechosłowackiemu nadano rozgłos w prasie polskiej Hejret otrzymał 13 czerwca następną notę polską prawie w całości omawiającą postępowanie administracji czechosłowackiej wobec Polaków na Zaolziu. Strona polska przytaczała przykład pobicia jednego z nauczycieli polskich, wskazywała na właściwy cel tzw. akcji rehabilitacyjnej, przy pomocy której władze wymuszały zgłoszenie w odpowiedniej rubryce kwestionariusza narodowości czeskiej oraz podpisanie się pod oświadczeniem „żądam zatem wcielenia mnie do republiki czechosłowackiej”. Zwracała uwagę na stosunek do Polaków przybyłych na Zaolzie po 1 października 1938 roku, których nazywając w prasie i urzędowych obwieszczeniach „okupantami” władze traktowały na równi z Niemcami. Podlegali oni obowiązkowej rejestra-

25. Protokół nr 16 z posiedzenia Prezydium KRN w dniu 12. VI. 1945, z KRN, Biuro Prezydialne KRN — *Wydział Prawny*, tom 2, k. 100-101, AAN.

25 a. K. Kaplan, *op. cit.*, str. 52-53.

cji policyjnej, która miała być wstępem do usunięcia ich ze Śląska Zaolziańskiego. Nota mówiła o masowym zwalnianiu Polaków z pracy, podając przykład kolejarzy w Boguminie, wspominała o groźbach i faktach wysiedlenia z Zaolzia ludności polskiej. Przypominała o zwłoce w otwarciu szkół polskich oraz wypadkach zabrania odprawiania nabożeństw w języku polskim. Rząd polski zarzucał ponadto władzom czechosłowackim tolerowanie agitacji za przyłączeniem do republiki ziem Górnego Śląska na lewym brzegu Odry, między innymi Raciborza i Koźla. Pretensje tzw. Śląskiej Rady Narodowej uwidocznione w jej ulotkach kolportowanych na polskie tereny przygraniczne sięgały nawet do ziem na prawym brzegu Odry i Olzy. Rząd polski domagał się natychmiastowego zaniechania akcji antypolskiej oraz oświadczał, że „liczy na rychłą odpowiedź co do zasadniczego uregulowania sprawy Śląska Cieszyńskiego”.

Rząd czechosłowacki nie kwapił się jednak dalej z konkretną odpowiedzią. Natomiast do Warszawy dotarły niepokojące wiadomości, że między 15 a 18 czerwca wojska sowieckie wycofają się z Zaolzia i że wówczas przybędą z Pragi wyżsi urzędnicy celem „uregulowania kwestii polskiej”, tzn. przeprowadzenia wysiedleń Polaków. Dotychczas nie przybrały one masowego charakteru, niemniej jednak kilkaset osób zostało już usuniętych ze Śląska Zaolziańskiego²⁶. Należało więc wystąpić zdecydowanie wobec południowego sąsiada zanim nie będzie za późno.

Wprawdzie plotki mówiące o przyłączeniu polskiej części Śląska Cieszyńskiego wraz z Bielskiem do Czechosłowacji jako rekompensacie za straty, które poniosła republika w roku 1938²⁷, nie mogły być poważnie traktowane, ale oświadczenie Clementisa w praskim radio 13 czerwca na temat Kłodzka, Głubczyc i Raciborza nie budziło żadnych wątpliwości, że chodzi tutaj o program rządowy. Dwa dni później (15 czerwca) stanowisko Clementisa poparły dzienniki dwóch najsilniejszych partii — *Rudé Právo* i *Svobodné Slovo*.

Clementis zapowiedział przedłożenie w najbliższym czasie mocarstwu propozycji zmian granicy czechosłowackiej na korzyść republiki nie tylko w rejonie Kłodzka, ale również Głubczyc i Raciborza. Motywował swoje postulaty przede wszystkim względami bezpieczeństwa. Widocznie nie wyczerpał jednak listy terenów, które rząd czechosłowacki pragnąłby włączyć do swego państwa, skoro stwierdził, że rektyfikacje muszą być przeprowa-

26. Raport Wengierowa do wiceministra spraw zagranicznych Bermana, 8. VI. 1945, AMSZ.

27. *Ibidem*.

dzione i na tych wszystkich odcinkach, gdzie interesy bezpieczeństwa tego wymagają. Clementis utrzymywał, że istnieje możliwość okupacji terenów byłej Rzeszy Niemieckiej przez wojska czechosłowackie, ponieważ paragraf 1 artykułu II deklaracji z 2 czerwca 1945 na temat stref okupacyjnych Niemiec przewidywał użycie oddziałów każdego państwa alianckiego, które walczyło aktywnie z Rzeszą²⁸.

Redaktor naczelny *Rudého Práva* František Bareš pisał zaś, że już obecnie trzeba Kłodzko, Głubczyce i Racibórz zająć ze względów strategicznych, by zapewnić bezpieczeństwo Czechosłowacji. Zastrzegał się, że „nie pragniemy niczego cudzego”, ponieważ ziemie te od wieków są słowiańskie. *Svobodné Slovo* zaś głosiło, że Polska otrzymała już zagrabione przez Prusy ziemie, i że Czechosłowacja pragnie również odebrać oderwany niegdyś od Czech Śląsk. „Nie tylko w swoim, ale i w interesie trwałego pokoju oczekujemy naprawy starej krzywdy” — dopominał się organ narodowych socjalistów.

Zasięg postulatów terytorialnych Czechosłowacji ogłaszanych publicznie zdołał więc urosnąć od momentu przekazania noty na temat Kłodzka przedstawicielowi Stanów Zjednoczonych. Zresztą zapowiedź tego można było znaleźć we wspomnianej nocie. Podkreślanie przez przedstawicieli Czechosłowacji elementów natury obronnej miało charakter czysto propagandowy.

13 czerwca opuściła Warszawę, udając się w drogę do Moskwy, delegacja Rządu Tymczasowego RP celem odbycia rozmów w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej²⁹. Ponieważ premier Edward Osóbka-Morawski i wicepremier Władysław Gomułka wyjechali jako członkowie delegacji, a minister spraw zagranicznych Rzymowski miał wkrótce również wyjechać do Moskwy, Rada Ministrów powierzyła pełnienie funkcji premiera i ministra spraw zagranicznych Roli-Żymierskiemu³⁰, zdecydowanemu zwolennikowi radykalnego rozwiązania problemu Śląska Zaolziańskiego. 16 czerwca prasa polska podała krótki komunikat Polpressu o przeszło godzinnej rozmowie na temat Zaolzia, która odbyła się poprzedniego dnia między Rolą-Żymierskim a Hejretem³¹. 15 czerwca Żymierski wręczył postowi cze-

28. *The Central European Observer*, 29.VI.1945; FRUS, *Diplomatic Papers 1945, Europe*, vol. IV, op. cit., str. 517.

29. E. Osóbka-Morawski, „Dziennik polityczny od 1943 do 1948. Polska droga do socjalizmu”, maszynopis, str. 136.

30. Protokół nr 40 z posiedzenia Rady Ministrów Rządu Tymczasowego RP w dniu 12.VI.1945, Archiwum Edwarda Osóbki-Morawskiego (dalej AEOM).

31. *Rzeczpospolita*, 16.VI.1945.

chosłowackiemu notę odbiegającą od poprzednich. Był to punkt kulminacyjny polskiej akcji dyplomatycznej stanowiący jednocześnie początek ostrej kampanii prasowej i zapowiedź użycia środków militarnych.

Rząd Tymczasowy RP zwracał uwagę na brak odpowiedzi na poprzednie noty polskie, na nadal trwające „brutalne metody eksterminacji żywiołu polskiego na Zaolziu, na ciągłą obecność wojsk czechosłowackich w powiecie raciborskim”. Domagać się niezwłocznego wycofania oddziałów czechosłowackich z Raciborskiego oraz odwołania jednostronnie ustanowionej administracji czechosłowackiej na Śląsku Zaolziańskim. Na jej miejsce miała być ustanowiona Mieszana Komisja Polsko-Czechosłowacka utworzona na zasadach parytetu oraz z udziałem przedstawicieli miejscowej ludności. Komisja przejęłaby tymczasowo władzę na Śląsku Zaolziańskim likwidując upośledzenie narodowościowe Polaków. Głównym jej celem byłoby przedłożenie w terminie miesięcznym propozycji „rozstrzygnięcia zagadnienia Zaolzia zgodnie ze stosunkami narodowościowymi tego terytorium”. Komisja współdziałałaby z rządem polskim i czechosłowackim. Przyjęcie polskich propozycji i mianowanie czechosłowackich przedstawicieli do Mieszanej Komisji winno być nastąpić w ciągu 48 godzin od chwili otrzymania noty przez rząd czechosłowacki. Od tego momentu w ciągu trzech dni Komisja musiałaby przejąć funkcje czechosłowackiej administracji na Zaolziu. „W razie nieprzyjęcia tych propozycji Rząd Tymczasowy RP — brzmiało ultimatum — zdejmie z siebie odpowiedzialność za dalszy bieg wypadków i będzie zmuszony zastosować wszelkie środki będące w jego dyspozycji w celu zapewnienia obrony ludności polskiej i utrzymania porządku na terenie Śląska Zaolziańskiego”.

Tego samego dnia Hejret udał się do Pragi i wręczył notę Clementisowi³².

Faktycznie wojska czechosłowackie 15 czerwca opuściły powiat raciborski na podstawie porozumienia z dnia poprzedniego z przedstawicielami wojsk sowieckich i polskich³³. Obeszło się więc bez starcia zbrojnego. Ale również 15 czerwca na teren Kotliny Kłodzkiej wjechał czechosłowacki pociąg pancerny³⁴ i dopiero po czterech dniach³⁵ w wyniku interwencji pełnomocnika

32. Nota Hejreta do Żymierskiego, 17. VI. 1945, AMSZ.

33. Sprawozdanie z rozmowy Wierbłowskiego, Olszewskiego i Clementisa 16. VI. 1945, AMSZ.

34. *Rzeczpospolita*, 16. VII. 1945.

35. Raport Wengierowa do Bermana, 20. VI. 1945, AMSZ.

rzędu Piaskowskiego u wojskowych władz sowieckich wrócił do Czechosłowacji³⁶. Wojsko polskie zaś wówczas (19 czerwca) wkroczyło na ten teren³⁷.

15 czerwca rozpoczęła się kampania w prasie polskiej. Odżegnywano się od polityki płk. Józefa Becka wobec Czechosłowacji, ale potępiano również zajęcie Zaolzia przez wojska czechosłowackie w roku 1919. By ułatwić rządowi czechosłowackiemu powzięcie decyzji po myśli żądań polskich, *Rzeczpospolita* z 15 czerwca pisała o faszystowskich szowinistach czeskich z pogranicza „działających bez porozumienia z władzami w Pradze, a może przeciw nim”. Następnego dnia komunikat Polpressu ujawniał niektóre formy szykan stosowanych na Zaolziu oraz informował o konferencji prasowej w prezydium Rady Ministrów z udziałem Roli-Zymierskiego i obecnego jeszcze Rzymowskiego, na której „poruszano też sprawę ostatnich wydarzeń antypolskich na Śląsku Cieszyńskim³⁸”.

Przybyły 13 czerwca do Pragi³⁹ poseł Stefan Wierbłowski jeszcze przed złożeniem listów uwierzytelniających prezydentowi republiki, które nastąpiło 22 czerwca⁴⁰, znalazł się od razu na początku swego urzędowania w obliczu konieczności załatwienia poważnych spraw. 16 czerwca wraz z dyrektorem departamentu politycznego warszawskiego MSZ Józefem Olszewskim odbył prawie półtoragodzinną dyskusję z Clementisem na temat polskich zarzutów i postulatów zawartych w nocy z 15 czerwca. Clementis oświadczył zaproszonym gościom, że jedynym wyjściem z sytuacji byłoby wycofanie ultymatywnej polskiej noty, dodając przy tym, że „żaden rząd, który się uważa za suwerenny nie mógłby tej noty przyjąć”. Zapowiedział szczegółową replikę w nocy przygotowywanej na dzień następny. Wierbłowski odniósł wrażenie, że w zamian za wycofanie noty polskiej strona czechosłowacka gotowa byłaby podjąć dialog, w przeciwnym zaś wypadku powiadomi mocarstwa o jej treści z odpowiednim komentarzem niekorzystnym dla strony polskiej⁴¹.

(dokończenie nastąpi)

Marek Kazimierz KAMIŃSKI

36. *Rzeczpospolita*, 16. VII. 1945.

37. Raport Wengierowa, 8. VI. 1945, AMSZ.

38. *Rzeczpospolita*, 15. VI. 1945.

39. *Svobodne Slovo*, 15. VI. 1945.

40. *Rzeczpospolita*, 26. VI. 1945.

41. Notatka z rozmowy Wierbłowskiego, Olszewskiego i Clementisa. 16. VI. 1945, AMSZ.

SPIS TREŚCI

Agata Tuszyńska: <i>W oczach Polaków. Polacy i Rosjanie. Życie codzienne w Warszawie w latach 1865-1905</i> ..	3
Emanuel Halicz: <i>Kraje skandynawskie wobec powstania styczniowego</i>	21

WSPOMNIENIA

Maria Bartłowa: <i>Wspomnienia</i>	34
Tadeusz Pawłowicz: <i>Pierwszy rok wojny (II). W okupowanej Warszawie</i>	66
Władysław Minkiewicz: <i>Wspomnienia 1939-1954 (dok)</i> ..	91

RECENZJE

Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i>	180
--	-----

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Wyrwa: <i>Ambasador Francji w Bukareszcie o sytuacji rządu polskiego w Rumunii we wrześniu 1939 r.</i>	186
Tadeusz Wyrwa (opr.): <i>Generał Sosnkowski o postawie Francuzów wobec ewakuacji wojska polskiego do Anglii w czerwcu 1940 r.</i>	190
Andrzej Suchcitz: <i>O dzieciństwie Edwarda Smiętego-Rydz</i>	194
	239

Ignacy Rom: <i>List Osóbki-Morawskiego do Eisenhowera</i> ..	200
Leon Popek: <i>Infułat Marian Tokarzewski</i>	203
<i>Facsimile listu gen. Rozwadowskiego do płk. Modelskiego</i> <i>z 13 maja 1926</i>	206

DOKUMENTY

Ludwik Łubieński: <i>Raport złożony Komisji gen. Modelskiego</i> <i>do zbadania przyczyn klęski wrześniowej</i>	207
<i>Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny w PRL</i>	218
Marek Kazimierz Kamiński: <i>Polsko-czechosłowackie stosun-</i> <i>ki polityczne przed konferencją trzech mocarstw w</i> <i>Poczdanie (maj-czerwiec 1945 roku) (I)</i>	220

Achevé d'imprimer le 24 juillet 1987 sur les Presses de l'Imprimerie Richard
24, rue Stephenson, 75018 Paris.

Dépôt légal : 3^e trimestre 1987. — N° d'imprimeur 8353.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

